



Charles Martin
Gdzie rzeka kończy
swój bieg

Dorota Malinowska- Grupińska



PRZEDMOWA

Nie mam najlepszych wspomnień z dzieciństwa. Chyba za wcześnie doświadczyłem zbyt wielu nieodpowiednich rzeczy. Z tamtego czasu tylko dwie zapamiętałem jako piękne. Moją mamę i brzeg tej rzeki. I zanim dowiedziałem się, jak jest naprawdę, myślałem, że rzekę nazwano na cześć mojej mamy.

Mężczyzna, który mieszkał z nami w naszej przyczepie kempingowej, zawsze był wściekły. I bez przerwy palił. Nie wiem, dlaczego. Zapalał jednego papierosa od drugiego, którego koniec jeszcze się żarzył. Zupełnie jakby to były zimne ognie, które zresztą pasowały do jego oczu. Nigdy mnie nie uderzył, przynajmniej zbyt mocno, ale to, co mówił, raniło moje uszy. Mama powtarzała, że to przez diabła w butelce, ale nie wydaje mi się, by podłość się piło. Można — jak twierdzi wielu — próbować ją utopić, ale doświadczenie podpowiada mi, że to bardzo dobry pływak. Dlatego siedzi w butelkach. Żeby przed nim uciec, ona i ja, przybyliśmy właśnie tutaj. Ona mówiła, że to z powodu mojej astmy. Ale ja wiedziałem swoje. Moją astmę mogła wykończyć jedynie śmierć.

Z cegłą ugniatającą klatkę piersiową każdy oddech przypominał wciąganie powietrza przez węża ogrodowego. Z tego też powodu trudno było wydusić ode mnie, co czuję lub myślę. Mówiłem jej tylko: „Zapomnij o uczuciach. Zostawmy je na potem. Daj mi lepiej trochę powietrza”. Pomiędzy mężczyzną z butelką, salbutamolem (lek stosowany przy astmie oskrzelowej) a spazmatycznym kaszlem nie mogłem nie odczuwać wstrząsów, może dlatego przestałem łączyć usta z sercem. Coś we mnie zostało rozdzielone.

Żyłem w kawałkach.

Może w *wyspach* byłoby tu nawet odpowiedniejszym słowem. Bo kiedy wpęzałem w siebie i rozglądałem się dookoła, nie widziałem całości. Ani tego, co najważniejsze. Widziałem tylko kontynent pocięty i poćwiartowany,

a każda jego część odpływała gdzieś daleko bez celu. W pamięci mam zdjęcia, na których kra lodowa koło bieguna wyglądała dokładnie tak samo. Jakby zaraz miała gdzieś odpłynąć.

Gdy miałem jakieś pięć lat, zacząłem nosić na głowie kask. Trwało to niemal trzy lata. I nosiłem go nawet wtedy, gdy nie jechałem na rowerze, a ponieważ moje wargi od czasu do czasu robiły się niebieskie, wołali na mnie „Smerf”. Krótko mówiąc, z uwagi na chorobę nie mogłem się dużo ruszać i moje dzieciństwo było raczej do chrzanu. Ale mama kupiła mi farby i w nich znalazłem ucieczkę, malując świat taki, w jakim chciałbym żyć.

Nad rzeką mieliśmy ławkę, na której wieczorami siadaliśmy. Zazwyczaj korzystaliśmy z niej wtedy, gdy potok jego słów i widok nieustannie żarzącego się papierosa wyganiał nas na dwór. Siadaliśmy tam tak często, że drewno stało się całkiem gładkie. Pewnego wieczoru, miałem wtedy chyba dziesięć lat, zastanowiło mnie coś w jego gadaniu, więc zapytałem:

— Mamo, co to jest „łatwa kobieta”?

Ona także uciekała przed jego słowami, ale odparła:

— Gdzie to słyszałeś?

Pokazałem głową.

— Od tej grubej kobiety, tam.

Skinęła.

— Kochanie... wszyscy błądzimy.

— Ty też?

Dotknęła czubka mojego nosa palcem.

— Kiedy jestem z tobą, to nie.

Potem mnie objęła.

— Ale tak naprawdę to nie jest ważne. Ważne jest, co robisz, kiedy okazuje się, że zblądziłeś.

Pamiętam, jak raz poprowadziła mnie przez las, posadziła na ławce i szerokim ruchem dłoni wskazała na rozciągającą się przed nami rzekę.

— Doss... Bóg jest w tej rzece.

To był jeden z tych wieczorów, kiedy słońce wydaje się być zduszone przez burzowe chmury. Ich krawędzie mają wtedy czerwoną barwę, gdy od spodu są ciemnoniebieskie, a momentami prawie czarne. Widzieliśmy, jak nadchodzi deszcz. Patrzyłem na brzeg rzeki, widziałem już pierwsze zmarszczki na wodzie, obawiając się przez cały czas, że mój język znów napęcznieje i zdrętwieje, co działo się zawsze, kiedy mdlałem z braku tlenu.

— To wiele wyjaśnia — powiedziałem ponuro.

Odsunęła mi włosy z oczu, kiedy udało mi się zrobić przez inhalator szybkie dwa wdechy.

— Co masz na myśli?

— Ze nie ma Go w przyczepie — wstrzymałem oddech.

Pokiwała głową.

— Ale był, kiedy przychodziłeś na świat.

Właśnie nauczyłem się przeklinać, więc spróbowałem, jak daleko mogę się posunąć.

— Może. — Odkaszlnąłem i splunąłem. — Ale, niech to diabli, że teraz Go tam nie ma.

Złapała palcami mój policzek i obróciła moją głowę w stronę wody.

— Doss Michaels.

— Słucham.

— Spójrz na powierzchnię wody.

Zgodziłem się posłusznie.

— Co tam widzisz?

— Czarną wodę — powiedziałem bardzo grubym, nie swoim głosem.

Uszczypnęła mnie mocniej.

— Nie bądź taki mądrała. Popatrz jeszcze raz.

— Małe rybki.

— Bliżej, na powierzchni.

Odczekałem chwilę, starając się skoncentrować.

— Widzę drzewa, chmury... niebo.

— Jak to się nazywa?

— Odbicie.

Puściła mnie.

— Nie obchodzi mnie, w co wdepniesz, łażąc po tym świecie, pamiętaj tylko, by nie ubłocić swego odbicia. Rozumiesz mnie?

Wskazałem na przyczepę.

— Ale on to robi i ty nic nie mówisz.

— To prawda. Ale jego już nie naprawię. A ty wciąż jesteś czysty.

— Dlaczego pozwalasz mu zostać?

Chwilę zastanawiała się w ciszy.

— Ponieważ ja mogę pracować tylko tyle, ile pracuję, a on — podała mi inhalator — ma swoje zalety. — Znowu uniosła moją brodę. — Balsamie ty mój, słyszysz mnie?

— Dlaczego mnie tak nazywasz?

Oparła się o mnie czołem.

— Bo goisz moje rany.

Mało wiedziałem o życiu, ale jedno wiedziałem na pewno: moja mama była dobrą kobietą. Wskazałem na ulicę.

— Czy mogę teraz powiedzieć tej grubej babie, żeby się chrzaniła?

Potrząsnęła głową.

— To nic nie pomoże.

— Dlaczego?

Błyskawica przecięła niebo.

— Ponieważ cały ten jej tłuszcz to ból. — Znowu odsunęła mi włosy z czoła. — Ostatnim razem... — zaczęła — słyszysz?

— Tak.

Upłynęło kilka minut. Powietrze stało się wilgotne, naładowane elektrycznością. Pachniało deszczem.

— To, co potrafisz... co robisz za pomocą ołówka czy pędzelka... to coś niezwykłego. — Przyciągnęła mnie bliżej. — Każdy półgłówek potrafi to dostrzec. Ja ciebie tego nie nauczyłam. Przede wszystkim dlatego, że sama nie umiem. Otrzymałeś to jako dar. I dlatego jesteś kimś specjalnym.

— Nie czuję się jak ktoś wyjątkowy. Zazwyczaj czuję się, jakbym zaraz miał umrzeć.

Podciągnęła w górę spódnicę, żeby wytrzeć pot, który zebrał się jej na nogach. Zardzewiałe ostrze przecięło zgrubiałą skórę nad jej piętą. Miała paskudny ślad. Machnęła na to ręką, jakby na przekór całemu światu.

— Życie nie jest łatwe — odezwała się po chwili. Przez większość czasu jest raczej trudne. Rzadko ma sens. Im jesteś starszy, tym bardziej wystawia cię na próby, stara się złamać, wykrwawić... — spróbowała się roześmiać, a potem na krótko zamilkła. — Ludzie przychodzą nad tę rzekę z wielu powodów. Niektórzy z nas kryją się tu, inni uciekają, jeszcze inni szukają spokoju... Może chcą o czymś zapomnieć, złagodzić ból, ale... wszyscy przychodzimy tutaj spragnieni. — Odsunęła mi znów włosy z oczu. — Ty jesteś jak ta rzeka. Ludzie pragną tego, co potrafią twoje palce. Więc nie powstrzymuj ich. Nie zmarnuj. I nie ubłóć. — Podrzuciła moją dłoń na swojej, a potem przyłożyła swoje palce do moich. — Pozwól, by robiły to, do czego są stworzone... a pewnego dnia ludzie ze wszystkich stron przyjdą, by pić z tej krynicy.

Położyła mi na kolanach blok, podała ołówek, a potem skierowała mój wzrok na rzekę.

— Widzisz?

— Tak, mamo.

— A teraz zamknij oczy. — Zrobiłem, o co prosiła. — Weź wdech tak głęboki, jak tylko potrafisz. — Czy widzisz — zapytała — to, co maluje ci się pod powiekami? — Przytaknąłem. — Teraz... — Włożyła ołówek w moją dłoń i w tej właśnie chwili spadła pierwsza kropla. — Znajdź to, co sprawia, że chcesz spojrzeć raz jeszcze... i to pokaż.

I dokładnie tak uczyniłem.

Tego wieczora długo oglądała rysunek. Cała jej twarz jakby ożyła.

— Obiecuj mi jeszcze coś — powiedziała nagle.

— Tak?

Spoglądała przez okno mojej sypialni na rzekę, która płynęła pod płaszczem mgieł, nad którymi wisiały chmury.

— To, co nosisz w sobie... jest jak źródło, które bije gdzieś z głębin. To słodka woda. Ale... — wtedy nie miałem pojęcia, o czym mówi. Patrzyłem

tylko na łzę, która spływała po jej policzku. — Czasami źródło wysycha. Jeśli kiedyś zostaniesz zraniony i będziesz jednym wielkim bólem... i sięgniesz w głąb siebie, i okaże się, że źródło wyschło... wtedy wrócisz tu... zanurzysz się w tej rzece, by się z niej napić.

I tak zrobiłem.

Wielki

ROZDZIAŁ 1

30 MAJA

Pokonałem ostatni stopień prowadzący do mojego studia i wciągnąłem w płuca zatechły nieco zapach od kominka. Zastanawiałem się, ile czasu potrzeba, by przypadkowy ogień strawił wszystko. Powiedziałbym, że ledwie kilka minut. Skrzyżowawszy ręce, oparłem się o ścianę, spoglądając w te wszystkie wlepione we mnie oczy. Abbie bardzo męczyła się, żebym uwierzył. Nawet przejechała ze mną pół świata. A kiedy pokazywała mi Rembrandta, klepała po ramieniu i powtarzała: „Ty też tak potrafisz”. Więc malowałem. Głównie twarze. To ziarno, które Abbie latami podlewała, zasiała kiedyś moja matka. Ale uczciwie stawiając sprawę, muszę przyznać, że gdyby zdarzył się tu porządny ogień i straż pożarna byłaby opieszala, więcej bym zarobił na polisie ubezpieczeniowej.

Przede mną widniało dziesięć lat mojej pracy. Wzdłuż ścian stało trzysta zakurzonych obrazów. Oparte były jedne o drugie. Wszystkie to oleje na płótnie. Patrzyłem na te twarze przyłapano w chwilach emocji rzadko wyrażanych słowami. Kiedyś malowanie ich przychodziło mi tak łatwo. Można powiedzieć wręcz: płynnie. Pamiętam chwile, kiedy nie mogłem się doczekać, żeby tutaj przyjść, bo nie umiałem powstrzymać w sobie potrzeby ich uwieczniania. Zdarzało się nawet, że cztery płótna powstawały w jednym czasie. Pośród nich te malowane nocą, kiedy budziłem w sobie Wezuwiusza.

Teraz ostatnie lata mojego życia spoglądały na mnie. Kiedyś wszystkie te obrazy wisiały w różnych galeriach Charlestonu, ale potem, powoli, kolejno, zaczęły do mnie wracać. Samozwańczy krytycy sztuki pisali w lokalnych gazetach, że moim pracom „brak oryginalności”, że „nie ma w nich serca” lub, to było moje ulubione, że „są nudne, nie czuć w nich ręki artysty lub zrozumienia tematu”.

Pewnie dlatego właśnie krytyków nazywa się krytykami.

Na sztalugach przede mną widniało rozpięte na blejtramicie płótno. Zakurzone, wypłowiałe od słońca i popękane. Puste.

Jak ja.

Wyszedłem przez okno, przeszedłem nieco skrajem dachu i wspiąłem się po metalowej drabince na małą wieżyczkę. Pachniało solą. Popatrzyłem na wodę. Jakaś mewa coś do mnie krzyknęła. Powietrze wyraźnie zgęstniało, spowijało miasto niczym koc. Choć niebo było czyste, w powietrzu unosił się zapach deszczu. Księżyc w pełni rzucał cienie na wodę uderzającą o betonowe grodzie widoczne sto metrów *dalej*. Daleko na południowy wschód widniały światła Fort Sumter. Nieopodal rzeki Ashley i Cooper łączyły swoje nurty. Większość mieszkańców Charlestonu powie ci, że to one są źródłem Oceanu Spokojnego. Dalej na północ widać zaś było wyspę Sullivan. To na jej plaży chodziliśmy, żeby popływać. Zamknąłem *oczy*, by usłyszeć echo naszego śmiechu. ' Od tamtych chwil upłynęło trochę czasu.

Za mną rozciągało się „święte miasto” ze swymi wieżami odcinającymi się od nocnego nieba. Przede mną natomiast rozłożył się mój cień. Rzucony na dach, szarpał nogawki spodni, błagając, żebym się odwrócił, i ściągając mnie w dół. Metalowe balustradki, jak ta, przy której stałem, projektował zgodnie z ówczesną modą, jakieś pięćdziesiąt lat temu, sławny miejscowy architekt, Philip Simmons. Teraz, w latach dziewięćdziesiątych, jego prace były już w Charlestonie rzadkością. Lecz znowu stały się modne. A ta wieżyczka, rodzaj bocianiego gniazda, gdzie można się było schować przed burzą, trafiła mi się wraz z domem. W czasie trzynastu lat, które tu przeżyłem, te dziewięć kwadratowych stóp było miejscem, z którego oglądałem w nocy świat. Moja samotnia i miejsce ucieczek zarazem.

W kieszeni wibrował telefon. Spojrzawszy na wyświetlacz, rozpoznałem numer z Teksasu.

— Słucham?

— Doss Michaels?

— Przy telefonie.

— Mówi Anita Becker, asystentka doktora Paula Virtha.

— Tak. — Czuję, że brak mi tchu. Tak wiele zależało od jej następnych słów.

Przez chwilę nie odpowiadała.

— Zadzwoiłam, żeby powiedzieć... — wiedziałem, zanim padły słowa — ...że spotkała się rada nadzorcza i określono zakres badań. Jak na razie bierzemy pod uwagę tylko przypadki podstawowe. Nie przerzuty. — Wiatr zmienił się i określił skrzypiącym wiatrowskazem. Kogut wskazywał teraz na południe. — W przyszłym roku, jeśli badania będą przebiegały tak, jak sądzimy, zamierzamy poszerzyć je o badania nad nowotworami przerzutowymi... — jej głos odpłynął. A może to ja odpłynąłem. — Wysyłamy list, w którym zalecamy, by Abbie się skontaktowała z doktorem Plistem i doktorem Macklesem ze Sloan— Kettering...

— Dziękuję... bardzo. — Wyłączyłem telefon.

Rzecz w tym, że słowa zdrowaśki wiszą w powietrzu tak długo, aż spadną wraz z ostatnim tchnieniem. Dlatego właśnie wzywa się Boga.

A w ogóle to nie do przyjęcia... To niemożliwe...

Telefon zadzwonił znowu, ale nie zwracałem na niego uwagi. Mijały minuty, jednak on nie przestawał dzwonić. Spojrzałem na wyświetlacz: „Doktor Ruddy”.

— Cześć, Ruddy.

— Witaj, Doss — odezwał się jego cichy głos. Przygaszony. Potrafiłem go sobie wyobrazić, jak pochyła się nad biurkiem, wspierając głowę na dłoni. Usłyszałem skrzypienie jego krzesła.

— Mam tutaj wyniki analiz. Gdybyście we dwoje usiedli przy głośniku, moglibyśmy je przegadać.

Jego głos powiedział mi wszystko.

— Ruddy, ona usnęła. Wreszcie. Wczoraj też spała. Może podasz je po prostu mnie.

Zrozumiał, co chciałem mu powiedzieć. Był naszym prowadzącym lekarzem od samego początku.

— Jasne. — Zamilkł na chwilę. — Hm, są... — zakrztusił się. — Doss... tak mi przykro.

Przez chwilę wsłuchiwaaliśmy się w swoje oddechy.

— Jak długo?

— Tydzień, może dwa. Dłużej, jeśli utrzymasz ją w pozycji horyzontalnej... i nieruchomo.

Spróbowałem się roześmiać.

— Wiesz przecież, że to się nie uda.

Zaczerpnął powietrza.

— No tak.

Wsunąłem telefon do kieszeni i podrapałem się po moim dwudniowym zarostcie. Spoglądałem na wodę, ale myślami byłem kilkaset mil stąd.

Z pustymi rękami i płucami wypełnionymi powietrzem tylko w połowie wróciłem do pracowni, wchodząc do niej przez okno. Przesunąłem palcami po drewnianej listwie biegnącej wzdłuż ściany, po czym zszedłem piętro niżej. Schody były wąskie, zrobione z sosnowych desek. Każdy stopień o szerokości dwunastu cali. Liczyły już sobie prawie dwieście lat i skrzypiały głośno, przywołując historie o pijanych piratach, którzy niegdyś się na nich zataczali.

Podniosła powieki, choć wątpię, by to hałas ją obudził. Wojownicy nie zasypiają pomiędzy kolejnymi rundami. Przez otwarte okno wpadł podmuch wiatru, odświeżył nasz pokój, a na jej łydkach pojawiła się gęsia skóra.

Na schodach dały się słyszeć jakieś kroki, przeszedłem więc pokój i zamknąłem drzwi do sypialni. Po chwili wróciłem i usiadłem przy niej. Przykryłem wełnianym kocem jej nogi.

— Jak długo spałam? — wyszeptała.

Wzruszyłem ramionami.

— Od wczoraj?

— Prawie.

Lekarstwa pomagały uśmierzyć ból, ale nie mogliśmy powstrzymać osłabienia. Godzinami leżała nieruchomo, prowadząc wewnętrzną batalię, w której uczestniczyłem jako bezradny obserwator. Potem, z jakiegoś powodu, którego żadne z nas nie potrafiło wyjaśnić, doświadczała — czasami trwało to moment, czasami nawet kilka dni — całkowitej jasności umysłu, ból ustępował, a ona była taka jak niegdyś.

I znowu, prawie bez ostrzeżenia, cierpienie wracało, a jej udręka zaczynała się od nowa. W takich chwilach uczymy się rozumieć różnicę między zmęczeniem a wycieńczeniem. Sen łagodzi zmęczenie, ale wycieńczenie trwa.

Odetchnęła głęboko, w powietrzu wciąż się unosił delikatny zapach jego wody po goleniu. Uchyliłem okno.

— Był tutaj? — spytała, podnosząc brwi.

Spoglądałem na wodę. — Tak.

— Jak poszło?

— Właściwie jak zwykle.

— To chyba dobrze, co? O co chodziło tym razem?

— Chce — uniosłem dłonie, by palcami wykonać w powietrzu znak cudzysłowu — cię przenieść.

— Gdzie? — podciągnęła się do pozycji siedzącej.

Kolejny cudzysłów.

— Do domu.

Potrząsnęła głową, wydechając powietrze, które wypełniło jej policzki.

— Jemu wydaje się, że to raz jeszcze dotyczy mojej matki. ^v Wzruszyłem ramionami.

— Wyszedłeś?

— Nie, to on wyszedł.

— I?

— Przyśle rano ludzi, którzy mają... „**cię zabrać**”.

— Jakbym była workiem na śmieci.

Wskazała telefon.

— Podaj mi, proszę. Mam w nosie to, że siedzi koło prezydenta.

— Kochanie, nie pozwolę mu cię nigdzie zabrać. — Strzepnąłem plamkę farby z parapetu.

Przysłuchiwała się krokom na dole.

— Zmiana?

Przytaknąłem, przyglądając się barce płynącej powoli rzeką Ashley.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że z nimi też rozmawiał.

— Oczywiście, że tak. Naprawdę zaś wszystkich uspokoił. W zasadzie przywołał ich do porządku. Uwielbiam sposób, w jaki daje ci to, co on chce, żebyś miała, pod pozorem że jest to w twoim najlepiej pojętym interesie. — Potrząsnąłem głową. — Taka niewielka manipulacja.

Oparła się o mnie nogą, używając jej jako dźwigni, żeby się przesunąć w górę, tak by jej oczy znalazły się na wysokości moich. Kiedyś zgrabne uda, teraz już tylko kościste kolana, cienkie żyły i patykowate golenie. Na lewym biodrze, niegdyś zmysłowym pagórku, sterczała koszula nocna, opadająca luźno. Po czterech latach choroby skóra była prawie przezroczysta, niczym sprane, spłowiałe płótno, które wisiało na obojczykach jak na sznurze od bielizny.

Szuranie na dole przeniosło się do kuchni. Popatrzyła na podłogę.

— To dobrzy ludzie — powiedziała. — Robią to każdego dnia. My musimy zrobić to tylko raz.

— I raz wystarczy.

Nasze łóżko było jednym z tych starych wspartych na czterech kolumnach. Stanowiło jedną z rzeczy, na punkcie których kobiety z Południa mają fioła. Z ciemnego mahoni, cztery stopy ponad podłogą, ze schodkami po obu stronach, żeby ułatwić wejście. Ale, jeśli spadłeś w nocy, mogłeś liczyć tylko na pomoc Boga. Miało wszakże dwie zalety: ona w nim zasypiała, a jeśli ja położyłem się obok, linia wzroku była ponad parapetem, tak że widziałem charlestoński port.

Spoglądała przez okno, gdzie świat rozwijał się niczym mapa, zapalały się czerwone i zielone światła nad kanałem. Właśnie zapaliło się czerwone. Jej palce trafiły na moją rękę.

— Jak wygląda?

Poluzowałem chustkę, pozwalając jej opaść na ramiona.

— Piękna.

Przetoczyła się do mnie, oparła głowę na moim ramieniu i wsunęła palce między guziki, bawiać się włosami na piersi. Potrząsnęła głową.

— Trzeba sprawdzić — powiedziała — co jest z twoją głową.

— To zabawne. Twój ojciec powiedział mi dokładnie to samo. Spoglądaliśmy na wodę, głaszcząc ją po szyi. Jakiś kuter wypływał na połów krewetek. — A właściwie powtarza ci to od prawie czternastu lat.

— Może powinnam go posłuchać.

Światła na bomie kutra przesuwwały się powoli na zachód. Gdy dotarł do obszaru większych fał, wydawało się, że tnie ich powierzchnię.

Jej oczy były ciemne i zapadnięte, jakby obwiedzione cieniem do powiek.

— Obiecuj mi coś.

– Już to zrobiłem.

— Mówię poważnie.

— Dobrze, pod warunkiem że nie będzie to dotyczyło twojego ojca.

Połączyła kciuk z palcem wskazującym i skubnęła jeden z włosów na mojej klatce piersiowej.

— Hej — pomasowałem skórę w tym miejscu. — Nie mam ich znowu aż tak wiele.

Jej palce, podobnie jak jej nogi, były długie. A teraz, gdy stały się takie chude, wyglądały na jeszcze dłuższe. Wycelowała palcem w moją twarz.

— Skończyłeś? — Zatoczyła palcem kółko w wycięciu mojej koszuli. — Bo już nie widzę żadnego.

To cała moja Abbie. Schudła piętnaście kilo, ale wciąż trzymały jej się żarty. I to coś. Palec, wymierzony we mnie, który podkreślał jej siłę, poczucie humoru i który mówił: „Kocham cię bardziej niż siebie”.

Podrapała mnie po piersi i ruchem głowy wskazała na zdjęcie swego ojca.

— Jak myślisz, czy kiedyś będziecie umieli ze sobą rozmawiać? — Przyjrzałem się jego fotce. Dostaliśmy ją zeszłej Wielkanocy, kiedy chrzczył swoje nowe „maleństwo”, *Reel Estate*. Stał, trzymając rozbitą butelkę za

szyjkę, szampan zalał niemal cały dziób, a jego siwe włosy targała morska bryza.

W takich chwilach lubiłem go i czasami myślałem, że i on potrafiłby polubić mnie.

Przyjrzałem się uważnie jego zdjęciu stojącemu na komodzie.

— O, jestem pewien, że będzie mówił.

— Hm... Jesteście bardziej podobni, niż ci się wydaje.

— Proszę...

— Mówię poważnie.

Miała rację.

— Wciąż mnie wkurza — odparłem.

— Mnie też, ale ostatecznie to wciąż mój tata.

Leżeliśmy w ciemnościach, przysłuchując się dochodzącym z dołu krokom tych obcych ludzi pełnych dobrych intencji, a jednak niemile widzianych.

— Można by pomyśleć — powiedziałem, spoglądając na podłogę — że mogliby wymyślić jakieś lepsze słowo niż „hospicjum”.

Zrobiła śmieszny grymas.

– Na przykład?

— To brzmi tak jakoś... — nie potrafiłem skończyć. Przez chwilę pozostawaliśmy więc w milczeniu.

— Czy Ruddy dzwonił? — przerwała ciszę.

Skinąłem głową.

— Wszystkie trzy?

Jeszcze raz skinąłem.

— Nic lepiej?

Potrząsnąłem przecząco.

— A co z tym facetem z Harvardu?

— Rozmawialiśmy wczoraj. Testy zaczną się dopiero za kilka miesięcy.

— Sloan-Kettering?

Znowu potrząsnąłem głową.

— Coś na stronie internetowej?

Dwa lata temu stworzyliśmy stronę dla chorych będących w podobnej sytuacji jak Abbie. Stała się bankiem informacji. Bardzo z niej skorzystaliśmy. Poznaliśmy ludzi, którzy doprowadzili nas do tych, którzy naprawdę już dużo wiedzieli. Świetne źródło.

— Nic.

— To do chrzanu.

— Wyjęłaś mi to z ust.

Znowu zapanowała cisza, podczas której przyglądała się swemu paznokciowi bez śladu lakieru. Wreszcie popatrzyła na mnie.

— Oregon?

Na Oregon Health & Science University, w skrócie OHSU, pracowano nad nową terapią biorącą na cel komórki rakowe. Prawdziwa linia frontu. Byliśmy z nimi w kontakcie od paru miesięcy, licząc, że pozwolą nam wziąć udział w próbach klinicznych. Wczoraj ustalili zakres swoich badań. I ponieważ Abbie usunęła organ, w którym rak rozwinął się pierwotnie, nie kwalifikowała się, by wziąć w nich udział. Potrząsnąłem głową.

— Nie mogą zrobić wyjątku?

Potwierdziłem.

— Pytałeś?

To zabrało tak wiele. A ja mogłem tylko siedzieć i patrzeć. Podczas gdy trzymałem ją za rękę, karmiłem zupą, kąpałem lub czesałem włosy, *to* coś nie ustawało. Odporne było na wszystko.

Tak bardzo chciałem, żeby zniknęło. Chciałem to zabić. Posiekać na tysiąc kawałków, wetrzeć w ziemię, zemleć, by nawet zapach nie pozostał na tej planecie. Niestety, nie znalazło się tu dlatego, że było głupie. Nigdy nie pokazywało twarzy, a to, czego się nie widzi, przecież trudno zabić.

— Tak.

— A doktor Anderson w Houston?

Nie odpowiedziałem, spytała więc jeszcze raz. Udało mi się tylko wyszeptać:

— Dzwonili... za jakieś dwa, może trzy tygodnie podejmą decyzję. Ta ich, no... — pstryknąłem palcami — rada nadzorcza nie mogła się z jakiegoś powodu odbyć. Ktoś z lekarzy był na wakacjach... — bezradnie pokiwałem głową, patrząc gdzieś daleko.

— Kolejna sytuacja w zawieszeniu — skrzywiła się. Przytaknąłem. Na stoliku przy łóżku leżała pojedyncza kartka. Zapisano ją odręcznym pismem. Pod kartką zauważyłem czystą kopertę. Srebrny parker spełniał rolę przycisku do papieru.

Zapatrzona gdzieś ponad port przez dłuższy czas leżała cicho.

— Kiedy spałeś po raz ostatni?— spytała. Wzruszyłem ramionami. Podciągnęła się wyżej, wtulając w moją pierś.

Kiedy otworzyłem oczy, była trzecia nad ranem. Jej szept przerwał ciszę.

— Doss? — Koszula nocna zsunęła się z jednego ramienia. Kolejne przypomnienie o czymś, co zostało ukradzione. — Zastanawiałam się.

Po kocich łbach pod oknami przeszedł koń ciągnący wóz.

Nie jestem mściwym człowiekiem. Niełatwo wpadam w gniew i większość ludzi nazwałaby mnie opanowanym. Cierpliwości mam w nadmiarze. Jeśli masz astmę, rozumiesz dlaczego. Może dlatego tak wielu ludzi chce, bym ich zabierał na ryby.

Wpatrywała się w artykuł z gazety, spłowiały od słońca, oprawiony, wiszący na ścianie.

To było sześć miesięcy temu. Charlestońska gazeta drukowała jakieś wzruszające opowieści o przedstawicielach miejscowego establishmentu i ich noworocznych postanowieniach. Uważali, że to natchnie resztę z nas. Zadzwonili wtedy i zapytali Abbie, czy zechce z nimi porozmawiać.

Reporter przyszedł do domu. Usiedliśmy na werandzie, przyglądając się odpływowi. Z długopisem w ręce czekał na jej zwierzenia. Słowa zaskoczyły go. Oparł się wygodnie, przyglądał się temu, co zapisał. Wreszcie powiedział: — Ale...?

Wyprostowała się i pochyliła ku niemu.

— Czy widział pan kiedyś, jak się zaczynają „Jetsonowie”, wie pan, ta kreskówka?

— Jasne — wyglądał na zaskoczonego.

— Pamięta pan, jak George i Astro wskakują w kierat?

Przytaknął.

— To my przez ostatnie cztery lata. — Klepnęła dłonią w jego notatnik. — A moje najlepsze postanowienie to zerwać tę smycz.

Wzruszył ramionami.

— Ale tam nie ma nic...

— Nadzwyczajnego? — skończyła za niego. — Wiem. Prawdę mówiąc, wszystko, czego pragnę, jest jak najbardziej normalne. I o to właśnie chodzi. Pamiętam, co to jest normalne życie. — Spojrzała na mnie. — Ostatnie parę lat spowodowało, że nie marzę o żadnej nadzwyczajności. — Ośloniła oczy okularami przeciwsłonecznymi. — Jeśli spędza pan większość czasu, walcząc, by utrzymać głowę ponad powierzchnią wody, zaczyna pan rozumieć, co tak naprawdę jest ważne. Ta lista jest moim sposobem na walkę o powrót do normalności. To wszystko. Nie ma na niej pragnienia zdobycia Mount Everestu, wyścigu byków w Pampelunie ani lotu dookoła świata balonem.

Zakryła twarz rękoma, między palcami widać było spływające łzy.

— Chciałabym... — złapała moją dłoń — ...siedzieć na plaży w wieczornej bryzie, popijając drinka udekorowanego papierową parasolką i rozważać, w jakim kolorze zaprojektować komuś kuchnię.

Zastanawiała się przez chwilę.

— Chociaż chciałabym też zrobić beczkę w starym samolocie.

Wyglądał na speszzonego. Zatoczyła dłonią w powietrzu.

— No wie pan... beczkę. Taką figurę akrobatyczną.

— Czy mogę to dodać do pani listy?

— Tak — odpowiedziałem za nią.

Wydrukował listę dokładnie tak, jak mu podyktowała. Nie nazwała tego postanowieniami, tylko: „Dziesięcioma najważniejszymi życzeniami” na nadchodzący rok. Coś z tego, co powiedziała, trafiło do czytelników. Może prostota, odwaga w powiedzeniu wszystkiego tak uczciwie. Nie jestem do końca pewien. Od pięciu miesięcy dostawała jednak listy, wiele osób

zaglądało także na naszą stronę internetową. Chcąc przypomnieć jej, czego sobie kiedyś życzyła i czego pragnęła, oparłem ten artykuł i powiesiłem koło łóżka. Jedyne problem polegał na tym, że po wszystkim, co przeszliśmy w pierwszej połowie roku, nie odhaczyliśmy ani jednego punktu.

— Podaj mi — pokazała na wycinek. Wytarła kurz rękawem koszuli, odgięła metalowe klapki z tyłu i wyciągnęła gazetę spod szkła. Trochę podśpiewując, trochę się uśmiechając, przeczytała tekst raz jeszcze. Potrząsnęła głową.

— To — powiedziała twardo — nadal są moje życzenia.

— Moje też.

Położyła się.

— Chcę — wyszeptała cicho — dać ci twój urodzinowy prezent.

— Pięć miesięcy przed czasem?

— Dziwię się, że pamiętasz tę datę — odparła.

— Nic nie chcę.

— To będziesz chciał.

— Nic mi nie potrzeba — powiedziałem stanowczo.

— Tak ci się tylko wydaje.

— Kochanie...

— Doss Michaels — przyciągnęła mnie bliżej. — Nie zamierzam zrobić tego tutaj. Nie tak. — Odsunęła mi włosy z czoła. Zrobiła pocieszoną minę. — Nie zrobię tego.

Widzicie? I kto znów miał rację? Podczas piętnastu prawie lat, od kiedy ją znam, u Abbie pojawiła się i umocniła pewna cecha charakteru, której nie potrafiłem do końca nazwać. Określenie jej miałem na końcu języka, ale

żadne słowo nie oddawało dokładnie istoty. Wszystko wydawało się chybione. Ale choć nienazwana, miała swoją moc.

— Ale... — zaprotestowałem.

— Nie tutaj.

W takich chwilach nie warto było nawet z nią dyskutować. Nie miało to związku z chorobą. I chociaż kłóciła się ze mną o to, była to cecha jej ojca. Akceptowała tylko jedną odpowiedź: „Tak, proszę pani”. Dziwne, jak trzy słowa mogą cię całkiem zmienić. Położyłem artykuł na łóżku.

— Wybierz jedno z nich.

Wskazała, nie patrząc.

— Daleko od Moniac.

Punkt dziesiąty. Najbardziej niemożliwy do zrealizowania. Zdziwiłem się mocno.

— Zdajesz sobie sprawę, że za dwa dni mamy pierwszy dzień czerwca?

Skinęła głową.

— I że tego dnia zaczyna się oficjalny okres sztormów?

Kolejne skinięcie.

— I że o tej porze roku wylęgają się ogromne komary?

— O tym też wiesz?

Zamknęła oczy i skinęła głową po raz trzeci, uśmiechając się przy tym filuternie.

Pokazałem ręką w stronę domu jej rodziców oddalonego o kilka przecznic.

— A co z nim?

Wskazała na zapisaną kartkę leżącą na stoliku koło łóżka.

— Kiedy ją dostanie, wezwie straż graniczną.

— Może nie. — Usiadła teraz bardziej skupiona. — Możesz porozmawiać z Garym. On może coś przepisać. Coś na... — przycisnęła palec do moich ust. — Hej. — Próbowała zajrzeć mi w oczy. Kontury zamazywały się, wiedziałem, że to jeszcze zwiększa ciężar, jaki musiała dźwigać. Odwróciłem się.

— Czy kiedykolwiek złamałeś złożoną mi obietnicę?

— Nie przypominam sobie. — Złożyła artykuł i wsunęła go do kieszeni mojej koszuli.

— Więc nie zaczynaj teraz.

To na pewno nie było mi w smak, ale alternatywa też była nie do przyjęcia.

— Abbie, rzeka nie jest miejscem na...

— Tam wszystko się dla nas zaczęło.

— Wiem.

— Więc Zabierz mnie na nią z powrotem.

— Kochanie, w tamtym miejscu stoi tylko parę chat. To nie będzie to samo.

— Pozwól, że ja to osądzę. — Spojrzała przez okno na południe.

Spróbowałem ostatni raz.

— Wiesz, co powiedział Gary.

Skinęła głową.

— Doss, ja wiem, o co cię proszę. — Dotknęła mojej klatki piersiowej. — Mówią, że dotarliśmy do kresu. — Potrząsnęła

głową i przywarła ustami do mojej twarzy. — Więc, zacznijmy jeszcze raz. I tak zrobiliśmy.

ROZDZIAŁ 2

30 MAJA, DRUGA NAD RANEM

Deszcz bombardował przednią szybę. Co kilka sekund kula gradowa wielkości piłki golfowej trafiała w maskę, wywołując huk niczym odpalona petarda. Pochyliłem się do przodu i przetarłem szybę wierzchem dłoni w rękawiczce, ale dało to podobny efekt, a raczej jego brak, jak praca wycieraczek. Dziewięćdziesiąt mil wcześniej ciężarówka z naczepą, ciągnąca jakieś urządzenie hydrauliczne, minęła nas z lewej strony, zalewając przód jeepa płynem hamulcowym i zasypując go iskrami. Tłustowodna maź zamazywała więc teraz światła, tak że widziałem świat w barwach coca—coli. Okolice cierpiały na suszę. Warstwa wodonośna obniżyła się i ludzie na południe od Georgii aż do północnej Florydy zostali objęci ograniczeniem spożycia wody. Niewiele obszarów ucierpiało bardziej niż te położone nad rzeką, której poziom obniżył się od ośmiu do dziesięciu stóp w stosunku do normalnego, i choć potop, jaki wreszcie nadszedł, był bardzo potrzebny, jeszcze do niej nie dotarł.

W 1950, zanim Stany Zjednoczone zostały przecięte cudownie precyzyjnymi, sześciopasmowymi, wydajnymi i dającymi wolność międzystanowymi autostradami, ich mniejsi, nie tak wydajni dwupasmowi bracia grzecznie biegli przez ciasteczka Ameryki i błakali się wokół nich — starając się nie zniszczyć równowagi orzechów pekanowych, dębów oraz farm kurzych prowadzonych tam od czterech pokoleń. Owi *mniejsi bracia*, usłani budynkami z betonu, rodzinnymi motelami, stacjami benzynowymi, gdzie można było zjeść i zrobić zakupy, czy licznymi barami to w istocie trakty, które znał każdy domokrażca albo rodzina wybierająca się na wakacje jak Ameryka długa i szeroka. Krótko mówiąc: taka droga 66. — najbardziej znany z nich — wijąc się między budkami z sokiem pomarańczowym,

sklepami ze starzyzną, farmami aligatorów, sklepami z pamiątkami z poszczególnych stanów, reprezentowała Amerykę w pełnej chwale.

Próbując nie zasnąć, włączyłem radio. Reporter był właśnie w połowie raportu o pogodzie, słyszałem, jak deszcz szumi w mikrofonie. Starał się przekrzyczeć ryk wiatru: „Cztery tygodnie temu tropikalny niż baryczny przesunął się nad południową częścią zachodniej Afryki. Kolejne siedem dni zajęło mu pokonanie wybrzeża Afryki i Atlantyku. Zdjęcia satelitarne z 20 maja pokazały zorganizowany układ chmur nad południowo— wschodnią częścią Morza Karaibskiego. A 23 maja cyklon Anna, pierwszy tropikalny sztorm w tym roku, przybrał na sile i ruszył w kierunku północnym. W dniu dzisiejszym o godzinie szóstej rano Anna stała się huraganem". Wyłączyłem radio, gapiąc się przez przednią szybę. My, piloci statków rzecznych, jak można się domyślić, staliśmy się tajemnymi specami od pogody. Musieliśmy. Taka była natura naszej pracy. Znowu przetarłem szybę. Teraz po obu stronach drogi wznosiły się wysokie sosny. Ale lejący się z nieba deszcz nie miał nic wspólnego z Anną, która, biorąc pod uwagę lokalizację, powinna zakończyć swój marsz na długo, zanim dotrze do Florydy.

Na południe od Waycross w Georgii w stronę granicy z Florydą rozciąga się 700 mil kwadratowych torfowiska, które tkwi wewnątrz depresji o kształcie spodka niczym jajko na miękko w kieliszku. Co ciekawe, depresja ta była kiedyś najprawdopodobniej dnem oceanu. Kiedy rośliny umierają, pochłania je bagno, gdzie się rozkładają. W wyniku tego procesu wytwarza się zarówno metan, jak i dwutlenek węgla, zamieniając się w torf. A ponieważ to proces powolny, powstanie kolejnego cala torfu trwa jakieś pięćdziesiąt lat. Gruby kożuch zatrzymuje gaz, w wyniku czego rośnie ciśnienie, które wypycha na powierzchnię wyspy — niczym korki pływające po powierzchni. Wypchnięcie ich na zewnątrz uwalnia gaz, który świeci jak podwodna zorza polarna. W latach dziewięćdziesiątych odwiedzający te okolice ludzie twierdzili, że widzieli UFO. Organizowano nawet wycieczki i sprzedawano bilety, do czasu kiedy nie pojawili się naukowcy i nie wyjaśnili tego, co się naprawdę dzieje. Od chwili powstania masy torfu były niestabilne, niekiedy poruszały się — jakby talerze pełne ziemi, ale nieco wilgotnej — dlatego też

Indianie Choctaw nazywali to miejsce „Trzęsąca się Ziemia”. Po angielsku brzmiało to mniej więcej: „Oke— fen— o— kee”.

Ziemia ta, sądząc po powierzchni, wydaje się pierwotna i nietknięta. Właściwie niezamieszкана. Z praktycznych powodów — służyła jako dren dla południowo— wschodniej Georgii i północno— wschodniej Florydy. Dren jest tutaj kluczowym słowem. Jak każdy dren może bowiem odsączyć w danym czasie tylko określoną ilość wody. Kiedy więc bagno przepełnia się, zalewa dwa miejsca. To trochę jak Nowy Orlean, ale tylko z dwoma przerwami w grobli i poza tym dużo mniej niż tam morderstw, hazardu i prostytucji. Większa struga, zwana Suwannee River, płynie meandrami jakieś 200 mil przez Florydę i kończy swój bieg w Zatoce Meksykańskiej. Jej mniejsza siostra pokonuje 130 mil i nazywa się St. Mary. Najpierw wije się na południu w okolicach Baldwin, potem wznosi się ku St. George i dalej, płynąc na północ, ku Folkston, następnie skręca ostro w prawo, na wschód, aż w końcu rozlewa się w Cumberland Sound i tak wpływa do Oceanu Atlantyckiego.

Ponieważ St. Mary ma herbaciany kolor, mówi się też o niej „czarna rzeka”. Dwieście lat temu odważni żeglarze wpływali na wody Cumberland Sound i dalej, jakieś pięćdziesiąt mil w górę rzeki do Traders Hill, żeby napełnić swoje beczułki tą właśnie wodą, ponieważ kwas garbnikowy, w jaki obfituje, powodował, że była zdatna do picia przez długi okres — na czas podróży oceanem.

Podczas suszy rzeka St. Mary potrafiła mieć zaledwie kilka cali głębokości i parę stóp szerokości. A w okolicach Mo— niac stawała się wręcz strużką. Ale gdy padały ciągłe deszcze — soki żywotne dla bagna — rzeka przelewała się przez wały, przynajmniej bliżej oceanu — i rozlewała na szerokość mili, z „dziurami” na trzydzieści czy czterdzieści stóp. Zazwyczaj wtedy rwała pół mili na godzinę, ale podczas powodzi prędkość dochodziła i do sześciu lub ośmiu, a bywało, że nawet dziesięciu mil.

Zalewanie może być bardzo zdradliwe. Kiedy woda wylewa, niespodzianie jej poziom się podnosi. A ponieważ deszcz spływa z różnych

miejsce, woda podnosi się także pod twoimi stopami. Bez uprzedzenia. Ty śpisz sobie, świeci jasny księżyc, ani chmurki na niebie, zaś brzeg rzeki dobre dziesięć metrów od twojego namiotu. Sześć godzin później budzisz się w przemokniętym śpiworze, a twój namiot jest na trzy cale w wodzie. Powódź więc to nie deszcz, co pada wokół ciebie. Powódź to coś, co podnosi się spod ciebie. Pojawia się znikąd.

Ludzie, którzy żyją w pobliżu rzeki, zadają zazwyczaj dwa pytania, zanim wybudują dom: dokąd sięgał teren zalewowy przez ostatnie sto lat i jak wybudować dom, żeby sięgał dachem ponad wodę. Biorąc to wszystko pod uwagę, żadna rozsądna firma ubezpieczeniowa nie ubezpieczyłaby domów w niecce, w której położone było St. Marys, gdzie większość budynków została zbudowana na palach. Nawet kościoły. Mimo to brzeg był gęsto zaludniony, a między domami znajdowały się obozowiska rybackie, kąpieliska, przystanie jachtowe, bary z whisky, baseny z borowiną, a nawet dobrze ukryta kolonia nudystów. Życie wrzało jak w zawsze aktywnym mrowisku. Choć od górnych dopływów aż po ocean jest to jeden z ostatnich dziewiczych i niezmiennych ręką ludzką krajobrazów na Południu.

Deszcz zmusił mnie do takiego zredukowania prędkości, że wrzuciłem bieg jałowy. Po chwili zaś auto stanęło. Abbie drzemała z tyłu. Co kilka minut mruczała coś niezrozumiałego.

Najgorsze są terapie. Ociosują cię, obdzierają ze wszystkiego i pozostawiają z przelotnymi wspomnieniami. Próbowała tak mocno i tak długo się trzymać, ale jak woda wyciekały jej między palcami nawet i one.

Przezołgałem się na tył jeepa i położyłem koło Abbie. Wtuliła się we mnie. Wyciągnąłem z kieszeni spodni plastikową koszulkę, w której znajdował się poźółkły i pomięty artykuł z gazety. Parę lat temu nauczyłem się używać wszystkiego, co tylko się dało, żeby podtrzymać jej nadzieję — odrywać jej myśli od terażniejszości. Gdy koncentrowała się na tym, co było tu i teraz, gasła w oczach, osuwała się błyskawicznie w przepaść.

Otworzyła oczy na dość długo, żeby rozpoznać, co jej pokazuje. Uśmiechnęła się i skinęła głową — co oznaczało, że weźmie udział w tej grze. „Chciałabym...”. Szept był zachrypnięty, jakby nadchodził z oddali. To skutek lekarstw. Jej próg wytrzymałości na ból był raczej wysoki. Miała dużo wprawy. Widziałem po jej **twarzy**, że stara się z nim sobie radzić, najlepiej jak potrafi.

Abbie zawsze cierpiała na migreny. Była introwertyczką, więc napięcie gdzieś musiało znaleźć ujście. Może miało to jakiś związek z jej ojcem. Szybko dochodziło między *nimi* do śpięć, gorzej było z przeprosinami. Zanim ją poznałem, stosowała różne lekarstwa. Uciekała się też do jogi, akupunktury, chodziła na masaże. Ale bez rezultatu.

Kiedy byliśmy sami, kładła mój wskazujący palec tuż nad swoim uchem. W ten sposób mówiła: „Podążaj za mną”. Moje palce wędrowały więc od skroni, przez uszy i kark, obojczyk, pierś, ramiona, nadgarstki, palce, wzgórza bioder, z których spadały na uda, potem na mały węzeł kolana, zagięcie łydki, aż zatrzymywały się na sklepieniu stopy. Często podczas tej mojej wędrówki po jej ciele usypiała, a kiedy się budziła, migrena zwykle mijała.

Zaszeleściłem artykułem wyjętym z kieszeni i powoli zacząłem po niej wędrować palcem.

— Pierwsze?

Przełknęła ślinę.

— Zakręcić się na staroświeckiej **karuzeli**.

Lekko ją szturchnąłem.

— Drugie.

Odczytywała listę z pamięci.

— Zrobić pętlę na starym samolocie. Takie „hop— la”.

Pragnienia nie były ułożone w żadnym szczególnym porządku, zostały zapisane przez dziennikarza tak, jak je z siebie wyrzucała. Punkt po punkcie. Kiedy coś było dla niego niezrozumiałe, zadawał dodatkowe pytania, a ona mu wyjaśniała. By utrzymać prostotę listy, wydrukował ją w postaci, w jakiej ją sformułowała. Dokładnie. Wyjaśnienia zostały zaś wzięte w jego artykule w nawias.

— Uwielbiam, jak mówisz „hop— la”. Powtórz, powiedz to raz jeszcze.

Oblizwała wargi. Jej język był biały niczym wata. Słowa ^skoczyły jak sprężynka.

— Mów dalej.

— Pić wino na plaży.

— Nie dotarliśmy jeszcze nawet do połowy.

Oparła głowę na mojej piersi, oddychając głęboko.

— Czwarte? — prowokowałem ją.

Milczała przez chwilę.

— Zapomniałam.

Dobrze było wiedzieć, że nie straciła poczucia humoru.

— Bardzo w to wątpię.

Uniosła jedną brew.

— Pływać na golasa.

— A piąte?

Na jej skroni pojawiła się błękitna, tętniąca żyłka. Co oznaczało, że zaczyna ją boleć głowa. Przycisnęła dłoń do czoła.

— Skala od jeden do dziesięciu?

— Tak.

To oznaczało prawie dziesięć.

Odpiąłem oba zatrzaski apteczki i zacząłem szukać w środku. Rzeczni przewodnicy używają specjalnych wodoszczelnych pudeł, które w razie czego nie zatoną. Duża szansa, że jeśli załadujesz do nich porcelanę matki i potem zrzucisz pudło w wodospad Niagara, kiedy wyłowisz je z dna, będziesz mógł spokojnie zjeść na talerzach obiad. Znalazłem to, czego szukałem, oderwałem kapturek ze strzykawki, wypchnąłem powietrze i wbiłem igłę w jej ramię, wstrzykując deksametazon. Nawet nie pisnęła. Po czterech latach robi— lepiej zastrzyki niż większość pielęgniarek, z którymi mieliśmy do czynienia.

Mijały minuty. Wreszcie odezwała się:

— Pływać z delfinami.

Mów dalej.

— Pobujać się na linie nad rzeką.

— Siedem — wyrecytowałem szybko.

— Pozować. — Parsknęła śmiechem.

— Osiem.

Odpowiedziała bez wahania:

— Zatańczyć z moim mężem.

— Zostały jeszcze dwa.

— Śmiać się aż do bólu.

— I? Ostatnie, lecz wcale nie najmniej ważne. — Zabębniłem palcami, *czemu towarzyszyło mlaśnięcie językiem.*

— Przeplłynąć rzekę... całą drogę od Moniac.

Zdjęła mi z głowy kapelusz. Był filcowy. Nazywany banjo od australijskiego poety Andrew Barona „Banjo” Pattersona. *Made in Australia* przez firmę Akubra. Cztery i pół cala góra oraz dodatkowe dwa i trzy czwarte cala rondo. Kupiłem go osiem lat temu, ponieważ wyglądałem w nim jak Indiana Jones. Teraz wypłowił, jego brzeg wznosił się i opadał niczym kolejka górską, a w miejscu gdzie wciskałem denko, zrobiła się dziura. Choć chciałem wyglądać jak pełen fantazji bohater, przypominałem raczej Jeda Clampetta, bohatera popularnego serialu.

— Chyba nie zamierzasz tutaj nosić tego śmiesznego kapelusza?

— Przez pięć lat — odparłem twierdząco — moja głowa dopasowywała się do niego.

— I pasuje jak ulał. — Roześmiała się.

Problem z listą marzeń polega na tym, że dokładnie ci mówi, kim jest osoba, która ją sporządza. Jeśli jesteś uczciwy, taka lista obnaża cię całkowicie.

Z kapeluszem jest podobnie.

ROZDZIAŁ 3

Większość mówiła, że to małżeństwo doskonałe. Poza zazdrośnikami.

William Barclay Coleman urodził się z dobrą prezencją. Wysoki, przystojny, wygadany. Przyciągał uwagę i nawet ci, którzy mu zazdrościli, traktowali go jak E.F. Huttona, który był twórcą i właścicielem jednej z najbardziej szanowanych firm finansowych w Stanach Zjednoczonych. Krótko mówiąc: jego szlachetne urodzenie było bez skazy. Citadel, z Korpusem Kadetów, prawo na Harvardzie, wakacje w Europie. Ten dobrze zapowiadający się młody polityk, chętnie wchodzący na mównicę, był najmłodszym prawnikiem w historii legislatury Południowej Karoliny. A to był dopiero początek.

Ellen Victoria Shaw była zaś jak wyjęta z podręcznika dobrego wychowania. W piątym pokoleniu charlestonka, ukończyła Ashley Hall, a potem, gdy była na pierwszym roku Randolph Macon Womens College, aż ośmiu młodych mężczyzn zaoferowało jej swoje towarzystwo na bal przebierańców — coroczną zabawę na cześć Waszyngtona i generała Lee. Na trzecim roku podczas balu, którego tematem było Stare Południe, studenci zrzeszeni w Kappa Alpha, mimo szeptów zazdrości, wybrali ją na nieoficjalną królową balu.

Ukończyła dwa kierunki — romanistykę i historię sztuki — wróciła do domu i tam nastąpiło przypadkowe spotkanie na balu Hibernia Society.

On miał lat dwadzieścia pięć. Ona zaledwie dwadzieścia dwa. Narzeczeństwo trwało, zgodnie z obyczajem, dziewięć miesięcy, a potem odbył się ślub, który wstrząsnął większością charlestończyków, w nieskończoność plotkujących na jego temat. W ślubnym prezencie mąż ofiarował jej kabriolet Mercedes 450 SL coupe.

Po miesiącu miodowym spędzonym częściowo w austriackich Alpach, a zakończonym safari w Tanzanii i wspinaczką po łagodniejszej stronie Kilimandżaro, powrócili do rodzinnego domu w dzielnicy Battery w Charlestonie. Wtedy właśnie on zaczął przygotowywać się do kampanii na stanowisko gubernatora. Osiemnaście miesięcy później ona powiła mu córkę, Abigail Grace Eliot Coleman. I był to początek szóstego pokolenia. Podczas inauguracji i ślubowania nowego gubernatora w styczniu kolejnego roku Abigail Grace uśmiechała się do wszystkich spod czepeczka, zachwycona, że wszyscy się jej przyglądają. Już wtedy widać było, że jest dzieckiem niezwykłym.

Ale życie niesie niespodzianki.

Kiedy Abigail skończyła dwa latka, Ellen zachorowała. Siniaki i rany nie goiły się. Badania potwierdziły raka jajników. Wszystko poszło bardzo szybko. Owdowiały ojciec umieścił Abigail Grace w ramionach miss Olivii, samochód postawił w starym magazynie, ukrył swą żalobę i skoncentrował na wyznaczonym celu. Oddał się całkowicie służbie ludzkości i po dwóch kadencjach urzędowania jako gubernator wystartował w wyborach do senatu, w którym od owego czasu nieprzerwanie zasiadał.

Kiedy Abigail miała dziesięć lat, ożenił się powtórnie. Podobnie jak jej poprzedniczka, druga żona była charlestonką w każdym calu. Potrafiła prześledzić swoich przodków aż do pierwszych mieszkańców tego miasta i tych, którzy podpisali się pod Deklaracją Niepodległości Stanów Zjednoczonych. Poszukując odpowiedniej kandydatki, Bill Coleman dokonał czegoś niewyobrażalnego — znalazł kobietę, która potrafiła stąpać po kruchym lodzie. Miała na tyle silną osobowość, że nie przesłonił jej cień Ellen, a jednocześnie w niczym jej nie uwłaczała.

Kiedy Abbie jako osiemnastolatka ukończyła Ashley Hill, była jedyną córką senatora z Południowej Karoliny, wizytówką miejscowej elity. Wystarczyło na nią spojrzeć, by ocenić jej klasę, podczas gdy mnie można było przyglądać się bezskutecznie przez cały dzień. A nawet i tydzień. Gdy ja

potykałem się na każdej nierówności chodnika, przez nieuwagę wchodziłem w psie odchody i brudziłem musztardą biały przód koszuli, ona wycierała kącik ust koronkową chusteczką, zaprzyjaźniała się z przydrożnymi psami i płynęła z wdziękiem nad chodnikiem niczym Mary Poppins. Różniliśmy się tak bardzo, jak tylko może się różnić dwoje ludzi. Dlaczego więc to mnie wybrała? Pozostaje dla mnie tajemnicą. Gdybyście mnie teraz widzieli, zobaczylibyście, jak wyraźnie zakłopotany drapię się po głowie.

Podczas przerwy świątecznej na pierwszym roku studiów w College of Charleston pracowałem na drugiej zmianie w barze Charleston Place Hotel, tuż obok słynnych z „Przeminęło z wiatrem” podwójnych schodów. Była prawie północ i wycierałem właśnie stół, kiedy weszły cztery dziewczyny. Wszystko w nich krzychało: „Charleston”. To, w jaki sposób się poruszały, jak były ubrane, jak mówiły. To nie miało ^{nic} wspólnego ze snobizmem, to było wychowanie. Jasne, że kiedyś ono może się przemienić w snobizm, ale w tamtym momencie te dziewczyny stanowiły doskonałą mieszankę kultury i klasy.

Zamówiły cappuccino, cafe latte i tacę ciasteczek. Udało mi się zepsuć ekspres, przypalić mleko, a gdy usiłowałem ich kawy ozdobić bitą śmietaną, cała wylądowała na moim fartuchu. To zresztą doskonały obraz tego, jaki byłem.

Siedziały, szepcząc i chichocząc, prawie do pierwszej. Kiedy patrzyłem na takie grupki — mówiąc obrazowo — zazwyczaj dziewczyny zlewały mi się w jedno, a mój umysł nie potrafił ich rozdzielić. Widziałem zbiór, a nie jego indywidualne elementy.

Z wyjątkiem jej.

Była w jednej trzeciej Julią Andrews, a w dwóch trzecich Grace Kelly. Nie przypominała żadnej innej dziewczyny, jaką kiedykolwiek widziałem, a wiercie mi, trochę czasu spędziłem na przyglądaniu się ładnym buziom. I nie chodziło o jej wysokie policzki, usta, brodę czy nos. To były oczy i coś, co się w nich kryło.

W Charleston Place gościliśmy wielu sławnych ludzi. Od arabskich szejków po gwiazdy Hollywood, słowem: nie bywali u nas tylko ludzie przeciętni. Wiedziałem, że jest kimś znanym, musiałem już wcześniej gdzieś widzieć jej twarz, ale byłem na nogach od czternastu godzin i nie myślałem jasno.

Nagle najbardziej rozchichotana dziewczyna zawołała mnie do ich stolika. Próbowałem zachowywać się bardzo profesjonalnie, napełniłem szklanki wodą i stanąłem nieco z boku, mając ręczniczek przewieszony na przedramieniu. Jej przyjaciółka, później się dowiedziałem, że miała na imię Elizabeth, zwróciła się do mnie, unosząc lekko w górę brwi:

— Jeśli będziesz się tak gapić, zacznę pobierać opłatę.

Pełna klapa.

— Czy ja... — wyjąkałem — czy my... spotkaliśmy się już?

— Nie wydaje mi się — odparła spokojnie — ale czasami biorą mnie za kogoś innego.

Wiedziałem, że powinienem jak najszybciej odejść, skinąłem głową próbując się głupio nie uśmiechać, ale mi się nie udało. Wróciłem więc za bar i tam wreszcie oprzytomniałem. A one zostawiły pieniądze na stole i wyszły do hotelowego holu.

Wiem, że skądś ją znam, pomyślałem.

Kiedy szły po schodach, jak niegdyś Scarlett O'Hara, ona pokonywała po dwa stopnie na raz. To było tak nietypowe dla tego miejsca jak McDonald w Japonii, patrzyłem na nią i dostrzegłem coś unikalnego — kobietę, która wzięła x Charlestonu to, co tylko chciała, ale nie pozwoliła sobie nic zabrać.

Gdy dotarły do frontowych drzwi, portier dłonią w białej rękawiczce *dotknął* daszku czapki.

— Dobranoc, panno Coleman — powiedział.

Poklepała go po ramieniu.

— Dobranoc, panie George.

Oparłem się o bar i nalałem sobie *wody* sodowej. Dziesięć sekund później George wolnym krokiem wszedł do baru, oparł się o stół i nie patrząc na mnie, powiedział:

— Nawet o tym nie myśl.

— Kto to...? — pokazałem w stronę wyjścia.

Potrząsnął głową.

— Mieszkacie w różnych wszechświatach.

Miał rację. Ale to samo dotyczy gwiazd. A mimo to ich światło dociera do ciebie, niezależnie gdzie jesteś.

ROZDZIAŁ 4

30 MAJA, CZWARTA NAD RAMOM

Deszcz ustał, więc wepchnąłem artykuł z powrotem do kieszeni, wdrapałem się na siedzenie kierowcy. Zwolniłem sprzęgło i ruszyłem. O czwartej nad ranem wjeżdżaliśmy na parking St. Mary's Sportsman. Było to połączenie lombardu i nadrzecznego sklepu dla każdego wioślarza, wędkarza, narciarza czy myśliwego w obszarze sześćdziesięciu mil kwadratowych. Nie liczyłem, że Gus pojawi się o takiej porze, ale jeśli szczęście będzie nam sprzyjało, mój klucz może nadal pasować do bramy i magazynu, zajechaliśmy więc od tyłu. Nie wyłączając silnika, wysiadłem z samochodu. Gus, właściciel i mój dawny szef, powiedział, żebym zawsze czuł się tu jak u siebie w domu, kiedy tylko wrócę z miasta. I tak właśnie zamierzałem zrobić.

Jedną ze wspaniałych rzeczy w miasteczkach na południu Georgii był fakt, że z dekady na dekadę niewiele się w nich zmienia. Gus nigdy specjalnie nie przejmował się alarmami ani wymianą zamków, bo przestępczość w St. George zazwyczaj ogranicza się do potrącenia krowy przez nieletnich kierowców. Wsunąłem więc klucz w dziurkę, przekręciłem i otworzyłem bramę.

Wychowałem się na osiedlu domów na kółkach, niedaleko stąd. Od ósmej klasy do czasu, kiedy zdałem na studia, pracowałem dla Gusa. Ostrożnie licząc, zwodowałem więcej kajaków i kanu na St. Mary, niż ktokolwiek kogo znałem lub o kim słyszałem. Więcej pewnie niż sam Gus.

po chwili już pukałem do drzwi wozu, w którym mieszkał Krótco potem usłyszałem odgłos zapalania światła i Gus otworzył skrzypiące drzwi. Jedno oko miał zamknięte, drugie ledwie otwarte.

— Cześć, Doss.

— Cześć.

— Daj mi chwilę — usłyszałem.

Gus może mieć teraz jakieś pięćdziesiąt lat. Spalony słońcem i zniszczony życiem nad rzeką był jednak sprawniejszy niż większość moich kolegów na studiach. Może przybyło mu zmarszczek, ale jego uśmiech pozostał taki jak kiedyś. Wiedział o mnie wszystko i to on podpisywał dokumenty, z którymi przeszedłem przez szkołę średnią.

— Gus, chciałbym zrobić zakupy.

Zerknął w kierunku samochodu.

— Chcesz o tym porozmawiać?

Potrząsnąłem głową.

— Raczej nie.

— Jesteś pewien?

— Tak.

— No to bierz, co potrzebujesz. Czuj się tak jak u siebie w domu.

Podjechałem tyłem do drzwi, podczas gdy Gus je otwierał. Zdjąłem z wieszaka dwa kanu Mad River, każde o długości osiemnastu stóp — jedno jasnobrązowe, drugie w kolorze dojrzałego mango, trzy wiosła oraz dwie kamizelki ratunkowe. Wszystko to przymocowałem do bagażnika na dachu jeepa. Gus zauważył, że Abbie drzemie w środku, ale nic nie powiedział. Chodziłem po sklepie, napełniając worek marynarski po kolei wszystkim, co wydawało mi się potrzebne.

Do chłodziarki wrzuciłem trochę jedzenia, w tym kilka puszek, poza tym kuchenkę i kilka małych butli gazowych, dwie duże płachty impregnowanego brezentu, namiot, szpulę liny z korbką i co jeszcze dałem radę udźwignąć. Podniosłem szybę na ladzie i wyciągnąłem mały wodoodporny ręczny GPS firmy Garmin. Raczej niezawodny, gdy chce się wykorzystać satelitę, by

ustalić pozycję. Nie brałem go, by powiedział mi, gdzie jestem, chociaż potrafił wskazać lokalizację z dokładnością do trzech stóp. Znałem rzekę jak własną kieszeń. Potrzebowałem go, żeby mówił mi, jak daleko odpłynęliśmy, i podawał odległości do następnych celów. Pomoże mi — myślałem — planować miejsca postoju, noclegu i pokaże, gdzie szukać schronienia. Problem z rzeką polega na tym, nawet dla człowieka, który tak jak ja zna ją bardzo dobrze, że ciągle się zmienia. A zmieniając się bez ostrzeżenia, może zaskoczyć. Poza tym, gdy nastąpi przyływ, z którym spotkamy się w Traders Hill, wręcz niemożliwa stanie się ocena, jak szybko płyniemy, a w rezultacie, jak daleko odpłynęliśmy. Dwie mile na godzinę w jedną czy w drugą stronę mogą całkowicie zmienić sytuację. No i wreszcie, im bardziej będę zmęczony, a jestem pewien, że tak się stanie, tym trudniej przyjdzie mi oceniać prędkość. GPS będzie zatem moim zabezpieczeniem.

Gus obejrzał moje zakupy i zaczął wyklądać na ladę rzeczy, które jego zdaniem mogłyby mi się jeszcze przydać. Podrapał się po szczęce.

— Wybierasz się na południe?

Skinąłem głową.

— Sam?

Spojrzałem w stronę samochodu i odruchowo wzruszyłem ramionami.

W tym właśnie momencie ktoś zapukał do drzwi. Gus zmarszczył czoło i mruknął do siebie.

— Jest środek nocy.

Spojrzał przez szybę, w cieniu stało dwóch mężczyzn.

Wrzasnął do nich:

— Zamknięte.

— Wygląda, jakby było otwarte — powiedział jeden z nieznajomych.

Gus uśmiechnął się.

— Może byście przyszli jutro rano? Teraz jest inwentaryzacja.

Drugi z mężczyzn przycisnął twarz do szyby.

— Wybieramy się na łódkę i potrzebujemy kilku rzeczy. Mógłby pan nam pomóc.

Gus zerknął na ekran komputera, radar wskazywał tropikalną burzę wirującą w swej czerwonej masie. Popatrzył na mnie.

— Jeśli znają się na tym, to mogą mieć dobrą zabawę na gigu, ale mam dziwne wrażenie, że ci faceci nic nie wiedzą o wiosłowaniu, a jeszcze mniej o szybkich łodziach. — Wzruszył ramionami. — Przykro mi, chłopcy — rzucił głośno — ja tu tylko pracuję. Życzę powodzenia.

Odwrócił się. Jeden z facetów pokazał mu nieprzyzwoity gest palcem, drugi włókł się już do samochodu. Kiedy otwierał drzwi i sadowił się na miejscu kierowcy, zauważyłem, że z tyłu siedzi jeszcze dwóch mężczyzn. Gdy zaczyna się sezon huraganów pojawiają się też pechowcy, liczący, że coś da się przy okazji zarobić.

Gus wrócił z biura, dopiero kiedy odjechali. Położył na blacie kolejne dwie rzeczy. Choć nigdy nie był panikarzem, żył w tych stronach wystarczająco długo. To nie było jego pierwsze rodeo. Był realistą, w wyniku czego i ja stałem się falistą.

— W tych stronach może ci grozić coś więcej niż tylko jadowite węże.

Były to: Smith & Wesson model 22-4 oraz Remington 870. Pierwszy to rewolwer z sześcioma komorami na naboje 45, zwany również coltem automatycznym, drugi zaś — strzelba kaliber 12 z 18 — calową lufą, co nie wymaga dalszych wyjaśnień. Wziąłem je i parę pudełek naboji.

— Dzięki.

Na ścianie wisiał olejny obraz, który namalowałem pewnie z dziesięć lat temu. To był gwiazdkowy prezent, mój sposób, by powiedzieć: dziękuję. Namalowałem go z perspektywy kogoś, kto wynurza głowę z wody i rozgląda

się. Gus, uśmiechnięty, siedział w kajaku. Uchwyciłem go w połowie ruchu wiosłem. To było jego miejsce. Może i moje też. Obraz przedstawiał ruch, widać było naturalne napięcie na twarzy przy zanurzeniu wiosła. Nazwałem go: Wielki wioślarz.

Skinął w stronę obrazu, na którym sam widniał.

— Ludzie wciąż mnie o niego nagabują. Chcą go kupić.

— Co im odpowiadasz?

— Że jeszcze nie.

— Ile ci proponują?

— Powiem ci tyle, że mógłbym za to kupić jeden z tych nowych fordów ropniaków.

— Bierz kasę.

Patrzył na obraz.

— Nie. Jeszcze sobie na niego trochę popatrzę.

Ponieważ ręce miałem zajęte, przerzuciłem strzelbę przez

ramię i zaniósłem wszystko do jeepa, wrzuciłem do bagażnika i kolejny raz wróciłem do sklepu. Komputer Gusa otwarty był na stronie z pogodą, dla jego klientów te informacje były również ważne, od nich bowiem zależało, jaki powinni wy pożyczyć ekwipunek. Obraz pokazywał cały obszar od Okefenokee Swamp do Cumberland Sound. Na dole ekranu, niczym wyniki giełdowe, przesuwały się dwucyfrowe liczby przedstawiające poziom rzeki, wysyłane przez automatyczne czujniki rozstawione na długości stu trzydziestu mil. Miałem całkiem dobry obraz warunków na rzece. Gus pokazał

jednak na pasek.

— Jeśli nadejdzie sztorm, wszystko się zmieni.

— Pamiętam.

przy kasie leżały wodoodporne koszulki na mapy. Przewodnicy używali map do momentu, kiedy poznali rzekę leniej niż ci, którzy je rysowali. To zaś następowało już po paru sezonach. Co prawda mniej była mi potrzebna mapa niżli plastikowa osłona na nią, ale ponieważ minęło jednak trochę czasu, wziąłem i jedno, i drugie. Mapa będzie punktem odniesienia dla GPS i odwrotnie. Wyciągnąłem artykuł z kieszeni spodni, wsunąłem go w plastikowy pokrowiec i zamknąłem starannie.

Kiedy już zapakowałem samochód, odwróciłem się w stronę Gusa. Byłem mu winien jakieś wyjaśnienie.

— Co u ciebie?

— No cóż, pewnie bym wolał być w tej chwili na łodzi, w jakimś miejscu bez zasięgu telefonu, ale... sklep się sam nie poprowadzi.

— Sprzedaj obraz. Kup łódź. Zrób sobie wakacje.

Skinął głową.

— Może pewnego dnia.

Wytrząsnął kamyk z sandałów.

— Jesteś pewien, że nie chcesz o tym porozmawiać?

— Lekarze odesłali nas do domu. — Sięgnąłem ręką do sznura zwisającego z haka w ścianie i zacząłem się bawić węzłem. — Cokolwiek usłyszysz w przyszłym tygodniu, będzie to pewnie tylko w połowie prawdą.

Wyrwałem z notatnika, który trzymam w samochodzie, kartkę i wypisałem na niej wszystko, co właśnie zapakowałem do jeepa, a pod spodem napisałem numer swojej karty kredytowej.

— Byłoby dla mnie lepiej... gdybyś poczekał z realizacją tego rachunku jakiś tydzień.

— Potrzebujesz pieniędzy?

— Nie, tylko będą mnie pewnie szukać jacyś ludzie, a ja nie *chcę*, żeby wiedzieli, gdzie jestem. I tak dowiedzą się nazbyt szybko.

— Masz kłopoty?

— Nie takie, o jakich myślisz. Przynajmniej na razie.

Złożył rachunek i wsunął go do kieszeni spodni.

— W przyszłym miesiącu.

— Dzięki, Gus.

Wsiadłem do jeepa i zapiąłem pas. Gus oparł się o drzwi, patrząc gdzieś na drogę.

— Myślałem ostatnio o twojej matce.

— Tak?

— To była cudowna kobieta. Chyba nigdy ci nie mówiłem, że pytałem, czy by za mnie nie wyszła?

Potrząsnąłem głową z uśmiechem.

— Nie.

— Powiedziała, że już była mężatką i nie podobało jej się to. I że za bardzo mnie lubi. Że gdybym ją lepiej poznał, oszedłbym od niej. — Przez chwilę milczał. — Myślę, że dobrze cię wychowała.

— Próbowala.

Wyposażanie klientów Gusa odbywało się zawsze na parkingu przed sklepem. Kiedy już otrzymali wszystko: kamizelki ratunkowe, wiosła i kajaki, znosiliśmy to do płynącej obok rzeki. Kilka kroków w dół skarpy i już stało się na plaży. Woda była tam na tyle głęboka, żeby się zwodować, ale na tyle płytka, że gdyby ktoś się wywrócił, mógł sobie spokojnie poradzić. Gus popatrzył w stronę wody.

— Kocham tę rzekę. Wydaje mi się, że jest w jakiś sposób wyjątkowa.

— Też tak myślę.

Położył mi rękę na ramieniu.

— Wiesz o tym, prawda?

— Ktoś mógłby powiedzieć, że to nic takiego — odparłem — po prostu zagłębienie w skorupie ziemskiej, do którego

spływają wszystkie śmieci.

Wsadził ręce do kieszeni.

— Można na to spojrzeć i w ten sposób.

— Ale ty patrzysz inaczej — powiedziałem.

Przytaknął.

— Zresztą, sam to wkrótce sobie przypomnisz. Ona to zrobi lepiej niż ja.

— Skinął głową. — Ta rzeka nigdy się nie zmienia. Może się zmieniać nieco jej nurt, jej koryto, ale ona pozostaje taka sama. To my się zmieniamy. Wracamy tutaj, ale jesteśmy już inni. Ona nie.

— Kiedy byłem dzieciakiem, mama powiedziała mi — odezwałem się po chwili — że w rzece mieszka Bóg. Zdarzało mi się leżeć na brzegu w kompletnym bezruchu, czekałem, aby się wynurzył.

— A gdyby się wynurzył?

— Wskoczyłbym Mu na plecy i zmusił, żeby odpowiedział mi na parę pytań — roześmiałem się.

— Z życzeniami trzeba uważać.

Chłodny powiew zaszeleścił drzewami.

— Gus, przepraszam, że przychodzę do ciebie w takiej chwili.

Potrząsnął głową, wkładając między zęby wykałaczkę.

— Ta rzeka dużo mnie nauczyła. Pewnie dlatego nie chcę stąd odejść. Wiruje, faluje, kręci się. Rzadko się zdarza, żeby żądała dwa razy tak samo. Ale... w końcu, zawsze dopływa w to samo miejsce.

— I jaka wypływa z tego nauka?

— Liczy się tylko droga.

Wielki

ROZDZIAŁ 5

Jedną z najwspanialszych rzeczy związanych z życiem na prowincji jest ignorancja. Ludzie mieszkający na wsi nie są bardziej ograniczeni od tych z miast i z pewnością nie są głupi. Szczycimy się zdrowym rozsądkiem, dobrze zdajemy egzaminy, ale o pewnych sprawach wiemy bardzo mało i trzeba też przyznać, że powodem jest albo duma, która powoduje, że nie chcemy pytać, albo po prostu niechęć do poznawania nowego. Nie jest to jednak żadna regionalna choroba. Napotkać ją można także w Nowym Jorku. Tyle że tam to inaczej nazywają.

Podczas mojej edukacji takim nieznanym obszarem była sztuka. Większości moich przyjaciół sztuka kojarzyła się z lekcjami rysunku albo pisanem na murach imienia swojej dziewczyny. Nie dlatego, byśmy nie cenili w tym zakresie ludzkich osiągnięć. Ceniliśmy i cenimy. Chodziło i chodzi raczej o cały intelektualny sztafaż, który ją otaczał i otacza. Na takie głupoty — jak sztuka — zwykle nie ma się po prostu czasu. Dostrzegaliśmy, mówiąc więc wprost, piękno innych miejsc i form, ale rozmawialiśmy o nich inaczej.

Kiedy ludzie zobaczyli, jak posługuję się ołówkiem czy pędzlem, okrzyknęli mnie Picassem — chociaż nie mieli tak naprawdę pojęcia, kim on był i dlaczego mnie do niego porównują. Wydawało im się, że gdy wymawiają jego nazwisko sami stają się ważniejsi. Ja wiedziałem nieco więcej na jego temat i nie chciałem mieć z Picassem nic wspólnego. Może wynikało to z tego, że „widziałem” inaczej niż on. Nie wiem. pewnie ryby tak samo traktują pływanie i oddychanie pod wodą. Nie wydaje im się to niczym specjalnym. Dopiero wyciągnij na powierzchnię czują różnicę.

Zanim moja mama odeszła z tego świata, nauczyła mnie chodzić do biblioteki. Bywaliśmy tam dwa, trzy razy w tygodniu. Biblioteka miała klimatyzację i nie wolno było w niej palić. Za wstęp się nie płacono, a można

tam było siedzieć przez cały dzień. Całymi godzinami oglądaliśmy książki o sztuce, rozmawiając o tym, co nam się podoba, a co nie. To były rozmowy niewykształconych ludzi. Mówiliśmy rzeczy w rodzaju: „Fajny ten uśmiech”, „Jakie ładne kolory”, „Zobacz, jakie śmieszne” albo: „Patrzenie na to po prostu boli”.

Potem nauczyłem się, że tak naprawdę mówiliśmy: „Ta sztuka do mnie przemawia”. Ponieważ to właśnie sztuka robi. Przemawia do nas, jeśli rozmawiamy tym samym językiem — a jeśli nauczymy się słuchać — usłyszymy ją lub nie.

„Studiowaliśmy” klasyczną sztukę Grecji i Rzymu i zastanawialiśmy się, co się stało ze światem podczas wieków średnich. Nie wiedziałem na ten temat zbyt dużo, ale przynajmniej rozumiałem, że świat, jeśli oceniać to po stanie sztuki, wykonał krok w tył. Mama rozkładała przede mną książkę, kładła na stole czystą kartkę papieru, a ja rysowałem to, co widziałem przed sobą.

Nigdy nie próbowałem zrozumieć całej sztuki. Brałem tylko to, co chciałem. Tylko to, czego potrzebowałem. Mój cel był raczej prosty. W odróżnieniu od niektórych artystów, zmieniających bez problemu formy, tematy i style. Ja tego nie potrafiłem. Nadal nie potrafię. Dlatego więc koncentrowałem się na tym, w czym — jak myślałem — byłem dobry. To znaczy na twarzach. A szczególnie na wyrażanych przez nie emocjach. Te wizyty w bibliotece nauczyły mnie, że emocje widać w kącie nachylenia ramienia, wysokości uniesieni, podbródka, w ułożeniu palców, w sposobie wypełnienia powietrzem płuc, w skrzyżowaniu nóg, podciągniętych lub wyciągniętych przed siebie, ułożeniu stopy, a nawet w tym, jak na twarzy załamuje się światło. Oczywiście przykłady można by mnożyć.

Podczas gdy słowami nie potrafiłem wyrazić tego, co było we mnie, moje ręce pojmowały to instynktownie, a kiedy przyglądałem się czemuś z bliska, jak robili to mistrzowie w naturalny sposób rozumiałem. Po prostu wiedziałem i już, choć nie umiałbym tego wyjaśnić.

Większość z tych dawnych mistrzów to byli nieudacznicy. Tylko niektórzy sobie poradzili z życiem. Malowali zwykle z rozpaczy. Czasami żyli w biedzie. To dlatego malarze są zazwyczaj chudzi.

Ale czegoś się nauczyłem. Czegoś, co przydało mi się później. Pojąłem, że upadły człowiek potrafi tworzyć wielką sztukę.

Kiedy dorosłem, dowiedziałem się, że pociągał mnie w sztuce realizm, nie idealizm. Nie robił na mnie wrażenia ekspresjonizm poszukujący siły obrazu, stosujący deformację lub nadmierne uproszczenia. Nie pociągały mnie modernizm, kubizm czy surrealizm. Picasso nie zwał mnie z nóg. Co nie znaczy, że pewnego dnia nie zwali. Ale wtedy nie oddziaływał na mnie i teraz jeszcze też nie.

Chciałem — mówiąc trywialnie — dotrzeć do tego, który ogląda mój obraz. Głęboko. Bez sztuczek. Tym, co jest prawdziwe, nie fałszem. Miałem zatem za nic technikę.

Przez całą szkołę średnią przeszedłem, nie konfrontując moich rysunków ze światem. Ktoś jednak wysłał moje prace na regionalną wystawę i jakiś wykładowca zwrócił na nie uwagę, dostałem stypendium na uczelnię sztuk pięknych w Charlestonie. Tam dopiero otworzyły mi się oczy.

Chodziłem zarówno na zajęcia z malarstwa, jak i z historii sztuki. Wiedziałem, że moje rzemiosło wymaga szlif, ale jednocześnie chciałem poznać życie tych, którzy malowali. Nie tylko zrozumieć: *jak*, ale też: *dłaczego*. Rzemiosło bez powodu wydawało mi się jakieś niepotrzebne. Motywacja ubierała zaś talent w kontekst. Nikt z nas nie tworzy przecież *ex nihilo*.

Czytałem więc biografie artystów i studiowałem ich życie równie dokładnie jak ich prace. Większość z nich znosiła męki, ich życie było pełne cierpienia. Zazwyczaj ów los sprowadzali na siebie sami. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego najbardziej doświadczani ludzie byli najlepszymi artystami. Wciąż i wciąż wielka sztuka rodziła się w kotle wypełnionym udręką, pod którym ogień podsycali ekscentrycy żyjący na

skraju społeczeństwa i niedbający wiele o to społeczeństwo. Zresztą i *vice versa*. Oczywiście były też wyjątki, ale pozostawały zawsze właśnie wyjątkami.

Większość wielkich artystów działała na peryferiach. Z jedną nogą w swoim świecie, drugą w naszym. Moźni tego świata wyszukiwali najbardziej utalentowanych, by przynieść ich prace do naszego świata.

Tak się szczęśliwie złożyło, że zamożni notable współpracowali także z uczelnią w Charlestonie. I to oni pokrywali połowę kosztów moich zajęć. Drugie pół opłacałem z napiwków i kredytu. Moje mieszkanko w mieście składało się zasadniczo ze studia z antresolą, na której spałem. Woda płynąca z prysznicza była częściej zimna niż ciepła, częstymi gośćmi były szczury, a na ścianie prowadziłem ranking na największego karalucha, jakiego udało mi się złapać do plastikowego kubka. Nazywałem je tak, jak się nazywa huragany, używając kolejnych liter alfabetu. Dotarłem do Merlina. Umierał dwadzieścia siedem dni. Ale poza tym było to całkiem przyjemne i czyste miejsce, świetne do pracy i znakomite, kiedy nie musiałem zarabiać pieniędzy.

Mieściło się przy King Street, która klinem wbijała się pomiędzy Beaufain a Market. Kiedyś był w tym miejscu sklep. Moje okno miało dziesięć stóp szerokości, czyli tyle ile całe pomieszczenie. Pięćdziesiąt lat temu ktoś wybrukował trawnik między dwoma budynkami i sprzedał go dentyście, który miał zwyczaj ustawiać tam fotel, tak by każdy mógł widzieć go przy pracy. Problem w tym, że jego pacjenci nie chcieli być widowiskiem dla całej King Street, więc sprzedał miejsce drukarzowi, a kiedy ten stracił po trzydziestu latach pracę w związku z rozwojem internetu, wynajął je mnie. Miałem nadzieję, że miejsce to pozwoli mi od czasu do czasu sprzedać jakąś moją pracę. Cokolwiek. Oparłem więc o okno trzy obrazy, które uważałem za najlepsze. Nie było to najbardziej eleganckie, ale od trzech tygodni jadłem kluski i nie miałem pieniędzy na sztalugi. Poważnie rozważałem, czy nie gwizdnąć paru z pracowni, ale w głębi duszy wiedziałem, że problem nie leży w sposobie prezentacji. Ba, nawet czas Gwiazdki nie zmienił nic w temacie sprzedaży.

Ale był jeden wyjątek. Raz w miesiącu, niekiedy trochę częściej, zazwyczaj wieczorem, przed moim oknem stawała kobieta. Stawała i patrzyła. Była wysoka, miała na głowie chustkę albo baseballową czapkę, dzinsy, coś z długimi rękawami i duże okrągłe okulary, które zasłaniały jej pół twarzy. Raz stała tak przez godzinę, oparta czołem o szybę, przyglądając się uważnie trzem wystawionym pracom, a potem próbując wypatrzeć, co jest na obrazach opartych w głębi o ściany pokoju. Kilka razy zachęciłem ją gestem dłoni, by weszła, raz nawet otworzyłem drzwi i zaprosiłem, ale ona tylko odwróciła się i zniknęła bez słowa. Więc później, kiedy się pojawiała tylko machałem do niej. Raz mi odmachała. Uznałem, że lubi oglądać, więc pozwalałem jej spokojnie patrzeć.

Jak idiota zapisałem się na najwcześniejsze zajęcia, myśląc, że to pozwoli mi przez resztę dnia pracować i malować. Głównie malować. Kiedy nie stałem za barem, można było

zakład, że albo stoję umorusany farbą czy węglem, albo biegam w Battery Park.

Stosując lekarstwa na astmę, dwadzieścia lat wcześniej osiągnąłem coś, co moi lekarze uważali za niemożliwe. Rozwinąłem swoje płuca. Choć lepszym słowem byłoby: rozciągnąłem. Okazało się to skuteczną ucieczką, pomagającą mi utrzymać się w stanie względnej równowagi. Dni wypełnione kaszlem odeszły w przeszłość. Gdzieś podczas minionych piętnastu lat jednak się uzależniłem. Mam PSO, słowem: powysiłkowy skurcz oskrzeli. Gdy moje płuca pracują pod przymusem, bez odpowiedniej rozgrzewki, przestają nagle funkcjonować, co wywołuje coraz większy przymus. Spirala idzie w dół. A gdy do tego dodać suche, zimne powietrze, jestem załatwiony. Ale gdy się rozgrzewam i dostaję wtedy dawkę tlenu, moje płuca relaksują się. Co więcej, ciepłe, wilgotne powietrze działa jak smar. Uwielbiam więc biegać podczas deszczu w letni dzień. I mogę tak biegać bardzo długo. Godzinami. Nie zamierzam bić żadnych rekordów w biegach terenowych, ale wiem, jaka to przyjemność.

Zazwyczaj gdy odbijałem kartę zegarową, wychodząc z pracy, łapałem też saszetkę lub dwie herbaty (albo Constant Comment, albo Earl Grey), tak jak robi to ktoś, kto opuszcza pokój hotelowy i zabiera ze sobą buteleczkę z mydłem i odżywką. Masz ich setki w domu, ale z jakiegoś powodu bierzesz kolejne dwie, bo nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać. W moim przypadku teina pozwalała mi nie czuć głodu. A tak na marginesie, restauracja to świetne miejsce, gdzie nikt nie zwraca uwagi, jeśli zjadasz to, co zostało na talerzach, kiedy kuchnia już nie wydaje posiłków.

Kiedyś, już po odbiciu karty, udało mi się trafić na w miarę pełną miskę z francuską zupą cebulową albo z owoców morza. Dziś już nie pamiętam, co to dokładnie było. Wyjadłem z niej wszystko, zagryzając udkami kurczaka i całą bagietką. Byłem wtedy najedzony po raz pierwszy od kilku dni, więc szedłem powoli w stronę King Street, ale nagle z powodów, których do dziś nie rozumiem, skręciłem w lewo w stronę Market i ruszyłem do Waterfront Park. Była jasna noc, a może już ranek, chciałem poczuć zapach wody i popatrzeć na Fort Sumter.

Maszerowałem, niezadowolony z napiwków, skarżąc się w duchu, że nie mogę sprzedać żadnego obrazu. Byłem już zmęczony ciągłym jedzeniem chińskich klusek. Prawdę mówiąc, chciałem się nad sobą poużalać, a to zawsze lepiej robić w samotności. Brakowało mi tylko butelki alkoholu, ale na nią nie było mnie stać.

Dotarłem w końcu do parku, obszedłem wokół fontannę i ruszyłem do jednej z granitowych platform postawionych nad rzeką. Kiedyś zbudowano je z przeznaczeniem pod przyszłe rzeźby. Ale na razie wyglądały jak miniaturowe lądowiska dla helikopterów, trzy stopy ponad ziemią, w połowie otoczone ścianą granitu. Miejscowi nazywali je komnatami echa, ponieważ jeśli stanęło się pośrodku dokładnie „na godzinie 12”, to wypowiedanym słowom towarzyszyło echo. I to dość głośne.

Wskoczyłem na jeden z takich cokołów i w tym momencie usłyszałem, że coś uderza o metal. Potem dotarł do mnie zduszony krzyk i bolesny jęk. Rozejrzałem się wokół, w pierwszej sekundzie niczego nie zobaczyłem, ale po

chwili dostrzegłem plecy mężczyzny. Pochylał się nad czymś czy nad kimś i podnosił rękę do uderzenia. Nie jestem żadnym bohaterem, na piersi nie noszę żadnego „S” niczyi Superman, ale rzuciłem się w jego kierunku. Ześlizgnąłem się po granicy podbiegłem do faceta i skoczyłem na jego plecy. Był ogromny. Miał szerokie, potężne ramiona i brodę, a śmierdział niczym kosz na śmieci przed hotelem, przy czym główną nutą był odór alkoholu. Pamiętam jeszcze, że kiedy wskakiwałem na tego olbrzyma, odniosłem wrażenie, iż zderzam się z ciężarówką. W chwili gdy mężczyzna zainteresował się mną, osoba, nad którą się pastwił, zdołała się podnieść. Zapach perfum powiedział mi, że była to albo dziewczyna, albo facet, który chciał uchodzić za dziewczynę. Wyciągnąłem przed siebie rękę.

— Niech pan poczeka...

Roześmiał się, prychnął niczym kot i złapał mnie za gardło, odcinając dopływ powietrza, po czym cisnął mną niczym szmacianą lalką. Przypominał mi faceta z „Zielonej Mili”, tylko że był jeszcze okropniejszy. Zerwałem się na równe nogi, machałem rękami, jakbym był znakiem stopu. Wtedy, pamiętam to dobrze, za plecami usłyszałem płacz, poczułem drżące dłonie na plecach i znowu ten sam zapach.

Wetknąłem rękę do kieszeni i wyciągnąłem sześćdziesiąt siedem dolarów w jednodolarowych banknotach. Oprych złapał pieniądze, szczerząc białe zęby. Drugą łapą cały czas trzymał mnie za gardło. Sięgnąłem więc do tylnej kieszeni spodni i podałem mu portfel, z prawem jazdy, legitymacją studencką i dwiema kartami kredytowymi o maksymalnie wykorzystanym limicie. Ale tego przecież nie wiedział. Złapał portfel i wsunął go w tylną kieszeń spodni. Niestety, nie miało to żadnego wpływu ani na uścisk na moim gardle, ani^{na} zmianę jego zamiarów w stosunku do dziewczyny. Pchnął mnie, a właściwie teraz już nas, na granitową płytę, jedną ręką kneblował mi usta. Świat zawirował, światła się przyćmiły, ale po chwili rozbłyły znowu. Kiedy oprzytomniałem, zobaczyłem, że siedzi na niej. Jedną rękę zacisnął na szyi, a drugą wpychał pod jej bluzkę. Było źle, ale teraz zrobi ło się jeszcze gorzej. Pozostało mi jeszcze jedno. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem zegarek,

który nosiłem zawsze przy sobie od chwili, gdy wujek wręczył mi go na pogrzebie rodziców. Przysunął złotą kopertę tuż przed oczy, a potem przyłożył go do ucha. Spróbowałem ostatni raz:

— Zatrzymaj go. Jest twój. Wszystko... tylko nie krzywdź jej, proszę.

Wyrywała się co sił, ale on był trzy razy większy niż ona.

— Proszę, niech jej pan nie robi krzywdy.

Wepchnął zegarek do kieszeni, odepchnął mnie i zaczął z niej ściągać dzinsy.

Przyszpilił ją do podłoża, a zawińawszy wokół wielkiej ręki jej długie włosy, ściągał już swoje spodnie. Słyszałem, jak się dławiła, z trudem łapiąc oddech. Zrobiłem cztery kroki i wskoczyłem mu na plecy butami, jednocześnie wbiłem mu palce wskazujące w oczodoły. Złapał się rękami za twarz, wydając z siebie jakiś gardłowy dźwięk, świadczący o tym, że zadałem mu ból. Wtedy odwrócił się do mnie.

Dobłą stroną tej sytuacji było, że puścił dziewczynę, która zerwała się na równe nogi i w końcu uciekła. Złą, że został ze mną sam, wiedząc, że dziewczyna mu się już wymkneła. Twarz, jaką wówczas zobaczyłem, przywodziła na myśl potwornego Hulka z komiksu. Z ust ciekła mu ślina i jestem prawie pewien, że wrzeszczał coś, czego bym nie powtórzył przy swojej matce.

Widzieliście kiedyś te nagrania wideo, na których dowcipnisie ze stowarzyszeń studenckich — pełni nadziei, że tym sposobem osiągną pełnię wspólnoty — wrzucają kandydatów na swych członków do ogromnych suszarek bębnowych w pralniach publicznych i zaśmiewają się, kiedy tyłki tamtych wirują w środku? Przez kolejne sześćdziesiąt sekund tak właśnie się czułem, poza tym, że nie było żadnego materiału łagodzącego uderzenia. Cisnąwszy mnie o beton, rozwalił mi szczękę, złamał nos, a potem podniósł w górę i przerzucił nad poręczą, jakbym był zdobyczą w Parku Jurajskim. Przeleciałem w powietrzu kilka ładnych metrów, lądując — chyba na szczęście —

w bagnie tuż przy błękitnym krabie, który akurat przeżuwał głowę jakiejś ryby.

Oczy zapaśnika zwięzły się w szparki, kiedy patrzył, jak zapadam się po biodra w porośnięte trawą błoto śmierdzące niczym kloaka. Skrzywił się wtedy, naciągnął spodnie, odwrócił się i odszedł — podejrzewam, że nie umiał pływać. Przez kolejne dwadzieścia minut pławiłem się w błocie skoncentrowany wyłącznie na oddychaniu. Widząc, że mojego wroga nigdzie już nie widać, dotarłem do poręczy, podciągnąłem się na niej i pokuśtykałem do domu. Dwadzieścia minut później zamknąłem za sobą drzwi i usiadłem pod prysznicem, przeliczając koszt udania się na pogotowie. Ponieważ nie byłem ubezpieczony, suma wychodziła mi dość znaczna. Najbardziej bolała mnie głowa, połknąłem więc cztery aspiryny i spojrzałem do lustra. Mój nos był dziwnie skrzywiony i przypominał odgromnik. Złapałem go pomiędzy kciuk i palec wskazujący, po czym szybko pociągnąłem w dół, obudziłem się następnego dnia rano na podłodze mojego studia z gołym tyłkiem, z rozrzuconymi rękami i nogami.

Patrząc przez szparki, którymi stały się moje oczy, próbując zobaczyć coś wokół bulwy, która była niegdyś moim nosem, spojrzałem przez okno — jakieś cztery kroki ode mnie — w trzydzieści, może nawet więcej, par otwartych szeroko oczu. Tak, tak, to były trzy rzędy ludzi, którzy przyglądali się, niestety, nie moim pracom. Dzięki trzem sześćdziesięciowatowym żarówkom, które powiesiłem na sznurze nad moimi obrazami, byłem całkiem dobrze oświetlony.

Wdrapałem się po schodach, padłem na łóżko i obudziłem się jakoś po południu, z krwią zaschlą na twarzy, potworną migreną i wiadomością przylepioną do drzwi. Przeczytałem:

„Jeśli jesteś zainteresowany dyskretną, acz artystyczną fotografią czarno—białą, zadzwoń pod numer podany poniżej. Mam własną ciemnię i studio. Philip”.

Wrzuciłem kartkę do kosza, połknąłem kolejną aspirynę i zadzwoniłem do kolegi z grupy, żeby dowiedzieć się, co mi przepadło. James Pettigrew był ulicznikiem z Detroit, który gdy nie wykonywał rzeźb z gliny, pisał wiersze. W chwili kiedy odebrał mój telefon, oglądał właśnie wiadomości i rozmowa ze mną specjalnie go nie pociągała. Strzelił więc balonową, przerywając mi.

— Słyszałeś, co się wydarzyło ostatniej nocy?

— Nie.

— Córkę senatora Colemana ktoś zwinął z drogi, kiedy wracała do domu. Jakieś pijane monstrum skoczyło na nią i chciało uczynić z niej swoją żonę, gdy wtem na tym zaimprovizowanym weselu pojawił się jakiś niezidentyfikowany obcy człowiek i pokrzyżował jego plany. A właśnie przed chwilą policja złapała faceta, który doskonale pasuje do opisu napastnika. Miał przy sobie trochę gotówki i zegarek kieszonkowy, który pasuje do historii dziewczyny. Ale żadnej informacji, kim był Superman. Senator dziś rano zorganizował konferencję prasową na schodach Capitolu, po czym przyleciał do domu. Jakiś czas temu wylądował w Charlestonie.

— Czy jej nic się nie stało?

— Kiedy facet liczący sześć stóp i dziesięć cali wali na odlew w twarz, która jest wizerunkiem jednej z głównych firm kosmetycznych w tym kraju... i która, tak się przypadkiem składa, została wybrana na jedną ze stu najpiękniejszych twarzy Ameryki... a na dodatek pokazują ją na okładkach trzech najpopularniejszych pism w tym kraju, to co sobie myślisz?

Sceny z minionej nocy przeleciały mi przed oczami, ale detale zatarły się.

— Doss. Gdzie ty dotąd byłeś? Na jakim świecie żyjesz? Abbie Coleman używa zawodowego nazwiska Abbie Eliot.

Wiedziałem, że gdzieś ją już widziałem.

Odwiesiłem słuchawkę, zadzwoniłem do pracy, że jestem chory, po czym zawiesiłem na drzwiach kartkę: ZAMKNIĘTE. Zegarek i portfel postanowiłem odebrać, kiedy się poczuję lepiej.

Poza finansowymi problemami nękało mnie coś jeszcze: do ukończenia studiów potrzebowałem *obiektu*. Za dwa miesiące mijał termin złożenia pracy dyplomowej. Większość studentów trudziła się już od kilku tygodni, a ja ciągle poszukiwałem obiektu. Co gorsza, wszyscy wiedzieli, że studenci przygotowujący dyplom płacą modelom od godziny. To też był problem.

Wszystko jednak było jeszcze bardziej skomplikowane, bo został mi do wykonania rysunek aktu. Żeby otrzymać dyplom, każdy student musiał złożyć teczkę składającą się z dwunastu swoich najlepszych prac — i jedną z nich musiał być akt. Niektórzy z moich kolegów łączyli się w grupy z tego właśnie powodu. Wywieszali informację mniej więcej takiej treści: „Cześć. Potrzebujemy modelki do aktu do pracy dyplomowej”. Pisali tak, żeby zabrzmiało to „bardziej oficjalnie” i wyglądało na bardziej uzasadnione. Wynajmowali wówczas jakieś bajeranckie studio, wieszali prześcieradło na sznurze, żeby było tło, ustawiali reflektory, puszczała jakąś muzykę New Age i kupowali butelkę wina z odkręcanym kapslem. Potem zaś ustalali terminy kilku sesji, z których każda trwała po kilka godzin. Podczas każdej z nich spoglądali poważnie na swoje modelki, rozmawiając przy tym o błahostkach. Niektórzy przeciągali całą tę sytuację, jak długo się dało, bo był to jedyny sposób, żeby dziewczyna zdjęła dla nich sukienkę. Zgłaszały się — powiedzmy otwarcie — dwa typy dziewcząt. Pierwsze to żadne przygód studentki pierwszego roku — czasami drugiego — pragnące rozwinąć skrzydła, chcące spróbować czegoś nowego i zazwyczaj z jakiegoś powodu wściekłe na swojego ojca. Te zazwyczaj zjawiały się z koleżanką, chichotały i czuć było od nich alkohol. Drugie to doświadczone studentki ostatniego roku lub nawet takie, które skończyły studia, wściekłe po rozstaniu z chłopakiem, uzbrojone w myśl, że muszą odnaleźć same siebie. Tym samym chcę powiedzieć, że miłe dziewczyny i dziewczyny z okładek po prostu się nie pojawiały.

Tak więc, prawdę mówiąc, problem nie polegał na znalezieniu kogokolwiek, ale na znalezieniu odpowiedniej osoby. I jeszcze jedno. Nie czułem się najlepiej, jeśli ktoś, kogo nie znałem, ściągał z siebie ubranie. No bo niby kto tak się zachowuje? Kto wchodzi do pokoju pełnego obcych facetów, ściąga sukieneczkę i stoi, podczas gdy ty spacerujesz, oglądając ją sobie? Było dla mnie jasne, że mamy się skupić na „obiekcie” i badać jego „formę”, ale w tym właśnie tkwił szkopuł: nie spotkałem jeszcze kobiety, którą bym potrafił zredukować do formy. Tej bowiem nie da się oddzielić od istoty.

W historii ludzkości nikt jeszcze nie nauczył się pływać, wysłuchawszy, jakie powinien wykonywać ruchy. W pewnym momencie trzeba po prostu wejść do wody. W sztuce to zanurzenie ma coś wspólnego z tym, jak się trzyma pędzel, ołówek i dłuto. To jest coś, co wykonuje się sercem, ręka tylko za tym podąża. Ty, ja, każdy artysta, nie możemy wziąć, ot tak sobie, piękna kobiety i zamienić go w formę przekazu na płótnie, w kamieniu czy — ostatnio — na taśmie filmowej. Problem w tym, że moi nauczyciele nie mieli pojęcia, o *czym* ja w ogóle mówię. Uważali, że sztuka zaczyna się w ręce i stamtąd wędruje przez ramię do serca. Oni odwrócili proces. Sztuka, przynajmniej ta wielka — wypływała z człowieka, a nie wpływała weń, choć w moim odczuciu, jeśli ktoś jest pusty, to niewiele może z niego wypłynąć. I to mogło być *ich* problemem od początku.

W czasie mojej edukacji każde zadanie było przefiltrowane przez jakiś kartezyjski filtr, siedzieliśmy, drapiąc się po głowie i „myśląc” o sztuce. Używaliśmy tego filtra, by zredukować sztukę do serii pacnięć czy kresek albo tylko sekwencji barw. Co za nonsens! Gdzie się w tym wszystkim podział okrzyk zachwyty? „A niech mnie! To przecież wspaniałe!”. Nie mam nic przeciwko procesowi doskonalenia rzemiosła, wściekam się jednak, że doskonalimy rzemiosło, studiując samo rzemiosło. To choroba, której staram się unikać, od kiedy po raz pierwszy wziąłem do ręki pędzel czy ołówek.

Oczywiście, wszystkie te filozoficzne dywagacje nie zaprowadziły mnie nigdzie w rozmowie z moimi profesorami. Szczególnie, kiedy chodziło o akt. Z tego nie dało się wymigać. Patrzyli na mnie, podnosząc brwi. „Namaluj

jakąś frajerkę!" — mówili. Uważali, że moje obiekcje to zwykłe miganie się od roboty. Więc zaprosiłem ich do siebie i wtedy kilku z nich otworzyło szeroko oczy ze zdziwienia. Mojej etyce zawodowej trudno było coś zarzucić. Zanim skończyłem osiemnaście lat *wyprodukowałem* więcej obrazów niż większość z nich przez całe życie. Warto wziąć pod uwagę, że moja mama była jednym z najlepszych moich nauczycieli, jakich kiedykolwiek miałem. Kiedy przyszedłem do szkoły, umiałem już większość tego, czego chcieli mnie nauczyć. Rzemiosło. Miałem więc nadzieję, że nauczę się poznawać¹ przenosić na płótno piękno. Większość z nich w ogóle nie rozumiała, o czym ja mówię. Czy byłem zatem idealistą? Z całą pewnością. Ale kiedy ujrzeli, ile namalowałem prac, Przestali ze mną rozmawiać o tym, ile trzeba włożyć pracy by wyszlifować rzemiosło. Dla mnie rzemiosło nie było istotą, istotą była... istota. Ale większość nigdy nie potrafiła tego zrozumieć. Większość była bowiem dotknięta chorobą polegającą na niewiedzy, czym tak naprawdę jest talent. Nie wiedzieli też, że swoją niewiedzą zarażają innych.

Mimo moich pełnych przekonania mów, musiałem uzyskać dyplom, a oni stali pomiędzy mną a tą chwilą. Gdyby nie drogie wspomnienie mojej matki, kazałbym im się bujać. Ale w tej sytuacji potrzebowałem golizny.

Aby obronić przynajmniej to, przy czym się upierałem, poszukiwałem dwóch rzeczy: odpowiedniej twarzy i odpowiedniej postaci. To wszystko, *czego* mi było trzeba. Jednej twarzy. I jednej postaci. A najlepiej, żeby się spotkały w jednej istocie. Zawsze czułem, że Bóg stworzył kilka doskonałości. Dlatego czekałem, by przynajmniej jedną znaleźć, a potem namówić do na tyle długiego pozowania, bym poradził sobie z moją niedoskonałością i na płótnie uwiecznił doskonałość.

No dobrze, przyznaję, że się bałem. Bałem się, że ktokolwiek to będzie, siedząc tutaj, pozna prawdę, zrozumie, że ja właściwie nie wiem, co takiego robię, że jestem przerażony i że kiedy ta osoba podejdzie, by obejrzeć efekty mojej pracy — jedyną jej reakcją będzie śmiech. W psychologicznych książkach nazywają to strachem przed porażką i jeśli chodzi o moją sztukę, szczególnie o akt — sama myśl już mnie paraliżowała.

Całkowicie.

całkowicie

ROZDZIAŁ 6

31 MAJA, PIĄTA NAD RANEM

Odjechaliśmy spod sklepu Gusa, przejechaliśmy przez St. George, kierując się na Moniac. Na St. George składają się jedna stacja kolejowa, jedna szkoła podstawowa, jedna stacja benzynowa, jedna restauracja, jedno skrzyżowanie i także jeden urząd pocztowy. Zatrzymałem się na skrzyżowaniu, zastanawiając się i próbując przypomnieć sobie, gdzie znajduje się poczta, kiedy usłyszałem coś, co brzmiało jak śmigłowiec przelatujący tuż nad moją głową. Pomyślałem: „Jaki wariat lata w taką pogodę?”. I wtedy usłyszałem coś, co brzmiało jak śpiew. Światła na skrzydłach uniosły się, zawróciły i skierowały na wschód. Jakieś trzydzieści metrów przede mną maszyna obniżyła lot i skręciła nieco na prawo. Nie jestem ekspertem od samolotów, ale wiedziałem, że to dwupłatowiec z odkrytym kokpitem. Przypominał mi samolot, jakim latał Czerwony Baron. Jego kadłub lśnił błękitem nieba, a skrzydła były jaskrawożółte. Wtem zobaczyłem, że przejechał przez przejazd kolejowy, jakby był samochodem, i wreszcie zatrzymał się na skrzyżowaniu. Pilot pomachał nam zdjął gogle, po czym maszyna ruszyła w stronę dwudziestoczworgodzinnej samoobsługowej stacji benzynowej.

Tam wyłączył silnik, przeciągnął kartą kredytową przez dystrybutor i zaczął napełniać bak. Kiedy skończył, pokazał na niebo i krzyknął;

— Rozpętało się tam piekło. Czeka mnie długa droga do domu. Czy moglibyście mi pomóc?

Kiedy zbliżyłem się do niego, dodał:

— Chodzi o to, żeby go pchnąć.

Oparłem się więc o skrzydło i, ku mojemu zdziwieniu maszyna lekko się potoczyła. Widząc moją minę, skinię} głową.

— Jest dość lekka. — Naciągnął znowu gogle. — Wielkie dzięki.

Obrzucił długim spojrzeniem samochód, w którym spała Abbie. Potem powiedział coś do kogoś, kogo nie widziałem. Po czym zawrócił maszynę i, jakby wyruszał cadillakiem w niedzielne popołudnie, potoczył się autostradą na południe. Po jakiejś mili wystrzelił w niebo, gdzie kilka chwil potem dwa światelka pozycyjne zniknęły w ciemnościach.

* * *

Abbie chciała, żeby jej ojciec wiedział, gdzie jesteśmy, ale nie chciała do niego dzwonić. Z listu dowie się wszystkiego, co powinien wiedzieć, ale nie będzie mógł nas kontrolować. Wsunęła list do koperty, polizała ją, zakleiła i podała mi — to była ta pojedyncza kartka, która wcześniej leżała na stoliku koło łóżka. Poszedłem na pocztę. W chwili gdy już miałem przykleić znaczek, coś mi przyszło do głowy. Potrzebowaliśmy czasu. Problem z pocztą polegał zaś na jej skuteczności. Ta bowiem gwarantowała, że list dotrze do niego za dzień lub dwa. A chciałem, żeby dotarł do niego najwcześniej w przyszłym tygodniu. Jeszcze lepiej, gdyby było to pod koniec przyszłego tygodnia. Wróciłem więc do Abbie.

— Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym zyskał dla nas kilka dni?

Odpowiedziała skinieniem głowy, zmuszając się do nikłego uśmiechu.

— Byle tylko dotarł na miejsce.

Obszedłem budynek, szukając wrzutni, po czym zamieniłem adresy na kopercie. To znaczy jako adresata podałem nasz adres domowy, a jego adres wpisałem jako nadawcę. Następnie odkleiłem znaczek i wrzuciłem kopertę do skrzynki.

Bez wymaganej czterdziestojednocentowej *opłaty* spędzi w cudownym świecie poczty kilka dni, podczas których pocztowi biurokraci będą go przerzucać, wściekli, że nie ma znaczka, i że nie ma też ustalonej kary — powiedzmy raczej zemsty — na tego, kto tak niechlujnie wysłał list. A to opóźni przesłanie go pod właściwy adres. W końcu przybiją czerwoną

pieczętkę: **NIEWYSTARCZAJĄCA OPŁATA**, i wreszcie, z czystej litości w stosunku do biednej duszyczki, która przez pomyłkę tak list wysłała, zwrócić go nadawcy na adres widniejący w lewym górnym rogu — a tego dokładnie chciałem. Kiedy ojciec Abbie zobaczy list, zrozumie natychmiast, że kupowałem sobie dodatkowy czas. Nie jest przecież głupi. Znałem go. Wiedziałem, że będzie mnie przeklinał, że nawet mnie nie było stać na to, by przykleić znaczek, ale biorąc pod uwagę listę jego pretensji do mnie, ta kolejna nie znajdzie się nawet w pierwszej pięćdziesiątce.

Dwadzieścia minut później wjechaliśmy na drogę krajową numer 94 prowadzącą na zachód do Moniac — miejsca, które widnieje na niewielu mapach.

Moniac określano krótko: „wspólnota”, ponieważ śmiesz — nie byłoby nazywać je miastem. Położone jest na południe od bagien Okefenokee, dwadzieścia siedem mil na wschód od Fargo i dwanaście mil na zachód od St. George, co oznacza, że leży pośrodku niczego. To jednak coś więcej niż skrzyżowanie autostrad 94 i 121. Bo poza tym jest tam sklep, most stary, zaniedbany sad orzechów pekanowych. Mieszkańcy osady komunikują się przez CB — radio, ponieważ komórki nie mają zasięgu.

Większość ludzi, którzy tamtędy przejeżdżają, nawet nie wie, że byli w takim miejscu. Ale ważny jest most.

Pod nim przepływają górne dopływy St. Mary i tu dochodzą moczary Okefenokee. Większość kajakarzy powie wam, że rzeka nie nadaje się do nawigacji jeszcze przez następne trzydzieści mil, można nią pływać dopiero od Stokes Bridge, gdzie zakręca i kieruje się na północ, ale gdy pominie się ten odcinek, straci się też najpiękniejszy jej fragment. To coś takiego, jakbyśmy rodzili nastolatki. Można się cieszyć że ominął nas okres pieluszek i raczkowania, ale ile się jednocześnie tym samym traci.

Przejechaliśmy przez most, zakręciliśmy i zjechaliśmy boczną drogą w dół. Na brzegu pełno było pozostałości po starych ogniskach: zwęglone polana, niedopałki papierosów puste butelki.

Okolice mostu wyglądała jak sceneria „Mad Maksa”. Kiedy budowlańcy kończyli wiadukt, wrzucili cały niepotrzebny cement i pręty do rzeki. Do tego z czasem dorzucono puszki po piwie i butelki sprite'a, które teraz niczym korki unoszą się na wodzie pomiędzy ogromnymi cedrami, wyrastającymi z licznych szczelin.

No i wreszcie sama rzeka.

Czy wchodziliście kiedyś do baru w stylu lat siedemdziesiątych, takiego z filmów Austina Powersa, gdzie wejścia do domów przesłaniają sznurki z nanizanymi koralikami? Żeby wejść do środka, trzeba mocno rozsunąć je rękoma. Zejście do rzeki wygląda podobnie. Dęby z gładkimi od wody pniami połączone drapiącymi pnączami i hiszpańskim mchem w którym mieszkają przeróżne larwy, zwieszają się nad wodą, tworząc zasłonę prawie nie do pokonania. Tylko od czasu do czasu widać prześwity. Te sękaty drzewa, wznosząc się nad brzegiem, opuszczają nisko swoje ramiona i zwisają nad urwiskiem niczym ogrodzenie. Tym samym szepią swoje liście w ciernisty żywopłot.

Rzeka chroni siebie — i tych, którzy wkroczyli na jej teren.

A potem pogodnie płynie na południe, między obumarłymi drzewami, przez żerowiska bobrów, omijając kikuty cyprysów. W Moniac rzekę można przeskoczyć, a głęboka jest ledwie na kilka stóp.

Zawróciłem pod wiaduktem i zaparkowałem pod mostem. W miejscu gdzie samochód byłby niewidoczny dla poszukujących nas helikopterów. Po czym zabrałem się za rozpakowywanie. Deszcz ustąpił i wyjrzało słońce, ogrzana rzeka zaczęła natychmiast parować. Ale trwało to niedługo, bo kiedy niosłem Abbie do kanu, deszcz lunął znowu.

Wszedłem do rzeki i poślizgnąłem się na omszałym kamieniu — ale utrzymałem Abbie. Tyle razy wchodziłem do tej rzeki, że mogłem być ostrożniejszy. Ułożyłem ją na dnie kanu, na ściworze. Przy użyciu palików namiotowych, błękitnego brezentu i nylonowych linek skonstruowałem rodzaj namiotu od dziobu do środka kanu. Stopy mogły jej zmoknąć, ale

głowę będzie miała w górze i osłoniętą od deszczu, a ja będę miał na nią oko. Zmieniłem plaster z fentanylem. Nowy przez kolejne siedemdziesiąt dwie godziny będzie jej aplikować lekarstwo. Plaster wyglądał jak te, których używają ludzie próbujący rzucić palenie. Był wodoodporny, można było z nim brać prysznic, kąpać się, a nawet pływać. W jej przypadku Duragesic okazywał się środkiem skutecznie uśmierzającym ból. Ja nazywałem go lekarstwem reagowania pierwszego stopnia, bo gdy poziom bólu się zwiększy, będziemy potrzebowali kolejnych stopni. Zamknąłem jeepa i stanąłem Pod wiaduktem. Patrzyłem na deszcz, a po mojej nodze maszerował nasosznik trzęś, mały pająk o niezwykle długich nogach. Niewiele osób wie, że jest to jeden z najbardziej jadowitych znanych pająków. Jedyne jego problem polega na tym, że ma zbyt małe szczękoczułki, zwane chelicerami, by ukąsić człowieka.

Załadowałem kanu wszystkim, co wcześniej było zapakowane w bagażniku jeepa, a potem okryłem to kolejnym brezentem. Ostatni raz powędrowałem do samochodu i zabrałem jaskrawożółtą walizeczkę wodoszczelnej apteczki,

Poza Abbie nie było na kanu nic bardziej wartościowego.

* * *

Nie sądzę, by Gary był bardzo uszczęśliwiony moim widokiem, kiedy zastukałem do jego drzwi. Była druga nad ranem. Miał na sobie szlafrok i wyglądał na nieco nieprzytomnego.

— Czy z Abbie wszystko w porządku? — wydusił przytomnie.

Wyjaśniłem mu, co zamierzamy zrobić, podczas gdy on przygotowywał kawę. Zdmuchnął parę znad kubka.

— Wiesz, że jesteście nienormalni.

Wypisał mi trzy recepty. Potrząsnąłem głową.

— Gary, nie mogę ich zrealizować.

— Dlaczego?

— Ponieważ farmaceuta z pewnością zadzwoni do ciebie żeby się upewnić, czy nie wypisałeś ich przez pomyłkę, a senator dostanie cynk i będzie wiedział, że coś jest na rzeczy. A wtedy nie wyjedziemy z Charlestonu. Nie masz tych środków u siebie w gabinecie?

— Mam. Ale nie mogę ci dać takiej ilości narkotyków, jeśli nie mam na to świadka. Musicie poczekać parę godzin.

— Nie mamy kilku godzin.

— Doss, prawo nie bez powodu wymaga, by trzymać takie środki pod kluczem. To lekarstwa ścisłego zarachowania.

Zadzwonił kluczykami. — Ja je mam. Ale kierownik biura zna kombinację cyfr.

— Daj spokój, Gary. Nie jestem aż taki naiwny.

— Nie zrobię tego. Jeśli ktoś nas nakryje, stracę licencję.

— Więc podaj mi te cyfry.

— Jakie?

— Kombinację. Nie jestem idiotą.

Wziął głęboki wdech.

— Wracam do łóżka. — Położył klucze na blacie i wycofał się z kuchni. — Pierwsza szuflada od lewej. Po lewej stronie. Zapisane ołówkiem. Wspak, więc zacznij od prawej do lewej. I nie spoglądaj w kamery, będą nad twoim lewym ramieniem. Mamy dwudziestoczterogodzinny monitoring. Byłoby najlepiej, gdybyś założył na głowę pończochę.

Kiedy wyszedł, złapałem klucze, pojechałem do jego gabinetu i wszedłem do środka. Znalazłem szyfr, zapisałem go wspak, otworzyłem szafę i za drugim podejściem drzwiczki do sejfu otworzyły się z cichym kliknięciem.

Znalazłem to, czego potrzebowałem, wrzuciłem do plastikowej torby i już miałem wychodzić, kiedy zobaczyłem nieotwarte pudełko leku o nazwie Actiq. To przeciwbólowe pastylki do ssania o smaku truskawkowym, w dozach od 200 do 1600 ug. Przepisywano je dzieciom i starszym osobom, tym więc, którzy potrzebowali szybko działającego środka przeciwbólowego aplikowanego doustnie. W czasie ostatnich miesięcy lizaki Actiq stały się ulubionymi cukierkami Abbie. Brała je, kiedy tylko czuła potrzebę. Złapałem więc całe pudełko. Przez ten cały czas ani razu nie spojrzałem w stronę kamery, ale ponieważ zapaliłem światło i nie założyłem na głowę pończochy, nikt nie będzie mieć żadnych wątpliwości.

Wszystkie lekarstwa, które znalazły się w moim posiadaniu, miały za zadanie walkę z bólem na różnych poziomach — dość ich było jednak, by zapewnić mi odsiadkę w razie złapania.

Pojechałem z powrotem do domu Gary ego, oddałem mu klucze, a on przejrzał zawartość mojej torby. Oddał mi ją mówiąc urzędowym tonem:

— Posłuchaj, to naprawdę ważne. Masz sześć strzykawek deksametazonu, dwie dopaminy i dość plastrów fentanylu, starczy to wam na miesiąc. Zastrzyki deksametazonu zmniejszą obrzęk mózgu, dając jej kilka godzin jasności umysłu, tak że będzie się czuła prawie normalnie. Jeśli ciśnienie śródczaszkowe zbyt wzrośnie, może wystąpić ucisk na rdzeń mózgowy, co z kolei może spowodować jedną z dwóch rzeczy. Jeśli nastąpi wzrost ciśnienia krwi, nie możesz zrobić nic. Ona zresztą nie będzie tego odczuwać. Natomiast jeśli dojdzie do spadku ciśnienia, może to wywołać problemy z oddychaniem i doprowadzić do wstrząsu. Dopamina będzie temu przeciwdziałać, podnosząc tętno i ciśnienie. Mówiąc bardziej obrazowo, deksametazon jest bomba nuklearną dla jej węzłów wytwarzających adrenalinę. Każdy zastrzyk to jak wstrzyknięcie paliwa do silnika samochodu. Będzie świetnie działał, póki starczy paliwa, ale kiedy ono się skończy, silnik może stanąć. Wspinacze wysokogórscy, tacy, którzy zdobywają K2 czy Everest, działający w strefie śmierci, zabierają ten środek na wszelki wypadek, gdyby musieli przeciwdziałać efektom obrzęku mózgu. Jeśli miałeś kiedyś kompletnie

zatkany nos i zastosowałaś Afrin w sprayu, możesz sobie wyobrazić, o czym mówię.

Uniósł w górę palec.

— A... i jeszcze jedno. Zarówno dopamina, jak i deksametazon są bardzo skuteczne, ale kiedy połączysz ich działać mogą okazać się groźne. Wchodzą ze sobą w reakcję. Użycie jednego z drugim może zniwelować ich działanie.

Miał rację. Abbie używała różnych odmian tych leków od tak długiego czasu, że uodporniła się na ich działanie. Co oznaczało, że potrzebowała ciągle więcej narkotyku, by uzyskać ten sam efekt. Co nie byłoby takie najgorsze, gdyby ból pozostawał na tym samym poziomie. Problem w tym, że ból narastał, a nasze możliwości walki z nim gwałtownie się zmniejszały.

— Jako jej lekarz jestem zobligowany, żeby powiedzieć ci jeszcze i to. — Skrzyżował przed sobą ramiona. — Te środki zażywane przez długi czas wywołują wrzody, krwawienia, euforię, zatrzymywanie płynów w organizmie, niewydolność serca, zamglenie widzenia oraz jaskrę. Poza tym żadnych innych efektów ubocznych.

— Nie mamy problemu ze zbyt długim okresem stosowania tych środków — wzruszyłem ramionami.

Wsadził ręce w kieszenie i podszedł do okna, wyglądając na ulicę.

— I jeszcze coś...

— Tak?

— Koniec przyjdzie niespodziewanie i nie będzie to miły widok. Prawdę mówiąc, najpierw usłyszysz, potem zobaczysz. To jak bomba z opóźnionym zapłonem. Nic nie możesz zrobić, choć wiesz, gdzie jest bezpiecznik.

Pokazał na torbę pełną medykamentów.

— Deksametazon... jedna dawka złagodzi ból... po dwóch będzie nieprzytomna przez cały dzień... a trzy... no cóż...

Wiedziałem, co chce mi powiedzieć.

— Dziękuję, Gary.

— Jeśli masz mi jeszcze coś do powiedzenia, powiedz to teraz.

Podszedłem do schodów.

— Zamknij oczy.

— Słucham?

— Po prostu zamknij oczy. Mam dla ciebie prezent.

Zrobił, o co prosiłem, a ja z całej siły wymierzyłem lewy sierpowy prosto w jego lewe oko.

Zwalił się na podłogę.

— Dlaczego to zrobiłeś!?

Pomogłem mu się podnieść.

— Potrzebujesz dowodu na bajeczkę, z jaką zamierzasz się za parę godzin udać do kierownika biura. — Pokazałem na jego nabrzmiewające oko. — Teraz już ją masz.

— Mogłeś mnie uprzedzić.

— Przepraszam. — Podałem mu lekarstwo. — Trzymaj, to trochę uśmierzy ból.

— Bardzo zabawne.

Odwróciłem się i zacząłem schodzić po schodach.

— Doss, czy naprawdę wiesz, co zamierzasz zrobić?

Jeszcze raz wzruszyłem ramionami.

— Nie do końca. Ale wiem na pewno, że nie mogę tutaj zostać.

Potrząsnął głową.

— Nie zazdroszczę ci.

— Do zobaczenia, Gary. Przykro mi z powodu oka.

— I jeszcze jedno — usłyszałem.

— Tak?

— W środowisku lekarskim wiele się ostatnio rozmawia, co to właściwie oznacza podać zbyt wiele narkotyku. W związku z dyskusjami o eutanazji nieustannie, czy to głośno, czy po cichu, pytamy samych siebie, kiedy my, lekarze, przekraczamy tę cienką linię dzielącą przynoszenie ulgi w cierpieniu od... pomagania w przejściu w wieczny sen. Rozumiesz, co ci chcę powiedzieć? — Skinąłem głową. — Biorąc pod uwagę uodpornienie się Abbie na działanie lekarstw, ona potrzebuje silnych dawek. Jeśli... jeśli podasz jej to, czego będzie potrzebowała... może się tak skończyć, że zostaniesz oskarżony... Na obszarze między tym, co się będzie znajdowało w torbie z lekarstwami, a tym, co znajdzie się w jej organizmie, zbudują dla ciebie więzienie.

— Dzięki, Gary.

Przywiązałem apteczkę do mojego siedziska w kanu i przesunąłem za plecy. Mogłem stracić wszystko, tylko nie to. No i jeszcze może nie rewolwer. Wsiadłem do łódki i odbiłem od brzegu, zanurzając czubek wiosła w wodzie. W mojej kieszeni zawibrował telefon. Na wyświetlaczu pokazały się trzy litery: SIR. Nie powiem, żebym się tego nie spodziewał. Wsadziłem więc telefon z powrotem do kieszeni, pozwalając, by dzwonił. Kiedy się z Abbie pobraliśmy, udawało mi się unikać jego opieki. Ostatnio już nie tak bardzo. Kilka minut później telefon zadzwonił ponownie. A potem znowu. Abbie wyszeptała spod brezentu:

— Lepiej odbierz. Wiesz, jak on nie znosi czekać.

Kiedy telefon zadzwonił po raz czwarty, otworzyłem klapkę. Głos, który zabrzmiał, przypominał mi od razu, że słucham człowieka, który przemawia w izbie wyższej, Senacie. I rzeczywiście, był to głos, który transmituje C—Span, FOX i CNN.

— Gdzie jest Abigail Grace?

Podwójne imiona to tradycja Charlestonu. W ten sposób przypomina się fakt przynależności do szlacheckich rodów. Kiedy gubernator Coleman zapisywał Abbie do Ashley Hall, od razu planował, że jego córka zajdzie wysoko. Wyżej od innych. Jeden z najmłodszych gubernatorów— elektów w historii Stanów Zjednoczonych oczekiwał, że ludzie będą skakać przed nim na czterech łapkach, i otoczył się takimi, którzy pytali tylko: jak wysoko. Ona, w warkoczykach i sznurach pereł na szyi, miała to za nic. Nie pracowała w jego zespole, nie miała ambicji większych, niż tylko być jego córką, a o jego tytuł nie dbała wcale.

Tak zaczęła się ich próba sił.

Żyli ze sobą, ale w pewnym skrępowaniu. Zwarciu. Publicznie prezentowali zawieszenie broni. To był jej prezent dla niego. No i oboje byli charlestończykami. Więc mieli klasę. Ale jeśli się wsłuchało w sposób, w jaki mówiła do niego: „tatusiu”, można było to usłyszeć.

Abbie, od chwili kiedy ją pierwszy raz spotkałem, była dla mnie wieczną niespodzianką. Na zewnątrz — córka senatora, urodzona w koronkach, wychowana przez opiekunki, wykształcona w Ashley Hall, gdzie w powietrzu rozchodziło się nadal echo kreolskiej kołysanki *Urodziłam się w Charlestonie, mieszkam w Charlestonie i tutaj też umrę*. Zanurzona w tradycji tego miejsca i jego kulturze, pierwsze słowo, jakie wypowiedziała, brzmiało ponoć: *deb*, jak debiutantka, czyli panna z dobrej rodziny wprowadzana w towarzystwo podczas specjalnego balu. Ale tuż pod powierzchnią, na której pływamy w życiu, był jej dom. Znacznie lepiej czuła się więc na plaży, w bikini lub w obciętych dżinsach niż na balach Hibernia Society, owinięta w perły i w białych rękawiczkach sięgających do ramion. W jakiś sposób bez wysiłku potrafiła się poruszać pomiędzy tymi dwoma światami.

Panna Olivia, która zmieniała jej pieluszki, a potem zajmowała się jej wychowaniem, podczas gdy ojciec starał się o kolejną reelekcję, opowiadała,

że jakoś tak w pierwszej klasie Abigail Grace Eliot Coleman podparła się pod boki i tupnawszy nogą, zapytała: „A co jest złego w Abbie?” i z każdym rokiem, wprost proporcjonalnie do eskalacji jej wojny z *nim*, skracala swoje imiona. Między trzecią a szóstą klasą obciosała je z „Abigail Grace” do „Abbie Grace” Brzmiało uroczo, ale wciąż dystyngowanie. Pasowało też do niej jako odtwórczyni głównej roli w musicalu „Annie” w teatrze przy Dock Street. W gimnazjum, kiedy zaczęła pojawiać się jako modelka w katalogach sprzedaży wysyłkowej ubrań i w miejscowych reklamach, jej imię przeżyło kolejną kastrację do „Abbie G.”. Operacja ta była dla *niego* bolesna, ale formalnie córka miała nadal dwa imiona, w dodatku skrót używano tylko w miejscach nieoficjalnych, czyli nigdy nie w *jego* towarzystwie. Wierzył, że *jego* dziewczynka wyrośnie z tego. W szkole średniej zapowiadała się na ideał piękności, w dodatku miała znakomite oceny. Wtedy zażyczyła sobie, by mówić do niej „Abbie”. Odmówił. Szesnastoletnia Abbie nie ustąpiła, co gorsza, podpisała kontrakty z dwoma największymi producentami kostiumów kąpielowych w kraju. Za zarobione pieniądze kupiła bilet do Nowego Jorku, gdzie wraz ze swym agentem — prawnikiem przysłanym przez ojca — spotkała się z firmami kosmetycznymi produkującymi szampony i perfumy, firmami produkującymi stroje sportowe, w tym słynną marką strojów kąpielowych, oraz monopolistą bielizny damskiej. Pod koniec studiów ojciec zorientował się, że wykładowcy zwracają się do niej „Abbie”. To nie było dobre, ale miało być jeszcze gorzej. Dużo gorzej.

Pewnej soboty, po zjedzeniu rogalików popitych dwiema filiżankami kawy mającymi go, jak co ranka, postawić na nogi, przeglądał pismo, w którym natknął się na reklamę kostiumów kąpielowych i jej zdjęcie. Pismo powędrowało do kosza, a wraz z nim prenumerata. Abbie skończyła studia, a on zaproponował ugodę, wręczając prezent. Wyciągnął z garażu mercedesa i dał jej kluczyki. Ale zawieszenie broni trwało bardzo krótko. Przemawiając na ceremonii wręczenia dyplomów, senator Coleman z emfazą wymienił jej pełne imię, przekonany, że tym samym przywraca ją do prawowitego dziedzictwa, jakby odnawiał jej rodowe drzewo. W ten sam sposób — warto zauważyć — opowiadają o swoich koniach ich właściciele . Ale jego

uśmieszek, zdradzający zadowolenie z siebie, był przedwcześnie. Rok później „Abbie Eliot” przy— Pieczętowała swoją rebelię, wyjeżdżając z hrabstwa Georgetown i podpisując kontrakt w Nowym Jorku. Podczas następnych tygodni kursowała między Europą a Dalekim Wschodem. Nim skończyła dziewiętnaście lat, pracowała w Nowym Jorku i Londynie, a jej podobizna, uwieczniona na lśniących okładkach pism, spoglądała na niego z równie lśniących stolików w gabinecie jego dentysty. Nazwisko, którego używała w kontaktach zawodowych, nie miało z nim żadnego związku. To był cios, którego nie potrafił znieść.

Wypracowała własne nazwisko. I to jej odpowiadało.

* * *

Głęboki oddech.

— Jest tutaj.

— Co to znaczy tutaj? — Potrafił być bardzo bezpośredni, kiedy tego chciał.

— Tego panu nie mogę powiedzieć.

— Nie mogę, czy nie powiem?

Rozumiecie, co miałem na myśli. Odpowiedziałem więc po chwili:

— Nie powiem.

— Synu... — roześmiał się jakoś niewyraźnie. Senator Coleman nie lubił sytuacji, nad którymi nie miał kontroli. Teraz, kiedy został przewodniczącym Komisji Finansów, nie lubił ich jeszcze bardziej. — Wystarczy, żebym skinął palcem a każdy przedstawiciel prawa stanów Georgia, Północna Karolina i Południowa Karolina zabierze się za poszukiwanie mojej córki. I nie będę zastanawiał się ani chwili, czy przypadkiem nie użyć Gwardii Narodowej.

— Wspominała mi o tym.

— Wątpisz w moją determinację, synu?

— Nie, proszę pana, nie wątpię w pańską miłość do córki jeśli o to właśnie mnie pan pyta. Ale... to jest coś, co muszę zrobić.

— Synu, coś ci się pomieszało. Masz natychmiast ją tutaj przywieźć...

— Proszę pana, jakaś moja część bardzo by chciała to zrobić ale... z całym szacunkiem, pan nie wie...

Teraz już podniósł głos.

— Nie mów mi, czego ja nie wiem!

Podczas gdy publicznie był zawsze w pełni opanowany, swobodny, a przy tym gładki jak krawat od Hermesa, jego prawdziwe maniery bardziej przypominały kastet. Kiedy ponosiły go nerwy, w kącikach ust zaczynała gromadzić się ślina, którą pluł niczym jadem.

— Nie uda ci się daleko uciec. Możesz się chować, i tak cię odnajdę... A wtedy schowam cię naprawdę dobrze, bo w więzieniu.

Wydaje mi się, że zdążyliście już się zorientować, iż naszych stosunków nie można porównać do żeglowania po spokojnych wodach. Ale chociaż on mną gardził, ja zawsze go podziwiałem. Nawet głosowałem na niego. Zaczynał, posiadając niewiele, a osiągnął dużo. Zostać wybranym to jedno, a być wciąż wybieranym, to już całkiem inna sprawa. Jemu udało się zarówno jedno, jak i drugie. Od wyborów na gubernatora po czwartą senatorską kadencję nie przegrał żadnej elekcji. Jego macki sięgały dużo dalej i szerzej poza Waszyngton. To było i błogosławieństwo, i przekleństwo, ponieważ to, co się mówi o władzy, jest prawdą. Uważam więc, że kiedy wchodził w buty dawnego chłopaka z Południowej Karoliny, ze źdźbłem trawy w ustach, układało nam się całkiem dobrze.

Przełknąłem ślinę i popatrzyłem przed siebie, na tle wody widziałem bladą twarz Abbie w ramie z brezentu. Senator

Coleman nienawidził myśli o umieraniu z jednego prostego powodu. Śmierć była poza jego kontrolą, a śmierć bliskich mu ludzi przypominała o

tym aż nazbyt dobitnie. Fakt, iż jego córka nie okazuje ani odrobiny lęku, obnażał jego jedyną słabość. Zawsze wydawało mi się to dziwne, że ktoś tak potężny, tak spełniony, może być tak łatwo wytrącony z równowagi przez coś, czego nikt, żaden człowiek, nie zdołał pokonać. I z tego właśnie powodu ostatnimi laty nie widywaliśmy go często. Zauważcie, że wspomniałem tylko o widzeniu. Nie mówię, że nie był pomocny. Był. To jednak skomplikowane. Wysyłał nas w miejsca, do których sami nigdy byśmy nie dotarli. I niejednym razem przesuwał nas na czoło kolejki. Kiedy nie lecieliśmy gdzieś pierwszą klasą, to tylko dlatego, że posyłał po nas prywatny samolot. Pomagał na odległość, ponieważ będąc zbyt blisko, za bardzo cierpiał. Poza jednym przypadkiem. Tym sposobem dowiedziałem się, że ją kochał. Ona wiedziała to także, ale to niczego nie ułatwiało.

Musiałem zakończyć rozmowę, zanim namierzą telefon przez satelitę. Jako znaczący członek lub przewodniczący wielu komitetów, którym podlegały, bagatela, różne służby wojskowe, z pewnością spowodował, że już mnie namierzali.

— Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro z wielu powodów, ale ja... — powiedziałem cicho — robię to dla Abbie.

— Ona powinna być tutaj. Z nami.

— Z całym szacunkiem, sir. Miał pan cztery lata. Trudno o bardziej cierpliwą publiczność. Gdyby chciał pan z nią być, miał pan możliwość.

— A to co ma niby oznaczać? — jego gniew był wręcz namacalny. Nie był przyzwyczajony i nie tolerował dyskusji, która by nie prowadziła do całkowitej zgody z jego ocenami. Ponieważ ja nigdy nie potrafiłem się do tego zastosować, nasze rozmowy były krótkie i zazwyczaj on je zaczynał, i on je kończył. Zaczęło się to w chwili, kiedy poprosiłem go o rękę jego córki. To też była krótka rozmowa.

— Proszę pana, nie oczekuję, że pan zrozumie.

Teraz już naprawdę krzyczał.

— Masz urojenia... nigdy byś nie osiągnął niczego, gdyby nie Abbie.

— Zgadzam się z panem, sir, ale...

— Jakie ale?!

Patrzyłem na Abbie.

— Proszę zrozumieć... — zacząłem coś mówić, ale zatrzasnąłem telefon i cisnąłem go do rzeki, woda zamknęła się nad nim. Tam, gdzie wpadł, pojawiły się małe bąbelki powietrza.

Wdrapałem się na swoje miejsce, moje dłonie przypomniały sobie kształt wiosła. Przez chwilę zastanawiałem się nad jednym słowem, które najlepiej opisałoby moją żonę. Można by pomyśleć, że po czternastu latach przyjdzie mi do głowy coś bardziej oryginalnego niż Słońce, które — przyznaję — jest dość banalne.

Postukałem palcem w artykuł zamknięty w plastiku.

— Musisz wybrać to najtrudniejsze.

— Nie jestem tutaj, żeby wybierać tylko jedno.

— Zrozumiałem. W takim razie musimy się pośpieszyć.

— Mhm.

— Ty odpoczywaj. Ja będę wiosłował.

Jej twarz pękła w uśmiechu.

— Tak właśnie powinno być.

Zanurzyłem wiosło w wodzie i nacisnąłem z całych sił, budząc uśpione trybem życia mięśnie. Wślizgnąłem się w zasłoniętą draperią z hiszpańskiego mchu odnogę rzeki. Ocean był sto trzydzieści mil przed nami — godzina samochodem lub tydzień rzeką.

To, co zewnętrzne, zostało nam zabrane. Życie zawodowe Abbie, jej uroda, zapraszająca miękkość łona, ponętne kształty... I ten jej uśmiech,

zdradzający pewność siebie. To wszystko było tylko powłoką. Bez tego mogliśmy żyć. Ale co ze sprawami, których nie widać? Jej nieokiełznaną pasją życia, namiętnością do mnie, dziecięcą wprost wiarą w tak wiele rzeczy czy choćby niezwykłymi marzeniami. Abbie była skorupą swego dawnego ja. Słabiutkim szkieletem odzianym w upiorny strój. Jedyne co zostało, to czas.

Nie jestem mędrce. Nie będę udawał, że wszystko to zrozumiałem, ale wiem jedno: niektórzy potrafią dobrze żyć niektórzy potrafią dobrze umierać, ale niewielu umie dobrze kochać. Dlaczego tak się dzieje? Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Wszyscy żyjemy i wszyscy umieramy, przed tym nie da się uciec, ale liczy się tak naprawdę czas pomiędzy tymi dwoma momentami. Umieć dobrze kochać... to dopiero coś. To bowiem w istocie wieczne wybory — coś, co robi się raz po raz, bez końca. W każdych warunkach. I z mojego doświadczenia wiem: jeśli dokonacie już wyboru, musicie się liczyć także z cierpieniem.

Nie zamierzałem oglądać się wstecz ani patrzeć przed siebie. Więc zanurzając raz po raz w wodzie wiosło, spoglądałem na Abbie. Więcej nie potrzebowałem.

ROZDZIAŁ 7

Obudziłem się późnym popołudniem, z obolałą twarzą i z jednym okiem tak opuchniętym, że nic nim nie widziałem. Wargi miałem popękane i niepasujące do reszty twarzy. **Przenikliwy** ból w okolicach żeber uświadomił mi dobitnie, że mam je albo złamane, albo poważnie stłuczone.

Wstawiłem wodę, żeby ugotować makaron, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi. Wciągnąłem na bokserki dzinsy i otworzyłem.

To była ona.

Stałem niczym jeleń schwyty w światła reflektorów.

Rozejrzała się w prawo i w lewo, po czym, bez zaproszenia, wyminęła mnie i weszła do środka. Miała na sobie czapkę baseballówkę, dresową bluzę i dzinsy, wyglądała jak jedna z tych gwiazd Hollywoodu, która wybrała się na zakupy do centrum handlowego, ale stara się, by nikt jej nie rozpoznał. Wystawiłem głowę za drzwi, rozejrzałem się po ulicy, a potem spojrzałem znowu na nią. Wskazała na drzwi, więc je zamknąłem, a potem cofnąłem się w głąb pomieszczenia, stając koło kuchenki, gdzie nie padało światło ulicznych lamp.

Z rękami w kieszeniach rozglądała się, choć nie było tu wiele do zobaczenia. Kiedy wreszcie spojrzała na mnie, w oczach miała łzy.

— Nawet ci nie podziękowałam. Tylko uciekłam i... — wytarła twarz rękawem.

— Napijesz się herbaty?

— Tak. — Uśmiechnęła się.

Wiele nie miałem, ale herbatę owszem. Sięgnąłem do szuflady pełnej torebek. Roześmiała się.

— Tak lubisz herbatę?

Wzruszyłem ramionami.

— Ja... kradnę ją z pracy. Jedną lub dwie każdego dnia. Czasami trzy. Kawę jest wziąć trudniej.

Znowu się roześmiała. Nalałem wody do dwóch filiżanek i wskazałem jej krzesło stojące w kącie. Ponieważ nie miałem stołu, często jadłem, siedząc na tym właśnie krześle z talerzem na kolanach. Usiadła, a ja przykucnąłem przy ścianie, ze sznureczkiem od herbacianej torebki owiniętym wokół palca. Popijała małymi łydkami, wpatrując się w moje prace, które bądź stały oparte o ściany, bądź na nich wisiały, wypełniając całe studio. Przeniosła wzrok na antresolę.

— Sporo pracujesz.

Podniosłem z podłogi podkoszulek, odwróciłem go na prawą stronę i wciągnąłem przez głowę. W tej samej chwili wiedziałem, że popełniam błąd. W zeszłym tygodniu skończył mi się dezodorant, a z pewnością przez następne dni nosiłem ten właśnie T— shirt. Wyciągnąłem więc przed siebie rękę, mówiąc pod nosem:

— Zaraz wrócę.

Wbiegłem po schodach, włożyłem czysty podkoszulek, przetałem się pod pachami ręcznikiem, popryskalem tanią wodą po goleniu, po czym zszedłem na dół i sięgnąłem po kubek z herbatą.

— Zapomniałeś o... jednym. — Pokazała ręką.

Spuściłem wzrok i zobaczyłem, że mam rozpięty rozporek. Kiedy się z nim zmagalem, ona odstawiła herbatę i ruszyła oglądać moje prace. Powoli przechodziła od jednej drugiej. Naprawdę je oglądała. Siedziałem w milczeniu. Przy trzecim czy czwartym płótnie zatrzymała się i rozejrzała.

— Gdzie jest obraz tej Kreolki?

— Co?

Pokazała na wewnętrzną ścianę.

— Stał oparty w tym miejscu. Pracowała na targu niewolników, wypłatając kosz.

Podczas pierwszego tygodnia studiów wędrowałem po rynku, robiąc zakupy, kiedy natknąłem się na tę kobietę. Musiała mieć jakąś siedemdziesiątkę. Siedziała oparta o ceglana ścianę okalającą rynek, u jej stóp leżało ze sto koszy, a z warg wystawało źdźbło trawy. Była bezzębna, miała sękaty dłonie, brudną sukienkę, poszarpany kapelusz, ale coś niezwykłego ujrzałem w jej oczach... Za jej zgodą spędziłem w tym miejscu tydzień — każdego popołudnia jedną godzinę, kiedy oświetlało ją przefiltrowane przez drzewa miękkie światło — i malowałem ją.

— Każdy maluje Kreoli — odezwała się, wzruszając ramionami. — Stanowią tutaj popularny temat. Ale tobie udało się coś nadzwyczajnego. Nie widziałam tego nawet na obrazach w Nowym Jorku. Udało ci się uchwycić wyraz oczu. A panna Rachel... — postukała w ramę — ma najłagodniejsze, najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek stworzył Bóg.

— Znasz ją?

Spojrzała na mnie ponad ramieniem.

— Ja tutaj wyrosłam.

Byłem zmieszany. Podrapałem się po głowie. Nigdy nie Mawiałem tego obrazu w oknie.

— Gdzie go widziałas? Pokazała na okno.

— Właściwie nigdy się nie spotkaliśmy, ale... od czasu do czasu zaglądałam przez okno. Patrzyłam, czy jest coś nowego. Ciekawiło mnie, nad czym pracujesz. — Uniosła okulary i wtedy ją poznałem.

— To ty patrzyłaś na mnie zza szyby?

Skinęła głową

— Dlaczego nie weszłaś? Przecież nie gryzę.

Wzruszyła ramionami.

— Czasami lepiej być kimś nieznanym.

Potem znów w milczeniu przez dwadzieścia minut przyglądała się moim pracom. Im dłużej patrzyła, tym bardziej ja czułem się niczym nagi model w świetle reflektora.

— Kiedy kończysz studia? — spytała wreszcie.

— Właściwie to mój ostatni semestr.

Wskazała ręką cały mój dorobek.

— Jakiś problem?

— No... nie, w zasadzie nie.

Dostrzegła moje zakłopotanie i podeszła bliżej.

— Urządzamy gwiazdkowe przyjęcie. Jak co roku. Byłoby mi miło... gdybyś wpadł.

— Tak? Tylko, że... — chciałem zabrzmieć jak ktoś, kto brał udział w takich przyjęciach wiele razy — no dobrze. Jasne.

— W przyszłą sobotę. Około siódmej. Przyślę kierowcę.

Kierowcę?

— Świetnie. — Machnąłem ręką w stronę ulicy. — Mój parkuje nieco dalej. Nie lubię, jak zasłania mi widok.

Jeszcze raz rozejrzała się po moim studiu, zatrzymując wzrok na jedynej fotografii, którą posiadałem. 13 czerwca 1948 Nat Fein został wysłany na stadion nowojorskich Jankesów. Fotograf, który zawsze robił im zdjęcia, zachorował. Nat miał trzydzieści trzy lata, mieszkał po wschodniej stronie Manhattanu i specjalizował się w zdjęciach obyczajowych dla „New York Herald Tribune”. Kiedyś zrobił zdjęcie bramy cmentarnej ze stojącym obok znakiem oznaczającym drogę jednokierunkową. Ale ten 13 czerwca był specjalnym dniem. Obchodzono 25— lecie słynnego boiska na Bronksie, obchody zaś były połączone z pożegnaniem Babea Rutha, który odchodził na emeryturę. Wszyscy przyszli, żeby go tego dnia zobaczyć. Miał 53 lata, był najślynniejszym graczem baseballa w historii tego sportu, ale od dwóch lat więcej czasu spędzał w szpitalu niż poza nim. Niepisana umowa między sprawozdawcami sportowymi mówiła, żeby nie wymieniać przy nim słowa „rak”. Nat zobaczył go w szatni: Babe był tak słaby, że nie mógł zasznurować butów. Pielęgniarka zrobiła to za niego. Reporter przyglądał się temu ze smutkiem. Babe, wychudzony, w stroju zwisającym z jego pochyłonych ramion, okrył się płaszczem i powędrował na ławkę dla gości. Kiedy wywołano jego imię, tłum zerwał się z trybun. Babe zrzucił płaszcz, złapał kij i opierając się na nim, ruszył w stronę ostatniej bazy. Kiedy tam dotarł, zdjął kask lewą ręką i stanął, spoglądając na drużynę, którą zbudował. Fotografowie ustawili się w trzech liniach — przed nim. Aby zrobić zdjęcie najślynniejszej twarzy w historii baseballa. Ale nie Nat. Nat patrzył na tę twarz i nie chciał, by tak ją zapamiętano. Poza tym słynna „3” była widoczna tylko z za ostatniej bazy. Więc ustawił się właśnie tam. I podczas gdy pozostali fotoreporterzy używali fleszy, on wykorzystał naturalne światło. Zrobił zdjęcie z niskiej pozycji, prawie z ziemi, mając w obiektywie plecy sportowca i wiwatujące trybuny.

Rezultatem była jedna z najślynniejszych fotografii w historii sportu.

Następnego dnia pojawiła się ona na pierwszej stronie "Herald Tribune", a potem kupiona przez Associated Press Przedrukowana została we wszystkich gazetach w całym kraju. Dwa miesiące później Babe Ruth zmarł. A w 1949 Nat Fein otrzymał za to zdjęcie Nagrodę Pulitzera.

— Wydaje się tu nie na miejscu — wskazała zdjęcie.

Niezupełnie — potrząsnąłem głową.

WYDARZENIA

— Dlaczego? — wyglądała na zaintrygowaną.

— Przyjrzyj mu się uważnie. — Zrobiła to. — A teraz zamknij oczy. — Popatrzyła na mnie. — Po prostu je zamknij. — Założyła ręce i zamknęła oczy. — A teraz powiedz mi, co widzisz.

— Jego twarz — otworzyła oczy.

— Właśnie. Tyle tylko, że na zdjęciu jej nie widać. — Podeszedłem do ściany i wyciągnąłem zza innych potężne płótno. Przedstawiało twarz Babe'a Rutha.

— To jest coś. — Przyglądała się dobrą minutę. — Pokazywałeś ten obraz na uczelni?

Potrząsnąłem głową.

— Powinieneś.

Odstawiłem płótno z powrotem na miejsce.

— Jestem... no, po prostu, maluję twarze. A przynajmniej próbuję.

Spoglądała na mnie. Nie chciała jeszcze odchodzić.

— Dlaczego?

Skuliłem ramiona i wzruszyłem nimi.

— Dlatego że do nas przemawiają, choć nie pada ani jedno słowo.

Skinęła głową.

— Lepiej jak pójdę. On się pewnie już martwi. Przyleciał taki kawał, a ja nawet nie potrafię usiedzieć w domu.

— Kim jest *on*?

— Tatuś. — Zerknęła na zegarek. — W takim razie około siódmej, tak?

Spojrzałem na rękę, gdzie nie było zegarka.

— Jasne. Kiedy z piegów wyrosną włoski.

Parsknęła śmiechem.

— I dzięki za herbatę.

— Nie ma sprawy... tym zawsze mogę poczęstować. A się skończy, wiem, gdzie mogę zwędzić jeszcze trochę.

Wcisnęła czapkę baseballową na oczy. Teraz odezwała się bardzo cicho.

— A... jeśli chodzi o wczorajszy wieczór.

Odstawiłem herbatę.

— Każdy na moim miejscu tak by się zachował.

— Naprawdę? — Potrząsnęła głową. — Facet z lornetką oglądał nas przez okno. A pewien biegacz minął nas, udając, że niczego nie widzi.

— Skąd to wiesz?

— Trudno nie widzieć wielu rzeczy, kiedy się leży na plecach.

Wsadziłem ręce w kieszenie, chcąc wyglądać jak James Dean.

— No cóż... następnym razem niech to będzie ktoś większy. Żeby było to prawdziwe wyzwanie.

— Czy zawsze żartujesz, kiedy ktoś próbuje ci coś ważnego powiedzieć?

Milczałem.

— Wynająłem to studio osiem miesięcy temu, mając nadzieję, że uda mi się sprzedać jakieś prace. — Machnąłem ręką, pokazując pokój. — Pierwsza sprzedaż jest jeszcze przede mną. Dowcipkowanie pomaga mi... prawdę mówiąc, jest kurtyną, za którą się chowam, żeby ludzie tacy jak ty nie ujrżeli, że król jest nagi.

Zagryzła wargi.

— Z tego, co ludzie mówili, rzeczywiście nie miałeś zbyt wiele na sobie.

— To nowa kampania marketingowa. Ma przyciągnąć klientów.

— Szkoda, że ich nie potrafiłeś zatrzymać.

— Tak, to bolesne.

Przeszła przez pokój, sięgnęła po pannę Rachel i ustawiła ją w oknie.

— Każdy obraz powinien mieć jakiś tytuł. To pomoże ludziom identyfikować się z nim. Mam na myśli kupców. — Zastanawiała się przez chwilę. — *Zadowolenie*. — Popatrzyła na mnie. — Bo to właśnie wyraża.

Odwiązała zakurzoną karteczkę z ceną „300 dolarów” i powiesiła ją w rogu obrazu, potem starannie dopisała przed trójką jedynekę i odsunęła się, ssąc palec. Przechyliła głowę, zastanawiając się przez chwilę, po czym przerobiła trzy na osiem. Odsunęła się znowu.

— Tutaj ludzie chcą wiedzieć, że kupują coś wartościowego. Jeśli nie cenisz swojej pracy, czemu inni mieliby to robić? W Nowym Jorku uznaliby to za wielką okazję i... — machnęła ręką w stronę ludzi idących ulicą — tam właśnie ci ludzie robią zakupy, kiedy — przysłoniła oczy dłonią — nie stoją przy twojej witrynie.

Wcisnęła czapkę i zniknęła za rogiem. Nie zdążyła mi nawet powiedzieć, jak się nazywa.

ROZDZIAŁ 8

1 czerwca

Wyrównałem kanu i zacząłem wiosłować. Dosłyszałem stłumiony głos spod brezentu.

— Hej, przystojniaku. — Pochyliłem się do przodu. — Chyba już to kiedyś robiłeś?

— Z raz czy dwa.

Przesunęła się na bok.

— Chyba nam się udało. — Uśmiechnęła się, kombinacja fentanylu i lizaka Actiq spowodowała przyływ adrenaliny. Uklęknąłem, pot spływał mi po twarzy i kapał z nosa. — A poza tym tak naprawdę nigdy nie lubiłam Charlestonu.

Skierowała wzrok w górę.

— Możemy tam jeszcze wrócić — odparłem.

Potrząsnęła głową. Miała obrzmiały język.

— Płyniemy.

Czułem, że jej stopy mimo dość sprzyjającej temperatury, 24 C, były zimne i wilgotne.

— Jak się czujesz?

Poruszyła się niespokojnie.

— Po prostu fantastycznie.

— Głowa?

Kiwnęła nią, próbując się uśmiechać. Kiedy zaczynały się bóle głowy, mówiła, że to jak jazda kolejką górską w towarzystwie kogoś, kto wali cię w łeb młotkiem.

Przyczepione do burty płynęło za nami drugie kanu, ślizgając się po wodzie. Po obu stronach rzeki rosły wieczniezielone dęby tworzące w górze rodzaj baldachimu. Czuliśmy się jak w Nibylandii lub w świecie wojowników wodza Osce— oli. Kikuty cyprysów przebijały powierzchnię wody, podczas gdy obumarłe drzewa leżały w poprzek, tworząc mostki dla szopów praczy i uniemożliwiając wędkowanie. W tym wczesnym stadium biegu rzeki, kiedy ma ona szerokości mniej niż piętnaście stóp, nieodzowne jest burłaczenie. W najgłębszym miejscu rzeka ma ledwie stopę, w naj płytszych tylko cal, więc co chwila wysiadałem, przeciągałem oba kanu przez jakiś zwalony pień lub mierzęję, potem wskakiwałem znowu do środka, odbijałem, by po chwili znowu wyskakiwać i zaczynać całą zabawę od nowa. Po trzech godzinach takiej gimnastyki rozciągającej wykonałem prowizoryczną uprząż i ruszyłem rzeką tuż przy brzegu. Tym bardziej że woda sięgała mi po kostki.

Inaczej niż rzeki na zachodzie, które płyną dnami kanionów pomiędzy skałami, brzegi St. Mary cofają się i wznoszą w zależności od ilości deszczów, utrudniając określenie linii brzegowej, która może się zmieniać nawet o wiele stóp. Jednego dnia rzeka może być w danym miejscu szeroka na dziesięć stóp, ale jeśli popada deszcz, na drugi dzień może poszerzyć się do trzydziestu lub czterdziestu, by pod wieczór następnego dnia powrócić znowu do dawnych dziesięciu. Od lat zarówno kupujący domy, jak i firmy budowlane upewniają się, czy budynki staną poza obszarem, gdzie może rzeka wylać.

Za terenem moczarów rzeka płynie przez Moniac przy autostradzie numer 94, potem zgodnie z mapą powinna przepływać jakieś trzynaście mil od drogi stanowej numer 121, ale to nieprawda. Ktokolwiek robił tę mapę, był durniem. Bo odległość wynosi co najmniej dwadzieścia pięć mil. Przeprawa w tym miejscu jest trudna, wymaga dużego wysiłku, ale to piękne, tajemnicze, wręcz prehistoryczne miejsce. Przegapić je, to jak przegapić serce rzeki. Abbie wiedziała o tym. Dlatego właśnie powiedziała: „Całą drogę od

Moniac". Patrząc z helikoptera, widzi się wyraźnie, że na północ od Glen St. Mary, rzeka zakręca ostro w lewo, czyli na wschód, i przepływa przez północny koniuszek Macclenny. Dalej kieruje się ku północy, gdzie wijąc się, robi skok do Folkston, meandrując jakieś dwie mile na każdą milę w linii prostej. W Folkston skręca ostro w prawo, a potem znów zygzakiem kieruje się na południowy wschód ku wybrzeżu. Odległość w linii prostej od bagien do oceanu wynosi niewiele ponad sześćdziesiąt mil. Gdy policzymy ją jednak wzdłuż rzeki, będzie już wynosić mniej więcej sto dwadzieścia dziewięć mil. Zazwyczaj nawet nieco więcej.

Ale jeżeli podążasz jej brzegiem, wygląda to jeszcze inaczej. Bo chociaż jej wody wypływają sześćdziesiąt mil w linii prostej od oceanu, rzeka wcale się nie spieszy, by do niego dotrzeć. I chociaż płynie pod jedną nazwą, tak naprawdę są to cztery rzeki. Pierwsza płynie od Moniac do Stokes Bridge i ma jakieś trzydzieści mil. Wyobraźcie sobie kanał odwadniający w tunelu. Na tym właśnie odcinku taka jest St. Mary. To wąski labirynt, zarośnięty drzewami, które splatają się niczym palce, poszatkiwany przez estakady, pełen żab, otulony hiszpańskim mchem, zamieszkały przez węże, całkiem nieprzystępny i poprzegradzany przez połamane drzewa. Krótko mówiąc: nie da się tu wiosłować. Co prawda można go przepłynąć, można przeburłaczyć, przepchnąć, można obejść naokoło, można się jakoś przedrzeć, ale to rzeka narzuci tempo i nie będzie ono zbyt szybkie. Bo ta rzeka ma swój własny rytm. I jest on zazwyczaj wolniejszy od twojego rytmu — fizycznego i emocjonalnego, chyba że spędzisz na niej sporo czasu. Jej koryto jest nieuregulowane, więc przez niektóre zakręty prąd niesie cię szybko, przez inne — zgodnie z topografią — wolno. Woda może się podnieść, brzegi mogą się rozstać, bywa, że rzeka przyspiesza, a niekiedy nawet zawraca. W każdym z tych przypadków niezmiennie jest tylko to, że płyniesz w kierunku oceanu. Czy żyjesz, czy umierasz, to się nie liczy, ale nie myśl, że nie ma ona osobowości, nie wątp w nią. Prawdę powiedziawszy, St. Mary jest o wiele bardziej w zgodzie z tobą niż ty z nią. Ponieważ koryto żłobi wapień, w niektórych miejscach brzegi wysokie są na czterdzieści stóp, w innych są to ledwie piaszczyste pagórki poprzecinane korzeniami, kiedy indziej jeszcze

porośniętą trawą schodzącą łagodnie do wody pastwiska, gdzie pasą się krowy. Trawa i błoto spływają do rzeki, przez co tworzą się oczka, w których aż roi się od ryb. Kiedy słońcu udaje się przedrzeć przez ten baldachim z listowia, widać, że co jakiś czas wzdłuż brzegu pojawiają się łachy piasku wielkości samochodu, a na nich drewniane budynki przykryte blachą, przeciekające, porośnięte winoroślą i schowane za linią drzew. Tu rzeka wygląda jak przykryta miedzianym dywanem, a jej słodka woda jest zawsze bardzo zimna.

Druga część rzeki to odcinek między Stokes Bridge a Trader's Ferry. Jakieś czterdzieści cztery mile. Tutaj St. Mary rozszerza się, umożliwia na małych odcinkach wiosłowanie, a na całej jej długości spotyka się białe, piaszczyste plaże. Ponieważ woda nieustannie wywołuje erozję brzegów i podłoża, porastające brzeg stare drzewa z czasem zwalają się w koryto. Najpierw nachylają się, zupełnie jakby się jej kłaniały, potem przecinają ją niczym miecze ustawione w defiladowym szyku, aż wreszcie wywracają się, kiedy rzeka podcina ich korzenie. Tutaj głębokość waha się od jednej do może jakichś dziesięciu stóp w najgłębszym miejscu. Pod powierzchnią rzeki znajduje się kunsztowna i niewidoczna sieć utworzona przez gałęzie, które, niczym ramiona, sięgają po tego, kto zdecydował się po niej płynąć. Powyżej, głęboko ukryte w mrokach, żyją jelenie wirginijskie, baribale — czarne niedźwiedzie, dzikie konie, przepiórki, indyki, a na dodatek końskie muchy. To także tutaj ludzie zaczęli zaludniać jej brzegi, budować domy na palach, pływać w cieniu drzew, wygrzewać się na plażach i chłodzić w jej wodzie. Tu pojawiają się puszki po piwie, łódki i kąpiący się ludzie. Miedziana barwa przechodzi zaś w kolor ciemnej herbaty. A nawet, w zależności od słońca, przybiera niekiedy barwę słabej kawy. Ale niech was nie zmyli kolor. Czerń nie oznacza zaraz zła. Piaszczyste dno jest znakomitym filtrem. Słowem: jak wszystko na tej rzece, wygląd bywa złudny.

Odcinek trzeci biegnie od Traders Ferry do Coastal Highway lub autostrady numer 17 — i liczy sobie około trzydziestu sześciu mil. Od estakady na siedemnastce do oceanu jest już tylko osiemnaście mil, co oznacza, że tutaj już odczuwa się działanie pływów. Kierunek wody zmienia się co sześć godzin. Jak rezerwuar w toalecie, opróżnia się szybko, a napęlnia

powoli. Rzeka rozszerza się tu do dwustu, a miejscami nawet czterystu jardów. Pełno w niej wydr, bobrów, mokasynów błotnych i aligatorów. Niektóre osiągają dziesięć stóp długości. Rampy dla łodzi, obozowiska wędkarskie i od lat przegniłe pomosty zajmują miejsce piaszczystych plaż. Brzegi rzeki porastają tutaj sosny i palmy, tworząc prawie nieprzeniknioną ścianę. Dochodzenie do brzegu przypomina głaskanie jeżozwierza — trzeba więc bardzo starannie wybierać drogę. Rezydenci zatapiają pale przy brzegu, wylewają betonowe ściany i budują chodniki, siedzą potem na werandach, popijając miętowy ulepek, i słuchają szumu wody. Dalej rzeka otwiera się na rekreację — motorówki ciągnące narciarzy, Wędkarze, kłusownicy i strażnicy wodni, wszyscy się uwijają niczym rój szerszeni. A poniżej ona raz jeszcze się zmienia. I tutaj kryje swoje sekrety, stając się czarna jak smoła.

Ten ostatni odcinek prowadzi od mostu na autostradzie numer 17, mija miasteczko St. Marys i dalej ciągnie aż do Cumberland Sound, gdzie rzeka wylewa się do Oceanu Atlantyckiego. Tutaj staje się szeroka na milę, może nawet szersza, i głęboka na czterdzieści stóp — na tyle, by w zatoce King Bay mogły cumować łodzie podwodne. Jej czarne wody stają się brudnobrązowe, słone od soli, pełne delfinów, rekinów, łososi i pstrągów. Błotniste brzegi zamieszkują kraby oraz ostrygi w skorupach ostrych jak żyłki. Od czasu do czasu można zaś trafić na kocie łby przywiezione tutaj przez Anglików, którzy używali tych kamieni jako balastu. Tutaj nurt rzeki przyspiesza, wiruje pod powierzchnią — może nawet wciągnąć kaczkę. I choć zmienia się i meandruje, nie pozwól się oszukać — jego prędkość jest już zwodnicza.

Krajobraz zmienia się z każdą milą, podobnie jak rytm rzeki. Jej kadencja. Nie da ci się spieszyć. Na początku spowalnia cię, pozwalając ci tylko pełzać. Kiedy już cię wykoły — sze, godzi się, byś wstał i szedł. Kiedy widzi, że jesteś na to gotów, otwiera przed tobą wody i pozwala ci wyprostować nogi. I wreszcie, gdy uzna, że jesteś tego wart, choćby dlatego, że przetrwałeś najgorsze, otwiera przed tobą ramiona, przytula do piersi i staje się twoją matką. Ale jest matką zazdrosną. Jeśli się zawahasz, jeśli w nią zwątpisz, jeśli na chwilę zamkniesz oczy i spuścisz z niej wzrok, wypluje cię prosto do morza i pogrzebie na głębini.

Tam gdzie rzeka uderza w ocean, słońce podnosi ją do chmur tylko po to, by przegnać ją znowu przez cały wielki akwen. W takim cyklu cząsteczki wody wędrują od bagna do oceanu i z powrotem tysiące razy. A może nawet więcej.

* * *

Pierwsze pięć godzin przedzierania się przez zwalone drzewa i tamy zbudowane przez wydry było męką. Ponieważ równie dużo czasu spędzałem, ciągnąc kanu, co wiosłując. Uprząż zaś poraniła mi ramiona. Abbie leżała na dnie j śmiała się ze mnie. Minęło południe i zaczął padać deszcz, kiedy przestał, między chmurami pokazało się słońce. Woda znów parowała. Tutaj nurt stal się nieco szybszy, zrobiło się też cieplej. Zmiana ciśnienia dziwnie wpływała na zwierzęta, w tym na węże. Wychodziły ze swoich nor, starając się dostać gdzieś wyżej.

Rzeka skręciła ostro w prawo, tworząc piaszczystą mierzeję. Korzystając zarówno z ukształtowania terenu, jak i słońca, wyciągnąłem kanu na piasek i wyniosłem Abbie, by mogła nim się nasycić, jednocześnie moczając nogi w wodzie. Czowała się całkiem nieźle i kiedy wyniosłem ją na brzeg, nawet usiadła.

Wśród gadżetów, jakie kupiłem u Gusa, znalazło się coś, co nazywało się „kuchnią odrzutową”. Używają tego himalaiści. Była to zamknięta całość zasilana propanem, wielkości puszki na kawę, w której można w niecałe dziewięćdziesiąt sekund ugotować wodę. Tej wystarczy zaś na dwa kubki. Włączyłem urządzenie, w czasie kiedy woda się gotowała, obrałem ze skorupki jajka na twardo. Nalałem herbaty. Abbie oblizywała snickersa, rzucając kawałki małym rybkom, które pływały koło jej stóp.

Przyjrzała się sklepieniu z liści, w słońcu jej skóra była całkiem biała, poprzecinana tylko niebieskimi żyłkami.

— Chyba przypominam sobie to miejsce.

Skinąłem głową.

— Taki baldachim ciągnie się przez parę mil, potem rzeka rozszerza się, drzewa oddalają się od siebie i słońce może przebić się i ogrzać wodę.

Głęboko wciągnęła powietrze i machnęła połową snickersa.

— I, kawałek dalej, do brzegu dochodzą pastwiska. Pamiętam, że były jakieś krowy.

— Zgadza się — strzepnąłem kawałek skorupki z uda. — Jeszcze dalej jest kurza farma. W zależności od wiatru będziemy mieli albo krowy, albo kury. Zależy od trafu.

Żuła powoli baton.

— Ile czasu minie, zanim się powtórnie ożenisz?

Abbie z faktem, że jej tu nie będzie, radziła sobie dużo lepiej niż ja.

— A co to ma być za pytanie?

— Daj spokój, to nie jest żadna nowina. Miałeś cztery lata, żeby się przyzwycząić do tej myśli .

— Nie o to mi chodzi.

— Więc? — dopytywała się.

— Więc co?

— Przyzwycząiłeś się?

— Przyzwycząiłem się do czego?

— Do myśli.

— Tak, kochanie. Jest świetnie.

— Mówię poważnie. Możesz jeszcze przeżyć pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat.

— I?

— Co zamierzasz robić? — Nie ustępowała.

— Przede wszystkim — odparłem — zamierzam zacząć palić i pić, żeby skrócić ten czas o połowę.

Nastąpiła cisza.

— Naprawdę powinieneś — powiedziała w końcu.

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. Podałem jej kubek.

— Następnym razem sama sobie zrobisz cholerną herbatę.

Zaciągała się jej aromatem.

— Mówię poważnie. Musimy o tym porozmawiać. Tutaj — zatrzepotała zalotnie powiekami — przygotowałam ci listę pięciu kobiet, które powinieneś wziąć pod uwagę.

— Nie będę z tobą na ten temat rozmawiał.

— Mary Provencal. Ładna, inteligentna, najprawdopodobniej uda jej się utrzymać cię z daleka od kłopotów. Ale musisz się nauczyć przyrządzać lepsze martini.

— Nie wierzę, że mi to wszystko mówisz.

— Karen Whistman.

— Kochanie, ona jest mężatką.

— To prawda, ale już niedługo. Jest wysoka, lubi przebywać na świeżym powietrzu, zna się trochę na sztuce, a w dodatku jest bogata jak nabab.

— Przestanieś?

— Trzecia. Stacy Portis. Trochę niska, ale zawsze w centrum uwagi i z tego, co słyszałam, świetna w łóżku. A taka powinna być — roześmiała się — po tym, jak byłeś moim mężem.

— Przestań mnie dręczyć — powiedziałem nieco już rozbawiony.

— Czwarta. Trochę naciągane, ale... Grace McKiver.

— Straciłaś rozum?

Wrzuciła resztki snickersa do rzeki.

— To możliwe. Wraz ze wszystkim innym. Posłuchaj, Grace w pierwszej chwili może wydawać się zimna, ale kiedy ją naprawdę poznasz, zobaczysz, że w rzeczywistości jest szczerą, pobłażliwą aż do przesady, a dzięki świetnej chirurgii plastycznej rozebrana wygląda niczym boginka.

Przyglądałem się snickersowi, który wyglądał na wodzie jak kawałek gówna.

— To wiele tłumaczy.

— I ostatnia, Jeanne Alexander.

— Wcale cię nie słucham.

— Ona najprawdopodobniej jest najbardziej podobna do mnie, więc niewiele będziesz musiał zmieniać ze swoich łózkowych przywar.

— Jakich przywar?

— Jeśli już zacząłeś o tym mówić.

— Nie zacząłem, ty zaczęłaś.

— Nieprawda. Ty.

— Zostawiasz ubrania na podłodze łazienki — mówiła wyraźnie rozbawiona. — Bardzo często nie spuszczasz klapy w toalecie. Wyciskasz pastę od środka. Nigdy nie ścielisz łóżka. Nie lubisz prac na podwórzu. Od wieków nie posprzątałeś w swojej pracowni.

— To dlatego, że nie byłem tam od trzech lat.

Przekrzywiła głowę w wystudiowanym ruchu.

— I tu dochodzimy do sedna.

— Cały tatuś.

— Powinieneś się ożenić. Nie mówię, że od razu. Odegraj rolę wdowca pogrążonego w żałobie, daj sobie rok. Może osiemnaście miesięcy. Poza wszystkim innym to spowoduje, że będą mogły o ciebie konkurować.

— Abigail.

Nie patrzyła na mnie, spoglądała gdzieś ponad drzewami.

— Powinieneś. Nienawidzę myśli, że będziesz żył samotnie. — Zlizła czekoladę z przednich zębów. — Ale tak naprawdę chodzi o coś więcej. Musisz mi obiecać, że wrócisz do sztalug...

— Abbie.

— Mówię poważnie. Obiecuj mi.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo...

Dotknęła palcem mojej klatki piersiowej.

— Znam cię. Nie możesz tego wszystkiego trzymać tutaj niczym w zakorkowanej butelce. Prędzej czy później musisz dać się temu wydostać.

— Mówisz jak moja mama.

— Próbujesz zmienić temat.

Spakowałem kanu, a potem wsunąłem ręce pod jej ramiona i podniosłem ją. Objęła mnie rękami za szyję.

— Obiecujesz?

Spojrzałem jej w oczy i krzyżując palce, powiedziałem:

— Obiecuję.

— Nie krzyżuj palców i powtórz.

— Obiecuję... zawsze będę pamiętał, jak spaliłaś pierwszą wołowinę, którą dla mnie upiekłaś.

— Skończyłeś?

— No dobrze... obiecuję, że zawsze będę chciał stworzyć taki obraz, jaki wierzyłaś, że potrafię namalować.

— Niech tak będzie — skinęła głową.

Zawinałem linę niczym uprząż i zacząłem ciągnąć. Moja żona leżała na łodzi, spoglądając na mnie.

— Potrafisz... Wiesz, że potrafisz. Masz talent.

— Co potrafię? Jaki talent?

Machnęła w moją stronę lizakiem — lekarstwem.

— Nie zaczynaj mi wciskać tego kitu.

Nie musiałem się odwracać, by widzieć, jak kiwa palcem.

— Kochanie... — przestałem ciągnąć, pozwalając, by liny opadły. — Zaakceptuj fakty. Łowię lepiej, niż maluję. Nawet pomagałem twojemu ojcu w łowieniu i to z pozytywnym skutkiem. Ale gdy chodzi o sztukę, nie mówię tu o portretach, do których, przyznaję, mam pewną smykałkę, jestem zwykłym wyrobnikiem. Popatrz tylko na nasz dom. Od garażu po strych pełno płócien, których nie potrafimy sprzedać.

Dla mnie nie jesteś wyrobnikiem.

— Tak, dla ciebie jednej nie.

Actiq często tak działał. Stawała się gadatliwa i przekorna. Choć trzeba przyznać, że przekorna była z natury.

— Waciku, nie sprzeczasz się.

Odetchnąłem głęboko. Taką dali mi kiedyś ksywkę.

— Tak?

— Chodź tutaj.

Uwolniłem się z lin, przesunąłem w tył i ukląknę koło niej. Opierała głowę na dłoniach.

— Widziałam dzieła sztuki w Rzymie, Londynie, Nowym Jorku... nawet w Azji — dotknęła mego nosa. — Żadne nie poruszyło mnie tak jak twoje obrazy.

Mimo moich zniweczonych nadziei i jej nieustannego zakłopotania, to wciąż powtarzane przez nią zdanie spowodowało, że nie spaliłem wszystkiego, co wcześniej namalowałem, i że wciąż utrzymywałem moje studio. Jej wiara trwała dłużej niż moja.

— Kocham cię, Abigail Coleman Michaels.

— Dobrze. Cieszę się, że to jest ustalone. A teraz jazda! Jest tak gorąco i ani odrobiny przewiewu.

Odwróciłem się, zarzuciłem liny na plecy i zacząłem ciągnąć. Kiedy łódź ruszyła, odezwała się:

— Mógłbyś też wziąć pod uwagę Wendy Maxwell, jej rodzina ma takie miejsce...

— Mogłabyś się zamknąć i iść spać.

Przez chwilę panowała cisza, a kiedy się odezwała, jej głos brzmiał inaczej. Brzmiała w nim determinacja.

— Nie, dopóki nie postawisz mnie w Cedar Point.

Pochyliłem się, zaparłem nogi w piasek, a liny wpiły mi się w ramiona.

ROZDZIAŁ 9

Kierowca miał czarny kapelusz i białe rękawiczki. Ja — sprane dżinsy z dziurą na prawym kolanie, czarny podkoszulek i jedyną, jaką posiadałem, sportową marynarkę — niebieską, z brakującym guzikiem przy jednym rękawie.

— Myślisz, że zauważy? — spytałem. Szofer popatrzył na rękaw, ale nic nie powiedział.

— Świetnie — stwierdziłem, wsiadając do środka. — Nienawidzę chodzić wystrojony.

Zamykając drzwi, mruknął:

— Nie sądzę, żebyś miał taki problem.

Jechaliśmy King Street w stronę South Battery. Zatrzymaliśmy się przed imponującym dwupiętrowym domem pełnym ludzi. Tradycyjny Charleston. Wszystkie kobiety miały na sobie perły, podczas gdy wszyscy mężczyźni takie same skórzane sznurowane trzewiki, taki sam odcień spodni, takie same granatowe marynarki i tylko nieco inne prążki na krawatach.

Wysiadłem z samochodu i nagle zabrakło mi tchu. Po mojej lewej ręce chodnik wydawał się ciemny, pusty, zapraszający. Spoglądałem na ganek wsparty na czterech potężnych kolumnach. Wtedy ją zobaczyłem. Stała pogrążona w rozmowie, ale patrzyła na mnie.

Poprawiłem marynarkę i w tym momencie usłyszałem szept szofera:

— Proszę się nie martwić, sir. Jeśli to, co się mówi o panu i o tym, co zrobił pan dla panienki Coleman, jest prawdą poradzi pan sobie.

— A jeżeli nie?

Przyjrzał się przecięciu na mojej ręce i sonej obwódce mego oka.

— Wydaje mi się, że jednak tak.

— Dzięki.

Wspiąłem się po schodach, zanurzając w połączone wonie eleganckich perfum i wód po goleniu. Nigdy w życiu nie widziałem tylu brylantów. W uszach, na szyjach i palcach. Jeśli ci ludzie coś sobie kompensowali, to wydawali na to mnóstwo forsy. Norki, kaszmir, wełna wielbłądzia, wykrochmalone płótno stanowiły fakturę, na której tle rozbrzmiewały głośny śmiech i szmer rozmów.

Przeszła przez tłum, jakby cięła wodę.

— Dzięki, że przyszedłeś.

— Znasz tych wszystkich ludzi?

— Większość z nich tak. — Ujęła mnie pod ramię. — Chodź, chciałabym cię komuś przedstawić.

Weszliśmy frontowymi drzwiami do dużego holu, gdzie pięć linii gzymsu ozdabiało sufit, wyznaczając na nim okrąg o średnicy czternastu stóp, na środku którego zawieszono kryształowy żyrandol ważący pewnie tonę. Przy jednej ze ścian wysoki mężczyzna w białej marynarce zanurzał chochlę w srebrnej misie do ponczu i napełniał porcelanowe filiżanki czymś, co pachniało cydrem, cynamonem, goździkami i cytryną. Podał mi jedną.

— Nie, dziękuję.

Ale ona wzięła od niego filiżankę, mówiąc:

— To za moje zdrowie. Sama przygotowałam.

Spróbowałem.

— Ciekawy smak, ale... ale dobre.

Odstawiła filiżankę, przeszliśmy w prawo i znaleźliśmy się w salonie. Na kominku palił się ogień, oświetlając twarze zgromadzonych tam ludzi oraz ciemne, mahoniowe meble. Czterdzieści, a może nawet pięćdziesiąt osób otaczało siwego, dystyngowanego, przystojnego mężczyznę w prążkowanym garniturze. Jedni delektowali się koniakiem, inni popijali chardonnay, każdy dzierzył jakiś kieliszek. Mężczyzna stanowił epicentrum uwagi i rozmów. Kiedy tłum rozdzielił się, robiąc dla niej, to znaczy dla nas, przejście, rozpoznałem go. Był potężniejszy, niż się spodziewałem, i wyższy, niż się wydawało w telewizji.

Wypchnęła mnie do przodu, sama wsunęła rękę pod jego ramię. Spoglądając wstecz — to był ten moment, kiedy zaczęła się między nami próba sił. I on to wyczuł.

— Tatusiu, chciałabym, żebyś poznał Dossa Michaela.

Wyciągnąłem do niego dłoń.

— Senatorze.

Jego uścisk był mocny, wyćwiczony i chłodny, spinki do mankietów ostre i szpiczaste. Zdążył mnie ocenić, nim nasze dłonie się spotkały.

— A więc to panu powinienem podziękować za uratowanie mojej córki.

— Ależ nie, sir. Gdyby miała jeszcze chwilę, sama by sobie poradziła.

Uśmiechnął się.

— Dobrze powiedziane. Bardzo dobrze.

Ludzie zebrani w pokoju roześmiali się, po czym uciszyli. Zwrócił się do nich.

— Szanowni goście, pozwólcie, że przedstawię wam Dossa Michaela. Mężczyznę, którego właśnie poznałem, ale którego dłużnikiem, w związku z wydarzeniami ostatnich dni, pozostanę na zawsze.

Zebrani zaczęli klaskać, marzyłem, żeby otworzyła się przede mną jakaś zapadnia. A ona wsunęła lewą ręką pod moje ramię i splatając dłoń z moją dłonią, zwróciła się do kobiet, które tłoczyły się naokoło, kiwając prawym wskazującym palcem, jakby to była wycieraczka na szybie samochodu.

— Jeszcze nie, moje panie. Teraz on należy do mnie, musicie poczekać na swoją kolej.

Nigdy nie widziałem kogoś równie swobodnego i tak panującego nad otoczeniem. Miała dar. Wyprowadziła mnie na werandę, gdzie jakaś kobieta serwowała zupę. Poniżej, pośrodku trawnika, dwóch mężczyzn stało nad otwartym paleniskiem i piekło ostrygi. Podwórze było dobrze oświetlone i wyglądało jak angielski ogród. Otoczony żywopłotem wysokim na osiem stóp, wystrzyżonym perfekcyjnie pod kątem prostym w stosunku do trawnika. Nalała mi lemoniady.

— Masz, wypij to. Pigułka nie będzie taka gorzka.

Wziąłem łyk, a ona wyciągnęła rękę w górę i potarła palcami o płatki kwiatu zwisającego nad jej głową. Powąchała je, po czym podsunęła pod mój nos. Poczulem zapach róż.

— Dziwnie wyglądają te róże.

Roześmiała się.

— Ponieważ to nie są róże. To pelargonie o zapachu róż.

— Czy należysz do tych ludzi, którzy naprawdę się znają na roślinach? Mają do nich szczęśliwą rękę i tak dalej?

— Chcesz zobaczyć mój ogród? — wskazała przestrzeń za trawnikiem.

— Jeśli dzięki temu będę mógł się znaleźć jak najdalej od tych ludzi, mogę go nawet przekopać.

Spacerowaliśmy zielonym labiryntem, podczas gdy ona pokazywała, podawała nazwy i wyjaśniała.

— To jest pittosporum... to moje rosarium... dwadzieścia siedem odmian... a to moja oranżeria. Osiemnaście gatunków drzew począwszy od mandarynki Dancy po grejpfrut Duncana. — Kolejny raz skręciliśmy. — A to drzewo zwane loquat.

Owoce tego drzewa wyglądały dziwnie. Były okrągłe, wielkości połowy jajka. Zerwałem jeden i powąchałem.

— Przypomina mi owoce, którymi rzucaliśmy w samochody, kiedy byłem dzieciakiem.

— A nie były to przypadkiem owoce kumkwatu?

— No... z pewnością miały jakieś kwiaty. Potoczyła owoc po dłoni.

— Mówi się na nie także japońskie śliwki. Nie kupisz ich w sklepie, ponieważ nie da się ich przechować, ale są bardzo słodkie. Dostałeś jedną przy wejściu.

— Kiedy?

— Likier, którym wypiliśmy moje zdrowie.

— Gdzie się go kupuje?

— Nigdzie. Robi się samemu. Moje podejrzania rosły.

— Jesteś jedną z tych osób, prawda?

— Nie wiem — uśmiechnęła się. — Jakich osób? — Martha Stuart skrzyżowana z Julią Child. Najprawdopodobniej wystarczy ci dwie godziny snu na dobę i sama przygotowujesz papier do zawijania prezentów na Gwiazdkę. Odwróciła się z pogardliwym uśmiechem na twarzy.

— Cóż jest złego w przygotowywaniu własnego papieru? Spojrzałem w kierunku domu, gdzie gromadziło się coraz więcej ludzi.

— Jesteś w tym dobra.

Złapała ciemnoczerwoną różę, zerwała kwiat i wsunęła do kieszonki.

— Mam dobrą praktykę. — Pomachała starszej, eleganckiej pani idącej trawnikiem. — Urodziłam się w takiej rodzinie. A potem zaadaptowałam do takiego życia. — Poprawiła kołnierzyk mojej marynarki i przysunęła się bardzo blisko.

— A tak przy okazji... nazywam się Abbie. Ale — machnęła dłonią w stronę tłumu — większość z nich zwraca się do mnie Abbie Eliot.

Wziąłem kolejny haust i przełknąłem, pozwalając, żeby lemoniada ogrzała mi gardło.

— Sprawdziłem cię w Googlach. Ty...

W sieci pełno było jej zdjęć, pisały o niej wszystkie możliwe pisma i gazety.

— Nie wierz we wszystko, co przeczytasz.

— W które rzeczy mam nie wierzyć?

Uśmiechnęła się, złapała mnie za rękę i pociągnęła na trawnik.

— Będziesz mnie musiał o to zapytać.

Poszedłem za nią, trzymając jej dłoń w jednej ręce, a lemoniadę w drugiej.

— Dobrze.

Cały ten wieczór spędziłem, podążając jej śladem, uzależniając się tym samym od zapachu jej perfum i jej delikatnego dotyku. Nie wiem, czy spowodował to jej zapach, czy lemoniada, ale z każdą chwilą byłem coraz bardziej odurzony.

Przedstawiła mnie dwudziestu paru osobom, których nazwisk ani nie zamierzałem zapamiętać, ani nie byłbym w stanie, a potem zaprowadziła na drugą stronę podwórza, porośniętego tu gęstszą trawą, gdzie rozstawiono namioty i ludzie zajadali się przekąskami. Zlustrowała bufet.

— Masz ochotę na coś?

Odstawiłem prawie pustą szklankę.

— Chętnie bym zagryzł czymś lemoniadę.

Napełniliśmy jeden talerz, a potem usiedliśmy sami na

ławce w odległym kącie ogrodu, skąd przyglądaliśmy się przyjęciu. Ponieważ nigdzie nie widziałem sztucców, zapytałem:

— A czym będziemy jeść?

Ujęła w palce udko kurczaka i wgryzła się w nie, mówiąc z pełnymi ustami:

— Rękami.

Podniosłem kurzą nogę, tłuszcz ściekał mi po dłoniach.

— Jaki sens okrywać kobiety brylantami, a stoły białym płótnem, żeby tłuszcz ściekał po palcach?

— Witaj w Charlestonie.

— A przy okazji — przełknąłem. — Jestem ci winien prowizję.

Kolejny kęs.

— Tak?

— Przyszła jakaś pani i rzeczywiście kupiła pannę Rachel. Zapytała, czy nie spuszczę do 1700 dolarów.

— Co powiedziałeś?

— Zapytałem, czy mam zapakować na prezent.

Roześmiała się.

— Więc w tym miesiącu zapłaciłeś czynsz?

Przytaknąłem, tłuszcz rozmazał mi się po twarzy.

— Dobrze wiedzieć, gdzie cię można znaleźć. Nie będę musiała robić z siebie głupka i rozpytywać o ciebie w Akademii.

— Więc jak mnie znalazłaś za pierwszym razem?

Pomachała komuś po drugiej stronie trawnika i zapatrzyła się na tłum.

— Ludzie powiedzą ci niemal wszystko, jeśli tylko wiesz, jak zadać pytanie.

— W twoim przypadku nie chodzi o to, jak pytasz, bardziej o to, że w ogóle pytasz.

Popatrzyła na mnie, mrucząc cicho:

— Doss Michaels, czy ty ze mną flirtujesz?

— Nie bardzo mi to wychodzi, prawda?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Ale na razie to zupełnie niebanalne.

— Myślałem, że raczej jakbym to przećwiczył... I trochę z tym pospieszył.

Postawiła szklankę na trawie poza moim zasięgiem.

— Odcinam cię od tego napoju. Nie dostaniesz więcej lemoniady.

Miałem wrażenie, że mam obrzmiaty język i że za chwilę zupełnie mi skołowacieje.

— Dobry pomysł.

W rogu ogrodzenia widniała metalowa furtka. To było chyba wyjście dla mnie.

— Masz ochotę się przejść? — spytałem.

— Co, jak na jedną noc masz dość kultury?

— Nie czuję się najlepiej na przyjęciach. Nigdy nie wiem, jak się mam zachować.

Wsunęła mi rękę pod ramię i wyprowadziła mnie przez bramę.

— Umiesz zachować sekret?

— Pewnie nie.

— Z tego powodu podaje się lemoniadę — powiedziała wyraźnie rozbawiona.

Przeszliśmy przez South Battery, potem przez White Point Gardens aż na szczyt, skąd widać było, jak łączą się ze sobą rzeki Cooper i Ashley. Nazwane tak od nazwiska lorda Anthonyego Ashleya Coopera bliźniacze rzeki, które niegdyś służyły do spławiania bawełny z ziemi skonfederowanego Południa. Plantatorzy spławiali swoje białe złoto w dół rzeki na barkach, które cumowały potem na jeziorze Colonial — parę ulic dalej — gdzie czekali na kupców, którzy przyjeżdżali tu z całego świata. Co tłumaczy, dlaczego większość czuła się, jakby Ocean Atlantycki był tuż za ich drzwiami.

Wiał chłodny wiatr, więc zarzuciłem moją marynarkę na jej ramiona. Dobrze oświetlony jacht płynął na silniku w głąb lądu, wracając do mariny. Wskazałem ręką ślad, który zostawiał, zaczynając rozmowę o niczym:

— Te wody widziały kawał historii tego miejsca.

Przez chwilę się zastanawiała.

— Opowiedz mi o sobie.

Jej ton zastanowił mnie. Figlarną kobietę z przyjęcia zastąpiła poważna, prawdziwa i naprawdę zainteresowana dziewczyna. Siedzieliśmy na betonowym murku.

— Koniec z gadką szmatką?

Wzruszyła ramionami.

— Dorastałem... na południu, nad tą rzeką. Z wiosłem w jednej, a ołówkiem lub pędzlem w drugiej ręce. — Zrobiłem w powietrzu kilka ruchów palcem niczym pałeczką dyrygenta, chcąc pokazać na krajobraz. — Tutaj jest pięknie, ale dla mnie Charleston nie umywa się do St. Mary. Tam jest... no... — poczułem się głupio i zamilkłem.

— Co cię tu zatem sprowadziło?

— Stypendium akademickie.

— I jak ci idzie?

— Nie jestem pewien. Nie wiem, czy uczę się lepiej malować, czy raczej zapominam to, co kiedyś potrafiłem. — Uniosła brwi. — Kiedyś myślałem, że to całkiem łatwe. Od kiedy tu przyjechałem, poznałem różnych nauczycieli, różne style, i wszystko się skomplikowało. Stało się takie pogmatwane. Chyba nie potrafię patrzeć już na płótno tak, jak kiedyś umiałem.

— Ale twoje obrazy się sprzedają.

— Mówiąc uczciwie, sprzedał się dokładnie jeden. Dzięki tobie, ale... co ważniejsze, ja nie po to maluję, żeby sprzedawać.

Spojrzała na mnie.

— Ale sprzedajesz je.

— Jasne, mam nadzieję, że się będą sprzedawać jak świeże bułeczki, ale nie o tym myślę, kiedy maluję.

— A więc jesteś idealistą. — Stała oparta o mur, a ja siedziałem na nim, dyndając nogami. W ten sposób znajdowała się zaledwie o kilka cali ode mnie. Światła mariny oświetlały prawą stronę jej twarzy, podkreślając doskonały wprost rysunek i krótkie włosy tuż nad uchem. Błądziłem wzrokiem po konturze jej ucha, po miękkiej fali włosów, potem przebiegłem

po krawędzi policzka, po cieniu rzuconym przez rzęsy i powróciłem na policzek. Światło księżycy odbijało się od zmarszczek na wodzie i sączyło blado, opływając krawędzie jej twarzy. Z daleka Fort Sumter migotał w obramowaniu jej ust i w linii nosa.

— Miałem czternaście lat, kiedy samochód mojej mamy wpadł w poślizg, uderzając w betonową barierkę. Wracła właśnie ze sklepu, miała łyse opony, a padał deszcz. Na przednim siedzeniu sanitariusze znaleźli potem farby i płótno. Po pogrzebie wróciłem do domu, ustawiłem na płocie rzędem wszystkie moje inhalatory i strzelałem do nich z ukradzionego pistoletu. Potem skorzystałem z kryjówek, jakie dawała rzeka, i zniknąłem. Miałem zbyt wiele pytań, na które poszukiwałem odpowiedzi, i miałem dość życia pod kloszem. Przez całe lato wiosłowałem od bagna w stronę oceanu. Odrzuciłem lekarstwa. Jeśli nie zdołam oddychać — myślałem — trudno. Potrafiłem ukrąść tyle, żeby nie głodować, i nauczyłem się unikać ludzi, którzy zadawali zbyt wiele pytań. Czasami wcześniej rano albo późnym wieczorem, kiedy wykluwały się komary, kładłem się na brzuchu, z nosem tuż nad wodą i wpatrywałem się w nią, próbując dostrzec Boga mojej mamy, który — jak twierdziła — ukrywał się w rzece.

— A gdybyś Go zobaczył? — spytała z uśmiechem.

— Zamierzałem wtedy złapać Go za gardło i poddusić, żeby odpowiedział mi na kilka pytań.

— Odpowiedział?

— Nawet jeśli, ja nigdy Go nie usłyszałem. Chociaż trudno słuchać, kiedy się cierpi. — Wzruszyłem ramionami. — **Skończyłem** piętnaście lat i wypłynąłem na powierzchnię. Udało mi się przekonać wystarczająco wiele osób w naszej **kolonii**, żeby pomogły mi sfałszować papiery i w ten sposób **zdołałem skończyć** szkołę. Mama by tego chciała. A przynajmniej tak sobie mówiłem. Ponadto szkoła nie kłóciła się ze mną na temat malowania. I to wtedy właśnie usłyszałem po raz pierwszy określenie „realista”. Wtedy nawet nie rozumiałem, co ono oznaczało. Mówiłem: „Maluję to, co jest rzeczywiste”. Moje prace były technicznie poprawne, jednak brakowało w nich emocji. Były puste. Nawet ja potrafiłem to zobaczyć. To lato spędzone na rzece zmieniło mnie. Nauczyłem się wstrzymywać oddech. Żyć na pół gwizdka, bo dzięki temu trzymałem ból z daleka.

— Jaki ból?

— Teraźniejszość. Poza kaszlem, parszaniem i pokasływaniem, pomiędzy momentami, kiedy światło zawężało się i widziałem tylko tunel, który się zamykał, miałem przecucie, że uda mi się odetchnąć. Że moje płuca służą nie tylko do tego, żeby mnie udusić. Że tylko potrzebują porządnego powodu. — Zamilkłem. — Mama pomogła mi dostrzec piękno, kiedy myślałem, że ono nie istnieje. Zabierała mnie nad rzekę, tam sadzała w słonecznym blasku pod brzozą. Potem prowadziła mnie przed płótno, trzymała moje dłonie w swoich, kazała zamknąć oczy, a następnie wodziła po nim opuszkami moich palców. „Doss, Bóg jest w drobiazgach”, przypominała. Powiedziałem jej: „Mamo, może, ale... — dotykałem jej skroni lub przesuwałem pędzlem po jej karku i dodawałem gorzko — ...ale nie ma go w innych miejscach”.

— Chciałabym ją poznać.

— Mogę cię zabrać na cmentarz.

— Przepraszam, przykro mi.

— Mnie też.

Upłynęła dobra chwila.

— A twój tata?

Wzruszyłem ramionami.

— Słyszałem, że moja mama jest „łatwa”, więc nie jestem wcale pewien, czy facet, z którym mieszkaliśmy, był moim ojcem. Nie widziałem go od dnia pogrzebu.

Patrzyła na mnie, pomruk silnika jachtu przetoczył się po rzece i rozlał pomiędzy skałami.

— Więc, kiedy malujesz, robisz to dla twojej mamy?

Pozycja ojca i własne sukcesy zdążyły ją przyzwyczaić, że każdy od niej czegoś chciał. Dlatego była bardzo czujna. Nie niemiła, nie nieszczerza, ale ostrożna. Nie trzeba było być geniuszem, żeby dostrzec, że za jej pytaniami kryło się coś więcej.

Potrząsnąłem głową.

— Dorastałem... w kawałkach. Tak właśnie wtedy mówiłem: „W kawałkach”. Mama to widziała i to ją bolało. Farby i płótno to były jej dary dla mnie. I czasami, jeśli nawet były to bardzo krótkie momenty, sklejało mnie to w całość. Nie umiem tego wyjaśnić. Ale tak właśnie było.

— Aspiryna na twój gniew?

To było kolejne pytanie.

— Gniew?

— Widziałam, jak się biłeś z facetem dwa razy większym od ciebie.

Skinąłem głową.

— To prawda, czasami czułem gniew. Ale też bywały chwile, że traciłem poczucie czasu, i kiedy spoglądałem na płótno, ono odwzajemniało się spojrzeniem. — Mój głos zmiękł. — Tak jakby coś we mnie wzbierało. Nie mogę tego nie zrobić. — Postukałem się w głowę. — Kiedy Bóg łączył mój

mózg z ustami, użył do tego drutu kolczastego. To, co powinno prowadzić do moich warg, zostało połączone z moimi palcami. Kiedy myślę, czuję to w palcach. Więc maluję.

— Spoglądałem na swoje dłonie, próbując zażartować. — Jeśli chcesz wiedzieć, co czuję, przemawiaj do rąk. — Wzniosła oczy do góry. — Przyjechałem tu do akademii, myśląc, że wiedzą więcej ode mnie. Ze potrafią nauczyć mnie więcej niż zmalretowana kobieta żyjąca nad rzeką. — Potrząsnąłem głową. — A oni tylko zaliczają kolejne obrazy. — Milczała. — Ale... jestem też realistą i chcę skończyć studia, więc trzymam buzię na kłódkę. — Położyłem rękę na jej ramieniu, potem zorientowałem się, co zrobiłem, i cofnąłem ją szybko.

— Miło było sprzedać obraz tej kobiecie. Myśl, że może go powiesić w miejscu, gdzie ludzie będą go oglądać, zaspokaja jakąś moją potrzebę. — Znalazłem pod ręką płaski kamień i spróbowałem puścić kaczkę.

Po dłuższej chwili zapytała:

— Jaką potrzebę?

Wzruszyłem ramionami.

— Aby wziąć głęboki oddech.

Zmarszczyła brwi.

— Spróbuj — powiedziałem do niej. — Weź tak głęboki oddech, na jaki pozwolą twoje płuca.

Wciągnęła mocno powietrze.

— A teraz zatrzymaj je.

Minęło trzydzieści sekund.

— Trzymaj.

Jej twarz poczerwieniała. Po minucie wypuściła powietrze i znów go mocno zaczerpnęła.

Skinąłem głową.

— To jest taka potrzeba.

Wielki

ROZDZIAŁ 10

1 CZERWCA, WIECZÓR

Kiedy zapadł zmierzch, dobiliśmy do brzegu. Sprawdziłem GPS. „Przebyty dystans” — 9,6 mili. Nie najlepiej. Musiałem przemyśleć, co dalej. Z jednym kanu mógłbym płynąć dwa razy szybciej. Problem w tym, że potrzebowałem drugiego, kiedy wypłyniemy na ocean. Stwierdziłem, że po prostu będę musiał wiosłować i iść szybciej, ale nie będzie to łatwe, bo brakowało mi kondycji.

Na plaży przygotowałem posłanie dla Abbie, ułożyłem ją wygodnie, a potem wyruszyłem na poszukiwanie drewna na opał. Przygotowałem małe ognisko, które miało nas ogrzać, odgonić moskity i komary. Noce na rzece mogą być ryzykowne. Dnie są gorące niczym w Afryce, ale nocami pod drzewami robi się zimno jak w górach.

Podróż w kanu całkiem ją wyczerpała. Zamknęła oczy i leżała nieruchomo. Około dziewiątej, kiedy nieco odzyskała siły, odezwała się:

— Musisz coś zjeść.

Miała suche wargi, jej oddech pachniał metalicznie.

— Nie czuję głodu.

Rzeczywiście tak było. Przytrzymałem miseczkę przy jej ustach, piła małymi łydkami.

— Przeciągnąłeś właśnie dwa kanu i mnie — odezwała się słabym głosem — dziesięć mil rzeką.

Usiadłem na pniaku, otworzyłem puszkę z brzoskwiniami i powoli zjadałem je. Potem rozpiąłem namiot, podniosłem Abbie i położyłem wewnątrz. Zagotowałem wodę. Kiedy się chłodziła, zamknąłem nas od środka i ostrożnie ją rozebrałem.

— Stajesz się w tym naprawdę dobry — wyszeptała.

— Praktyka.

Trzeba było zmienić plaster z fentanylem, więc oderwałem stary, przemyłem skórę na ramieniu i przykleiłem nowy. Potem, powoli, wilgotnym ręcznikiem umyłem jej ramiona i nogi, wytarłem na sucho, przez głowę i ramiona wsunąłem podkoszulek i zamknąłem ją w jednowarstwowym puchowym śpiworze.

Podczas ostatnich kilku miesięcy przestała spać pod czymkolwiek, gdyż wszystko uciskało jej ciało, i to tak bardzo, iż mówiła, że czuje się tak, jakby ją kroili. Zawiązałem luźno na jej dłoni wstążkę i pokazując na nią, powiedziałem:

— Będę na zewnątrz.

Uścisnęła moją rękę i przekręciła się na bok.

Poprawiłem ogień, przyciągnąłem suche liście spod palm i położyłem je na ognisku, a potem usiadłem na kawałku drewna, zajmując się zabijaniem komarów i liczeniem tych kilku gwiazd, które mogłem dostrzec spomiędzy gęstego listowia. Jakąś godzinę później usłyszałem trzask. Spędziłem dość czasu w lesie, żeby umieć rozróżnić skrzypnięcie gałązki pod nogą wiewiórki od dźwięku wywołanego pęknięciem gałęzi pod czyjąś cięższą stopą. Na takim odludziu nie byłoby niczym dziwnym wpaść na dzika, jelenia, pancernika, szopa pracza, dzikiego psa czy nawet niedźwiedzia, więc przysunąłem strzelbę i poświeciłem latarką w stronę krzaków. Ponieważ nie zobaczyłem nic, żadnych wpatrzonych w siebie oczu, zająłem się strzelbą — załadowałem do komory naboje kaliber 8 — uważałem, że sam dźwięk ładowania może zniechęcić zwierzę liczące na posiłek. Załadowałem pierwszy nabój, potem dwa następne na wszelki wypadek i jeszcze dwa, gdyby trzeba było walczyć

do upadłego. Moim celem było przestraszyć, wypłoszyć, a dopiero ostatecznie zabić. Tym, co miałem w strzelbie, mogłem sobie poradzić ze wszystkim, co żyło w tutejszych lasach, jeśli by podeszło dość blisko. Ponieważ nic się nie poruszyło, odbezpieczyłem broń i położyłem ją obok.

Wyrosłem w tych lasach, więc byłem przyzwyczajony do widoków, zapachów i dźwięków. Szczególnie do dźwięków, ponieważ na mój nos nigdy nie można było liczyć. Nawet gdy noc jest spokojna, rzadko bywa cicha. Ptaki, świerszcze, żaby, aligatory, psy, można by wymieniać dalej. Dźwięk to tu, to tam. Jeden wywołuje kolejny. Jeśli jedno zaćwierka czy zarechocze, często inne uznają, że fajnie jest zrobić tak samo. Podobnie działa to w drugą stronę. Jeśli jedno zwierzęta cichną, inne też milkną, przynajmniej na tak długo, aż stwierdzą przyczynę. Siedziałem na pniu drzewa, uświadamiając sobie, że wokół mnie panuje martwa cisza.

Przypomniały mi się stare filmy. Szczególnie takie sceny, kiedy jakiś bohater imieniem Festus, Stumpy czy Lefty drapie się po karku i mówi: „Nie widzę ich, ale czuję, że mi się przyglądają”. I zazwyczaj się nie mylili. Bo w kolejnej scenie widzimy wymalowanych farbami Indian.

Nie potrafiłem tego wyjaśnić, ale właśnie to poczułem— Zacząłem się zastanawiać: słyszałem trzask pękającego patyka. Pod jakimś ciężarem. To musiało być coś większego niż wiewiórka czy szop pracz. Poza tym ten dźwięk był jakiś zduszony. Noga jelenia czy dzika stąpa inaczej, bo ma racice. Tak stąpają ludzkie stopy albo łapy niedźwiedzia. Uczciwie mówiąc: niespecjalnie się bałem niedźwiedzi. Baribale są bardziej ciekawskie niż niebezpieczne. To ta pierwsza możliwość spowodowała, że zjeżyły mi się włosy na karku.

Rozpiąłem zamek błyskawiczny namiotu, wyjąłem Abbie i całym śpiworem, przycisnąłem palec do jej ust.

— Ciiii.

Zarzuciła mi ramiona na szyję. Na drugim ramieniu zawiesiłem apteczkę oraz strzelbę, a potem przesunąłem się wzdłuż brzegu, jak najdalej od

płomienia ogniska. Przeszedłem przez rzekę — woda tu sięgała do kostek — na stronę Florydy.

— Co się dzieje? — wyszeptała Abbie.

Uważnie lustrowałem rzekę.

— Nie jestem pewien.

Posadziłem ją na brzegu, w miejscu gdzie spływały w dół potężne gałęzie. Minęło kilka minut. Podczas gdy czekaliśmy, przeglądałem w myślach jutrzejszą marszrutę, zastanawiając się, gdzie możemy zatrzymać się na lunch i gdzie możemy uzupełnić zapas wody. Gdzie możemy napotkać ludzi, gdzie możemy się ukryć. Chociaż ta rzeka była czystsza niż większość innych i można pić z niej wodę, gdyby przyszła taka potrzeba, wolałem nie ryzykować. Za dużo pestycydów, których nie było widać, i za wiele gnoju, który mógł być niebezpieczny. Wzdłuż brzegu rzeki zamontowane były studnie artezyjskie z pompą, trzeba tylko było wiedzieć, gdzie je można znaleźć.

Niedługo po tym jak ukryliśmy się pod drzewami, pojawił się pierwszy mężczyzna. Był wysoki, kościsty, szedł na bosaka, miał na sobie obcięte dżinsy i podkoszulek bez rękawów. Wszedł spomiędzy drzew, wszedł do wody i powoli ruszył w stronę miejsca, gdzie były przywiązane oba kanu. Podnosił powoli stopy, a potem wsuwał je w wodę bez jednego dźwięku. Tak właśnie chodzi jelen, kiedy nie chce, żeby go zauważono. Za jego plecami pojawił się drugi mężczyzna, a tuż za nim trzeci, ci ruszyli prosto do miejsca, gdzie nie tak dawno leżała Abbie. Gdy pierwszy sprawdzał zawartość kanu, drugi z trzecim dobierali się do namiotu. Słyszałem dźwięk darcia materiału. Wymieniali szeptem jakieś gwałtowne uwagi. Potem wrzucili wszystko — namiot, mój śpiwór, ubranie i wszystko pozostałe — do ognia. Powietrze wypełnił gryzący dym i cała trójka zaczęła kasłać. Wreszcie temperatura zwyciężyła, namiot zajął się ogniem, płomienie strzeliły wysoko, oświetlając brzeg.

Nim dym się rozwiął, najcichszy mężczyzna spakował resztę naszych rzeczy na jedno kanu, które pchał w górę rzeki. Jakies sto jardów dalej

wciągnął je na brzeg i zniknął między drzewami. Jeszcze przez kilka minut słyszałem, jak przedziera się przez zarośla. Ogień szalał. Dwóch pozostałych mężczyzn było wyraźnie wkurzonych. Ich twarze płonęły złotem w łunie ogniska. Zobaczyłem dość, by wiedzieć, że ich nie lubię, ale nie tyle, by móc wskazać ich policji.

Cofnęliśmy się głębiej między drzewa. Jeszcze raz położyłem palec na ustach Abbie i usadowiłem się koło niej, przyglądając się poprzez trawy naszemu obozowisku. Dwóch facetów, coraz bardziej wściekłych, zbierało, co tylko się dało i wrzucało do ognia, puszczając wszystko z dymem. Płomienie były teraz już wysokie na jakieś piętnaście stóp, zaczynały lizać opuszczone niżej gałęzie. Potem mężczyźni zarzucili na ramiona to, co pozostało, i ruszyli w ślad za swoim kumplem, który właśnie ukradł nam kanu. To znaczyło, że pozostało nam jedno i niewiele więcej ponadto.

Położyłem dłoń na strzelbie. Abbie wyciągnęła do mnie rękę.

— Wszystko można zastąpić. Ciebie nie.

ROZDZIAŁ 11

Podczas gdy przyjęcie wydane przez jej rodziców wciąż trwało w najlepsze, Abbie zeskoczyła z murka, wsunęła mi rękę pod ramię i zapytała:

— Co wiesz na temat Charlestonu?

— Wiem, jak dojść do pracy, na uczelnię i w kilka miejsc, gdzie ryba nieźle bierze.

Potrząsnęła głową, patrząc zdziwiona.

— To nie wystarczy. Zupełnie nie wystarczy.

Ulice w Charlestonie są szerokie — zostały zaprojektowane w ten sposób w 1680 roku, żeby uniknąć tłoku, jaki już wtedy panował na ulicach Londynu. Poszliśmy więc w górę East Bay, wzdłuż Rainbow Row, potem skręciliśmy w lewo na Elliott i do Church, a następnie w dół Cabbage Row. Wskazała dłonią ulicę:

— Widziałeś „Porgy and Bess”?

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Jak kiedyś zobaczysz, to jest właśnie ten „Catfish Row”.

Doszliśmy do teatru na Dock Street.

— Tutaj nauczyłam się stać przed tłumem obcych ludzi. — Uśmiechnęła się. — I polubiłam to.

Poprowadziła mnie kilka domów dalej do Domu Piratów zbudowanego z błękitnego granitu wydobywanego w kamieniołomach na Bermudach.

— Ludzie mówią, że spod tego domu prowadzą sekretne tunele aż na nabrzeże — powiedziała, wskazując pod nogi.

— Wierzysz w takie plotki?

Skinęła głową.

— Dlaczego?

Rozejrzała się w lewo, w prawo, potem nachyliła się do mnie.

— Ponieważ byłam w tych tunelach.

Zawróciliśmy, a potem skręciliśmy w prawo ku Chal— mers — najdłuższej brukowanej ulicy Charlestonu. Brytyjskie statki Kompanii Wschodnioindyjskiej używały kamieni brukowych jako balastu w swych transatlantyckich podróżach. Kiedy docierały do celu podróży, załadowały powierzchnie magazynowe bawełną, ryżem lub tarcicą, a kamienie pozostawiały. Oszczędni koloniści używali ich do wykładania chodników, wypełniając przerwy między nimi tłuczonymi muszlami ostryg, które dzięki dużej zawartości wapnia umożliwiały naturalny spływ wody. Skręciliśmy w lewo na Meeting, przeszliśmy koło Four Corners of Law — nazwanego tak z powodu czterech budynków na czterech rogach, były to: sąd federalny i poczta, sąd hrabstwa, ratusz oraz kościół episkopalny pod wezwaniem św. Michała. Skręciwszy kolejny raz w prawo w Broad, skierowała nas w lewą stronę na King — tak by nasza przechadzka zakończyła się w najbardziej charakterystycznym architektonicznie miejscu Charlestonu. Abbie wyjaśniła:

— Nigdzie w kraju nie ma tak wielu oryginalnych osiemnastowiecznych i dziewiętnastowiecznych domów jak w Charlestonie. Gdy miasto odradzało się po huraganie Hugo, niewiele się rozprzestrzeniło. Każdy chciał kawałek, ceny domów podskoczyły gwałtownie do prawie tysiąca dolarów za stopę kwadratową. Rzadko się zdarza, by ktoś musiał wystawiać tabliczkę „Na sprzedaż”. Nie jest to potrzebne. Wystarczy, że właściciel wspomni o sprzedaży komuś znajomemu czy handlarzowi nieruchomościami, a nie mija dzień i dostaje osiem czy dziesięć ofert. Wcale nierzadkie są licytacje. Większość domów, jakie tutaj widzisz, nazywamy charlestońskimi pojedynczymi domami. Jeden obszerny pokój z węższym końcem od strony ulicy. Weranda — zwana tutaj także piazzas — często biegnie na całej

długości domu, od strony południa lub południowego zachodu, i wystawiona jest na najczęściej wiejące wiatry. Koloniści nauczyli się dawno temu, że lepiej budować z myślą o długich, męczących upałem latach niż o krótkich zimach.

Abbie potrafiła powiedzieć o Charlestonie więcej w ciągu pięciu minut, niż ja wiedziałem o mieście w ogóle. Skręciła w jedną z uliczek, żeby pokazać mi podjazd z cegły ułożonej w jodełkę. Na innej znów wskazała na oryginalne ogrodzenie metalowe według projektu Philipa Simmons. Nieco dalej zwróciła moją uwagę na osobliwość w czyimś ogrodzie: „Myślę, że ta wisteria ma jakieś sto pięćdziesiąt lat”. Studiowałem przez większość mojego życia sztukę, ale oko Abbie było wyćwiczone co najmniej tak jak moje, jeśli nie bardziej. Widziała piękno w najmniejszych szczegółach. Przy innej bramie pochyliła się, mówiąc:

— Tę roślinę nazywają: „Pocałuj mnie przy bramie” lub „Oddech wiosny”.
— Trzymała jej gałązkę między palcami. — Rośnie dość wysoko. Miewa od ośmiu do dziesięciu stóp. Ma zwisające kwiaty, ale znana jest dzięki swemu zapachowi.

Zadziwiła mnie.

— Skąd wiesz to wszystko?

— Jestem charlestońską dziewczyną. — Uśmiechnęła się znowu. — Wychowujemy się, by to wszystko wiedzieć.

Było już po północy, zatoczyliśmy pełny krąg i znajdowaliśmy się teraz o kilka przecznic od jej domu. Spojrzała na mnie:

— Zmęczony?

Potrząsnąłem głową.

— Nie, wydaje mi się, że spacer dobrze mi zrobił. Nie wiem, co wlewacie do lemoniady, ale powinno być do niej dołączane ostrzeżenie.

Roześmiała się, złapała mnie za rękę i przebiegliśmy kilka ulic, kierując się w stronę wody. Ciągnąc mnie, wyszeptała:

— Zamykają o pierwszej, więc może zdążymy przed czasem.

— Co zamykają o pierwszej?

Ulice były ciche, oświetlone przez przejeżdżające co jakiś czas samochody i gazowe lampy. Kilka kotów kłębiło się przy kubie na śmieci, a gdzieś z oddali dochodziło jazgotliwe ujadanie psa, któremu odpowiadał groźny bas innego czworonoga. Powróciliśmy na Rainbow Row, przeszliśmy jezdnię przy sklepie monopolowym. Pchnęła drzwi. Za kontuarem siedział starszy dżentelmen o czarnej skórze, ubrany w purpurową kamizelkę. Długie nogi wyciągnął przed siebie, a z potężnego radioodbiornika stojącego na półce nad jego głową dochodziły dźwięki rytmicznego jazzu. Jedno oko miał zamglone, ale wąsy i broda były starannie przystrzyżone, różowa koszula zaś wyprasowana i wykrochmalona. Na widok Abbie zerwał się rozpromieniony.

— Musi być jakieś przyjęcie, jeśli przysyłają cię o tej porze.

Wypchnęła mnie przed siebie.

— Panie Jake, to jest mój przyjaciel Doss Michaels.

Zlustrował mnie z góry na dół swoim zdrowym okiem.

Abbie obróciła się do mnie, mówiąc:

— Pan Jake pracował kiedyś w teatrze. Uczył mnie tańca.

Roześmiał się swobodnie, ale nadal nie spuszczał ze mnie

oka. Musiała minąć dobra minuta, zanim wyciągnął w moją stronę rękę.

— Ty jesteś tym chłopcem, który pomógł panience Abbie tamtej nocy?

— Ja — przytaknąłem.

Pokazał szerokim gestem wewnątrz sklepu.

— W takim razie bierz, co chcesz.

Podeszła do niego bliżej i objęła go w pasie.

— Panie Jake, chciałabym pokazać Dossowi piwnicę.

Obszedł ladę, pociągnął uchwyt w potężnej klapie podłogi i otworzył wejście. Abbie włączyła światło i wszyscy troje zeszliśmy po drewnianych schodach do piwnicy.

Było zimno, gdzieś spływała woda i z tego, co widziałem, cała piwnica została wykonana z dużych, ręcznie ciętych bloków ceglanych. Pan Jake wyjaśnił:

— To jeden z tuneli zbudowanych kiedy Charleston dopiero powstawał.

— Machnął ręką niczym pszczoła skrzydłem.

— Biegną przez całą długość miasta. Podczas huraganu Hugo wypełniły się wodą... wypłukała z miasta wszystkie szczury.

— Roześmiał się znowu, najwyraźniej był bardzo pogodnym człowiekiem.

— Kilka tuneli zapadło się. Parę zostało. Niewiele osób o nich wie.

Słuchając go, przesuwałem dłonią po ścianie. On zaś mówił dalej:

— Kiedy byłem dzieciakiem, wchodziłem przy nabrzeżu w rury odpływowe, wędrowałem tymi tunelami ze świeczką w dłoni i wychodziłem w teatrze. Nie wpuściliby mnie frontowymi drzwiami, więc dostawałem się od spodu. Obejrzałem wtedy więcej przedstawień niż ktokolwiek... tak uważam.

Abbie odwróciła się do mnie.

— Pan Jake jest bardzo skromny. Rozpoczął swoją karierę aktorską na Dock Street, a potem przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie występował, i to w głównych rolach, w wielu sztukach na Broadwayu i poza nim.

Przytaknął, jakby przypominając sobie. Złapała go za rękę.

— Panie Jake, pamięta pan nasz pierwszy taniec?

Zrzuciła z nóg buty i odwróciła się w moją stronę.

— Miałam sześć lat. W Dock Street potrzebowali zastępstwa i zatrudnili wtedy pana Jake'a do bardzo skomplikowanego występu.

Stałem oparty o ścianę, podczas gdy Abbie prowadziła, a pan Jake przypominał sobie. Jego obcasy rysowały na ceglanej podłodze dwa kroki, podczas gdy wtedy zrobił tylko jeden. Jego twarz powiedziała mi wszystko, co chciałem wiedzieć.

Kiedy skończyli, oddychał z trudem, ale uśmiechał się jeszcze szerzej. Wspięła się na palce, pocałowała go w policzek i powiedziała:

— Panie Jake, wciąż jest pan najlepszy.

— Panienko Abbie — wyciągnął z kieszeni chustkę, strząsnął ją, wytarł kark i czoło — potrafi pani sprawić staremu człowiekowi przyjemność.

Wyszliśmy z piwnicy przez sklep z alkoholem z powrotem na ulicę. Kiedy wędrowaliśmy w stronę jej domu, nadal opowiadała mi o mijanych domach, ich historii i o ludziach, którzy w nich mieszkali. Słuchałem z coraz bardziej przytomną głową, ale czułem się dziwnie. Spędziłem życie, pływając między wyspami znajdującymi się w moim wnętrzu, nie rozróżniając ich. Tej nocy spoglądałem na ocean we mnie i po raz pierwszy dostrzegłem odległy brzeg.

ROZDZIAŁ 12

2 CZERWCA, PORANEK

Spędziliśmy tę noc na plaży u stóp drzewka o nazwie crape myrtle. Abbie położyła głowę na moich kolanach i w takiej pozycji spała, a ja nasłuchiwałem, ale po głowie chodziły mi wspomnienia z ostatnich czterech lat, budząc we mnie głuchy gniew. Spoglądanie na trzech idiotów przetrząsających nasze życie było, delikatnie mówiąc, wkurzające. Abbie mamrotała coś, wypowiadała jakieś niezrozumiałe zdania, a przez jej ręce i nogi przebiegały gwałtowne drgawki. Ból dokuczał jej tak bardzo, że nie spała dobrze już od kilku miesięcy. Może nawet od roku. Jeśli przytomność potraktować jako powierzchnię, przenosiła się tylko z jednej jej strony na drugą, lecz głównie przebywała tuż pod powierzchnią. Kiedy patrzyłem na nią, przychodziło mi do głowy porównanie z człowiekiem śpiącym, który zamknięte miał tylko jedno oko.

Moje palce przesunęły się wzdłuż jej skroni, ucha, karku, ramienia. Pod oczami, mocno zapadłymi, widniały głębokie cienie. Palce jej drżały. Ująłem je w moją dłoń i ułożyłem pod brodą.

Tak długo nie traciła nadziei, tak długo wierzyła, że wszystko potoczy się dobrze, ale każde kolejne badanie, kolejne złe wyniki pozbawiały ją złudzeń. Lekarze powiedzieli mi, że ta choroba wywołuje niecierpliwość — lekarstwa, którymi się truje, uszkadzają bowiem system nerwowy. Ale ja myślę, że było w tym coś więcej. Abbie wiedziała, gdzieś w podświadomości, że jeśli straci kontrolę, już nigdy więcej się nie obudzi.

Uwielbiam filmy o Rockym. Oglądałem je po kilkanaście razy. I nie umiem wyjaśnić tego inaczej, jak tylko tym, że opowiadają o człowieku, który nie daje się pokonać. Który podnosi się za każdym razem i mówi: „Oto jestem”. Nie chcę, żebyście mnie źle zrozumieli. Nie jestem Rockyem. Z

pewnością. Ale moja Abbie jest. Tylko na nią spójrzcie. Leży tutaj: najpiękniejsza, najdroższa, najwspanialsza kobieta na świecie i choć jej skóra obwisła, a cichy głos w tyle głowy mówi jej, że już nie jest nawet cieniem swego dawnego *ja*, nadal nie straciła apetytu na życie. Wciąż potrafi rozdawać razy. Wciąż umie dotknąć tego, co najważniejsze.

Podczas tygodni i miesięcy, które nadejdą, ludzie będą spoglądać na mnie i zadawać pytania: Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? Nie jestem pewien, czy umiem to wyrazić słowami. Bo sam fakt, że pytają, oznacza, że nie pojmą odpowiedzi. Ze tej, której im udzielię, ani nie zrozumieją, ani tym bardziej nie zaakceptują.

Nikt nie jest dość mocny, by nieustannie walczyć, więc przygotowałem się na dwie batalie. Pierwsza, którą toczę u jej boku. Ta wciąż trwa. Jeszcze trwa. Walczymy oboje, jak potrafimy najlepiej. Ale, z upływem lat, widzę, że przyjdzie mi stoczyć jeszcze jedną — a ta będzie cięższa. Bo choć Abbie ma wciąż apetyt na życie, została pobita. Uczciwie mówiąc, walczy już tylko dla mnie. Ostatnio nie dawała mi spać myśl, co by się stało, gdybym powiedział jej, żeby już pozwoliła sobie odpocząć, żeby przestała walczyć. A co, jeśli czeka już tylko na mnie?

Kiedy słońce wreszcie wzeszło, byłem gotów kogoś zastrzelić. Obudziła się, podniosła głowę i ścierając sen z oczu, spytała:

— I jak tam?

Spojrzałem na rzekę, jedną dłonią wytarłem łzy, w drugiej wciąż trzymałem broń. Uniosła brwi:

— Aż tak dobrze?

Usiadła wyprostowana.

— Nie pozwolimy nas z tego okraść, prawda?

Rozumiecie, co miałem na myśli?

— Poczekaj tutaj, pójdę sprawdzić, czego nie zabrali.

Zsunąłem się do rzeki i ruszyłem w stronę biwaku. Mój

rekonesans nie trwał długo. Wrzucili do ognia wszystko. To musiał być niezły fajerwerk, na brzegu został tylko popiół. Drugie kanu było całkiem puste, ale przynajmniej unosiło się na wodzie. Krótko mówiąc, straciliśmy jedzenie, schronienie, GPS. Abbie miała swój śpiwór i podkoszulek, w który była ubrana, ale nic więcej. Ja miałem na sobie koszulę z długimi rękawami, szorty, parę butów, strzelbę, rewolwer i apteczkę. Nic, co by się nadawało do jedzenia lub do picia. Musieliśmy ruszać w drogę.

Przyciągnąłem kanu koloru mango do miejsca, w którym leżała Abbie, ułożyłem ją pośrodku.

— Kilka mil stąd — powiedziałem — zaczną pojawiać się chaty, będzie też jakaś... miejscowość wypoczynkowa. Może coś tam dostaniemy.

— Ośrodek wypoczynkowy? — uśmiechnęła się gorzko. — Coś w sam raz dla mnie.

Bare Bottom Resort było kolonią nudystów zamieszkaną przez zbieraninę bardzo różnych typów — od starszych, już tam zadomowionych, po młodszych, próbujących czegoś nowego. Zazwyczaj trzymali się z daleka od rzeki, starając się nie zwracać na siebie uwagi, ale jeśli ktoś nie wiedział, co to za miejsce, mógł się trochę zdziwić.

Postukała mnie w kieszeń koszuli i unosząc w górę brwi, spytała.

— Co dzisiaj zaliczamy?

— Kochanie, spróbujemy znaleźć wodę do picia, a jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, może uda nam się trafić na jakieś ubranie dla ciebie.

Wysunęła nogę, otwierając suwak w śpiworze. Na udzie miała czerwone plamki.

— Głowa do góry. Nie co dzień możesz pływać swoją ulubioną rzeką z nagą kobietą.

— Dobrze powiedziane.

Sięgnąłem za siedzenie po mapę, ale jej też nie było. Poklepałem się po kieszeni, mając nadzieję, że usłyszę szelest plastiku. Niestety. Odczytała to, co malowało się na mojej twarzy.

— To także?

Skinąłem potakująco głową. Usta wygięły się jej w uśmiechu.

— Wydaje mi się, że wszystko pamiętam.

Znaleźliśmy się na znajomym polu. Jeśli wszystko stracisz, cóż ci pozostaje?

Wiosłowałem niecałe dwadzieścia minut, gdy musiałem przepchnąć dziób kanu przez zwisające liany, by potem wypłynąć — miałem taką nadzieję — na głęboką wodę po drugiej stronie. Brzeg wznosił się teraz na dwadzieścia stóp po każdej stronie, prawie pionowo. Zwisające w dół drzewa tworzyły coś na kształt wielopoziomowego skrzyżowania, więc wysiadłem, zarzuciłem linę na ramiona i parłem przed siebie. To było jak wędrówka tamą zbudowaną przez bobra. Krok po kroku przedzierałem się przez warstwę utkaną z gałęzi tylko po to, by stanąć przed kolejną warstwą i znowu przez nią się przedzierać. Za jedne liany ciągnąłem, pod niektórymi nurkowałem, inne zaś deptałem. Problemu nie było ze mną, tylko z kanu. Musiałem tak nim manewrować, żeby nie uderzyć Abbie. Przeciągnąłem kanu przez kolejną kłodę, pot płynął mi po twarzy, ręce miałem pocięte i pokrwawione. W najgorszym momencie ona mi pomogła. Zaczęła się śmiać.

— Kochanie.

Zaparłem się nogą i szarpnąłem. Potem drugą i pociągnąłem jeszcze mocniej. Wreszcie kanu ześlizgnęło się z drewnianego kloca prosto do wody głębokiej na cztery stopy po to tylko, by za chwilę uderzyć w kolejny pień. Wszystko mnie bolało.

— Tak?

— Kiedy wrócimy do domu, oddaj łódkę do przeglądu. Te wstrząsy na pewno jej zaszkodzą.

— Rozważę twoją propozycję.

— Dobrze. — Położyła się znowu. — Obudź mnie, jak poradzisz sobie z tym bałaganem.

Przeszedłem do dziobu, złapałem znowu za linę i ruszyłem rzeką. Przed sobą widziałem jeszcze co najmniej pięćdziesiąt leżących drzew. Kiedy Abbie powiedziała: „Całą drogę od Moniac”, dokładnie to miała na myśli. Najtrudniejszą przeprawę, bez chwili odpoczynku. Ten, jeśli już następował, był darem rzeki. Tutaj ona jest władcą. Łamie cię, trzyma na swej łasce i nie daje szansy. Tutaj cię zatrzymuje, kiedy tylko chce. Każe ci wtedy rozglądać się wokół siebie. Słowem, musisz się z nią zmierzyć, wygrać lub... przegrać.

Vitis rotundifolia, winorośl rosnąca na południu Stanów od XVI wieku, z pnączami grubości ramienia, porastała przeciwny brzeg, pnąc się po dębach z wieczniezielonej odmiany, by następnie sforsować rzekę, przenosząc się ponad nią po lianach. Pędy jej spotykają się nierzadko pośrodku, łącząc ze sobą. Splatają się wówczas, tworząc patchwork prawie nieprzepuszczający światła. Kiedy nadejdzie wrzesień, staną się czarne od winogron. Teraz tworzyły nad nami z zielonych liści z małymi zielonkawymi kwiatami baldachim, po którym pełzały jaszczurki.

Pnącza te osiągały nieraz sto stóp długości, a w wilgotnym, ciepłym środowisku, na piaszczystym podłożu, obficie kwitły. Dlatego też wyjątkowo lubiły rzekę. Winogrona o twardej skórce, z pięcioma pestkami, gdy dojrzeją, będą miały dwa cale średnicy i różną barwę, od zielonobrazowej przez brunatną, różową, purpurową aż po prawie czarną. Kiedy nadejdzie czas zbioru, ludzie rozłożą na ziemi brezentowe płachty i będą strząsać owoce. Zawartość cukru sięga w nich dwudziestu pięciu procent, będą więc robić galaretki i dzemy, choć tu na południu najczęściej wyrabia się z nich wino.

Ześlizgnałem się po pniu, straciłem równowagę i... zjechałem w dół do wody. Byłem wykończony. Pochyliłem się nad dziobem kanu. Zrobiło mi się

niedobrze. I w tym właśnie momencie usłyszałem, jak ktoś odwodzi kurek strzelby.

Chrapliwy, zachrypnięty głos wdarł się w ciszę:

— Nie masz ani odrobiny rozumu.

Obróciłem się i stanąłem na wprost wylotu lufy starej zardzewiałej strzelby długiej na jakieś pięć stóp. Trzymała ją najbardziej odrażająca kobieta, jaką w życiu widziałem. Bezzębne dziąsła, usta pełne tytoniu, rondo kapelusza postawione płasko na czole, ręce powykręcane, zdeformowane palce. Nie była ani biała, ani czarna, kolor jej skóry był jakimś przyszarzałym *po między*. Twarz miała piegowatą i brakowało jej górnej części prawego ucha. Opakowana była w spłowiały, dżinsowy kombinezon oraz gumowce po kolana. Spuściła nieco lufę i lustrowała mnie z góry na dół. Gdyby w tej chwili pociągnęła za spust, odstrzeliłaby mi raczej prawą część głowy, nie całą. Jej lewe oko było zamglone, potężna katarakta przysłaniała źrenicę. Zamknęła usta, przepchnęła ślinę na bok, a potem wydeła wargi i dobrze wyćwiczonym ruchem splunęła. W tym momencie zwrócił jej uwagę jakiś zgrzytliwy odgłos, dochodzący z prawej strony znad rzeki. Zwinnie odwróciła się, wymierzyła i nacisnęła spust. Ze strzelby wytrysnął płomień i gdzieś nad rzeką jakiś gryzoń otrzymał cały ładunek, wylatując w powietrze pod postacią setki kawałków. Wyrzuciła łuskę, wsunęła kolejny nabój i zatrzasnęła komorę. Szparkami oczu oceniała mnie i kanu. Eksplozja zbudziła Abbie, która usiadła, patrząc na nas zupełnie przytomnymi oczami. Kobieta spuściła strzelbę i powiedziała, zezując w stronę rzeki:

— Szczury! Obgryzają moje winogrona. — Potrząsnęła głową. — Nie lubię tego.

Abbie przytaknęła.

— Rozumiem.

Kobieta machnęła lufą w moją stronę.

— Jesteś z nim?

Abbie też pokazała na mnie.

— Obiecał mi podróż na Alaskę, no wiesz, oglądanie wielorybów i takie rzeczy, a... zobacz, gdzie wylądowaliśmy.

Kobieta przewiesiła strzelbę przez ramię, jakby to był bumerang, i roześmiała się. Potem splunęła prosto w rzekę i powiedziała:

— Lubię cię.

Abbie wzruszyła ramionami.

— Ojej... to z pewnością lepsze, niż gdybyś mnie nie lubiła.

Kobieta znowu się roześmiała. Jej struny głosowe były tak pełne śluzu, że gdy jej słuchałem, zbierało mi się na wymioty.

— Co z nim robisz?

— To mój mąż.

Kobieta machnęła w moim kierunku strzelbą.

— To idiota.

— Wiem, tatuś powtarza mi to od czternastu lat.

Śmiech kobiety rozniósł się niczym wycie hieny. Jego siła przesunęła kolejny glut w jej gardle. Zebrała go końcem języka i po chwili lśniący niby ostryga leciał nad rzeką.

— Naprawdę mi się podobasz.

Abbie śledziła wzrokiem lot śliny. Kiedy spadła na wodę, rzuciła się na nią jakaś ryba.

Kobieta zeszła do rzeki, stając koło kanu w wodzie po pas, oko w oko z Abbie. Przekrzywiwszy głowę na jedną stronę, spytała.

Jesteś chora?

— Tak, proszę pani — przytaknęła Abbie.

— Co ci jest?

— No... — Abbie popatrzyła na mnie i wzruszyła ramionami. Po czym zrobiła gest odpukiwania w niemalowane drewno, tylko że postukała się w głowę. — Mam coś, co rośnie w mojej głowie. Zachowuje się tak, jakby miało własny umysł.

Kobieta przerzuciła bułą śliny spod jednego policzka pod drugi.

— I co się stanie?

— Lekarze mówią, że mam coś na kształt miniaturowej bomby cykającej w mojej głowie.

— Kiedy ci odpadnie?

— To dobre pytanie.

Kobieta przyciągnęła Abbie bliżej do siebie. Przyjrzała się uważnie jej twarzy i karkowi.

— Nic nie widzę.

— Ja też nie, ale możesz mi wierzyć. — Abbie poprawiła chustkę. — Coś tam jest.

— No to co... stanie się, kiedy ci to wybuchnie?

Abbie uśmiechnęła się.

— To ma dwie strony medalu, dobrą i złą. Dobrą, że już nie będzie mnie więcej boleć.

Kobieta poprawiła strzelbę na prawym ramieniu.

— A złą?

Abbie pokazała na mnie.

— On się ożeni z jedną z moich bogatych koleżanek.

Kobieta machnęła strzelbą w moim kierunku.

— Zawsze im chodzi o pieniądze, co? Ty sk...

Abbie położyła jej rękę na ramieniu.

— On jest w porządku. Naprawdę.

Kobieta najwyraźniej w tej chwili usłyszała następny niepokojący szelest dochodzący z odległej plaży, ponieważ obróciła się nagle o sto osiemdziesiąt stopni i wywaliła kolejny snop ognia. Tym razem ofiara nie wyskoczyła w powietrze, tylko rozpadła się, zostawiając czerwony ślad. Kobieta skinęła głową usatysfakcjonowana wyraźnie i znów splunęła. Otworzyła zamek, wyjęła łuskę i wsunęła kciukiem kolejny nabój, potem — jak poprzednio — przerzuciła broń przez prawe ramię. Wciągnęła powietrze i zwróciła się do Abbie:

— Chcesz, żebym ci z nim pomogła?

Abbie potrząsnęła głową.

— Nie... dam sobie radę. — Machnęła w moją stronę lekceważąco dłonią.
— Tak naprawdę to mięczak... całe to mięśniactwo jest tylko na pozór.

Kobieta dobrnęła do mnie, podniosła rondo mojego kapelusza, by spojrzeć mi w oczy.

— Spójrz no na mnie. — Dotknęła mojej prawej skroni zrogowaciałym kciukiem, wwiercając go z lekka. — Kiedy ta bomba eksploduje, możesz się mnie spodziewać.

Abbie zakrztusiła się od śmiechu.

— Tak, proszę, przyjdź. Będzie mi się o wiele lepiej spało ze świadomością, że nie wprowadził się do którejś z moich przyjaciółek.

Kobieta skinęła głową i przeszła wodą na brzeg. Z tyłu kombinezonu miała dziurę, która zdradzała, że pod spodem nie ma majtek i że jej pośladki są równie obwisłe jak policzki. Abbie zakryła dłonią usta, tłumiąc śmiech. Kiedy

kobieta dotarła do brzegu, machnęła lufą w kierunku drzew, odwracając się do Abbie. Uśmiech na jej twarzy zbladł, zmarszczki powiększyły się. Wciągnęła powietrze przez zęby.

— Są miejsca, gdzie ta rzeka jest szeroka. W innych miejscach jest głęboka. Gdzie indziej znowu drzewa leżą w poprzek, trzeba się nieźle namordować, żeby to przejść. W jeszcze innych się wije. Ale zbiera wody z wielu miejsc. I nigdzie, nigdzie nie staje. Nie możesz zamknąć jej zaporą. Możesz próbować, ale opłynie ją bokiem. Znajdzie swoją drogę. Taka już jest. Zawsze znajdzie swoją drogę. — Splunęła i machnęła strzelbą w moim kierunku. — Wydaje mi się, że z nim jest podobnie.

Podeszła do drewnianej skrzynki stojącej na brzegu i wyciągnęła z niej butelkę, na której mocno odcisnął swe zęby czas. Odbiła korek, wyciągnęła go, a potem pociągnęła prosto z gwinta. Przeplukała usta, zagulgotało jej w gardle, po czym skinęła głową. Wcisnęła korek z powrotem i podała mi.

— Z zeszłego roku. W sam raz.

Pokazałem na winorośl nade mną.

— Robisz z tego?

Kiwnęła potakująco.

— Według własnego przepisu. Tutaj nazywamy to wino szpigatowe lub wino południowego lisa albo sok radości, albo... — wykonała nagle podrzut biodrem w tanecznym kroku, którego już nigdy nie chciałbym oglądać — taneczny smar.

Abbie spoglądała na mnie, unosząc brwi ze zdziwieniem.

— A niech mnie.

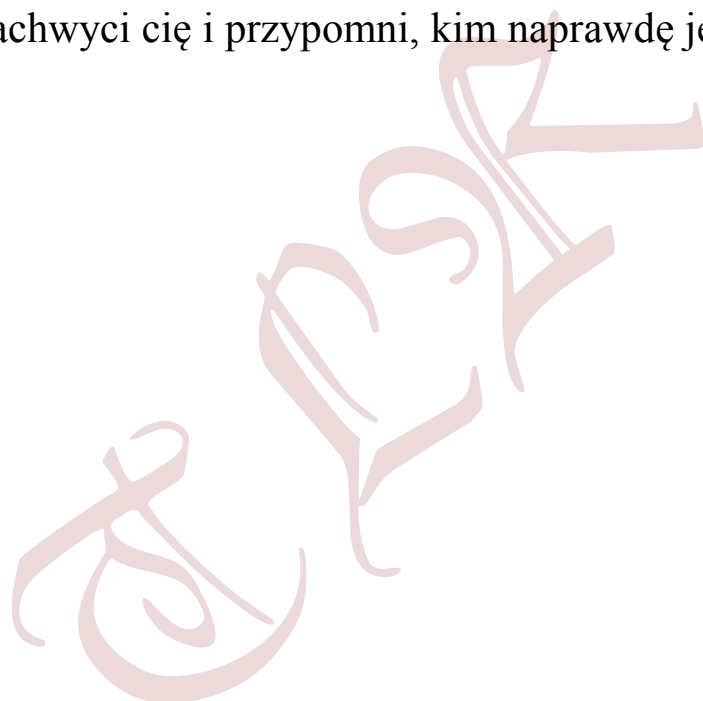
Stara kobieta przerzuciła znowu strzelbę przez ramię.

— Będziecie mieć miłą przejażdżkę. Szelest w liściach po jej lewej stronie spowodował, że jednej chwili strzeliła z broni, która nie wiedzieć kiedy

znalazła się w odpowiedniej pozycji. W oczach kobiety błyszczało szaleństwo. Zadowolona zablokowała kurek i strzelba wróciła na stałe miejsce. Kiedy obejrzałem się, wąż wodny połykał już to, co zostało ze szczura. Z jego pyszczka wystawał tylko ogon.

Nasunąłem kapelusz na czoło, zarzuciłem na siebie uprząż i ruszyłem dalej.

Taka właśnie jest rzeka. Brzydka i odrażająca, tak szkaradna, że czerw by wymiotował, ale jeśli uda ci się wypłynąć, pod tym wszystkim co może ci dać najgorszego, jeśli uda ci się przedrzeć na powierzchnię tam, gdzie innym się to nie udało, zachwyci cię i przypomni, kim naprawdę jesteś.



ROZDZIAŁ 13

Minęły dwa dni od świątecznego przyjęcia. Pojedyncza żarówka oświetlała stojące przede mną sztalugi. Dochodziła północ. Siedziałem na barowym stołku na antresoli, trzymając w zębach pędzel. Ze zmrużonymi oczami i przechyloną głową próbowałem sobie wyobrazić, gdzie powinien być cień. Na płótnie przede mną widniała jej twarz, widziana tuż zza jej prawego ucha, wzdłuż linii policzka, poprzez kącik ust i linię nosa, który wskazywał na Fort Sumter, a jednocześnie rozdzielał Ashley od Cooper. Jej twarz zajmowała prawie połowę płótna. Kosmyki włosów w lewym górnym rogu, ucho nieco poniżej i trochę w prawo, co oznaczało, że sama twarz była na wysokości fortu, unoszącego się na wodzie w prawym dolnym rogu. Patrząc na obraz, instynktownie przenosiło się wzrok z górnego lewego rogu do dolnego z prawej strony i do fortu. Światła tego ostatniego łączyły się z poświatą księżyca lśniącego jasno, wysoko nad fortem, skąd wzrok przenosił się znowu w lewo — zataczając pełny krąg.

Pukanie w drzwi wyrwało mnie ze skupienia. Nie wyjmując pędzla z ust, podszedłem do wejścia pewien, że to jakiś pijany kadet, któremu trzeba powiedzieć, że moje drzwi to nie jego koszary. Kiedy otworzyłem, poczułem zapach papierosów i usłyszałem awanturę dobiegającą z pobliskiego baru. Otworzyłem szerzej i z ciemności wyłoniła się ona — w futrze z norek i w perłach. Uśmiechnęła się, potrząsnęła głową i weszła, mijając mnie, do środka.

— Pracujesz?

Popatrzyłem na zegarek.

— Już nie — odpowiedziałem przez zaciśnięte na pędzlu zęby.

— To dobrze — przewróciła oczami.

Zamknąłem drzwi, chwilę jej zabrało, zanim przyzwyczaiła się do przyćmionego światła. Jej uwagę przyciągnęła pojedyncza żarówka na antresoli, spojrzała tam i zauważyła płótno, więc zaczęła się wspinać po schodach. Szedłem w pewnym oddaleniu za nią. Przyglądała się kilka minut, podeszła bliżej, spoglądała to pod jednym, to pod innym kątem, cofnęła się.

— Jesteś zła? — zapytałem.

— Nie, jestem przyzwyczajona do tego, że ludzie kradną moją podobiznę.

— Przepraszam — powiedziałem, wręczając jej płótno.

— Dlaczego ja? — potrząsnęła głową.

— Ponieważ... jesteś... jesteś sobą.

— Może — wzruszyła ramionami. Przez dłuższy czas milczała, jakby było jeszcze coś, co chce mi powiedzieć. Wreszcie odezwała się znowu.

— Żeby mnie tak przedstawić ludzie zazwyczaj używają Photoshopa.

— Jesteś zła? — zapytałem znowu.

— Nie, ale jestem łatwym celem. Mnie może malować każdy. Nie bądź taki jak wszyscy. — Intensywność jej słów zdziwiła mnie. — Ludzie ciągle mi mówią, że jestem piękna. No dobrze, tylko co z tego? Większość życia spędziłam przed obiektywami. Ludzie używają mojego wizerunku, żeby sprzedać jakiś produkt. I to wszystko. Tak naprawdę wykorzystują mnie: moją twarz lub moją postać, które — mówiąc przy okazji — tak naprawdę niewiele mają ze mną wspólnego, żeby powiedzieć wszystkim innym, że nie są tacy jak ja.

Więc mówią im: *Nie jesteś piękna*. Lub: *Nie jesteś ładna*. Albo: *Nie jesteś dość dobra*. — Jej oczy zaszklily się. Machnęła dłonią, obejmując tym gestem moje studio. — Jeśli chcesz uprawiać wielką sztukę, coś, co wykroczy poza to miejsce i czas, znajdź kogoś, kogo uczynisz kimś... Maluj złamanych, niekochanych... i pozwól im uwierzyć.

* * *

Ciasne, drewniane, spiralne schody prowadziły na dach. Nocami, w zależności od księżyca, lamp ulicznych i wiatru, często tam malowałem. Było spokojnie, co pozwalało mi widzieć świat jakby z lotu ptaka.

— Na dachu? — zapytała.

Przytaknąłem.

— Możemy?

Wspiąłem się po schodach, otworzyłem klapę i pomogłem jej wejść. Ceglana fasada mojego studia wznosiła się nad płaskim dachem, sięgając nam do pasa i oddzielając od zgiełku i spalin King Street. Grube gołębie gruchały z zadowolenia. Po chwili wzleciały w górę niczym Czerwony Baron, kołowały nad naszymi głowami. Pokazała na najbliższego, najbardziej odważnego purpurowego gołębia.

— Posłuchaj, ty mały opryskiwaczu. Mój tata kolekcjonuje strzelby. Tylko spróbuj narobić na moje norki, to osobiście zapoluję na ciebie. — Ptak zatoczył łuk w prawo i odleciał w noc.

Była zupełnie inna niż ludzie, których dotąd spotkałem czy poznałem. W jednej chwili śmiertelnie poważna, w drugiej pękała ze śmiechu. Oparła się o ceglany murek, zamknęła oczy.

— Lepiej będzie, jeśli mnie stąd sprowadzisz.

— Dobrze się czujesz?

Zakołysała się jak żeglarz, który wyszedł na ląd.

— Migrena. Zjawia się bez zapowiedzi.

Zsunęliśmy się po schodach, zanim dotarliśmy na parter, niosłem ją już na rękach. Po czym położyłem na łóżku. Wypełniłem plastikowy woreczek lodem i ułożyłem jej na karku. Ponieważ mój jedyny zestaw pościeli był

akurat brudny, spałem w śpiworze rozłożonym wprost na materacu. Przejechała po nim dłonią:

— Ładne prześcieradło.

— Przepraszam. Ale po moim debiucie w roli nocnego strażnika w miejscowym zoo poplamilem je trochę krwią. — Pokazałem stos bielizny w rogu pokoju.

Ściągnąłem jej buty, włożyłem poduszkę pod kolana i przykryłem nogi kocem. A norkami okryłem ramiona.

— Już to kiedyś robiłeś? — wyszeptała.

— Tak, mamie.

Spała twardo do świtu, kiedy samochód zakładu oczyszczania miasta budził King Street do życia. Siedziałem na stołku, z palcami pokrytymi wszystkimi możliwymi odcieniami wyschniętej farby, między zęby wetknięty miałem jeden pędzel, niczym nóż, drugi trzymałem w rękach. Przez noc namalowałem obraz.

Usiadła na łóżku, przetarła oczy i popatrzyła na moją pracę.

— Malowałeś?

Skinąłem głową, niepewny jej reakcji. Poklepała łóżko.

— Jeśli miałeś zamiar mnie wykorzystać, to straciłeś swoją szansę.

Uśmiechnąłem się, nie wypuszczając pędzla z ust.

— Nie myśl, że się nad tym nie zastanawiałem, ale w porę przypomniałem sobie o kolekcji strzelb twojego taty.

Wstała, podeszła do mnie i kładąc mi rękę na ramieniu, powiedziała:

— Naprawdę ją ma. — A potem pocałowała mnie w usta, w których wciąż trzymałem pędzel. — Dziękuję.

— Bardzo proszę. — Wyplułem pędzel.

— Zrobisz coś dla mnie? — roześmiała się.

— Czy to będzie legalne?

— Tak, ale... — popatrzyła na płótno — zabierze trochę czasu. I... — znowu była poważna, kolejne płynne przejście — ...może to być rodzaj próby.

— Słucham.

— Czy to jest przenośne? — wskazała na farby, pędzle i sztalugi.

— Może być.

— Czy jesteś zajęty dziś wieczorem?

— Mam pracę, ale mogę zadzwonić, że jestem chory. Wsunęła stopy w buty, złapała norki i pocałowała mnie

drugi raz.

— Z pędzlem było milej.

Podeszła do drzwi i włożyła okulary. Pokazałem na ulicę:

— Ludzie mogą zacząć gadać, że widzieli, jak wychodzisz stąd o takiej godzinie. Z tyłu jest „wstydlive przejście”.

I tak będą gadać. — Wskazała sztalugi, na których stał jej portret. — Już go wyceniłeś?

— On... nie jest na sprzedaż.

— W takim razie o piątej?

— O piątej.

ROZDZIAŁ 14

2 CZERWCA, PÓŻNY PORANEK

Reynolds Bridge jest mostem z jednym pasem jezdni wykonanym z betonu i żelaza. Nie ma balustrady ani świateł, a w związku z tym, że w tym miejscu rzeka wcina się głęboko w piaszczyste podłoże, wznosi się dwadzieścia pięć stóp ponad jej taflą. To może nie wydaje się dużo, ale most jest płaski. Rosną pod nim potężne drzewa, których gałęzie wyginają się wokół jego krawędzi, strzelając ku słońcu.

Flagi konfederatów powiewają na chatkach rzecznych zbudowanych na palach, ukrytych między drzewami. Porzucony automat do pepsi leży drzwiczkami do dołu po stronie Florydy. Plastik jest popękany, widać też ślady po trafieniach kulami potężnego kalibru. Na dole, pomiędzy urwistymi brzegami panuje cisza. Tak jakby się szło po śniegu. Stłumione echo, ale nawet jego nie jesteś pewien. Zapach rozkładu i od czasu do czasu jakichś kwiatów. Wiosłując tamtędy, czujesz się, jakbyś żył pod powierzchnią ziemi.

Bare Bottom Resort jest właścicielem kilku akrów ziemi w dole rzeki za mostem. Jedna goła osoba może wydawać się atrakcyjna, ale pięćdziesiąt już nie. Na co trzecim drzewie wisi jaskrawopomarańczowy lub — dokładnie nie pamiętam — żółty napis: **ZAKAZ WSTĘPU**. Właściciele mają nadzieję, że będzie on odstraszać niepożądanych gości i że powstanie strefa buforowa, by trzymać na dystans podglądaczy. Ale powiedzenie chłopkom— roztropkom z południowej Georgii, że nie są mile widziani na ich własnej ziemi, może tylko pogorszyć sprawę. Okoliczne lasy pełne są dzieciaków kręcących się to tu, to tam, mających nadzieję zobaczyć gołą babę. Wiem to, bo sam byłem jednym z nich. Problem w tym, że wiele kobiet, które przyłączają się do kolonii

nudystów, to żadne miss piękności. Kiedy więc skradaliśmy się, szliśmy lasem, mając nadzieję zobaczenia jakiejś laski z okładki „Sports Illustrated”, tymczasem to, co ukazywało się naszym oczom, przynosiło nam więcej szkody niż pożytku. Za moich szczenięcych lat napisy na drzewach powinny głosić: „To, co zobaczycie, nie ma nic wspólnego z tym, jak się to miejsce reklamuje. Oglądacie na własne ryzyko, bo będziecie żałować, że w ogóle to zobaczyliście”.

Oczywiście, nie było mnie tutaj od dawna i przy moim pechu wszystko się mogło zmienić.

Drzewa zwisające nad rzeką tworzyły — jak wcześniej — gęsty baldachim. Ona sama zaś w kilku miejscach mocno się rozlewała. Pełno było więc mniejszych i większych sadzawek, które okazywały się znakomitymi miejscami do pływania. Wciągnąłem kanu na brzeg tam, gdzie z mostu zwisała stara lina do huśtania się.

— Trzymaj się mocno, niedługo wrócę.

— Zazwyczaj noszę rozmiar 4 — roześmiała się — ale mogę się ścisnąć do 2. I wybierz coś, co będzie pasowało do moich oczu.

— Nie licz na zbyt wiele.

— Pamiętaj — mówiła, zaśmiewając się. — Myśl tak jak oni. Wmieszaj się w tłum.

— Bardzo śmieszne.

Pokonałem kilkaset metrów lasem i dotarłem do rzędu chat. Dało się wyczuć zapach śniadania, tu i ówdzie słuchano wiadomości podawanych przez różne stacje telewizyjne, ale na zewnątrz nie było nikogo, nie suszyło się żadne pranie. „Chyba ci ludzie — myślałem — musieli kiedyś coś nosić. Na przykład gdy szli do sklepu”.

Po drugiej stronie dużej łąki, wielkości może ze czterech boisk do piłki nożnej, znajdowało się publiczne kąpielisko. Wokół naliczyłem kilkanaście osób. Nieco dalej zobaczyłem na jakimś budynku napis: SPA i PRALNIA.

Bingo.

Wyszedłem zatem z lasu, ale przypomniałem sobie, co powiedziała Abbie. Chodziło o to, by nie zwracać na siebie uwagi. Obróciłem się i uskokczyłem za drzewo, po czym rozebrałem się do naga. Założyłem okulary i ruszyłem przez trawnik jak stały bywalec tego miejsca. Potem przyszło mi do głowy, że w powrotnej drodze będę musiał coś nieść, więc zawróciłem i złapałem koszulę, którą przerzuciłem przez kark niczym ręcznik.

W całym moim życiu nie miałem takiej świadomości, jak wyglądam, jak w tej właśnie chwili. Usiłowałem pogwizdywać, ale moje usta odmawiały współpracy.

Byłem w połowie drogi przez trawnik, kiedy z jednej z chat, jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie, wyszła kobieta. Ona też nie miała na sobie nic, a bez widoku jej pomarszczonego, obwisłego ciała znakomicie mogłem się obejść. Pomachała do mnie, a potem obróciła się tyłem — kolejny widok, który będzie mnie prześladował do końca życia — i zaczęła podlewać kwiaty na tarasie, nie zwracając już na mnie żadnej uwagi.

Ci ludzie są dziwacznicy.

W tym momencie pomyślałem o samym sobie, maszerującym przez ich podwórka, nagim jak święty turecki. Uznałem, że ja też muszę być dziwaczny.

Dotarłem do sadzawki, starałem się nie patrzeć w oczy żadnej z jedenastu osób rozłożonych wokół wody lub kąpiących się. Było tam troje dzieci, kilkoro nastolatków i czworo dorosłych. Wyglądali na dwie rodziny. Nigdy w życiu nie czułem się tak zażenowany. Przeszedłem po pomoście do budynku oznaczonego napisem SPA, gdzie grupa kobiet ćwiczyła jogę.

Chyba żartujesz.

Nie patrząc na nikogo w szczególności, ale widząc wszystko, przeszedłem dalej w stronę, jak mi się wydawało, pralni. Nikt nie zwracał na mnie uwagi, co mnie w jakiś— dziwny sposób cieszyło. Wszystkie kobiety koncentrowały się gdzieś pomiędzy „psem z głową w dół” a — kto wie — może „górnym księżycem”. W pralni stało rzędem dwanaście pralek i suszarek. Najwyraźniej kobiety przyszły na jogę z praniem. To był mój los na loterii!

Zerknąłem przez ramię, po czym zacząłem przeszukiwać kolejne suszarki. Znalazłem kostium i ręcznik, jakieś szorty, które mogły pasować na Abbie. Potem wpadło mi do głowy: stopy. Złapałem więc parę skarpet oraz kostkę mydła z brzegu umywalki. Wszystko to zawinałem w ręcznik, przerzuciłem przez kark i ruszyłem z powrotem przez pomieszczenie z ćwiczącymi kobietami, starając się skupić na podatkach, pierwiastku kwadratowym z II i ułożeniu kostki Rubika.

Okrzyżłem kąpielisko, machając jednemu z mężczyzn, który czytał po drugiej stronie książki, przeszedłem przez bramę. Kobieta leżąca koło niego podniosła nos znad swojej lektury i spytała:

— Jesteś tu nowy?

— Tak. — Odwróciłem się w stronę rzędu chat wyglądających na domki do wynajęcia. — Właśnie przyjechałem. Staramy się tu wpadać raz do roku.

Usiadła i pokazując rząd domów po drugiej stronie kąpieliska, powiedziała:

— Zajrzyj wieczorem. Numer 14. George robi grilla i zaprosił sąsiadów. Żeby się lepiej poznać.

— Jasne. O... o której?

— Koło szóstej. Przeprowadzisz żonę? — To było pytanie.

— Tak. Dzięki. Do zobaczenia. — George pomachał mi, a kobieta z uśmiechem wróciła do książki.

Kiedy szedłem trawnikiem, jeszcze dwóch mężczyzn i jedna kobieta machali do mnie z werand. „To jest po prostu bezwstydnym ekshibicjonizm — myślałem z niesmakiem. — Ludzie nie są stworzeni do tego, by łązić nago. To nie jest wygodne”. Wszedłem do lasu i zobaczyłem zwijającą się ze śmiechu Abbie. Łzy płynęły jej po twarzy. Nigdy nie widziałem, żeby się tak śmiała. Wręczyłem jej ubranie.

— To nie jest śmieszne.

Nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Objąłem ją ramieniem i ruszyliśmy z gołymi tyłkami przez las. Obejrzała się, lustrując mój prawy pośladek.

— Ależ jesteś ciacho.

— Mam też inne zalety.

Dotarliśmy do rzeki w miejscu, gdzie zwisała lina. Ci, którzy się na niej bujali, odbijali się od brzegu, przelatywali nad plażą, by wylądować w sadzawce, która, sądząc po kolorze wody, miała w tym miejscu dobrych parę stóp głębokości. Abbie rozwinęła ubrania i znalazła mydło. Spoglądała na mnie z tym swoim złośliwym chochlikiem w oczach.

— Kiedy wlałeś między wrony...

Zrzuciła koszulę, rozwiązała chustkę i ruszyła po białym piasku plaży. Po wszystkim, co przeszliśmy, wciąż mnie pociągała. „To nadal jest najpiękniejsza kobieta na całej planecie” — myślałem, przyglądając się jej. Woda sięgała przy brzegu do kolan i miała barwę miedzi. Słońce zanurzyło się w czarnej chmurze, z której na wodę i drzewa zaczęły spadać ciężkie krople deszczu. Deszcz był zimny, ale rzeka ciepła, więc zanurzyliśmy się po ramiona, brodami dotykając powierzchni. To był jeden z tych momentów. Chwila i mógłby nam umknąć. Woda ściekała z płatków jej uszu i z czubka nosa, parowała, wznosząc się ku drzewom w miniaturowych trąbach powietrznych, by tam nagle zniknąć, podczas gdy chmury z wolna rozpuszczały się w postaci kropel deszczu. Jeśli w niebie jest chwała, to spływała właśnie na moją żonę.

Sięgnąłem po butelkę darowanego sikacza, wyciągnąłem korek, potem ułożyłem Abbie na sobie. Leżała jak w kołysce. Popijaliśmy wino małymi łydkami, przyglądając się parującej rzece. Gdy deszcz ustał, poprosiła:

— Wykap mnie.

I tak zrobiłem. Kiedy słońce przebiło się znów przez chmury, rozłożyłem na plaży brezent. Zapięliśmy się w jednym śpiworze, a wino nas uspiło. Dawno nie czuliśmy się tak dobrze, jak po tej godzinie snu. Kiedy się obudziliśmy, zwinąłem śpiwór, a ona klepnęła mnie w pupę:

— Trzy zaliczone, jeszcze siedem.

Miała rację. Zaliczyliśmy punkty 3, 4 i 10. Abbie potrafiła sprawić, że zapomniałem, w jakim piekle żyjemy. Tym bardziej że ten moment nie był wyjątkiem. Załadowałem wszystko na kanu, a po chwili położyłem ją pośrodku. I wtedy zdałem sobie sprawę, że nie ma strzelby.

ROZDZIAŁ 15

Kilka minut po siedemnastej wypasione bmw serii 5., z ciemnymi szybami, zaparkowało o metr od mojego studia. Otworzyła okno i pomachała do mnie. Zamknąłem drzwi na klucz, a do bagażnika włożyłem sztalugi, naciągnięte na blejtram płótno i dwa blaszane pudła na przybory rybackie wypełnione farbami i pędzlami. Ponieważ na przednim siedzeniu siedziała jakaś kobieta, wskoczyłem do tyłu. Obróciła się i przedstawiła ją.

— Doss, to jest Rozalia.

Kobieta nie należała do filigranowych, była po pięćdziesiątce, najprawdopodobniej pochodziła z Ameryki Południowej i spędzała wiele czasu na słońcu. Odwróciła się do tyłu i podała stwardniałą, suchą rękę. Miała luźno wiszącą skórę pod oczami, prawie w ogóle nie miała brwi, nos był złamany, a w ustach nie było widać ani jednego zęba.

Jechaliśmy przez miasto, kierując się w stronę doków i wielkich magazynów. Abbie mówiła, zmieniając biegi:

— Przygotowaliśmy studio. Nie jest doskonałe, ale musi wystarczyć.

Magazyn był zimny, olbrzymi, a betonowa podłoga sprawiała, że każdy szept powracał echem. Pośrodku, na kablu rozwieszonym między dwoma słupami, wisiała szara zasłona. Oświetlenie składało się z kilkunastu różnych lamp skierowanych w jej stronę. Niektóre świeciły na podłogę, inne prosto w materiał, a jeszcze inne przeświecały przez matowe tło lub oświetlały mały stółek.

Rozalia miała na sobie długą ciemnobrązową spódnicę, na niej duży, brudny, biały fartuch, na nogach stare trampki, jeden rozwiązany z powodu urwanego sznurowadła. Górę ubrania stanowiła obszerna lawendowa koszula,

taka, jakie zazwyczaj noszą pomoce domowe. Coś mi się w niej nie zgadzało, ale nie potrafiłem powiedzieć co. Niemniej wyczuwałem jakiś zgrzyt.

Abbie posadziła Rozalię na stołku, poszeptała do niej, a potem przeszła do konsolety i zaczęła włączać i wyłączać lampy. W tym czasie kobieta siedziała na stołku, wycierając ręce w fartuch. Abbie przez kilka minut zastanawiała się nad światłami. Jedno włączyła, potem dodała do niego inne, trzecie zgasiła, żeby w tej samej chwili zająć się czwartym. W pewnym momencie zwróciła się do mnie.

— Co o tym myślisz?

— Podoba mi się, ale mam wrażenie, że gdybyś dodała coś miękkiego u jej stóp, może byś otrzymała to, czego szukasz. — Pstryknęła kolejnym przełącznikiem i krótko coś rozważała, po czym sięgnęła po butelkę z wodą i napiła się. Wreszcie wydała się zadowolona.

Złapała mnie za rękę, pociągnęła ku Rozalii i odezwała się po hiszpańsku:

— Rozalio, to jest ten malarz, o którym ci opowiadałam.

Ta uśmiechnęła się, nawet nie podnosząc wzroku. Abbie poklepała ją po kolanie, a potem zwróciła się do mnie:

— Doss, moje pierwsze wspomnienia związane są z tą oto damą. Czesłała moje włosy i powtarzała, jaka jestem ładna, zanim zrozumiałam, co znaczy to słowo. — Odwróciła się do Rozalii. — Wszystko dobrze. Zaczynamy.

Kobieta poprawiła fartuch, a następnie zaczęła rozpinać koszulę. Kiedy poradziła sobie z ostatnim guzikiem, Abbie przysunęła się i pomogła ją jej zdjąć. Szybko, jakby bojąc się, że może zmienić zdanie, Rozalia sięgnęła do tyłu i odpięła stanik. Potem, nawet nie zasłaniając się rękoma, pozwoliła mu opaść. Wtedy zobaczyłem, na czym polega nierównowaga.

Abbie uklękła koło niej, poklepała ją po kolanie i zwróciła się do mnie:

— Rozalia uciekła ze swojego kraju, kiedy ja byłam niemowlęciem. — Wskazała na zagietą, szeroką, prawie półtora— calową bliznę biegnącą od prawego sutka, poprzez mostek, dalej przez miejsce, gdzie niegdyś była lewa pierś, pod pachą aż ku plecóm. — Ale wcześniej dopadł ją mężczyzna z maczetą.

Prawa pierś Rozalii zwisała prawie do pasa, gdzie spotykała się z wałkiem tłuszczu przelewającym się nad fartuchem. Abbie stanęła za nią i rozwiązała jej kruczoczarne włosy, przetykane gdzieniegdzie siwymi pasmami. Pozwoliła im opaść. Sięgnęły do pasa.

Przyjrzałem się Abbie. Pytająco. Abbie pocałowała Rozalię w policzek i uniosła dłonią jej brodę. A potem powiedziała do mnie:

— Rozalia zawsze chciała mieć portret. Powiedziałam jej, że ty potrafisz go namalować.

Cofnąłem się do mojego płótna, starając się wyglądać tak, jakbym przygotowywał pędzle i farby. Lecz tak naprawdę zastanawiałem się, jak u licha mam to zrobić. Abbie nagle podeszła, objęła mnie i wyszeptała do ucha:

— Doss... spójrz swoimi oczyma. — Zakryła mi oczy dłonią. — Ale nie tymi. — Przesunęła ręce w dół na klatkę piersiową. — Tymi. Spójrz na nią i zobacz ją tak, jak sama zawsze chciała się widzieć. — Poczulem jej dłoń w swojej dłoni. — Pokaż, że jest nieskończenie piękna.

Spoglądałem na szczyt brzydoty.

— Jak mam to zrobić?

Poczulem przy uchu jej ciepły oddech.

— Znajdź tę jedną rzecz, która każe ci spojrzeć na nią ponownie.

Rozalia siedziała na stołku, spoglądając na mnie. Wierciłem się. Dłonie miałem spocone. W ustach mi zaschło. Co zrobię, kiedy ona odkryje, że nie potrafię zrobić tego, na co liczy? Abbie tymczasem spacerowała wokół nas, rozmawiając przez telefon ze swoim agentem, rezerwując loty, zajmując się

swoją karierą. Potrafiła zajmować się tyloma sprawami równocześnie, że aż kręciło mi się w głowie. A przede mną siedziała Rozalia. Spokojnie czekała.

Nie mając już nic do ukrycia i nie mając się za czym skryć, nagle się wyprostowała, podnosząc brodę w górę. Kątem oka zerknęła na mnie.

W trzy sekundy przeszła przemianę: z żalosnej i złamanej w wyniosłą i wspaniałą.

Cztery godziny później miałem zarys szkicu. Osiem kolejnych dni, podczas których Abbie była w Nowym Jorku, pracowałem do utraty tchu. Abbie zadzwoniła do mnie, jak tylko przyleciała do domu, o drugiej nad ranem, ale trzymałem ją na dystans.

— Jeszcze nie — powiedziałem. Tak, bałem się. Kolejne dwa dni spędziłem na drobnych poprawkach, zbierając całą moją odwagę, i wreszcie, głównie dlatego, że omal nie wyważyła moich drzwi, wpuściłem ją.

Zapaliłem światło. Padało prosto na płótno. Abbie cofnęła się. Wstrząsnął ją spazm... upadła, tak jak mają to zwyczaj robić Indianie, na ziemię i rozszłochała się. Cofnąłem się w cień, byłem zupełnie zdezorientowany. Zmartwiony. Z każdą chwilą czułem się gorzej. Abbie nagle wstała i przybliżyła żarówkę do obrazu, a potem delikatnie przesunęła palcem po bliźnie na płótnie.

Kiedy odwróciła się do mnie, usta jej drżały. Po twarzy płynęły łzy.

— Och... nawet nie wiem, co powiedzieć.

Ja także nie wiedziałem. Zacząłem się wycofywać jeszcze głębiej:

— To jest tylko jedna z wersji. Mogę namalować ją jeszcze raz. Może pod innym kątem... albo...

Potrząsnęła głową.

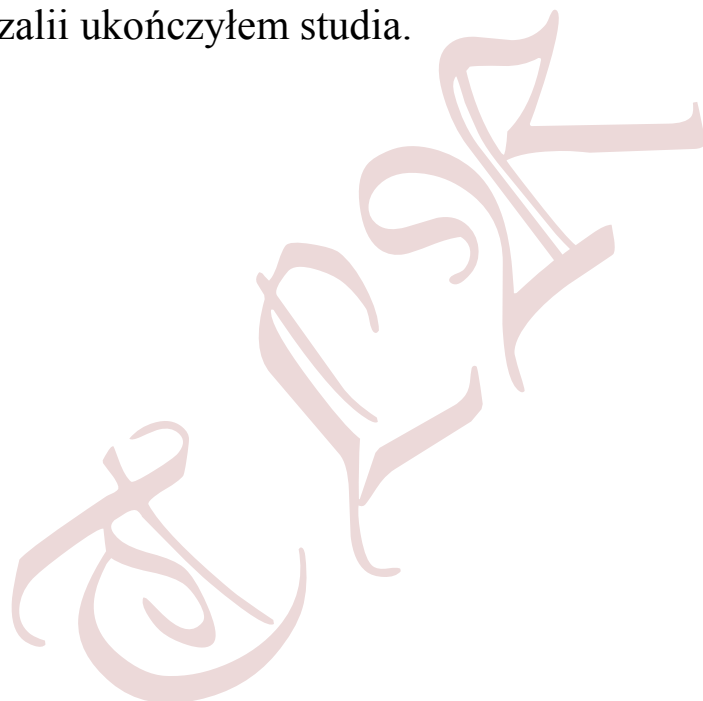
— Nie. — Ujęła moją twarz w dłonie i przycisnęła usta do moich warg. Pamiętam, że jej twarz była mokra, a tusz rozmazał się tak, że wyglądała jak szop pracz. Pamiętam, że pode mną ugięły się kolana.

Całowała moją twarz, potem szyję, ramiona, ale tak naprawdę całowała moją duszę aż do głębi. Potem oparła głowę na moim ramieniu i powtarzała:

— Cudowne.

Stojąc tak na mojej antresoli, patrząc na Rozalię, z Abbie przytuloną do piersi, nauczyłem się znowu oddychać.

No i dzięki Rozalii ukończyłem studia.



ROZDZIAŁ 16

2 CZERWCA, POPOŁUDNIE

Na południe od Bare Bottom rzeka zakręca na krótko na wschód, tylko po to, żeby zaraz skierować swój bieg znowu na południe i płynąć dalej prosto aż do drogi przechodzącej przez St. Marys Bluff. Poziom wody od czasu do czasu pozwalał mi na wiosłowanie. Kiedy było to niemożliwe, wysiadałem z kanu i siedłem brzegiem lub wodą, ciągnąc je po mieliźnie.

Było wczesne popołudnie, kiedy zatrzymałem się, żeby poprawić pasy uprząży, spojrzałem w dół i zobaczyłem węża zbożowego zwiniętego blisko mojej nogi. Węże te są dość długie — mierzą jakieś pięć do sześciu stóp — chude, jasnobrą— zowe, a gdy się je podrażni, wydają okropnie syczący dźwięk. Ponieważ to właśnie zrobiłem, syczał ze wszystkich sił.

— Co to za hałas? — spytała Abbie.

Rozejrzałem się uważnie, uświadamiając sobie, że wąż nie syczy wcale na mnie. Kilkanaście centymetrów od mojego buta pływały trzy karłowate grzechotniki. Zazwyczaj nie osiągają długości stopy, są jednak nie mniej jadowite niż ich duzi kuzyni. Gdyby miały dość czasu, przegryzłyby każdy but, a twoja noga po kontakcie z nimi uzyskałaby mało apetyczny kolor. Jest na nie odtrutka, ale oznaczałoby to wycieczkę do szpitala, co nie byłoby ani miłe, ani zabawne.

Abbie nie jest fanatyczną zwolenniczką węży. Ja również ich nie lubię, ale jeśli zamierzasz wędrować tą rzeką, szczególnie w jej górnym biegu, lepiej się do nich przyzwyczaić. Normalnie bym do nich strzelił, bo jedyny wąż, jakiego toleruję, to martwy wąż. Tym razem jednak je przepłoszyłem. Przeleciały ślizgiem po powierzchni wody. Potem wystraszyłem zbożowego. Zawinął się

i wpełzł zygzakiem na pień drzewa. To jeden z moich najmniej ulubionych obrazów — odpełzający wąż. Węże i choroby mają wiele wspólnego: dużo lepiej im z tobą niż tobie z nimi.

* * *

Opodal, wzdłuż rzeki, już od jakiejś mili, biegła droga. To jedna z niewielu dróg, przy której są miejsca z łatwym dostępem do St. Mary, a znajduje się po stronie Georgii, gdzie brzeg jest stosunkowo wysoki. Większość okolicznych zabudowań stanowią stare, farmerskie domy o blaszanych dachach, z werandami obiegającymi je wokół. Obok nich stoi zazwyczaj psia buda i garaż, często równie imponujący jak sam dom. Przepłynęliśmy pod ukradzionym bannerem „Winston Cup Series” rozpościerającym się nad rzeką tuż za mijanym gospodarstwem, którego granice wyznaczane były przez stare i pordzewiałe części samochodowe oraz zdezelowane auta. Wyblakłe od słońca plastikowe krzesła stały tu i ówdzie na trawniku, a tam gdzie ziemia wybrzuszała się, dało się zobaczyć trzy małe baseniki. Napis nad drzwiami głosił: **OCHRONĘ ZAPEWNIĄJĄ: SMITH & WESSON.**

W potężnych garażach stały zaparkowane samochody kempingowe. Kundle bez obroży biegały luzem. Część z nich zwykle spała na drodze, a jeśli przejeżdżał tędy jakiś dostawca, zrywały się i dziko ujadały. Często podwórka zdobiły różowe flamingi spacerujące między łysymi oponami, starymi łódkami, niedopalonymi ogniskami, skrzynkami pocztowymi z napisem: **WITAJ w ROCK CITY**, oraz domkami dla ptaków.

W tych stronach wszyscy chodzili do kościoła. I choć ludzie spotykają się w różnych budynkach, tak naprawdę skupiają się pod jedną chorągwią. To jedno z najliczniejszych wyznań świata zostało nazwane Pierwszą Świętą Kongregacją Narodowej Organizacji Wyścigów Samochodowych. Większość z wyznawców bierze udział w tych obrzędach. Kiedy leje, wkładają poncha lub robią otwory na ręce i głowę w czarnych plastikowych workach na śmieci. Dużo jest wtedy machania rękoma, krzyków i wiwatowania z pięćdziesięcioma tysiącami przyjaciół. Powiedzieć, że ludzie ci są żarliwymi wyznawcami to za mało. Ich czapki, koszulki, kurtki — wszystko, co noszą,

wskazuje, jaką wyznają wiarę. Flagi na ich garażach zaświadczały o odmianie ich szczególnej religii, a naklejki na zderzakach informują, kto jest ich ulubionym pastorem. Ceremonie te mogły trwać nawet kilka godzin, dlatego też większość zabiera ze sobą chłodziarki, a w nich jedzenie i picie. Niektórzy nawet biwakują na parkingach, od soboty czekając już na otwarcie drzwi świątyni. Większość ceremonii jest zresztą połączeniem wspólnej duchowej komunii z chrztem. W otoczeniu diakonów i innych pomocników ten, który im tego dnia przewodzi — zawsze w lśniącym stroju — staje na podium i wprowadza zebranych w stan uniesienia, rozrzucając między nich dowody wdzięczności. Zebrani przed nim ludzie mogą zaś wznosić toasty, pić lub wiwatować — to już zależy od nich.

Prześlizgnęliśmy się pod transparentem, kiedy średniej wielkości suka, bez obroży, prawie biała, zbliżyła się do brzegu i zanurzyła nos w wodzie. Miała jedno oko czarne i najwyraźniej gdzieś zostawiła zgłodniałe szczenięta, ponieważ jej piegowate sutki były znacznie powiększone i kapało z nich na piasek mleko. Jakieś pół mili dalej minęliśmy trzy pitbullteriere w kolczatkach tarzające się w błocie. Dwa z nich miały rany nad oczami, a jednemu po prostu brakowało oka. Na parkanie nieco dalej wypisano sprayem: „Nie przejmuj się psem, uważaj na właściciela”. Jeszcze dalej krowy przechadzały się po pastwisku, a nad nimi latały nieznośne starzyki i końskie muchy wielkości półdolarówek.

Krótko potem wpłynęliśmy w obszar, nad którym unosił się dym o cierpkim zapachu palonych śmieci, a przez pobliskie podwórko ruszyło na nas sześć bullterierów, pokazując kły. Pokonały dystans może stu metrów, zanim zdążyłem sięgnąć po rewolwer. Stały nad brzegiem w doskonale równym rzędzie, szczerząc zęby. Warczały, śliniły się, nawet poszczekiwały, ale nie przekroczyły umownej linii. Każdy z nich miał obrożę z małym czarnym pudełeczkiem i niewielką antenką, co oznaczało, iż podlegały elektronicznej kontroli, za co czułem wdzięczność. Miałem nadzieję, że wynalazca tego gadżetu cieszył się zasłużonym odpoczynkiem na jakiejś plaży w otoczeniu dziewcząt serwujących mu kolorowe drinki ozdobione, a jakże, parasoleczkami z papieru. Zasłużył na to. Nie wykonywałem więc żadnych

gwałtownych ruchów, powoli wiosłowałem, przesuając nas po mieliźnie. Abbie otworzyła jedno oko i spytała:

— Czy zostanę zjedzona?

Potrząsnąłem przecząco głową, ale nie odrywałem wzroku od brzegu.

— Przynajmniej tak długo, póki nie ma przerwy w dostawie prądu.

— A jeśli zdarzy się awaria?

— No cóż, jestem większy, więc prawdopodobnie wezmą się najpierw za mnie. Powinnaś zdążyć wdrapać się na szczyt klifu, zanim obgryzą moje kości i zaczną się rozglądać za deserem.

— To mnie uspokaja.

* * *

Nim słońce zaszło, pokonaliśmy kolejne cztery mile. Rzeka zaczęła się trochę otwierać, nie musiałem już tak dużo ciągnąć, za to trzeba było więcej wiosłować. Po obu stronach ciągnęły się białe piaszczyste plaże. Wyskakiwały z nich w górę palmy, zarówno te strzeliste, jak i karłowate, zanurzając w wodzie swe liście niczym czułe palce. Sosny wielkości sekwoi, przyczepione do brzegów, wznosiły się niczym drapacze chmur, a towarzyszyły im uległe skarłowaciałe dęby.

Mama miała rację.

Kiedy nadszedł wieczór, uzmysłowiłem sobie, że coraz częściej zerkam w tył. Nie miałem szans, żeby uciec przed policją. Liczyłem tylko na to, że trochę ich wyprzedzę, ale wiedziałem przecież, że znają tę rzekę równie dobrze jak ja. Zerwał się lekki wiatr, a rzeka w tym miejscu ostro zakręcała. Prawie o 180 stopni. To miejsce nazywało się Skinner Beach. Na wysokim brzegu stała osłonięta kuchnia polowa, a obok niej studnia artezyjska z zardzewiałą starą pompą, która jednak powinna działać. Grupy młodych chrześcijan, zastępy skautowskie czy niedzielni kierowcy często tu pewnie

obozowali, korzystając z dostępu do wody i dużego grilla pod zadaszeniem, które w razie czego chroniło przed deszczem.

Przybiłem kanu do plaży, ustawiłem je w zacienionym miejscu i wziąłem Abbie na ręce. Nie otworzyła oczu ani nie poruszyła się, co oznaczało, że ból powrócił. Zaniósłem ją na brzeg, pchnąłem siatkowe drzwi i wniosłem do pomieszczenia. Tam położyłem ją na stole dość długim, by mogło przy nim usiąść jakieś dwadzieścia osób. Podłożyłem jej torbę pod głowę, po czym poszedłem do pompy, żeby przynieść wody. Trochę się musiałem namachać zardzewiałym żelastwem, ale wreszcie woda zabulgotała i popłynęła, czysta, zimna i słodka. Umyłem miseczkę ze stali nierdzewnej i zaniósłem wodę Abbie. Usiadła, napiła się, po czym z powrotem się położyła.

Wziąłem z łódki torbę z lekarstwami, zdjąłem kapturek ze strzykawki z deksametazonem i ułożyłem Abbie na boku. Przemyłem skórę alkoholem, po czym wbiłem igłę w to, co pozostało z mięśni na jej lewym pośladku.

Wróciłem do pompy i nachyliłem się tak, że woda leciała mi na głowę. Była zimna i czysta, poczułem, jak przechodzi ogarniające mnie zmęczenie. Kiedy ramię osłabło mi już od machania, podniosłem się, pozwalając, by spłynęła ze mnie do ostatniej kropli.

Zapadał zmierzch. Wróciłem do polowej kuchni i wziąłem się za przetrząsanie drewnianej skrzyni stojącej pod stołem. Zarówno skauci, jak i grupy przykościelne zapewne używali jej, by trzymać sproszkowane jedzenie w suchym miejscu, z daleka od myszy, ale często zostawiali tam puszki, nie chcąc ich dźwigać ze sobą. W pierwszym pojemniku znalazłem tylko kilka papierowych talerzy i plastikowych kubków oraz trzy rolki papieru toaletowego. W drugim impregnowany brezent, pudełko nieotwartych, ale zwietrzałych już krakersów, dwie puszki sardynek marynowanych w ostrym sosie, trzy słodkie rogaliki i kilka zapalek. W trzecim trafiła się główna wygrana: herbatniki z razowej mąki, słodka ziołowa pasta i kilka tabliczek czekolady

Palenisko przypominało jamę otwartą na cztery strony, metalowy komin zwisał zaś z dachu, wyciągając na zewnątrz dym i ciepło. Było to bezpieczne dla dzieciaków, które chciałyby sobie coś przysmażyć. Na dachu tej prowizorycznej kuchni leżało kilkanaście metalowych wieszaków na ubrania. Wziąłem jeden, przytrzymałem nad ogniem, opalając rdzę. Kiedy był już gorący i sterylny, otworzyłem nim puszkę. Ławkę przysunąłem bliżej ognia. Nie miałem specjalnego bzika na punkcie sygnałów świetlnych, ale czułem, że jeśli ktokolwiek podąży za nami, wie już, gdzie jesteśmy. Zrobiło się przyjemnie ciepło. Po mniej więcej minucie zjawiła się Abbie. Położyłem dwie kostki czekolady na jednym ciasteczku z razowej mąki, na to wycisnąłem jeszcze słodką pastę, a następnie przykryłem to krakersem. Uśmiechnęła się do mnie.

— Kochanie, co za rozpusta.

Roztopiona czekolada i pasta pojawiły się w kącikach jej ust, kiedy wbiła zęby w słodką kanapkę. Wskazałem skonstruowanym przez siebie pogrzebaczem w dół rzeki.

— Jeszcze jutro parę mil, a znajdziemy się w obszarze wyjazdów weekendowych. Większość miejsc biwakowych zaopatrzona jest w lodówki i kuchnie polowe. Przedtem...

Uśmiechnęła się, oblizując pastę z kącika ust.

— Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że już to kiedyś robiłeś.

— Co? Kanapki?

Potrząsnęła głową.

— Nie, głuptasie. Mam na myśli kradzież.

— Muszę przyznać... — spojrzałem na rzekę — że mam pewne doświadczenia.

Ogień przygasał, węgle spopielaly, a my zjedliśmy wszystko do ostatniego okruszka, w tym także zwietrzałe krakersy. Abbie odmówiła dopiero, kiedy

zapropnowałem sardynki. Słodkie rogaliki odłożyłem na śniadanie. Potrzebowałem paliwa, żeby mieć siły. Byłem zmęczony, a czułem, że tej nocy także się nie wyśpię. Choć trzeba przyznać, że przeszła spokojnie. Około północy spadł deszcz i ochłodziło się, więc roznieciłem ogień, a potem rozwinąłem brezent i ręcznik, by przykryć nimi Abbie. Jakies dwie godziny przed świtem wziąłem ją i zawiniętą niczym kokon przeniosłem do kanu. Spała niespokojnie, więc dałem jej lizaka, zawierającego sporą dawkę fentanylu, żeby mogła odpłynąć do lepszego świata, w którym pozostała do rana.

Przy autostradzie 121 „szlak Okefenokee” zakręca i wiedzie ku północy przez sześć kolejnych mil aż do mostu Stokes, gdzie robi ostry zwrot w lewo. Używając określenia topograficznego, to tutaj właśnie rzeka zaczyna spływać z ramion Florydy.

St. Mary staje się szeroka na mniej więcej osiem długości samochodu. Ponieważ jest to teren trzęsawisk, jeździ się tu tylko autami terenowymi. Wzdłuż brzegu rosną sterty śmieci, które zwożą okoliczni mieszkańcy. Przesiąknięte wodą materace, korpus przedziurawionej kulami lodówki, połowa motocykla, kilkadziesiąt egzemplarzy „National Geographic” oraz tysiące puszek i butelek po piwie zalegają na brzegu. Pod samym mostem leżał zaś do góry nogami trzykołowy, zardzewiały wózek z supermarketu. Nowszy model — lśniący czerwonym plastikiem — spoczywał na stosie śmieci zalegających kawał betonu, który nie przetrwał upadku z mostu.

ROZDZIAŁ 17

Pytałem go o zgodę, tak dla porządku. Kluczowe słowo to: *pytałem*. Jego harmonogram jest bowiem bardzo napięty. Trudno się dostać przed jego oblicze, choćby na pięć minut. Zawsze ktoś z nim jest.

To był weekend Święta Dziękczynienia. Przyjechał do domu, żeby pokroić indyka. Abbie cały czas pracowała. Nie widziałem jej od kilku tygodni. Ja zaś skończyłem studia i miałem dwie prace. Zeby zarobić na życie, byłem przewodnikiem wędkarzy. Kiedy ryba brała, potrafiłem zgarnąć nawet kilka setek dziennie. A kiedy nie brała, malowałem.

Portret Rozalii wisiał w holu domu Colemanów. Jej rodzice komentowali, że w ten sposób wspomaga „lokalnych artystów”, co doprowadzało Abbie do wściekłości, ale faktem jest, że była to pierwsza rzecz, którą się zauważało po wejściu do rezydencji. Nadto nie zaprzeczali, że obraz przyciąga siłą wyrazu. Kiedy tylko Abbie zjawiała się w domu, przysłuchiwała się rozmowom toczonym przy kolacji, wyczekując na moment, kiedy uda jej się przechytryć rodziców. Zaglądała więc do salonu i po powitaniu gości rzucała niby od niechcienia.

— Tak się składa, że znam tego malarza, gdybyście byli zainteresowani. Co prawda jest bardzo zajęty i trudno komuś nowemu coś u niego zamówić, ale... — uśmiechała się, spoglądając porozumiewawczo — mam u niego chody.

Nie przejmując się niechęcią rodziców, aranżowała spotkania z potencjalnymi klientami. Zjawialiśmy się w ich domach, ja zgadzałem się namalować jej lub jego portret, potem uzgadnialiśmy szczegóły i

umawialiśmy kilka pierwszych sesji. Podczas pierwszego takiego spotkania pan domu, dyrektor spółki naftowej, zapytał mnie:

— Ile pan sobie liczy za obraz?

Już miałem powiedzieć, że tysiąc dolarów, kiedy Abbie odezwała się:

— Normalna cena wynosi dziesięć tysięcy, ale ze względu na mnie zgodził się obniżyć ją do siedmiu i pół.

Mężczyzna skinął głową, jakby akceptował rachunek w fast foodzie.

Opadła mi szczeka.

Po dziewięciu miesiącach spłaciłem długi z czasu studiów i kupiłem swój pierwszy samochód. Ale prawdę mówiąc, malowałbym ich nawet za darmo, ponieważ po raz pierwszy w moim zawodowym życiu czułem się doceniony. Moja praca miała wartość, bo osoba, która stawała lub siadała przede mną, mój „temat”, powierzała mi coś, co miała najcenniejszego, swój wizerunek.

Nic nie mogło mnie bardziej uszczęśliwić.

Niestety, na jej rodzicach nie robiło to najmniejszego wrażenia, a jej macocha wyrażała to głośno.

Rano w Dzień Dziękczynienia wszedłem na werandę od tyłu i właśnie miałem zastukać, kiedy usłyszałem:

— Razem skoczyliście na zbyt głęboką wodę. Kiedy ludzie się zorientują, Doss już nigdy nie będzie tu nikogo malował.

Cofnąłem się od drzwi i usiadłem na ławce obok Rozalii, która obierała fasolkę.

— Mamo...

— Nie *marnuj* mi.

— Czy widziałaś jakieś jego prace poza portretem Rozalii?

Zapanowała cisza, po której padło niechętnie:

— Tak.

— I?

Katherine sięgnęła po gazetę i otworzyła na stronie z nekrologami.

— Wydaje mi się, że są... wierne.

— Wierne?

Gazeta wylądowała na stole.

— Nie podoba mi się, że spotykasz się z tym chłopakiem.

— Nie masz prawa tak mówić.

— Abbie, posłuchaj, on wychował się w przyczepie.

— Więc?

— Nie jest w twoim typie.

— Chciałaś powiedzieć: nie jest z mojej klasy.

— Wiesz dobrze, on nigdy nie będzie jednym z nas.

— Mamo, on nie próbuje być jednym z nas.

— O to mi właśnie chodzi.

— Nie sądzisz, że taka odmiana jest odświeżająca?

Abbie weszła na schody i zniknęła w łazience. Rozalia

oparła się o mnie, przyciskając swoje pulchne ramię do mojego. Spojrzała na mnie wymownie, poklepała mnie po udzie i pokazała głową, żebym wchodził. Cmoknąłem ją w czoło, delikatnie zapukałem w siatkowe drzwi, po czym je otworzyłem, pchnąwszy lekko.

— Dzień dobry, pani Coleman.

— O, witaj, Doss. Wchodź. Wyglądasz na zgłodniałego. Mogę ci zaproponować śniadanie?

Malowanie portretów nauczyło mnie czegoś o tych ludziach. Wszyscy moi klienci mieli dwie twarze. Z jedną żyli, drugą chcieli mieć uwiecznioną na portrecie. Katherine Coleman nie była wyjątkiem.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem, kiedy dom opustoszał, senator ukrył się w swoim gabinecie. Zapukałem. Patrzył na mnie wzrokiem bez wyrazu.

— Witaj, Doss. Zgubiłeś Abbie?

— Nie, proszę pana. Chciałem porozmawiać z panem.

Usiadł wygodnie w fotelu.

— O?

— No cóż, o Abbie.

Lekko się zakołysał, wbijając sobie ołówek, który trzymał przy policzku, głębiej w skórę:

— Dobrze, właśnie o niej myślałem.

Nie miałem pojęcia, co mam zrobić ze swoimi rękami, więc w końcu wepchnąłem je do kieszeni spodni.

— Senatorze Coleman, chciałbym prosić pana o rękę pańskiej córki.

Przestał się kołysać i odłożył ołówek. Naprzeciwko niego stało wolne krzesło, ale nie zaproponował mi, bym usiadł. Upłynęło tylko kilku sekund, a mnie wydawały się one wiecznością. Wreszcie potrząsnął głową i powiedział po prostu:

— Nie.

Nie wiedziałem, jak mam zareagować. Co w tej sytuacji zrobić?

— Czy jest nadzieja, że skłonię pana do zmiany decyzji?

— Nie — odparł z wyuczonym uśmiechem.

Miałem mu mnóstwo rzeczy do powiedzenia, ale nie byłem przekonany, czy potrafię je dobrze wyrazić, a jeszcze mniej, czy dobrze bym na tym wyszedł. Widział we mnie porywczego, dwudziestojednoletniego, przymierającego głodem artystę. Decyzję podjął dużo wcześniej, zanim przestąpiłem próg jego gabinetu.

— Dobranoc panu. — Odwróciłem się i wyszedłem, cicho zamykając za sobą drzwi.

Podczas gdy ja czułem się zraniony, Abbie po prostu się wściekła. Nigdy wcześniej nie widziałem jej w takiej furii. Nie potrafiła się uspokoić przez dobrą godzinę. Staliśmy nad rzeką. Właściwie to ja stałem, bo ona biegała.

— On myśli, że niby kim jest?

Jest twoim ojcem.

— Co nie znaczy, że może odgrywać rolę Pana Boga.

— Jego zdaniem może.

Siedzieliśmy wtedy, czując się tak, jakby uszło z nas całe powietrze.

— Może, jeśli dojdę do czegoś i wrócę za, powiedzmy, pięć lat, zmieni swoje zdanie. Ale będę pamiętał, co mówił: "*Nie oznacza nie*". Koniec i kropka.

Spoglądała na wodę, potrząsając głową. Wiedziałem, że cokolwiek poza całkowitym podporządkowaniem się, oznaczało wojnę — kolejny strzał z Fortu Sumter. Nie chciałem tego ze względu na Abbie, nie chciałem oddzielać jej od rodziny. Wiedziałem, że to, co zamierzałem zrobić, będzie bolesne, ale też najlepsze, co mogłem jej zaproponować.

Musiałem dać jej wolność. Odwróciłem się w jej stronę:

— Proszę, wybacz mi to, co zamierzam zrobić. — Kręciła przecząco głową. — Abigail... twój ojciec — powiedziałem — ma rację. — Cofnęła się o krok. — Ja jestem produktem osiedla domów na kółkach. Ty jesteś królową

Południa. Ja jestem marzycielem, samotnikiem i rzadko mówię o tym, co czuję lub myślę. Bardziej nadaję się do tego, by pracować na przyjęciach wydawanych przez twoich rodziców, niż by na nich bywać. — Łzy wypełniły jej oczy. — Jesteś zjawiskiem, narodowym klejnotem, potrafisz rozmawiać z królami i z ludźmi, którzy wyplatają koszyki.

— Doss...

— Ja umiem tylko jedno. Ty, czegokolwiek się dotkniesz, zamieniasz to w złoto.

— Nie wolno ci tak do mnie mówić! — zaczęła na mnie krzyczeć. — Nie ze względu na niego.

— Abigail... twoja mama ma rację. Nie jestem z twojej klasy.

Położyła wskazujący palec na moich ustach.

— Jestem zwyczajną dziewczyną, która pokochała zwyczajnego chłopca.

Gdzieś rozległ się dźwięk syreny statku. Po rzece płynęła łódź. Po kocich łbach jechał zaś wóz ciągnięty przez konia. Nad naszymi głowami gdzieś w ciemnościach drzew nawoływały się mewy. Ująłem jej dłonie w moje ręce.

— Czy wyjdiesz za mnie?

Był piątek, dzień po Dniu Dziękczynienia, 1992 rok.

Tupnęła nogą:

— Doss Michaels! Już się bałam, że wymiękłeś.

— Abigail... czy wyjdiesz za mnie?

Waliła mnie piąstkami po piersi.

— Nie, jeśli mnie w tej chwili nie przeprosisz.

— Przepraszam.

— Nie mówisz tego z przekonaniem.

Uklęknąłem.

— Abbie, nie mogę ci obiecać takiego życia, jakie ci zapewni ojciec. Nie wiem, jak sobie będę dawał w życiu radę, więc nie mogę obiecać dużo. Poza tym, że dam ci całego siebie. Żadnych pretensji, żadnych murów, żadnych kłamstw. Nigdy nie było i nigdy nie będzie na całym świecie mężczyzny, który pokocha cię tak, jak ja. Kiedy nie jestem z tobą, czuję ból. A kiedy jestem, też czuję ból, bo wiem, że za kilka godzin znowu cię nie będzie. Byłem obolały przez większość mego życia i już dłużej nie chcę... Proszę, weź mnie... i te wyspy, które są we mnie... i złóż mnie w całość.

Spojrzała na mnie z ukosa.

— Jeśli jeszcze kiedyś zrobisz mi to, co dzisiaj, ja...

— Abbie?

Zagryzła wargę.

— Muszę ci coś wyznać — odwróciła się i wskazując ręką, powiedziała:
— Mam na pupie znamię.

— Już się nie mogę doczekać, kiedy je zobaczę. To będzie nasza mała tajemnica.

Potrząsnęła głową.

— Doss, ja nie jestem tą dziewczyną, którą pokazują ilustrowane pisma. Taka dziewczyna w ogóle nie istnieje. Ona jest wytworem...

— Nie zakochałem się w tamtej dziewczynie z plakatu.

— Wiem, ale... jestem tylko jej konturem. Wsadzają mnie w komputer, kasują zmarszczki, zmniejszają nos, podciągają brodę, wypełniają policzki. — Uniosła dłońmi biust. — Sprawiają, że moje piersi wyglądają na naprawdę duże.

Wzruszyłem ramionami.

— Ja kocham tę Abbie, która stoi przede mną.

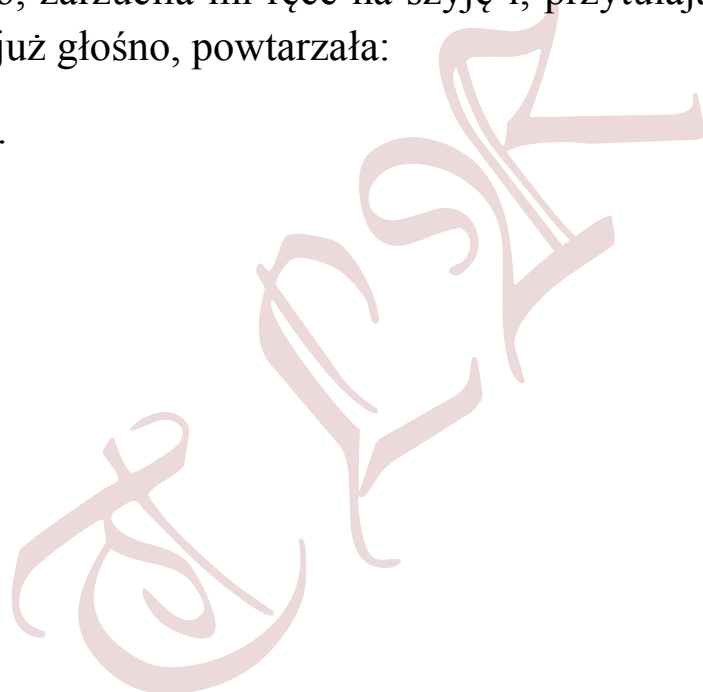
Uklęła naprzeciwko mnie.

— A jeśli będę stara i brzydka, pozapadana w nieodpowiednich miejscach?

— Abigail Coleman, ja nie chcę ożenić się z twoim wyobrażeniem. Ani nawet z pamięcią o tobie. Chcę się ożenić z tobą. Więc nie przejmuj się tym, kim możesz się stać. Ja też będę kochał. Nawet bardziej. Godzę się na wszystko, co złe, bo to oznacza, że dostanę też wszystko, co dobre.

Wtuliła się we mnie, usłyszałem, jak próbuje powstrzymać łkanie. Kiedy jej się to nie udało, zarzuciła mi ręce na szyję i, przytulając do mnie mokrą twarz, szlochając już głośno, powtarzała:

— Tak... Tak...



ROZDZIAŁ 18

3 CZERWCA

Po południu trzeciego dnia przepłynęliśmy pod mostem na autostradzie 121. A to znaczyło, że pokonaliśmy dwadzieścia trzy mile. Jeszcze kilka do mostu Stokes — i będzie za nami jedna czwarta drogi. Zwykle z rzeki w jej górnym biegu nie korzysta się w celach rekreacyjnych. Inaczej jest na południe i na wschód od Traders Hill. Co znaczyło, że jeszcze jakiś czas rzeka będzie nas „kryć”, ale im dalej na północ, im bliżej właśnie Traders Hill, tym częściej napotykać zaczniemy narciarzy wodnych, rybaków na małych płaskodennych łódkach łowiących przy brzegu oraz federalnych strażników przyrody. Ci zaś patrolują rzekę w łodziach zwiadowczych wyposażonych w radia, telefony satelitarne i silniki yamaha o mocy 200 koni. Kiedy kogoś namierzą, czasem udaje się uciec przed motorówką, ale nie przed radiem.

Teraz rzeka znowu się zwężała, głębokość wody nie osiągała tu nawet stopy, widać było żółty piasek dna. Po naszej lewej stronie rozciągały się długie, szerokie plaże. Pałace popołudniowe słońce ogrzewało ramiona i usypiało mnie, więc wprowadziłem kanu wolniutko w cień drzew, starając się przy tym nie obudzić Abbie. Powyżej nas, po stronie Florydy, ktoś budował ogromne domiszcze. Właściciele musieli wiedzieć, co robią, ponieważ kupili ziemię w miejscu, gdzie brzeg był najwyższy na całej długości rzeki. Topografia wskazywała jasno, że nie grozi im żadna powódź, chyba że przyszedłby potop. Przed nami rzeka skręcała ostro w prawo. Wystarczyło, że zamknąłem oczy, by ujrzeć każdy cal kwadratowy brzegu. W zasięgu wzroku pojawiła się końcówka liny, dokładnie w miejscu, gdzie uczyłem się kiedyś robić w powietrzu przewroty w tył. Lina była pomalowana na zielono, kołysała się lekko.

Poniżej widniał spłachetek plaży. Wciągnąłem na nią kanu i delikatnie potrząsnąłem Abbie. Uniosła powieki.

— Jesteśmy na miejscu?

Skinąłem głową.

— Tak, jesteśmy tutaj.

— Dobrze, bo już myślałam, że mamy jeszcze do pokonania kolejne sto mil czy coś w tym stylu.

Betonowe stopnie prowadziły z brzegu na szczyt klifu, a dalej aż na podwórze czegoś, co wyglądało jak dom o powierzchni dziesięciu tysięcy stóp kwadratowych. Szpiczasty dach opadał nad rozległą werandą, też betonową, na której mogło się pomieścić z pięćdziesiąt foteli bujanych i to tak ustawionych, że każdy siedzący miałby dobry widok na wijącą się poniżej rzekę.

Zaniósłem Abbie po schodach na porośniętą wysoką trawą podwórze z tyłu domu. Budynek był z cegieł, dach, podparty słupami, pokryty został wysuszonym gontem, ale nie było jeszcze prawie okien ani tynku. Słowem dom czekały prace wykończeniowe. Wszystko zaś wskazywało na to, że roboty te dopiero się rozpoczęły, bo wstawiono raptem tylko kilka okien od frontu. Z tyłu, tuż koło werandy, stała przenośna toaleta, posadziłem na niej Abbie, pozwoliwszy jej oprzeć się o mnie, podczas gdy jej ciało wyrzucało z siebie toksyny.

Drzwi domu były zamknięte, ale wniósłem ją przez okno. Sklepione sufity pomieszczeń wznosiły się prawie dwadzieścia stóp nad podłogą, a w kominku, na odległej ścianie, mógłbym się wyciągnąć na całą długość. Był pełen zimnego popiołu. Sprawdziłem przewód, był otwarty, znalazłem pomiędzy szczapami drewna kawałek papieru i rozpałiłem ogień. Abbie, która leżała na podłodze, odwróciła się w tamtą stronę. W pralni znalazłem jakieś porzucone ubrania oraz działający kran. Przyniosłem Abbie kubek wody, a potem udałem się na dalsze poszukiwania. Piętro było nie mniejszych

rozmiarów, a jeśli chodzi o widok na rzekę, nie miał sobie równych. Wszędzie panowała czystość, ale raczej dlatego, że nie miało co się kurzyć. Wróciłem do pralni, gdzie odkryłem ekspres do kawy i puszkę do połowy wypełnioną Maxwell House. Włączyłem urządzenie do pomarańczowego rozdzielacza, dzięki czemu mogłem skorzystać z prądu doprowadzonego do garażu. Zabłyśta czerwona lampka. Podczas gdy Mr. Coffee prychał, rozłożyłem na podłodze, tuż przed kominkiem, izolacyjną folię aluminiową, którą znalazłem również w garażu. Na niej położyłem brezent. Leżeliśmy na tej podściółce, nasłuchując odgłosu ekspresu. Abbie oparła głowę na mojej piersi.

— Jesteś dziś jakiś milczący — odezwała się.

— Masz ochotę na spacer?

— Jak myślisz — roześmiała się — są tu jakieś taczki?

— Może coś znajdę. — I rzeczywiście, znalazłem jedno oparte o ścianę domu. Były z tych większych, plastikowych, z dwoma kółkami z przodu, co zapewniało im większą stabilność. Umyłem je do czysta, po czym posadziłem na nich Abbie twarzą do kierunku jazdy.

— Pani rydwan, madam — zakomunikowałem, wcześniej jednak podałem jej butelkę wody, mówiąc. — Wypij. — Wiedziałem, że im więcej podam jej płynów, tym lepiej będzie się czuła. Woda utrzymywała w normie ciśnienie i pomagała wypłukać toksyny, będące pozostałością wszystkich tych trucizn, które w nią ładowaliśmy.

Postawiła sobie butelkę między nogami, złapała się dłońmi krawędzi po obu stronach i wykrzyknęła:

— Jazda!

— Zabawne. Bardzo zabawne.

Wiozłem ją wzdłuż krawędzi klifu. Po naszej lewej stronie płynęła rzeka, po prawej kołysały się trawy sięgające mi po uda. Pokonałem tak może pół

mili, zatrzymując się co parę minut, żeby lepiej złapać taczki. Wycieczka jej służyła. Na twarzy pojawiły się rumieńce.

Minęliśmy zakręt w miejscu, gdzie zwisała lina. Dalej z prawej strony, jakieś sto jardów w stronę lasu, widniał pierwszy rząd przyczep. Od lat były nieużywane. Porosła je winorośl, której pędy powiewały niczym długie mokre włosy.

Przedarliśmy się przez chaszczę paproci i znaleźliśmy na otwartej przestrzeni. Jeszcze zanim się urodziłem, dwanaście zniszczonych przyczep ustawiono tutaj, upchanych jedna przy drugiej z jakąś obłąkańczą precyzją. Pośrodku, koło paleniska, wszyscy parkowali samochody, wyrzucali śmieci, niedopałki i puste butelki. Prawdę powiedziawszy, było to dość niezdrowe środowisko. W tamtych czasach wszystkie te przyczepy stanowiły własność jednego człowieka — w jakiejś mierze bogacza — który wierzył w sens posiadania zarówno wtedy, jak i dziś. Postawiłem Abbie i obróciłem się powoli. Poczulem się, jakby ktoś wdeptywał mnie w ziemię.

Drzewa urosły. I teraz górowały nad obozowiskiem. Utworzyły coś na kształt zamkniętego sklepienia, które przepuszczało niewiele światła słonecznego, stąd panował tu wilgotny półmrok. Wypiła łyk.

— W której mieszkałeś? — spytała.

Wskazałem ręką. Potężne pędy sumaka jadowitego oplatały przyczepę ze wszystkich stron. Trzy liście, czerwona łodyga... Wystarczyło dotknąć, a pojawiały się pęcherze i świerbiło mnie przez parę tygodni. Roślina utworzyła zawiłą siatkę, która w jakiś sposób zamykała się na górze. To, czego nie pokrywało pnącze, straciło barwę, powleczone pleśnią. Szyby zostały wytłuczone, brakowało frontowych drzwi, trzy schodki, które do nich prowadziły, też gdzieś zniknęły. Poza tym przyczepa, podobnie jak inne, była podziurawiona kulami.

— Gdzie był twój pokój?

Przetoczyłem taczki na drugą stronę i pokazałem okno, przy którym dawno temu wisiał mój klimatyzator. Dziura ziejąca w tym miejscu świadczyła, że ktoś go ukradł.

— W tym miejscu wisiał kiedyś klimatyzator. Specjalnie nie chłodził, za to nieźle turkotał. Włączałem go, żeby zagłuszyć hałasy dochodzące zarówno ze środka, jak i z zewnątrz.

Abbie pokiwała głową.

— A gdzie była ławka?

Ścieżka zarosła chwastami i samosiejkami drzew, pomiędzy którymi rozpościerały się pajęczyny bananowych pajaków słynnych ze swoich przepięknych dzieł. Znalazłem jakiś kij i odsunąłem przedzę, czując, jakbym przesuwiał watę cukrową. Abbie wpatrywała się w pająki, mimowolnie podciągając kolana. Przedzieraliśmy się przez gęstą i wysoką trawę. Dwa razy musiałem przenosić nasz wehikuł nad pniem zwalonego drzewa. Abbie zaś, mocno przestraszona, trzymała się kurczowo krawędzi taczki. Wreszcie dotarliśmy do piaszczystego poletka na szczycie klifu.

Wykonana z pnia dębu przeciętego na pół, opartego na dwóch pniakach, długa na pięć stóp ława wciąż, jak niegdyś, tkwiła tuż pod rachitycznym ramieniem wieczniezielonego dębu sięgającego ponad rzekę. Pniaki przegniły, a ławkę prawie zjadły korniki. Kiedy postawiłem na jej środku stopę, zapadła się, zbyt wątła, by się złamać.

Stałem, wpatrując się w kotwicę mojej pamięci. Abbie wygramoliła się z tacek, objęła mnie rękami w pasie i oparła głowę na moim ramieniu, wpatrując się w coś, co niegdyś było ławką. Właśnie miała coś powiedzieć, kiedy doszedł mnie ten odgłos. Brzmiał tak, jakby gdzieś w pobliżu zatrzymywał się samochód z piszczącymi hamulcami. Znacie ten wysoki dźwięk, od którego aż przechodzą ciarki? W tych stronach można go usłyszeć w miarę często, ponieważ dochodzi z miejsc, w których komary składają jaja. A tu, przy wysokim brzegu, gdzie rzeka wolno toczy swój bieg i jest sporo stojącej wody, larwy są bezpieczne. I nagle, kiedy już zrobią to, co mają do

zrobienia w kokonach, rozbrzmiewa ten właśnie dźwięk i tysiące komarów roi się w powietrzu, wydając cieniutki pisk, jak tylko one potrafią. Normalnie nie słyszy się go, chyba że komar byczy koło ucha, ale pięćdziesiąt tysięcy albo i więcej komarów całkowicie zmienia tę sytuację. Możesz je wówczas usłyszeć nawet z pięćdziesięciu jardów. Rojenie się oznacza zaś, że są bardzo głodne, a paskudztwa te tak naprawdę jedzą tylko jedno. Abbie także to usłyszała.

— Czy jesteśmy na autostradzie?

Potrząsnąłem głową, zastanawiając się, w jaki sposób najszybciej zniknąć z tego miejsca.

— W takim razie co to za dźwięk?

Właśnie w tym momencie nas dopadły. Pokryły całą moją skórę i włosy. Złapałem Abbie, posadziłem ją na taczkach i ruszyłem biegiem. Z każdym oddechem wpadały mi do gardła. Abbie krzyczała, uderzając się po całym ciele. Tymczasem one wlażyły mi do nosa, uszu, oczu, gryzły mnie i przez ubranie, i w gołą skórę. Po chwili czułem się tak, jakbym wylądował w ognisku. Biegliśmy w dół zboczem, przez wysoką trawę, przez otwartą przestrzeń koło domu aż dopadliśmy pomieszczenia, które w przyszłości miało stać się garażem. Większość owadów nam odpuściła, ale wokół mojej głowy wciąż kłębiła się cała ich chmara. Zdjąłem Abbie z taczek i wpadłem po schodach do domu. Już wewnątrz zaczęliśmy wzajemnie uderzać się po rękach, nogach i ramionach. Trzepnęła mnie po twarzy sześć czy osiem razy, za każdym razem mocniej. Abbie nienawidzi komarów. Już miała wymierzyć mi kolejny siarczasty policzek, kiedy udało mi się złapać ją za rękę:

— Kochanie... to mi nie pomoże.

Z kącika ust, tam gdzie mnie zdzieliła, sączyła się krew.

— Ooo... ups.

I wtedy zaczęła się śmiać. Zgniotłem kilku maruderów siedzących na jej prawej nodze i usiadłem. Ponieważ ci goście, którzy odwiedzili nas na rzece, większość naszych rzeczy wrzucili do ognia, nie mieliśmy żadnych środków

antyhistaminowych, a to, gdyby Abbie zaczęła puchnąć, oznaczało kłopoty. Sprawdziłem jej ramiona, nogi, kark i twarz, szukając jakichkolwiek śladów ukłuć, ale nie znalazłem nic. Zaś ja puchłem równo, zrzuciłem z siebie koszulę, a Abbie zaczęła liczyć czerwone ślady od mojego pasa w górę. Przerwała, kiedy doszła do stu. Wreszcie usiadła, spoglądała na mnie, ssąc kciuk.

— Och, Doss. Bardzo boli? Wyglądasz kiepsko. Jak się czujesz?

Adrenalina buzowała w niej, mówiła szybko. Zamknąłem oczy i położyłem się na cementowej podłodze, w moich żyłach znajdowało się dość jadu, żeby zabić małe zwierzątko. Kichnąłem, oczyszczając nos z ostatnich kilku owadów.

— Nie, kochanie — słowa ledwie wychodziły spoza spuchniętych warg.
— To mi dobrze robi.

— Zawsze chciałam wiedzieć, jak wyglądałeś jako dziecko. Teraz już wiem. — Spoglądała na własne nogi i ramiona, dziwiąc się brakowi ukłuć. — Widocznie komary wyczuwają różnicę — powiedziała wreszcie.

— Różnicę między czym?

— Między krwią, która jest zatruta... i tą, która nie jest.

* * *

Tak skończył się mój sentymentalny powrót do rodzinnych stron. Twarz płonęła mi ogniem, lewe ucho i lewe oko były tak opuchnięte, że nie widziałem i nie słyszałem na nie. Opuszki palców miałem zaś tak nabrzmięte, że wiosła wydawały się dwa razy cięższe niż przed godziną. Gdybym mógł wyjść ze swojej skóry, zrobiłbym to. Spakowałem jednak kanu, zepchnąłem na wodę i potrząsnąłem głową.

Podczas kiedy widok, gdy płynęliśmy w dół rzeki, zmieniał się, elementy, z jakich się składał — nie. Drzewa — oplecione hiszpańskim mchem — rosły tutaj wyżej, kładły się na rzece, która zakręcała w prawo łagodnym łukiem,

tak że ginęła jakieś czterysta jardów przed nami i tam na horyzoncie widać było tylko zwartą linię drzew. Minęliśmy miejsce, gdzie na górze tkwiła połamana ławka. Nie spojrzałem w jej stronę. Jeszcze dwa uderzenia wiosłem i wciągnąłem głęboko powietrze, zatrzymując je w płucach. Przyjrzałem się temu, co przede mną, po czym zamknąłem oczy, skupiając się na tej jednej rzeczy, bez której nie potrafiłem żyć.

Kiedy wypuściłem z siebie powietrze, nie czułem już nic.



ROZDZIAŁ 19

Słońce wystawiło głowę ponad Fortem Sumter, przeczołgało się ponad Battery, a my wciąż rozmawialiśmy, marząc i próbując ustalić, co zamierzamy powiedzieć jej rodzicom. Mnie mało obchodziło, czy weźmiemy tradycyjny charle— stoński ślub, czy nie — chciałem, żeby był taki, jakiego chciała Abbie. Ale nie trzeba było wielkiej inteligencji, żeby wiedzieć, że ona i jej matka będą potrzebowały mediatora, który przeprowadzi je przez szczegóły tej imprezy — szczególnie gdy rodzina nie wyrażała nań zgody. Spodziewaliśmy się ciosów. A nie daj Boże, żeby jej ojciec zaangażował się w sprawę.

Niedaleko nas, na przystanku, zatrzymał się z piskiem hamulców miejski autobus. Wsiadła do niego młoda matka i dziewczynka z końskim ogonem, z różowym plecakiem i w różowych tenisówkach. Drzwi zamknęły się z sykiem i autobus odjechał. Abbie położyła wtedy dłonie na mojej twarzy.

— Idziemy zrobić to teraz.

— Co? Dzisiaj?

— W tej sekundzie.

— Nie chcesz niczego zaplanować?

— Doss, chcę być twoją żoną od chwili, kiedy pierwszy raz ^{ci}ę zobaczyłam. Ożeń się ze mną, i to już.

— Kochanie, żaden pastor ani ksiądz nie udzieli ślubu tak po prostu, z marszu.

— Doss, ja nie muszę mieć ślubu w kościele. Bóg wie, co jest w moim sercu. — Roześmiała się. — Prawdopodobnie ma już dość wysłuchiwania mnie, bo prosiłam go o ciebie przez całe moje życie.

— Naprawdę? — jej słowa zastanowiły mnie.

Ujęła ponownie moją twarz w swoje dłonie.

— I kochałam cię na długo, zanim cię poznałam.

— W takim razie: gdzie? I kto go nam udzieli?

— Nie mam pojęcia, lepiej żebyś coś wymyślił. — Postukała się w lewy nadgarstek, na którym nie było zegarka. — Czas ucieka.

— Ale, Abbie, ja nawet nie mam obrączek.

Podparła się pod boki.

— Nie pięt rz trudności — powiedziała, zagryzając wargę. — Ja mam ich całe mnóstwo. Weźmiemy którąś z nich.

— Nie będę brał ślubu, wkładając ci na palec którąś z twoich obrączek.

— Masz jakiś inny pomysł?

— No cóż, to jest Charleston. I mamy piątek po Dniu Dziękczynienia. Święto narodowe. Słowem dzień największych zakupów w roku.

— Jeśli pójdziemy je kupić gdzieś tutaj, nie utrzymamy tego w tajemnicy. Zanim zdążymy wyjść z jednego sklepu, moi rodzice będą na nas czekać przed następnym.

— Co powiesz na takie miejsce, gdzie możemy coś znaleźć, nie będąc samemu znalezionym?

— Co masz na myśli?

— Targ niewolników.

— Doskonale.

Weszliśmy na szczyt Battery i ruszyliśmy na północ w kierunku targu niewolników, gdzie nawet o tej porze pełno już było kobiet z koszykami. Ciągnął się przez kilka przecznic. W dzisiejszych czasach był jakby hałas targową na świeżym powietrzu. Sprzedawcy właśnie otwierali swoje torby i rozkładali towar na stołach. Było to barwne połączenie pchle— go targu, sklepu z wyrobami rzemieślniczymi, antykwariatu i sklepu ze sprzętem sportowym. Ale również było to ostatnie miejsce, w którym dama pokroju Abbie powinna szukać pierścionka. Miejsce to otaczał ażurowy, ceglany mur, z takich, które pozwalają, by wiatr mógł swobodnie sobie hulać i zarazem dbać o wciąż świeże powietrze. Niemniej w jakiś sposób zamykał ten obszar. Weszliśmy na teren targowiska, trzymając się za ręce.

— Czy wiesz... — powiedziała — że tak naprawdę niewolnicy nigdy nie byli tutaj sprzedawani?

— Więc dlaczego miejsce to nazywa się targiem niewolników?

— Ponieważ tu wyładowywano ich ze statków, a potem przewożono na miejsce aukcji odbywającej się kilka przecznic stąd. Później to niewolnicy zbierali się tu, by handlować. — Zastanowiła się przez chwilę. — Chociaż, jak przypuszczam, z punktu widzenia niewolników różnica jest jedynie semantyczna. W każdym razie transakcje odbywały się gdzie indziej.

— Skąd to wszystko wiesz?

Zawirowała w miejscu, wyśpiewując cichutko:

— Jestem urodzona w Charlestonie, jem charlestoński chleb, a kiedy umrę..."

— Wiem, wiem...

Pociągnęła mnie za rękę w stronę stołu, przy którym jakaś kobieta sprzedawała niezwykle srebrne sztuce. W pudełku na skraju stołu leżały stare, prościutkie srebrne obrączki. Abbie zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zaczęła je oglądać.

— Czy mogę w czymś dopomóc? — zapytała kobieta.

— Czy to jest srebro? — pokazała obrączki Abbie.

Kobieta potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, platyna.

— Mogę zobaczyć?

Kobieta wyjęła tackę z obrączkami. Abbie zmierzyła kilka z kolei i znalazła jedną, która pasowała. Przy obrączce widniała cena: 280 dolarów.

— A czy ma pani taką w rozmiarze męskim? — spytała Abbie. Kobieta uśmiechnęła się i wyciągnęła kolejną tackę. Spojrzała na mnie.

— Czy zna pan swój rozmiar?

Zaprzeczyłem. Spojrzała na moje ręce.

Pewnie jedenaście albo coś blisko tego. Proszę spróbować tę. Będzie z trudem przechodzić przez staw, ale dzięki temu się nie ześlizgnie.

Spojrzałem na Abbie.

— Czy to wystarczy do czasu, kiedy kupię ci obrączkę z prawdziwego zdarzenia?

Popatrzyłem na kobietę.

— Proszę się nie obrazić.

— Nie ma o co — roześmiała się.

Abbie obróciła wytarty krążek na palcu.

— Doss, ja nie potrzebuję brylantów.

— Abbie... każdej dziewczynie należą się brylanty.

— W takim razie będziemy nosić te, póki ten dzień nie nadejdzie. — A nawet jeśli nadejdzie, ja będę nosiła obie.

— Ile płacę za parę? — spytałem.

— Normalnie czterysta dolarów, ale dziś mamy nadzwyczajną obniżkę o dwadzieścia pięć procent.

— Kupione.

— Czy mam to zapakować na prezent?

Nie zamierzała ich pakować, ale była zaintrygowana, co doskonale rozumieliśmy.

— Nie, i tak długo by nie poleżały w opakowaniu.

Podaliśmy kobiecie moją kartę kredytową, podpisałem się, wsunąłem obie obrączki do kieszeni spodni i skierowałem się wraz z Abbie w stronę więzienia.

To był piątek po Dniu Dziękczynienia. Święto narodowe. Co znaczyło, że sądy nie działają, a większość sędziów wybrała się na ryby albo golfa. Dorastając w otoczeniu tylu świadectw historii, nie mogłem nie wchłonąć wielu informacji. *Magna Charta* nakazuje jednak, by zarzuty każdemu aresztowanemu zostały postawione w ciągu dwudziestu czterech godzin od zatrzymania. Charleston nie był miastem, w którym kwitłby występki, ale statystycznie przynajmniej jeden człowiek musiał w Dniu Dziękczynienia popełnić jakieś głupstwo.

Zajrzeliśmy przez okno do wnętrza budynku sądowego, za stołem zasiadał czcigodny Archibald Holcomb Fletcher III. Abbie uśmiechnęła się przebiegle.

— Chodź za mną. Da się załatwić.

Usiedliśmy, czekając spokojnie, gdy sędzia rozprawiał się z trójką młodocianych, którzy pomalowali niebieskim sprayem wóz pociągowy, po czym — będąc pod wpływem alkoholu — wybrali się nim na przejażdżkę. Kiedy chłopcy wyszli, podniósł wzrok znad okularów, przyjrzał się Abbie.

— Abigail, co robisz w moim sądzie w towarzystwie tego młodego człowieka?

Czułem, że pyta tylko dla formy.

— Chcemy się pobrać.

Parsknął śmiechem.

— Ale chyba nie tutaj. Twój tata nie darowałby mi tego. Podobnie zresztą, jak reszta Charlestonu.

— Wysoki Sądzie, postaram się to panu ułatwić. Albo udzieli pan nam ślubu... — uśmiechnęła się złośliwie — ... albo też nie.

Milczał, czekając na asa, którego najwyraźniej zamierzała wyciągnąć z rękawa. Z jej tonu wywnioskował, że musi wiedzieć o nim coś, co wie niewielu, ale nie chciał się zdradzić, że co nieco o sobie ukrywa.

— Macie zezwolenie?

— Nie — Abbie potrząsnęła głową.

— W takim razie musicie poczekać do poniedziałku rano, kiedy otwierają biuro. O ósmej trzydzieści. Złożycie podanie, a po dwudziestu czterech godzinach... — rozłożył dłonie niczym wachlarz — to jest ustawowy czas na ochłonięcie. Został ustalony, żeby porywczy młodzi ludzie nie zrobili czegoś... — popatrzył na mnie — ...głupiego. A w tym czasie pewnie spotkacie się z twoim ojcem, żeby ustalić, czy on się dobrze czuje w... — pomachał palcami — ..tej sytuacji.

— Panie sędzio...

Złożył przed sobą ręce.

— Przyjaźni się pan z moim ojcem, prawda? Parę razy dopomógł panu w reelekcji?

Skinął głową.

— I właśnie z tego powodu nie możesz tutaj zawrzeć ślubu.

— Ja nie chcę brać ślubu w sali sądowej, tylko w niewielkiej altanie tuż obok.

— Dziewczyno. — Podniósł się. — To, co proponujesz, śmierdzi na miłe. Należy ci się porządny ślub. U świętego Michała, w białej sukni, przy wtórce organów... z pastorem.

Abbie skrzyżowała nogi, przyglądając się uważnie swoim paznokciom. Po dobrej minucie podniosła znowu na niego wzrok.

— Dwie sprawy. Po pierwsze, gdziekolwiek będę brała ślub, stanie się to w obliczu Boga, więc nie martwię się o Jego błogosławieństwo. A po drugie, panie sędzio, podczas ostatnich lat poznałam całą masę dziennikarzy. W tym wielu miejscowych. A ponieważ często współpracują z tutejszym sądem, przymykają zapewne oko na pańskie wtorkowe wieczory pokerowe. Jednak przypuszczam, że Izba Adwokacka południowej Karoliny chętnie by coś na ten temat usłyszała. A szczególnie zainteresowałoby ją, dlaczego jeździ pan tam tak okrężną drogą. Ile czasu potrzeba, żeby pokonać miłe? Gospościa pani Cather twierdzi, że czasami nawet cztery do pięciu godzin. Szczególnie, kiedy pana Cathera nie ma w mieście. — Uśmiechnęła się od ucha do ucha. — I pomyśleć, że mogłoby się okazać, że jednak nigdzie nie wyjechał, w czasie gdy pan akurat pływa w jego basenie. No cóż, ja nie jestem reporterem, ale już widzę tę informację na pierwszych stronach wszystkich gazet Południowej Karoliny.

Nachyliłem się do niej:

— Przypominaj mi od czasu do czasu, żebym nigdy nie siadał z tobą do pokera.

Sędzia popatrzył na mnie:

— Synu, jak się nazywasz?

— Doss Michaels, Wysoki Sądzie.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że jeśli to zrobisz, jej ojciec obedrze cię ze skóry, poćwiartuje, a na koniec nabije twoją głowę na pal i wystawi przed bramą miasta?

To się mniej więcej zgadzało.

— Tak, proszę pana.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia dwa.

— A ty, Abbie?

— Tyle samo, proszę pana.

Odrzucił swój sędziowski młotek.

— Chodźcie za mną. — Jego obcasy stuknęły na płytach podłogi. Dotarliśmy do drzwi z napisem „Wydział ślubów”. — Poczekajcie tu przy oknie — powiedział. Potem otworzył drzwi pchnięciem ręki, jakby były wahadłowe.

Podaliśmy mu nasze prawa jazdy i akty urodzenia.

— Siedemdziesiąt dolarów. I nie honorujemy czeków ani kart kredytowych.

Wręczyłem mu gotówkę, a on wypełnił za nas aplikacje. Pięć minut później staliśmy w altanie, nad naszymi głowami zwisały przywiednięte od gorąca jedwabiste kwiaty. Altana ustawiona była w rogu małego pomieszczenia, całego w boazerii. Stało tam kilka ławek, a wystroju dopełniały migające lampki niczym z choinki. Abbie rozejrzała się wokół i roześmiała się. Sędzia Fletcher trzymał w ręce wydruk przysięgi małżeńskiej. Spojrzał ponad oprawkami okularów na dziewczynę.

— Czy zdajesz sobie sprawę, co to będzie oznaczało dla twojej matki?

Abbie ujęła mnie pod rękę.

— Sędzio Fletcher, z całym szacunkiem, ale to nie moja matka bierze dzisiaj ślub.

— Wiesz, że nie muszę tego zrobić. — Tak naprawdę chciał nam powiedzieć, że fakt, iż udziela nam ślubu, nie oznacza dlań poczucia winy, choć oczywiście nie czuł się komfortowo. Zresztą, cokolwiek chciał powiedzieć, bardzo to było pokrętne.

Wyciągnęła z kieszeni telefon komórkowy. Sędzia odwrócił się w moją stronę:

— Wiesz, że dostała go od ojca.

— Tak, proszę pana.

— Wyglądasz na mądrego chłopca, więc... nie myśl przyrodzeniem. Zabierz ją do domu, wysadź przed domem jej rodziców i zjeżdżaj tak szybko, jak tylko zdołasz.

Abbie oparła ręce na biodrach.

— Panie sędzio, stoi pan koło jednego z nielicznych facetów, który myśli czymś innym. Mógłby pan brać od niego lekcje.

— Daj spokój, trochę myślę nim — wyszeptałem.

Odpowiedziała mi uśmiechem.

— Trochę może być.

Odchrząknął.

— Zebraliśmy się tu dzisiaj, żeby być świadkiem połączenia się tego mężczyzny z tą kobietą w związek małżeński. Jest to stan szlachetny, więc nie należy się nań decydować... — popatrzył na nas znad okularów. Na jego twarzy rysował się raczej mars niż pogoda. — ...bez zastanowienia i należytej powagi, ale z czcią i w skromności, i w takim to stanie tych dwoje ludzi dziś się przede mną zjawilo.

— Doss Michaels i Abigail Coleman, jeśli waszym — mówił dalej — zamiarem jest przeżywać wspólnie radości i smutki, które przyniosą wam kolejne lata, jeśli oboje wyrażacie na to zgodę, łączę was, byście byli od tej chwili dla siebie mężem i żoną.

Słyszałem, jak mówił: „radości i smutki”, ale tak naprawdę wtedy nie miałem pojęcia, o czym mówi.

— Doss.

— Słucham pana.

— Czy bierzesz tę oto Grace Eliot Coleman jako zaślubioną sobie żonę?

— Tak, proszę pana.

— Jeszcze nie, synu. Poczekaj chwilę.

Skinąłem głową.

— Czy bierzesz Abbie jako zaślubioną sobie żonę? Czy będziesz ją kochał, opiekował się nią, szanował i dbał o nią, nawet gdy inni ją pozostawią, i czy pozostaniesz jej wierny tak długo, jak długo będziecie oboje żyć?

— Będę.

— Abbie, czy bierzesz Dossa jako zaślubionego sobie męża? Czy będziesz go kochać, opiekować się nim, szanować go, nawet gdy inni go pozostawią, i pozostaniesz mu wierna tak długo, jak długo będziecie oboje żyć?

Abbie powiedziała: *będę*, a ja słyszałem w myślach tylko słowa: *aż do śmierci*.

— Abbie, powtarzaj za mną. — Jej oczy zwilgotniały, a ja tak bardzo zapragnąłem zabrać ją z tego miejsca do kościoła, żeby miała prawdziwy ślub. Abbie powinna być ubrana w białą suknię. A nie w płócienne spodnie i podkoszulek. Powinna ciągnąć za sobą długi tren i stać w otoczeniu piętnastu wzruszonych dziewczynek, gotowych na każde jej skinienie. Powinna mieć kościół pełny kwiatów, organy i organistę, księdza w ornacie, małe

dziewczynki sypiące kwiaty i chłopca, który poda obrączki. Ale w każdym ze scenariuszy, który powstawał w mojej głowie, pojawiali się też jej rodzice. I zawsze w tym momencie znikał też z twarzy jej uśmiech i załzawione, szczęśliwe oczy. Abbie zniosłaby taką ceremonię z poczucia obowiązku. Wtedy jednak pozbawiono by ją radości. Uśmiech na jej twarzy oświetlonej światłem lamp, pożółkłych ze starości, nigdy by się nie pojawił tam, gdzie prym mieliby wieść jej rodzice.

Czasami, kiedy wracam myślą do tamtych chwil, zastanawiam się, czy nie powinienem był w to wkroczyć i starać się negocjować pokój, ale nie byłem na tyle silny, by przeciwstawić się jej rodzicom. Po pierwsze, nie wiedziałem jak, ale też, mówiąc szczerze, niezbyt mnie obchodziły ich uczucia. Dla mnie było ważne, co my czujemy.

Abbie skończyła deklamować słowa przysięgi. Znowu usłyszałem: „Czy pozostaniesz mu wierna tak długo, jak długo będziecie oboje żyć?”.

Sędzia Fletcher zwrócił się do mnie:

— Ja, Doss, biorę cię, Abbie, jako moją żonę. I obiecuję zawsze stać przy tobie i z tobą, w radości i smutku. W chorobie i zdrowiu. Będę z tobą żył i kochał cię, i nie opuszczę cię aż do śmierci.

Podczas gdy moje usta poruszały się, wypowiadając słowa, w głowie rozbrzmiewało mi pytanie. Nie wiem dlaczego, po prostu tak było. „Skąd ona wie — myślałem — że mówię to na serio?”.

Abbie wzięła mnie za rękę:

— Ja, Abbie, biorę cię, Doss... — jej górna warga zwilgotniała od potu, żyłka na skroni pulsowała, po policzkach spływały łzy, a dłoń w mojej dłoni dygotała. To wszystko powiedziało mi dwie rzeczy: zaraz zjawi się migrena, a to z kolei pokazywało, jak bardzo wszystko, co się działo, miało dla niej znaczenie. Abbie właśnie powierzała mi swoje życie.

Sędzia Fletcher odchrząknął.

— Od zamierzchłych czasów obrączka była symbolem miłości małżeńskiej. Jest to doskonały okrąg, który symbolizuje wieczną miłość, którą obiecujesz. — Dotknął mojego ramienia. — Synu, czy masz obrączki? — Podałem mu je na dłoni.

— Dobrze. Wsuń obrączkę do połowy na jej palec i powtarzaj za mną. — Kiedy to robiłem, zdałem sobie sprawę, że Abbie cała jaśnieje. I wtedy zrozumiałem. Ona nie potrzebowała bieli. Zasługiwała na nią, ale jej nie potrzebowała.

— Daję ci ten pierścionek jako symbol przyrzeczenia...

— przesunąłem obrączkę do końca palca — ...mojej stałości i wiernej miłości. — Ktokolwiek posiadał tę obrączkę w przeszłości, pożyczył ją po prostu na pewien czas, bowiem pasowała na nią jak ulał, jakby była zrobiona specjalnie dla niej.

I od tego dnia nigdy jej nie zdjęła.

Abbie wsunęła moją obrączkę na wysokość stawu i powtórzyła za sędzią słowa przysięgi. Oczy jej pałały. Mimo że była osobą publiczną i że podbiła świat we wczesnym wieku, potrafiła strzec swojej prywatności. Ale w tej altanie wyszła ze skorupy, w której się zwykle chowała.

Sędzia złożył kartę z treścią przysięgi i westchnął. Z powodu długich i kręconych włosów w nosie, oddychając, wydawał cichy świst. Popatrzył na nas oboje, potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

— A teraz, mocą powierzonej mi i usankcjonowanej władzy, ogłaszam was mężem i żoną. — Jego brwi powędrowały w górę. — Gratuluję. Może pan pocałować pannę młodą.

* * *

Mimo naszych wysiłków, by sprawa ta nie wyszła na światło dzienne, świat dowiedział się o niej szybko. Nie zdążyliśmy jeszcze wyjść z budynku

sądu, kiedy zadzwonił telefon komórkowy Abbie. Ponieważ nie odebrała, odezwał się mój.

Przywarła do mnie.

— Czy możesz mnie zabrać gdzieś, gdzie nikt nas nie znajdzie?

— Znam tylko jedno takie miejsce, lecz nie ma tam przepychu.

— Przepych już miałam.

Więc wziąłem ją w jedno jedyne miejsce, o którym wiedziałem wszystko. Nad rzekę.

To było czternaście lat temu. Moja obrączka kupiona na targu niewolników jest podrapana, matowa i starta na krawędziach. Nie wiem, kto pisał słowa przysięgi, ale musiał od dawna być mężem lub żoną. Tak jak obiecaliśmy, dzieliliśmy nasze radości i smutki, doświadczyliśmy życia w zdrowiu i w chorobie.

I za każdym razem, kiedy wracam myślą do tamtego dnia, chciałbym go zmienić.

ROZDZIAŁ 20

3 CZERWCA, WIECZÓR

Stokes Bridge jest prawie ładnym mostem z jednym pasmem ruchu. Betonowa konstrukcja wznosi się nad przegniłymi resztkami końcówek starych pałowań, dzisiaj złamanych na pół i tylko trochę wystających ponad wodę. Pofałdowane, prawie białe w tym miejscu plaże ciągną się po obu stronach rzeki. Ich krańce wyznaczają topole, rozłożyste dęby, derenie i sosny o długich igłach. Zazwyczaj puste, zapełniają się w piątek wieczorem.

Pokonaliśmy właśnie zakręt i w tym samym momencie, kiedy zobaczyliśmy most, poczuliśmy też woń dymu i usłyszeliśmy śmiech. Na plaży paliło się kilka ognisk. Płomienie odbijały się w aluminiowych puszkach i połyskiwały w butelkach z brązowego szkła, tu i ówdzie żarzyły się końcówki papierosów. Dwa tuziny ciężarówek o kołach większych od maski buicka okalało plażę, koło nich stały chłodziarki pełne piwa. Najwyraźniej też wszystkie radia odbierały tę samą stację muzyczną. Kiedy przepływaliśmy pod mostem, melodii Kenny ego Chesneya towarzyszyła piosenka starego Hanka Juniora. Mniej więcej pięćdziesięciu oldboyów z gołymi torsami siedziało wokół ognisk na plaży. Towarzyszyły im ich skąpo ubrane dziewczyny. Kilkoro pływało, niektórzy na golasa. Trzech facetów z długimi włosami w stylu hipisowskim stało, opierając się o balustradę mostu, jakieś dziesięć stóp nad wodą. Ryczeli do księżyca i licząc do trzech wrzucali butelki z coca-colą do wody poniżej. Nieco dalej chłopak z dziewczyną starali się huścić na linie zwisającej z mostu, a jakiś przygnębiony samotnik był właśnie w połowie radzenia sobie z galonową butelką Jacka Danielsa. Płynęliśmy w cieniu, trzymając się jak najdalej od plaży. Jakiś otyły facet w czapce Georgia Bulldogs stał koło grilla, przerzucając kotlety, parówki i

kielbaski. Obok niego siedziała, machając nogami, dość potężna piękność w bikini.

Pomachałem im, ale starałem się nie patrzeć w ich stronę. Facet przy grillu wrzasnął:

— Hej tam, jesteście głodni?

Potrząsałem głową, machnąłem odmownie i zbliżyłem się jeszcze bardziej do odległego brzegu. Odsunął się od grilla i dymu, przyłożył palce do czapki.

— Długo już tak wiosłujecie?

Skinąłem głową, nie przestając odpychać się wiosłem. Jeszcze dwieście jardów i skryjemy się w cieniu.

— Trochę.

Uśmiechnął się i machnął w moim kierunku butelką piwa.

— Zatrzymajcie się i odpocznijcie. Po co się spieszyć?

Wzruszyłem tylko ramionami.

— Dzięki, tylko przepływamy. — Księżyc w pełni wspinał się po niebie.
— Chcemy skorzystać, że jest jasno.

Dym znad grilla płynął nad rzeką, wdzierając się do mojego nosa, czułem, że mój mózg już pompował sygnały do żołądka. W tym właśnie momencie ciężarówka **oświetlona** lepiej niż pas startowy na lotnisku stanęła pośrodku mostu. Jej właściciel ustawił radio na głośność, jakiej nigdy nie słyszałem z samochodu. Grali *Sweet Home Alabama*. Czułem się jak na rockowym koncercie.

Wszyscy mężczyźni zebrani na plaży podnieśli się, zdjęli kapelusze, przeżegnali, po czym zaczęli krzyczeć co sił w piersiach, dziewczyny zaś wyciągnęły zapalniczki i trzymały płomyki nad głowami. Chyba nie wspominałem, że miejsce to okoliczni ludzie nazywają Redneck Riviera, a to

oznacza ni mniej, ni więcej tylko „buraczane nabrzeże”. To, co teraz dochodziło z głośników, było hymnem zjeżdżających tu buraków, którzy w ten sposób okazywali szacunek.

Niektórzy z nich pracowali przy kasie w supermarkecie, byli magazynierami w sklepach z częściami samochodowymi, roznosili jedzenie w pobliskiej fabryce, pracowali w lesie lub w pomocy społecznej, podkuwali konie, byli pocztowcami lub sprzedawali bydło, niekiedy nieruchomości, niekiedy drewno. Mówili wolno, często przeciągali dwie sylaby w pięć, używali wyrażen, które wydawały się słuchającym bez sensu, chętnie popijali piwo i nie interesowało ich to, co działo się w Nowym Jorku. Prawdę mówiąc, stopnie naukowe nie były w ich towarzystwie normą, rzadko robili doktoraty, ale lepiej, by przepływający tędy obcy, widząc grupę pijanych buraków, nie pomylili kulturowych osobliwości z ignorancją i głupotą. Pod prostackim wyglądem kryją się ludzie, którzy cenią sobie zdrowy rozsądek, niewiele do życia im potrzeba, łatwo się śmieją i potrafią ci oddać ostatnią koszulę. Słowem: ci ludzie to prawdziwa sól tej ziemi. Kiedy się nie spieszysz, przysiądź się do nich, a napełnisz żołądek do syta i będziesz się śmiał do rozpuku.

Abbie pokazała ruchem głowy brzeg.

— Lepiej zatrzymaj tę łajbę.

— Ależ kochanie...

— Ty mnie nie czaruj. Albo przybijesz do brzegu, albo zatańczę z szefem tutejszej kuchni.

Przybiłem kanu do brzegu trochę poniżej ogniska i postawiłem Abbie na nogi. Zatoczyła się. Objęła mnie rękami za szyję, przyglądając się, jak setka ludzi tańczy w jednym rytmie na plaży i w wodzie. Uśmiechnęła się. Po chwili tańczyliśmy wraz ze wszystkimi *Free as Bird* Beatlesów. Potem było jakieś country Waylona i Williego, chyba *Shes a Good Hearted Woman* Dona Williamsa i jego *Lord I Hope This Day is Good* i na koniec AC/DC — *You shook Me All Night Long*. Abbie zaśmiewała się, śpiewając głośno i wisząc na mnie.

Podniosłem ją i zakończyliśmy taniec w taki sposób, że nosiłem ją po plaży. Ponieważ nie jadłem cały dzień, więc kiedy odlotowa ciężarówka wreszcie zjechała z mostu, położyłem ją na piasku, a sam padłem obok. Miejscowy kucharz stanął nade mną i wyciągając potężną łapę, odezwał się:

— Mam na imię Michael, ale wszyscy wołają na mnie Link — „Ogniwko”.
— Wręczył mi papierowy talerzyk, a na nim dwa największe, ociekające tłuszczem, najlepiej pachnące cheesburgery. — Zajadaj — powiedział — na zdrowie. — Pokazał dłonią na lodówkę z tyłu swojej ciężarówki. — Tam masz wodę, piwo, cokolwiek tylko chcesz. Czuj się jak u siebie w domu. — Odszedł dwa kroki, ale zawrócił. — Czy coś stało się z twoją twarzą?

Abbie parsknęła śmiechem.

— Tak, komary — powiedziałem.

— A niech to — zaklął siarczyście. — Boli ?

Słyszałem, jak Abbie po prostu pęka ze śmiechu.

— Trochę.

— Chcesz lekarstwo?

— Przydałoby się.

— Coś powinno się tu znaleźć.

Wyciągnął z samochodu skrzynkę na narzędzia, a z niej apteczkę. Pogrzebałem w środku i znalazłem dwie tabletki benadrylu.

— Dzięki.

Abbie wpatrywała się w pudło.

— Nie masz przypadkiem tutaj czegoś na raka?

— Akurat dzisiaj nie, ale może coś się znajdzie w pobliskim markecie.

Usiadła, wyciągając przed siebie nogi.

— To byłoby fajnie. Spróbujemy.

* * *

W ciągu następnych trzydziestu minut spałaszowałem cztery kotlety, próbując wlać w Abbie tyle płynów, ile pomieści jej żołądek.

Trzymaliśmy się w cieniu, przyglądając przedstawieniu, jakie rozgrywało się wokół. Wreszcie zapytałem Linka.

— Czy zbieracie się tu w każdy piątek?

Roześmiał się, miażdżąc w dłoni puszkę po piwie i szybko sięgając po nową.

— Nie słuchałeś prognozy?

Potrząsałem przecząco głową. Machnął puszką w kierunku nieba na południowym zachodzie.

— Huragan Anna. Wciąż jeszcze wisi nad zatoką, ale wszystko wskazuje na to, że przemieści się na północny wschód. Powinna się tu zjawić za parę dni. Pomyśleliśmy, że urządzimy przyjęcie na jej powitanie.

Przez chwilę milczał. Potem, przeżuując kawałek kiełbaski, dodał:

— Słyszeliśmy o was.

To była zła wiadomość.

— Tak?

Skinął głową i wgrzył się w swoją porcję, z kącików ust ściekał mu tłuszcz i musztarda.

— Tak... jacyś ludzie w górze rzeki widzieli, jak się prześlizgujecie. Pomyśleli, że to dziwne, że ktoś wiosłuje tak daleko. Większość nie bierze się za wiosła aż do St. George. Chyba że dobrze znają rzekę. — Popatrzył na mnie. — Sądząc po twoim wyglądzie i... — zachichotał — kapeluszu, musiałeś być tu już wcześniej.

Przytaknąłem.

— Raz albo dwa.

— Hm... sądząc po tempie, z jakim się przemieszczasz, pływałeś tu więcej razy.

Rozmowa mogła zmierzać w dwóch kierunkach. Ludzie związani z rzeką raczej szanują siebie i swoją prywatność. Wykazują też skrajną nieufność względem każdego, kto w jakiś sposób przypomina policjanta, domokrażcę lub dziennikarza. To również oznacza, że nie zapraszają do siebie nikogo, bo wcale nie są tacy chętni, by się z innymi dzielić. Przypomniałem sobie, co mówiła mi moja mama. Ludzie przychodzą nad rzekę z różnych powodów. A ci, którzy się ukrywają, nie lubią, by ktoś im w tym przeszkadzał. Nie starają się zwracać na siebie uwagi. Z ich punktu widzenia byliśmy więc dziwolągami, a nawet intruzami na rzece, którą traktowali jak swoją własność, ale miałem nadzieję, że jeśli nie będziemy im przeszkadzać i odpłyniemy szybko dalej, to jeśli nawet będą o nas rozmawiać, będzie to plotkowanie typowe dla wiejskiej drogi, a nie dla salonu piękności. — Nic nie odpowiedziałem.

— Jak daleko się wybieracie? — wypytywał mnie dalej.

Miałem wybór. Skłamać albo powiedzieć mu prawdę. Czułem, że kłamstwo daleko nas nie zaprowadzi, podczas gdy prawda tak.

— Do samego końca. Jeśli dam radę — dodałem gorzko.

Zamarł w połowie kęsa.

— Chcecie przepłynąć całą drogę do St. Marys?

— Chyba, że coś nas zatrzyma.

Skończył swoją kielbaskę i wytarł usta wierzchem dłoni.

— Wiesz, że jeśli huragan uderzy, ta rzeka zmieni się w mgnieniu oka.

Przytaknąłem.

— Wiem to.

Wskazał dłonią w stronę Folkston.

— Tam się wychowałem. I nigdy nie byłem w dolnym odcinku rzeki. A zawsze chciałem. Chciałbym zobaczyć Reid's

Bluff.

— Warto.

Zapatrzył się na rzekę.

— Może jeszcze zobaczę. — Zmrużył oczy. — Ludzie mówią, że kiedy człowiek się na tę skarpe wdrapie, może zobaczyć, gdzie rzeka kończy swój bieg. Czy to prawda?

— Tak.

— Jaka ona jest?

Zamyśliłem się, ukradkiem spoglądając na Abbie.

— Jest... piękna.

Czoło mojej żony było zaczerwienione, na lewej skroni pulsowała żyłka. W chwili kiedy przyklękałem koło niej, jęknęła. Otworzyłem torbę z lekarstwami, dyskretnie złamałem końcówkę strzykawki deksametazonu, wypchnąłem z niej powietrze i wbiłem w jej udo. Kiedy strzykawka była już pusta, schowałem ją i zamknąłem pudełko.

Mijały minuty. Link przęłykał tak głośno, że słyszałem każdy kolejny kęs. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w swoją ciężarówkę.

— No... może potrzebujecie czegoś? — spytał, masując się po udzie.

Popatrzyłem na rzekę.

— Czasu. I może nieco szybszego nurtu.

Podniósł do góry brwi i ścisząc głos, powiedział:

— Czyja jej gdzieś nie widziałem?

— Możliwe.

— Sławna? Modelka czy coś w tym stylu?

— Kiedyś bardzo...

— Dobrze się czuje?

Co miałem mu na to odpowiedzieć?

— Od dłuższego czasu jest chora. I... potrzebujemy trochę świeżego powietrza, więc zabieram ją tam, gdzie jest go w bród.

— No cóż... — dobrą minutę zagryzał swoją dolną wargę. — Mam nadzieję, że wam się uda. Wam obojgu.

Przygotowałem legowisko pod nisko wiszącymi rozłożystymi konarami dębu. Były wiotkie i długie, wyrastały z pnia tylko po to, by opaść na plażę. Można by pomyśleć, że nie wiedzieć po co przeczesują piasek, skoro potem unoszą się nad wodą, gdzie zwisają ciężkie od liści.

W przeciwieństwie do Linka trzymaliśmy się na uboczu. Nie fraternizowaliśmy się. Link był jednak wyjątkowy. Miał szczęki niczym buldog, palce trzy razy grubsze od moich, ale nie przeszkadzało mu to grać na gitarze. Kiedy już nakarmił całe towarzystwo, wyciągnął z samochodu instrument. Struny zaczęły żyć pod jego palcami. Nigdy nie widziałem, żeby człowiek tak szybko nimi przebierał. Odwróciłem się w stronę Abbie:

— Co to za facet? Powinien występować u Opry.

Usłyszał mnie ktoś siedzący w pobliżu.

— I był — odezwał się. — Pokazuje się też bardzo regularnie w Woodbine.

Woodbine Opry to lokalna, popularna w Georgii, wersja kultowego programu Winfrey. Coś o tym *show* słyszałem. Tamten znów obrócił głowę tkwiącą na cienkiej szyi i spoglądając na kucharza, dodał:

— Ogniwko gra tak ze słuchu, nigdy nie brał żadnych lekcji. — Popił, piana osiadła mu na brodzie. — Zupełnie nieźle, co?

— Mało powiedziane.

Link zagrał dwadzieścia kilka piosenek, gładko przechodząc od jednej do drugiej. Znakomicie przy tym improwizował, a co istotne, grał bez odpoczynku. Mówił niewiele, bowiem za niego przemawiały dłonie, realizował każde zamówienie, nie spoglądając w żadne kartki. Facet wyglądał, jakby zsiadł właśnie z siodelka traktora lub odszedł od rozrzucania gnoju, a tymczasem był to najbardziej utalentowany muzyk, jakiego kiedykolwiek widziałem. Grał właściwie wszystko: od bluesa, przez country, po południową odmianę rocka i muzykę klasyczną. Jeśli jego repertuar miał jakieś ograniczenia, my ich nie słyszeliśmy.

Okolo dziesiątej kilkanaście osób poszło do wody, dziewczęta wspięły się na ramiona chłopców i w ten sposób zaczęły się zapasy w parach mieszanych. Wiecie, w stylu „jestem królem rzeki”. Wszystko było zabawne do chwili, gdy jedna z dziewczyn zerwała drugiej stanik. A wtedy rozpętało się piekło. Rzuciły się na siebie z pazurami. Jak koty.

Okolo północy zebrani na plaży ludzie podzielili się na trzy grupy. Pierwsza miała już dość i porozkładała się na piasku, druga wróciła na koce rozłożone wokół ognisk, ludzie z trzeciej stali w kręgu, szepcząc i popijając albo po prostu siadali w wodzie, pozwalając, by ciepła fala ich opływała. Wszystkie oczy skierowane były na Linka. Nie odezwał się od dobrych trzech godzin. Wreszcie przestał szarpać struny, tylko uderzał w pudło gitary. Oczy miał utkwione gdzieś ^w piasku. Ludzie zbliżyli się. Facet siedzący koło mnie szepnął:

Ostatnia pieśń. Zazwyczaj Zeppelin.

Tłum z plaży zbliżył się do ognia i do Linka. Złote płowienie wznosiły się ponad zbielełymi węgielkami, ścigając dym i liżąc powietrze, oświetlając jego twarz i spływający po nim ciurkiem pot. Uderzył kilka razy, gitara wydała odgłos bębna. Spojrzał poprzez dym i piasek na mnie i Abbie, a potem zapatrzył się gdzieś ponad moim ramieniem.

Po dłuższej chwili odezwał się:

— W 1991 syn Erica Claptona, Conor, spadł z okna z pięćdziesiątego drugiego piętra. Czterdzieści osiem pięter niżej wylądował na dachu trzypiętrowego budynku. Rok później Clapton nagrał w hołdzie dla niego tę pieśń *Tears in Heaven*. Ludzie koniecznie chcieli znaleźć winnego, ale wreszcie okazało się, że to był po prostu tragiczny wypadek. — Wzruszył ramionami. — Życie nie jest łatwe i czasami mocno boli. Niekiedy też trudno zrozumieć, dlaczego.

Facet leżący koło ogniska pogroził trzymaną w dłoni butelką niebu.

— Ma rację — powiedział.

Link zaś ciągnął dalej.

— Pieśń zdobyła prawie wszystkie możliwe nagrody, podobnie jak album *Unplugged*. — Po chwili cicho dodał: — Hm... trudno wskazać najwspanialszą pieśń napisaną komuś w hołdzie. Ten rodzaj muzyki leży gdzieś poza normalnym obszarem granych piosenek. Trudno je zaklasyfikować. Krytycy piszą coś o nich, ale to chyba nie ma znaczenia. Po 11 września powstało wiele takich pieśni, ale żadna nie robi ze mną tego, co *Where Were You* Alana Jacksona. — Ludzie zebrani wokół ogniska wtulali się w siebie nawzajem. — W 1977 roku syn Roberta Planta, Karac, zmarł niespodziewanie na żołądkową infekcję. Plant był wtedy w trasie. Potem napisał pieśń, która, jak wielu sądzi, zainspirowała Claptona. — Link przyglądał się gryfowi gitary, jego palce delikatnie potrącały struny. — To moja ukochana melodia Zeppelinów. Pewnie ją znacie: *Ali My Love*. — Powoli zaczął grać. — Zazwyczaj nie dedykuję moich piosenek. To nie w moim stylu. Pieśń mówi sama za siebie,

ale... tę chciałbym zadedykować... wszystkim— którzy dotrą tam... gdzie
rzeka kończy swój bieg.

Wielki

Podniosłem Abbie z jej posłania i powoli ruszyłem przez plażę i wodę, w której odbijał się ogień. Złapała mnie za ramiona, wtuliła się mocno. Wirowaliśmy po plaży. Kiedy skończyliśmy, wokół nas panowała cisza. Abbie przytuliła się jeszcze mocniej i szepnęła:

— Może jeszcze raz?

Właśnie przebrzmiewały dźwięki ostatnich nut, kiedy zatrzymałem go:

— Link. — Wszyscy spojrzeli na mnie, jakiegoś nieznajomego, który niczym duch nocą wiosłował po rzece. Odchrząknąłem. — Czy... czy zagrałbyś jeszcze raz?... Proszę.

Tłum wokół niego się rozdzielił, ktoś postawił pomiędzy nami a ogniem pięciogalonowe wiadro. Ogniwko oparł na nim nogę, zamknął oczy. Popłynęła pieśń. Jeszcze nie przebrzmiała końcówka pierwszego śpiewania, gdy zaczęło się drugie.

Kiedy skończył, Abbie przyciskała czoło do mojego. Byłem przemoczony. Pot skapywał mi z nosa, a koszula przylepiona była do pleców. Trwaliśmy tak jeszcze minutę. Wreszcie podszedłem do wody i ukląknę. Pociągnęła mnie za ucho, zmuszając się do uśmiechu:

— Najwyższy czas nauczyć się tańczyć.

Ułożyłem ją w kanu, podziękowałem śpiewakowi i odbiliśmy od plaży. Była północ. Jeśli ludzie mieli o nas gadać, wołałem się stąd zabierać. Mogliśmy spać za dnia.

Zanurzyłem wiosło w wodzie, a Abbie wyszeptała:

— Pamiętam mój pierwszy taniec z panem Jakiem przy Dock Street. Po przedstawieniu spuścili kurtynę, a ja byłem tak podekscytowana. Złapał mnie za rękę i zatańczyliśmy na zasłoniętej scenie. Byłam wniebowzięta. Ja... nie chciałam, żeby się to kiedykolwiek skończyło.

Niedługo po tym, jak mama wyjaśniła mi znaczenie określenia „łatwa kobieta”, postanowiłem zemścić się na dużej, grubej babie, która rozpuszczała

takie plotki. Trzymała przed domem na werandzie wielki termometr, którego wskazania można było odczytać z drugiej strony parkingu. Ukrywała go między ukradzionymi neonami **COCA-COLA** i **BURMA-SHAVE**. Termometr był prawie tak duży jak ja i wisiał po słonecznej stronie wozu, co oznaczało, że wskazywał co najmniej pięć stopni więcej, niż było naprawdę — utwierdzając ją w przekonaniu, że jest nadzwyczajny. To było tak, jakby jej zajęciem było odczytywanie temperatury i sprzedawanie jej na rynku. Na naszym osiedlu, prawdę powiedziawszy, ludzie byli dziwaczni. W każdym razie pewnego popołudnia pojechała gdzieś, zostawiając dom bez opieki. Nie wahałem się ani przez chwilę. Złapałem cegłę, podszedłem wprost do termometru i rozbiłem go na tysiące lśniących kawałków. Szkło eksplodowało, pamiętam, że usłyszałem głośne *bum!*, a kiedy spojrzałem na ziemię, ujrzałem na niej kilkanaście dużych srebrnych kropli, które wyglądały jak wypaczone chromowane kulki łożyskowe. Trąciłem jedną z nich kijkiem i podskoczyła. Zaciekawiły mnie, więc toczyłem je jedna ku drugiej, aż połączyły się w jedną dużą kroplę wielkości jajka. Ujrzałem w niej moje odległe zdeformowane odbicie.

* * *

Powierzchnia wody przylegała do wiosła niczym płynne lustro, by po chwili rozbić się w kaskadę kropel. Za naszymi plecami po niebie wspinał się jasny księżyc. Pod nami woda rozlewała się niczym rtęć.

Abbie zamknęła oczy.

— Wydaje się, że zaliczyliśmy punkt ósmy.

Nie widziałem swego odbicia.

ROZDZIAŁ 21

Jej rodzice byli wzburzeni. Choć może lepszym słowem byłoby: wkurzeni. I prawdziwszym. Robili wszystko, by wbić klin między Abbie a mnie. Wskazywali na różnice między nami, na moje słabości, pochodzenie... Rozumiecie, o co chodzi. A jeśli już raz na coś wpadli, powtarzali to po tysiąc-kroć. Nagonka na Dossa trwała w najlepsze. I nieustannie. Z nas dwojga pewnie ja rozumiałem lepiej, o co chodzi.

W całym tym zamieszaniu odkryłem coś na temat jej rodziców. Wcześniej zawsze mi się wydawało, że taka rodzina ma wszystko poukładane w jak najlepszym porządku. Ale tak to wyglądało tylko na zewnątrz. Wyglądali na szczęśliwych, więc musieli być szczęśliwi. Tymczasem było dokładnie odwrotnie. Ona była śliczną kobietą, uganiało się za nią mnóstwo mężczyzn. On zaś robił oszałamiającą karierę polityczną. Wydawać by się mogło, że to małżeństwo ułożone w niebie. Nikt nigdy nie zadał sobie trudu, by się spytać, czy oni się po prostu kochają. Miłość była jednak sprawą wtórną— Ale nauczyli się zakładać szczęśliwe maski i pokazywać światu, jak dobrze im razem. Tak więc ona została królową lodu, a on twarzą z telewizji. Kiedy Abbie dorastała, popychali ją — każde z nich — na własną ścieżkę. Nikt nigdy nie zapytał Abbie, co jest dla niej ważne. I czy mają prawo się trącać w jej życie.

W rezultacie Abbie leżała wieczorami w łóżku, przysłuchując się kłótniom, które jej rodzicom podobno nigdy się nie zdarzały, i obiecywała sobie, że — niezależnie od kosztów — ona wyjdzie za mąż z miłości.

Można więc powiedzieć, co może i dziwaczne, i pokręcone, że cieszyłem się, iż kłócili się ze sobą. Gdyby tak się nie działo, Abbie poślubiłaby jakiegoś adwokata w garniturze i pod krawatem. A tak wyszła za mnie. Ja nigdy nie

miałem eleganckiego garnituru i za nic w świecie nie założyłbym krawatu. Trudno się zatem dziwić, że rychło wytyczyli linię de— markacyjną. Krótko mówiąc: nie byłem mile widziany w ich domu, na terenie ich posiadłości czy w ich samochodach. Z drugiej strony oczekiwali jednak, że Abbie będzie z nimi spędzać święta i uczestniczyć w wydarzeniach związanych z polityczną funkcją tatusia. Pamiętam, powiedziałem jej:

— Idź, kochanie. To twoja rodzina, nie możesz ich ignorować. — Jak wrócisz, ja tutaj będę. Zaczekam.

Zdenerwowała się i sięgnęła po telefon.

— To ty jesteś moją rodziną, więc nie próbuj robić ze mnie ich zakładniczki.

Abbie jeszcze dwa lata pracowała w Nowym Jorku jako modelka, a potem rzuciła to i wróciła do domu. Nigdy nie zaproponowano jej, by została twarzą Clinique lub Estee Lauder, ale wiele osób uważało, że świetnie by tam pasowała. Patrzyła na pracę modelki podobnie jak alpinista spogląda na góry. Były, więc się na nie wdrapywałą, ale kiedy już osiągnęła szczyt, rozejrzała się i zobaczyła, że są też inne szczyty. Kiedy ludzie pytali, dlaczego tak postąpiła, odpowiadała, wzruszając ramionami: "Już tam byłam, już to zrobiłam". Ale tak naprawdę znaczyło to, że udowodniła swoją niezależność i zerwała się z łańcucha swego ojca. Co nie oznaczało, że *go* nie kochała, ale że nie mógł jej kontrolować. Praca modelki i podróże otworzyły jej oczy na prawdziwą pasję — wzornictwo. Więc wróciła na uczelnię w Charlestonie i ukończyła czteroletnie studia na tym kierunku, a potem podjęła pracę w miejscowej firmie. Jeśli chodzi o projektowanie, miała — trzeba to przyznać — prawdziwy talent. Wkrótce zdobyła własnych klientów. Posiadała znakomicie rozwiniętą wyobraźnię przestrzenną. Widziała kolory i przestrzeń tak jak wszyscy inni, ale jej prawdziwym talentem było dostrzeganie piękna tam, gdzie ktoś inny dostrzegał tylko zbędną linię, przestarzałe rozwiązanie, zjedzony przez mole mebel, zniszczony kawałek drewna lub popękana warstwę farby niepotrzebnie położoną przez poprzedniego właściciela.

Tego dowiedziałem się po pół roku naszego małżeństwa. Poza tym, co Abbie zarobiła jako modelka, oraz tym, co otrzymała w spadku po swej nieżyjącej mamie i co otrzymała od ojca, miała jeszcze własne pieniądze. Niemale pieniądze.

Umiała wziąć sprawy w swoje ręce. Pewnego dnia zaparkowała swojego mercedesa przed zabitym deskami domem, który świetnie by pasował jako sceneria powieści Stephena Kinga. Farba obłaziła ze ścian. Straszyl wybitymi szybami. Brakowało też dachówek. Weranda z jednej strony była całkiem rozwalona. Słowem nadawał się tylko do wyburzenia. Prawie cztery lata wcześniej, we wrześniu 1989 roku, huragan Hugo starał się zmieść Charleston z mapy kraju. Sztorm piątej kategorii spowodował zniszczenia oszacowane na trzynaście miliardów dolarów, większości z nich dokonał w Południowej Karolinie. Po jego przejściu niewiele budynków pozostało nietkniętych. Podobnie jak ten. Po czterech latach miasto miało już dość wyklócania się z właścicielami i rozpoczął się proces wywłaszczania. Najwyraźniej Abbie poczuła pismo nosem i kupiła dom jeszcze w sądzie.

Wprowadziła mnie do środka pełnego zawilgoconych śmieci i po spiralnych schodach zaprowadziła do głównej sypialni na piętrze. Stamtąd po stromych, wąskich, drewnianych schodkach wspięliśmy się na drugi poziom. Otworzyła okno i popychając mnie w jego stronę nakazała:

— Zamknij oczy.

Posłuchałem. Znalazłem się na czymś w rodzaju wieżyczki. Ta jakby nieco zaskrzypiała pod naszym ciężarem. Otworzyłem oczy, a ona pokazała na rzekę.

— Kupiłam ci coś — powiedziała.

Patrzyłem więc, w dole szukając czegoś, co by przypominało łódź rybacką. To, co mi się śniło, czego teraz na wodzie szukałem, to był luksusowy Hewes, równie dobry Key West czy Pathfinder, choć cieszyłbym się także z Carolina Skiff. Ale nie zobaczyłem żadnej z tych łodzi.

— Co? — spytałem w końcu.

Tupnęła nogą i uśmiechnęła się. Żelazna platforma zagrzecgotała w tej samej chwili, bo poluzowały się kolejne sworznie. Spojrzałem pod nogi. Kawałki układanki wskakiwały na swoje miejsce. Od czasu jak Hugo zaatakował ten dom, nikt tu nic nie zrobił. Nie chodziło bynajmniej o brak jakiejś dachówki, pęknięcie, obłazącą farbą czy kawałek zgniłego drewna. To byłoby nic. Tutaj brakowało całych połączeń dachu. Piwnicę wypełniała stojąca słona woda. Prawdopodobnie sieć tuneli łączących stary Charleston z nabrzeżem przechodziła pod tym domem. Jeśli to była prawda, to biorąc pod uwagę siłę Hugo, trudno było przewidzieć, ile wody może się znajdować w tym domu i jak bardzo zostały uszkodzone fundamenty zarówno jego, jak i okolicznych budynków. Przechyliłem się przez balustradkę i przez dziurę w dachu popatrzyłem w dół na kuchnię.

— Nie zrobiłaś tego.

Zalśniły jej oczy, uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Ujrzałem oczami wyobraźni miesiące pracy w weekendy i do późna w nocy, dziesiątki tysięcy wycieczek do sklep^u z materiałami budowlanymi.

— Proszę, nie mów mi...

Objęła mnie w pasie i zatoczyła dłonią, pokazując widok, przede mną rozciągał się cały Charleston — w którym, decyzją tych, co go kochali, nie budowano niczego wyżej niż jego wieże kościelne. Od strony wody widok rozciągał się daleko na północny wschód za Fort Sumter, widziałem nawet to, co pozostało z wyspy Sullivan. Jeszcze raz tupnęła nogą, demonstrując solidność. Konstrukcja zachybotowała się.

— Naprawdę... nie jest tak źle.

Wystarczyłby jeden porządny wiatr, a dom by się zawalił. Potrząsnąłem głową.

— To niemożliwe.

Postukała palcem w moją pierś.

— Ty funkcjonowanie, ja forma.

Co można było przetłumaczyć następująco: do ciebie należy rąbanie, szorowanie, wbijanie gwoździ, transport, piłowanie, a ja zajmę się wystrojem.

Treść i forma... Tak, to dobrze nas opisuje. Ale prawdę mówiąc, gdyby poprosiła, żebym zbudował arkę na piasku, zrobiłbym to dla niej. I to właśnie mnie czekało. Jednak widok był naprawdę piękny.

Może to zabrzmie dziwnie, ale nienawidziłem malowania. Nie chodzi mi o zwykłe niechęć, wszystko, co przywodziło mi na myśl scenę malującego płót Tomka Sawyera, przejmowało mnie odrazą. Tylko sobie wyobraźcie. Więc kiedy zaczęliśmy remontować tę zniszczoną przez huragan wieżę, powiedziałem Abbie:

— Kochanie, zapłacę komuś, żeby pomalował dom, na jaki tylko chcesz kolor. Wynajmę samego da Vinci, ale ja nie zamierzam tego robić. Koniec i kropka. Nigdy. Umowa?

Zgodziła się, wiedząc, że dla niej odłożyłem swoją pracę, ale także, ponieważ myślała, że ona lubi malować.

— Nie martw się. Ja to zrobię. Mnie malowanie sprawia przyjemność.

Wiedziałem lepiej. Po kilku nocach pracy przy domu, wysłuchiowaniu przekleństw, które mamrotała pod nosem, gdy uświadomiłem sobie, że naprawdę muszę kogoś wynająć, żeby posprzątał cały ten bałagan, przyszła do mnie. Była prawie północ. Poprawiałem coś przy szlifierce. Kończyłem właśnie podłogę. Pokój wypełniał pył. Wyłączyłem urządzenie, przesunąłem maskę na czoło, czekając, by wentylator poradził sobie z pyłem. Abbie była pokryta białą farbą. Głowa, włosy, ręce, ramiona, spodnie, stopy. Słowem: wszystko. Wyglądała, jakby ktoś ją wytarzał w tacce z białą farbą. Oparła się o ścianę i spoglądając na mnie niemal błagalnie, powiedziała:

— Jeśli pomożesz mi pomalować ten dom, będę się z tobą kochać. — Rzuciła na podłogę mokre pędzle. — Tutaj.

— Kocham malowanie. Pomaluję ci cały dom. I to już.

No więc malowaliśmy. Dom i siebie, żadne z nas nie było

w tym specjalnie dobre, ale uczyliśmy się, a co ważniejsze, śmialiśmy. Dużo. To śmiech przepychał nas z jednego dnia do drugiego.

Żeby stać się członkiem Stowarzyszenia Projektantów, młody adept tej sztuki musi praktykować przez dwa lata, a potem zdać egzaminy. Przepracowała dwa lata, zdała egzaminy i na Gwiazdkę 1995 roku otworzyła własne studio. W ten sposób od nowa stworzyła po raz drugi samą siebie. Jej ojciec był jednocześnie dumny i speszony. A mnie, mówiąc uczciwie, jej studio dało możliwość pracy. Bez niego byłbym tylko wykładowcą na miejscowej uczelni ledwo wiążącym koniec z końcem.

Przez kolejne dziesięć lat, dzięki kolekcji zdjęć sprzed i po renowacji, wyremontowany dom Abbie pokazywały „Southern Living”, „Architectural Digest”, nie mówiąc już o miejscowych pismach. Większość przyjaciółek zazdrościła jej. Kiedy zaczęły pojawiać się artykuły, wymieniały szeptem uwagi: To wszystko dzięki wpływom jej ojca. To były oczywiście te same osoby, które wcześniej wykrzykiwały: Chyba zwariowaliście — kiedy kupiliśmy ten dom. Możecie mi wierzyć, jej ojciec nie chciał mieć z tym nic wspólnego. On też twierdził, że Abbie kompletnie odbiło. Ale nikt z nich tak naprawdę nie znał Abbie. A ona — jak zawsze — widziała to, czego inni nie potrafili dostrzec.

Senator i pani Coleman nie odezwali się do mnie przez te dwa lata ani razu. Ale czas i praca Abbie zrobiły swoje. To nie oznacza, że wybaczyli mi, ale przynajmniej na mój widok nie toczyli piany. Zmiękczyły ich dwie rzeczy. Po pierwsze, Abbie dzięki karierze modelki i sukcesom w dziedzinie projektowania stała się bardziej znana od swego ojca. Nie mógł zaprzeczyć, że stała się sławna, a on zyskiwał dzięki niej. W lokalnej telewizji przedstawiano go jako ojca Abbie Eliot. W tym samym mniej więcej czasie ją przestano przedstawiać jako córkę senatora Colemana. Po drugie, ja mało się odzywałem, głównie pracując. Produkcja moich płócien bardzo wzrosła. Abbie miała wdzięk, który przyciągał ludzi jak magnes. Oczywiście była piękna, ale samą urodą nie osiąga się takiego sukcesu. Miała coś, co otwierało

przed nią wszystkie drzwi, które przede mną zawsze by pozostały zamknięte. Nie miałem złudzeń, nigdy bym nie osiągnął tego, co osiągnąłem, o własnych siłach, więc nie sobie zawdzięczałem sukces. Prawdę mówiąc, jechałem na jej plecach, mogąc się tylko cieszyć, że mam talent, który pozwala mi się załapać. Moja rosnąca popularność, szczególnie w Charlestonie, stawiała mnie — a raczej moje prace — przed Colemanami za każdym razem, kiedy odwiedzali dom któregoś ze swoich przyjaciół. Nie mogli przede mną uciec. Malowałem jeden obraz na miesiąc, a zamówień miałem na rok do przodu. Zaczęliśmy w końcu rozmawiać o powiększeniu rodziny.

I wtedy Abbie zmusiła mnie, żeby wziął sobie rok wolnego.

Wielki

ROZDZIAŁ 22

4 CZERWCA, PORANEK

Nie jestem geologiem, ale wiem, że ziemia Florydy to warstwy wapienia, piaski i głazy narzutowe. Kiedy rzeka raz już wyłobi drogę w wapieniu, ma tylko jedno wyjście: płynąć. Jej brzeg nieustannie się jednak zmienia, co oznacza, że wciąż zmienia swój bieg, przez co mówią o niej: *Crooked Rwer*, kręta rzeka. Zeby zauważyć, dostrzec te zmiany, potrzeba nieraz lat i wiedzy, ale na obszarach, gdzie nurt jest bardziej bystry, albo w okresach zwiększonego przypływu, rzeka potrafi rzeźbić nową linię brzegową w tempie cal na dzień. Nie było mnie tu piętnaście lat, więc dla mnie ta rzeka się odmieniła.

Pomiędzy Stokes Bridge a St. George mieszka niewielu ludzi. Powodem jest i to, że ziemia tutaj należy głównie do właścicieli plantacji i kompanii drzewnych. Jedna z takich kompanii po stronie Georgii zajmuje jakieś tysiąc dwieście akrów. Obszar Spread Oak Plantation ciągnie się wzdłuż rzeki trzy mile. Jest terenem parzenia się jeleni, hodowli mdyków, rajem dla olbrzymich bobrów oraz przebiegłych czerwonoogoniastych jastrzębi. Porastają go wysokie sosny, w wodach pływają leszcze, ale najbardziej znanym tutejszym *produktem*, są przepiórki. *Colinus virginianus*. Są ich tutaj tysiące. Jeśli chodzi o teren Spread Oak to moje zainteresowanie koncentrowało się na chronionych przez właścicieli plażach. Od naszego dłuższego postoju na Redneck Riviera płynęliśmy już prawie dwadzieścia cztery godziny i zaczynałem czuć ból w miejscach, gdzie nawet nie przypuszczałem, że mam mięśnie.

Słońce właśnie osiągnęło szczyt drzew, woda zaczęła parować. Po raz pierwszy od czasu kiedy minęliśmy most, mogłem odłożyć wiosła. Tutaj woda była głębsza i prąd pchał nas dobrą milę, co podarowało mi jakieś pół godziny. Dzikie kaczki przeleciały pojedynczym kluczem nad rzeką. Przez mgłę widziałem na brzegu stojącego jelenia. Z nosa ściekała mu woda. Zastrzygł uszami w moim kierunku. Był potężny, ze zwisającym brzuchem, jego rogi lśniły niczym pokryte złotym welwetem. Wyrastały jakieś trzy cale za uszami i wznosiły się wysoko ponad głowę. W tym świetle trudno było to dostrzec, ale wydawało mi się, że mają sześć odnóg. Nie słyszałem, kiedy się zjawił, nie słyszałem, kiedy zniknął. Mrugnięcie i już go nie było. Niczym duch. Pozostały tylko zmarszczki na wodzie. Nie miałem pojęcia, że jeszcze żyją na tych ziemiach takie jelenie, ale — zaśmiałem się w duchu — nie mógłby tak długo przeżyć, gdyby był głupi.

Przepychaliśmy się przez wznoszącą się mgłę, nasłuchując głosu świata, który budził się wokół nas. Poszczekiwanie psa, trzaskanie drzwi samochodu, szczęk naczyń, skrzeczenie wron, ćwierkanie wróbli. To odgłosy, które dochodziły do moich uszu. Poranek spędziliśmy wsunięci pod brzozy na plaży Spread Oak. Poza szelestem drzew, których papierowa kora zwijała się niczym stary pergamin, panowała całkowita cisza. Od czasu do czasu z daleka docierał dźwięk piły mechanicznej lub warkot motocykla, a ze dwa razy dostrzegłem nad nami dwupłatowiec. Za drugim przelotem o mało nie zahaczył skrzydłem czubków drzew. Kiedy zdecydował się odlecieć, przyjrzałem mu się uważnie. Niebieski kadłub, żółte skrzydła.

Faceci, których zostawiliśmy za sobą, pewnie zaczęli w tej chwili rozmawiać o nas i o samolocie latającym nad nami. Poczuję się niekomfortowo.

Podrażnił mnie jakiś dziwny zapach. Spojrzałem na Abbie która malowała sobie paznokcie lakierem bezbarwnym.

Parsknąłem śmiechem.

— Z czego się śmiejesz?

— Skąd to wytrzasnęłaś?

— Chyba nie myślałaś, że wyjechałam z domu, nie zabierając lakieru?

— Nie, ale wszystko, co mieliśmy, wylądowało jakieś dwadzieścia mil temu w ognisku.

Uśmiechnęła się.

— Nie wszystko. — Zabrała się za kolejny paznokieć. — Dziewczyny nie wybierają się w podróż życia z niemalowanymi paznokciami.

Przejechałem ręką po brodzie, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Wycelowała we mnie pędzelkiem.

— Wciąż się ze mnie śmiejesz?

Moja twarz dochodziła do siebie, oko nie było już zapuchnięte, choć usta wciąż jeszcze tak. Przesunąłem kapelusz na twarz i położyłem się.

— Kiedy Gus zatrudnił mnie po raz pierwszy, popłynąłem z pewnymi ludźmi z Stokes Bridge do St. George. To była dobra grupa — weekendowi wojownicy, którym udało się zostawić żony w domach — ale bez szczególnego doświadczenia jak zachowywać się w lesie. Po długim dniu i jeszcze dłuższej nocy na twardej ziemi, jeden z nich przyszedł do mnie z pytaniem: „Co z łazienką?”. Nie bardzo wiedziałem, jak detalicznie mam mu odpowiedzieć, więc wręczyłem mu saperkę, Pokazałem na las i wyjaśniłem: „Kopiesz dół, a kiedy zrobisz, co masz zrobić, zasypujesz ziemią”. Spojrzał na mnie, wydymając wargę, a patrząc na rzekę, zapytał: „Kiedy dopłyniemy do najbliższej publicznej toalety?”. Wzruszyłem ramionami. „Może dziś wieczorem”. Kilka minut później spojrzałem w górę rzeki i widzę, że gość kucnął na brzegu i czyta gazetę. Ma szorty spuszczone do kolan i gołym tyłkiem siedzi na dziurze, którą wykopał. Pokiwałem z aprobatą głową. Inni wkrótce wzięli z niego przykład. Może powinienem był coś im wtedy powiedzieć. Nie wiem. Tego samego wieczoru jeden z nich podszedł do mnie i zapytał: „Hm... czy cię nie pogryzło? Małe czerwone ślady”. Mówiąc to, drapał się. „Nie, a cię?”. Potwierdził kiwnięciem głowy. „Gdzie?” —

spytałem. Pokazał w dół. „Wszędzie”. Skrzyżował ręce i wyszeptał: „Każdy cal ciała. I tak swędzi, że nie mogę wytrzymać”. Zapytałem: „Czerwone wypryski?”. Przytaknął. Sięgnąłem do torby i podałem mu bezbarwny lakier do paznokci. „To rodzaj pchły. Nie da się ich zobaczyć. Te małe paskudztwa szukają na ciele ciepłych miejsc, dostają się pod skórę i jeśli się ich nie pozbędziesz, zostaną tam na dwa tygodnie. Pomaluj każde miejsce”. Patrzył na mnie, jakbym postradał zmysły. „Robisz ze mnie durnia, co? To jeden z tych żartów, jakie wy, rzeczni przewodnicy, sobie robicie z miejskich chłopaków takich jak ja?”. Zaprzeczyłem. „Nie, z pcheł bym sobie nie żartował. Za kilka godzin, jeśli czegoś nie zrobisz, będziesz się tak męczył, że... no, będziesz się męczył”. Wziął buteleczkę i zapytał: „Każdy punkt?”. Przytaknąłem. Pozmywałem naczynia, złożyłem namiot i załadowałem kanu. Kiedy wróciłem, cała piątka stała wokół ognia ze spodniami spuszczoneymi do kolan, czekając aż wyschnie lakier. To był jeden z takich widoków, których nie zapomnę do końca życia. Jeden z nich, chudy facet, który zarządzał jakąś elektrownią, powiedział: „To, co wydarzyło się tu na rzece, zostaje tutaj... zgoda?”. Rozbawiło mnie to: „Jasne — odparłem — ale nie wiem, czy uda wam się przekonać do tego wasze żony”.

Abbie skończyła, zakręciła buteleczkę i podmuchała na paznokcie.

— Co ci przypomniało o tej historii?

— Zapach.

— No cóż — pomachała butelką — jeśli znajdziesz się w potrzebie, musisz mieć swoją własną, ja ci nie dam... — pokręciła wskazującym palcem w powietrzu, generalnie w moim kierunku — ...pomalować siebie, by potem tym samym malować paznokcie. Dziewczyna musi ustalić jakieś granice. Tu na mnie nie licz.

— Nie mogę cię za to winić.

ROZDZIAŁ 23

Dzięki swoim podróżom Abbie widziała najwspanialsze dzieła sztuki, jakie stworzyli najwięksi artyści świata. Stała przed nimi. Spoglądała, płakała, śmiała się. Dlatego też rozumiała je lepiej i wnikała w nie głębiej, niż mnie było to dane. Podczas gdy ja pojmowałem, dlaczego żyli, tak jak żyli, Abbie rozumiała ich pracę, a więc w najgłębszym sensie ich samych. W porównaniu z Abbie ja nie wiedziałem nic. Kiedy przeglądałem książkę o historii sztuki, ona wskazywała na ilustracje, mówiąc: „To widziałam”, albo: „To lepiej wygląda w oryginale”, lub: „Kotku, powinieneś to zobaczyć... sposób, w jaki światło wędruje przez...”. W takich momentach zawsze czułem zazdrość.

Byliśmy od roku małżeństwem, kiedy przyszła do mnie. Siedziałem w studiu, mieszając farby.

Usiadła mi na kolanach, a swe piękne ramiona splotła na mojej szyi.

— Chcę się wybrać na wycieczkę.

— Dobrze.

— I chcę sama wszystko zaplanować.

— W porządku.

— Ale pojedziesz ze mną?

— Jasne.

Wyszła. Po chwili wróciła z folderem grubym na cztery cale. Usiadła na podłodze, poklepała miejsce obok siebie i rozłożyła mapę świata.

Jedną ze wspaniałych rzeczy, które Abbie odziedziczyła po swoim ojcu, była umiejętność niezaściankowego myślenia. Dodając do tego fakt, że miała pieniądze, mogła wpadać na pomysły nie z tej ziemi.

Wyjechaliśmy prawie na rok.

W świecie doskonałym zaczęlibyśmy od wczesnego renesansu, by poruszać się do przodu linearnie, śledząc w czasie życie artystów od jednej pracy do kolejnej. Ale w rzeczywistości naszą drogę determinowała geografia, jeździliśmy od miasta do miasta. I tak prawie do samego końca. Ale w tym również Abbie miała swój cel.

Najpierw skierowaliśmy się do Nowego Jorku i National Gallery. Pamiętam, jak wyszedłem z za rogu i tam wisiał potężny Rubens: Daniel w jaskini lwa. Usiadłem na ławce, naprzeciwko obrazu, i wędrowałem po nim oczami prawie trzy godziny. Świadomość wielkości tego artysty dotknęła we mnie czegoś, o czym nie wiedziałem, że istnieje.

W Art Institute w Chicago siedzieliśmy przed *W Moulin Rouge Toulouse*— Lautreca. Lautrec był kaleką wyrzutkiem, który włóczył się po burdelach Paryża, gdzie między dziwkami i innymi odrzuconymi, znajdował radość życia. Jeśli nauczył mnie czegoś, to chyba tego, że ubogich może namalować tylko wyrzutek.

W Londynie Abbie zabrała mnie do National Gallery, gdzie spotkałem Giovanniego Belliniego i jego Portret doży Leonardo Loredano. Twarz, rysunek ust, zmarszczki na twarzy idealnie odpowiadające zmarszczkom na szyi, a co najważniejsze — oczy. Na to nic mnie nie przygotowało.

Poleciliśmy do Florencji i tam spotkałem Giotto. Giotto wziął płaskie, dwuwymiarowe postacie swoich poprzedników i używając światła i cienia, dodał jeszcze jeden wymiar. Stworzył zawartość, ciężar, tam gdzie wcześniej ich nie było. Trzymając się swej roli przewodnika, Abbie zapytała mnie:

— Wiesz, dlaczego to takie ważne?

Nagle to zrozumiałem.

— Wyprzedził swoją epokę.

Później zaprowadziła mnie do *Marii Magdaleny* Donatella. Niezwykła rzeźba przedstawiająca starą kobietę z cierpieniem rysującym się na twarzy. Ujrzałem jej rozpacz. Wręcz ją poczułem. Sposób, w jaki jej włosy spadały na twarz, jak potarganą miała suknię... Pojąłem wtedy, że jej wycieńczona, wyschła dusza cała wystawiona była na widok świata.

W Galerii Uffizi odkryłem Piera delia Francesca i jego pędzla portret Federica de Montefeltra. Federico był oszpecony, stracił jedno oko w walce na miecze, więc Francesco namalował go w pełnym profilu, pokazując tylko z lewej strony, żeby to ukryć. Co jednak dziwne, podczas gdy jemu współcześni idealizowali swe obiekty, on pokazywał pieprzyla na twarzy i haczykowaty nos. Był tam także Tycjan i jego *Wenus z Urbino*. Chociaż jej ciało zostało ukazane w dość prowokacyjnej pozie, toż przecież akt, namalował je tak, że wzrok w naturalny sposób podąża do twarzy. A uzyskał to przez nachylenie szyi, zachęcające zgięcie ramion, figlarność w oczach czy swobodne skrzyżowanie nóg. Tak właśnie — myślałem — powinno pokazywać się nagość.

Potem zabrała mnie do *Portretu mężczyzny*, zwanego też *Portretem młodego Anglika*. Podczas gdy *Doża* Belliniego jest sztywny, *Anglik* Tycjana nie, jego autentyczna młodość bije z płótna. Jego odzież jest wyblakła, można by nawet powiedzieć: znoszona, spojrzenie zaś wprost przemawia. Zdobywa władzę nad oglądającym, każe patrzeć na siebie i zmusza do myśli, że to z pewnością jest najdoskonalszy portret, jaki kiedykolwiek namalowano.

Pewnego popołudnia zawiązała na moich oczach przepaskę i poprowadziła za rękę najpierw jakimś korytarzem) po czym skręciliśmy i posadziła mnie na ławce. Wiedziałem, gdzie jesteśmy, bo to raczej słynne miejsce. Wtedy zdjęła mi z oczu przepaskę. I oto przede mną stanął sam *Dawid* Michała Anioła. Upadłem na kolana. Jeśli istnieje doskonałość w sztuce, to jest nią ten posąg. Rozplakałem się. Płakałem jak dziecko.

Abbie uklękła koło mnie. Mój przewodnik.

— Dlaczego on jest ważny? — znów pytała.

— Stworzył swój własny styl.

W połowie naszej podróży uzmysłowiłem sobie, że Abbie wyjęła moich mistrzów z kart ksiąg na światło dzienne, posadziła mnie z nimi przy jednym stole, bym mógł prowadzić ożywioną dysputę. Przedstawiła mnie im i przysunęła moje krzesło do ich stołu. To był dar jak żaden inny. Robiąc to, sprawiła, że cała wiedza, jaką miałem na ich temat, spłynęła mi do serca. I tam zapuściła korzenie.

W Rzymie odkryliśmy też rzeźbę Berniniego *Przekłęta dusza*. Przedstawia twarz człowieka, który widzi wieczne potępienie. By dobrze wydobyć to, co chciał pokazać, Bernini poparzył swoje ramię kawałkiem rozgrzanego żelaza. Podziałało, ponieważ udrękę widać w oczach i na obliczu, w uniesieniu nosa i we fruujących włosach, w otwartych ustach, w oszalałym wzroku. Zdumiałem się tylko... Jak on to zrobił?

W poczdamskim Neues Palais, zachwyciłem się Caravaggiem i jego *Niewiernym Tomaszem*. Od tak dawna marzyłem, żeby nachylić się i przyjrzeć, jak namalowano palec, który aż po drugi staw zagłębia się w ciało Jezusa. W Rzymie znaleźliśmy *Judytę ścinającą głowę Holofernesowi*, gdzie mój wzrok najbardziej przyciągali służący o smutnych pomarszczonych twarzach.

W paryskim Luwrze spotkałem zaś obraz *Baldassare Castiglione* Rafaela. Tego zamysłonego mężczyznę o orzechowych oczach poznałem dwadzieścia lat wcześniej na stronach książki w bibliotece, do której zabierała mnie mama. Po raz pierwszy zrozumiałem, jak introspektywność filozofa można poznać po oczach i jak ten pełen powagi nastrój został osiągnięty bezruchem i spokojnymi barwami.

Napotkaliśmy też nieskończenie wielu innych mistrzów i ich dzieła, ale na koniec zachowała tego, którego ceniłem najbardziej.

Rembrandta.

W czasach kiedy do portretów pozowali modele ustawieni w scenach kostiumowych, kiedy wierzono, że ubranie definiuje człowieka, pojawił się Rembrandt. Nie zastanawiał się dwa razy, jak przedstawić szpotawą nogę czy bulwiasty nos, powiększoną mosznę u pulchnego niemowlaka czy potężną łapę Abrahama na twarzy Izaaka — co zobaczyliśmy w Ermitażu w Petersburgu.

Rembrandt — jak go odczytywałem — poszukiwał tego czegoś, co opisywało człowieka, co go identyfikowało, a potem nie starał się tego schować ani pomniejszyć. Poszukiwał osobowości, zdzierając maskę noszoną z wyboru lub założoną przez społeczeństwo. Potrafił doskonale oddać strukturę materii, precyzję koronki czy przezroczystość szyfonu. Używał jednocześnie delikatnego cieniowania, jak i szorstkiego drapania na tym samym obrazie, ścierając białą farbę drugim końcem pędzla. W *Portrecie starej kobiety* w londyńskiej National Gallery zwisającą skórę powieki namalował *dźganiem* pędzla. Jej twarz przypominającą żółwia, wilgotność oczu, sposób, w jaki patrzy gdzieś poza ciebie. I to zamyślenie oddane za pomocą cieni, podkreślone przez różowe powieki, mówiące o bezsennych nocach.

Nikt tak nie maluje oczu jak Rembrandt.

U Rembrandta nie są one groteskowe. Jego naturalizm — niektórzy mówią bezkompromisowość — aż krzyczał z płócien. Ten Holender odczytywał ludzkie emocje jak nikt inny, potrafił zrywać z nich maski. Czy poprzez łuk brwi, kąt ustawienia brody, czy tylko podniesienie lub opadnięcie policzków, ślad po złamaniu nosa albo i ustawienie szczęki. Słuchał swego wewnętrznego głosu, który mówił mu o kimś. Znajdował ten jeden element, malował go i to był właśnie powód, by patrzeć na jego płótno, które w jednej chwili więziło spojrzenie. Widziałem na własne oczy warstwy farby, których nie umiała pokazać mi żadna książka. Swoje rzemiosło osiągnął dzięki technice, od delikatnych pociągnięć pędzlem po szerokie zamaszyste ruchy, ale jego ręka i pędzel były w całkowitej harmonii z głową, z wyobraźnią. To widać nawet w tak prostych obrazach jak *Zabity wół* w paryskim Luwrze.

Trzymałem się przez całą podróż, ale Rembrandt wywołał kryzys zaufania do samego siebie. Mógł go wywołać także Michał Anioł, tylko że... był Michałem Aniołem. Abbie wiedziała to, dlatego na koniec zachowała Rembrandta. Po obejrzeniu jego dzieł wyszedłem z najgłębszym pragnieniem uchwycenia prawdziwej natury ludzkiej, w całej jej powikłanej nieczystości.

Abbie poklepała mnie po ramieniu.

— A on?

— Ci ludzie, których malowałem... nie pozwali do portretów. Są nieruchomi, a jednak poruszają się. Żyją.

Chciałem wtedy rzucić malarstwo. Skończyć z tym. Spalić wszystko, co namalowałem do tej pory.

Abbie przytaknęła.

— Zobaczyłeś ludzką wielkość. Jest, była i będzie wspaniała.

Zobaczyłem, co on potrafił namalować, i wiedziałem, że ja tego nie potrafię. Abbie objęła mnie ramieniem.

— Daj spokój, to tylko człowiek. Ty też potrafisz tak malować.

— Zwariowałaś.

— Już tak malujesz.

— Ale... przecież to Rembrandt.

Przytaknęła.

— A ty jesteś Doss.

— Jesteś szalona.

— Nie — potrząsnęła głową. — Ja wierzę w ciebie.

Nasza podróż dała mi wiedzę, o której nie śniłem. To było tak, jakby Abbie wiedziała, czego mi brakuje. Rozumiała moje niedostatki. Aby je pokonać, przygotowała drogę wypełnioną dokładnie takimi dziełami sztuki, które powinienem był zobaczyć, dowodząc tym, że instynktownie wyczuwała, co muszę obejrzeć, by stać się artystą, jakim mogłem zostać.

Pamiętam, jak wychodziłem z sali, w której stał *Dawid*. Przechodziliśmy obok innych figur, które Michał Anioł stworzył. Nic tylko wielkie bryły granitu z formami na wpół ludzkimi, wspinającymi się na skały. Jakby zakłęte w nich postaci chciały się uwolnić. Uciec. I kiedy wracam myślą do tej sali, uświadamiam sobie, że wszystko to Abbie zrobiła dla mnie.

Przyprowadziła mnie do źródła, z którego zachłannie piłem.

Gdy wróciliśmy, zrozumiałem, że Abbie podarowała mi prezent, jakiego się nie spodziewałem. Stałem przed sztalugami i ujrzałem piękno w tym, co nie było piękne, lecz chwilami nawet groteskowe. To, co rozbudziła Rozalia, dojrzało teraz i nabrało kształtu. Widziałem obrazy czekające tylko, bym wziął pędzel do ręki. Tam, gdzie kiedyś widziałem kilkanaście, teraz czekały tysiące.

ROZDZIAŁ 24

4 CZERWCA, POŁUDNIE

Ta sama linia kolejowa, która przechodzi przez Moniac, dwanaście mil w linii prostej od miejsca, w którym byliśmy, biegnie też południowym skrajem St. George. Zresztą nieopodal A.E. Bell Bridge spina brzegi rzeki i jest ulubionym *plótnem* dla kochanków posługujących się farbą w sprayu. Pod mostem gnieźdzą się setki jaskółek, które zatrzymują się tu po spędzeniu zimy w Brazylii. Te ptaki rzadko przysiadają, by odpocząć, jedzą i piją w czasie lotu. Tną powietrze niczym F— 16 nad mostem i pod nim w pogoni za swą codzienną porcją końskich much, ważek czy chrząszczy. Potem opadają, rysując taflę wody dziobem.

St. George w porównaniu z Moniac jest kwitnącą metropolią. Niemniej jej liczebność nie przekracza kilkuset osób. Szkoła podstawowa, restauracja, stacja paliw połączona ze sklepem spożywczym i rzeźnik, warsztat naprawy samochodów, czterokierunkowy znak stopu z błyskającym światłem ostrzegawczym i punkt sprzedaży burgerów zwany dość Wojsko, po prostu „Wrzuć na Ruszt”.

Pociągnąłem wiosłem, obracając rufę, i skierowałem nas ku brzegowi. Znaleźliśmy się koło szkieletu starej, drewnianej łodzi. Został z niej tylko kil i parę opornych wręg. Pomogłem podnieść się Abbie, poprowadziłem ją, wymijając zużyte opony i tysiące odłamków zielonego szkła. Na północy ludzie malują sprayem karoserie lub rewersy billboardów. My tutaj, na południu, malujemy tak wieże wodne lub mosty od spodu. Abbie szła między betonowymi słupami odczytując na głos: „Nie jem na czczo!” i „Donna lubi Roberta”. Wyciągnęła jakąś starą puszkę spomiędzy kamieni. Potrząsnęła i

przycisnęła kciuk do zaworu dyszy. Prychnęło, po czym rozpyliła się zieleń. Abbie podeszła do kawałka niezamalowanej konstrukcji, wyciągnęła w górę rękę i zaczęła pisać: „Abbie kocha Dossa”.

Upuszczony pojemnik padł u jej stóp.

— Wiesz co... jeśli nie możesz powiedzieć tego za pomocą farby, to znaczy, że nie możesz tego powiedzieć.

Stała obok mnie, opierając się na moim ramieniu.

— Pamiętasz Guadalquivir? — wyszeptała.

* * *

Hiszpańska rzeka Guadalquivir jest słynna z kilku powodów. Żeglował nią Kolumb, a także Cortez, a w 1992 na jej brzegu zorganizowano Wystawę Światową. Ogromne budynki — kiedyś wypełnione zgiełkiem, który miał przyciągnąć turystów z całego świata — teraz stały puste, niszczały i pokrywały się pleśnią. Gdzieś tam całymi płatami obłaziły z farby. Ot, interesujący monument ludzkiej głupoty. Koryto rzeki zostało lata temu przesunięte — teraz płynie ona wokół Sewilli — ale to, co pozostało, nadal jest wykorzystywane i to intensywnie. Ponieważ ten swoiście martwy odcinek jest długi, prosty i nie ma tam prądów, korzystają z niego zespoły kajakarskie z całego świata i ćwiczą okrągły rok, przygotowując się do sezonu. Po jednej stronie biegnie ścieżka rowerowa, na długości trzech mil, szeroka tak, że zmieściłby się na niej samochód. Używają jej biegacze, rowerzyści, deskorolkarze, wędkarze i dzieciaki zażywające heroinę.

Abbie mnie tam zabrała. To była kolejna klasa mojej edukacji. Jedliśmy tapas, wypiliśmy butelkę jakiegoś stołowego wina z Torre del Oro i mieliśmy ochotę na przechadzkę. Robiło się ciemno, a miejsce nie wyglądało na najbezpieczniejsze. Złapałem ją za rękę.

— Co my tutaj robimy?

Ostatnie kilka tygodni spędziliśmy, włócząc się po muzeach. Czułem pewien przesyt. Betonowe ściany, oświetlone żółtymi lampami ulicznymi,

które rzucały dziwne cienie, odgradzały nas od rzeki. Niektóre fragmenty muru były wysokie na kilka pięter, a prawie każdy cal pokrywało graffiti. Miałem przed oczyma ogromne sceny, wysokie na trzydzieści do czterdziestu stóp i równie szerokie. Nagle Abbie zanurkowała pod wiaduktem, wskazując na jedno z *plócien*.

— Sztukę — wyszeptała — nie zawsze znajdziesz w muzeum.

Narkotyczna kultura wydawała się być napędzana przez gwałt i w sporej mierze — seks. Ludzie strzelali do siebie albo wbijali w siebie igły. Na tych obrazach były gniew i ból, co przypomniało mi o czymś, o czym z wolna już zapominałem: ucieczka jest jednym z cudów sztuki.

Abbie intuicyjnie wiedziała, czego i kiedy potrzebowałem. Przeszliśmy tą drogą w jedną i w drugą stronę.

Pomogłem jej utrzymać się na nogach, a potem usiąść na omszałym betonie. W powietrzu unosił się jeszcze zapach świeżej farby. Przeczytałem wiadomość, którą napisała zielną farbą.

— Tak, pamiętam.

Naprawdę miałem ochotę na talerz gorących warzyw serwowany we „Wrzuc na Ruszt”, ale roztropność nakazywała się pod mostem. Mając wiatr w plecy, przesuwaliśmy się wzdłuż długich, spłowiałych od słońca plaż, których brzegi porastały mimozy. Ich różowopurpurowe kwiaty przesycały aromatem powietrze. Nadto nierzadkie były derenie, zielone i bujne, oraz wypucowane przez wodę dęby wypuszczające swe korzenie, gdzie się tylko dało.

Przepłynęliśmy pod kolejną estakadą, która mocno śmierdziała kreozotem i olejem napędowym. Mijaliśmy miejsca, które same się ochrzcili jako: „Ścieżka Suma”, „Staw Wrzeszczącego Rozwidlenia” i „Plaża UGA”. Plaże w tym miejscu były większe, niekiedy długie na sto metrów, ze śladami kopyt jeleni i kawałkami drewna naniesionymi przez rzekę.

Po wschodniej stronie rozciągała się „Niezwykła farma Connera”, gdzie mieszczuchy mogły pobawić się w farmerów, pracując dla zabawy, hodując własne dynie, melony i kukurydzę. Przewrócona do wody tablica głosiła: „Kurzy nawóz”. Minęliśmy Harris Creek, Johnson Cemetery i Dunns Creek, a wreszcie Toledo, które znajdowało się mniej więcej w połowie drogi między St. George a Boulogne. Płynęliśmy właśnie obok charakterystycznej czerwonej gliny Tompkins Landing, z brzegiem zarzuconym torbami pełnymi śmieci, między którymi, niczym wyrzucony na plażę wieloryb, leżał mężczyzna w spodenkach kąpielowych. Biorąc pod uwagę ilość porzucanych wokół niego pustych butelek po jasnym piwie Budweiser oraz kolor jego skóry przypominający spieczonego raka, jak również intensywność chrapania, musiał już tam się jakiś czas wylegiwać. Rzeka w tym miejscu rozszerzała się do jakichś stu stóp. Po słonecznej stronie należącej do stanu Georgia zaczęły wynurzać się lilie wodne. Na miejscu biwakowym — po wyglądzie sądząc — przyszli raperzy stali oparci o zabłoconą czerwoną furgonetkę Toyoty, popalając cygara za dziesięć centów. Tatuże, kolczyki w wargach, grube złote łańcuchy, chromowane oprawki okularów przeciwsłonecznych i spodnie spuszczone do połowy pośladków wyglądały na ich zwyczajowy uniform. Nie zwrócili na nas uwagi, nawet się nie odezwali, więc nasunąłem kapelusz na oczy i wiosłowałem dalej przed siebie.

Przypuszczam, że to kolejne pokolenie ludzi rzeki, ale niewiele przypominające pierwsze.

Jastrząb o czerwonym ogonie sfrunął z drzewa po mojej prawej ręce, przemknął nad plażą i wzniósł się w górę z niczego niespodziewającą się wiewiórką. Trzymał ją w dziobie. Podczas gdy wiewiórka wydzieriała się z całych sił, jastrząb ciągle się unosił, nie przejmując się wcale walczącym, grubym, włochatym gryzoniem, po czym usiadł na gałęzi drzewa i zanurzył dziób w piersi zwierzątka, które w tym samym momencie przestało krzyczeć.

Traders Hill było niegdyś dobrze prosperującym portem rzeczny. Brytyjscy i portugalscy żeglarze przyplýwali aż tutaj, by napełnić beczki

świeżą wodą i odpocząć na nieco chłodniejszych wodach. Później w tym miejscu odbywał się handel spławianym drewnem. Nawet zawarto tutaj kiedyś pewien traktat. Stany Zjednoczone i Hiszpania podpisały umowę z San Lorenzo, w której deklarowały, że granica między Georgią a Florydą będzie przebiegać tam, gdzie rzeka St. Mary wypływa z terenów Okefenokee. Dzisiaj w Traders Hill znajduje się bardzo popularna przystań dla łodzi, ponieważ jest to tak naprawdę pierwsze miejsce na rzece, gdzie można bez przeszkód nawigować. Przyjeżdżają więc wędkarze i miłośnicy sportów wodnych. To tutaj miłośnicy wakeboardingu i nart wodnych pojawiają się na rzece dość tłumnie. Na plaży są publiczny telefon i toaleta, media, do których można się podłączyć, kilka potężnych pojemników na śmieci zamieszkałych przez robaki, muchy, scynki o błękitnych ogonach i grube jaszczurki. Tutaj też rzeka wcina się głębiej w ziemię, ryby są większe i aligatory również. Nie które dorastają nawet do dwunastu stóp. Raporty podają, że są tu także jesiotry. Te osiągają czasami osiem stóp długości i dwieście *funtów żywej wagi*. Pojawiają się rzadko, ale w zeszłym roku zaobserwowano je dwukrotnie, jakieś dzieciaki na nartach wodnych przez jesiotra, który chciał się pobawić z kimś swojej wielkości, wpadły do wody i — co bynajmniej nie było zabawne — straciły przytomność. W obu przypadkach wszystko skończyło się dobrze, lecz kiedy narciarze się ocknęli, mieli naprawdę niezłą historię do opowiedzenia. Traders Hill, co godne uwagi, jest też pierwszym miejscem, gdzie można zauważyć działanie pływów. To zaś oznaczało, że jeśli się dostosuję, możemy się załapać na odpływ, dzięki czemu zaoszczędzę trochę energii. Z kolei, jeśli się nie dostosuję, będzie mnie to słono kosztować, bo będę musiał wiosłować, walcząc z przyływem. No i ostatnia, chyba najważniejsza sprawa, od tego miejsca rzeka staje się terenem rekreacyjnym.

Jeśli nie czułem się komfortowo pomiędzy Spread Oak a St. George, to teraz dopiero znaleźliśmy się pod prawdziwym obstrzałem. Coraz bardziej byłem przekonany, że drzewa mają oczy.

Austostrada nr 1 przecina St. Mary w miejscu, gdzie znajduje się małe graniczne miasteczko Boulogne. Paliwo, przynęta, bilety na loterię i piwo to najczęściej kupowane tu towary. Dotarliśmy do mostu, kiedy zapadała noc.

Setki jaskółek rozpoczęły powietrzne batalie. Miejsca było dość, bo most osadzony jest na potężnych betonowych filarach, każdy wysokości sporego domu. Z centralnego wspornika zwisała drewniana drabina. Przywiązałem kanu i wdrapaliśmy się po niej na platformę położoną jakieś dziesięć stóp nad powierzchnią wody. Co kilka minut ciężarówka albo samochód przejeżdżały po metalowej konstrukcji, wywołując echo dobiegające od wody. W tym miejscu było sucho i bezpiecznie, więc wniosłem puchowy śpiwór Abbie i jej poduszkę z ręcznika. Owinąłem ją i westchnąłem głęboko. Wczorajszy odpoczynek na plaży spowodował, że mieliśmy pewien zapas energii.

Nie spała. Leżała nasłuchując. Ja zaś przyglądałem się czarnym chmurom wiszącym na horyzoncie.

— Myślę, że idzie na deszcz.

— Idzie na deszcz?

Przytaknąłem. Podciągnęła kolana i oparła twarz na dłoniach.

— Gdzie nauczyłeś się tak mówić?

Pokazałem w górę rzeki.

— Jakies pięćdziesiąt mil w tamtą stronę.

Jedna jej brew powędrowała w górę.

— No cóż, możesz zabrać chłopca z jego okolic, ale nie da się zabrać z niego jego krainy.

Pod mostem jakiś miejscowy artysta napisał: „Żałuj za grzechy — Jezus nadchodzi” oraz: „Chcesz się zabawić, zadzwoń do Rhondy”, a poniżej umieścił numer telefonu wraz z kierunkowym. Z brzegu na most wspinały się pędy wi—sterii, a tam spotykały się z jaśminem, który rósł po drugiej stronie. Jedna i druga roślina kwitła. Ich zapach przenikał powietrze. Kilkanaście pszczoł latało od kwiatka do kwiatka spijając nektar, towarzyszyło im pięć kolibrów.

Dla nas, ta „jedyńka" miała znaczenie. Wyciągnąłem się obok Abbie i objąłem ją.

— Wiesz co?

— Co?

— Jesteśmy w połowie drogi.

Wiesz co?

ROZDZIAŁ 25

Minęło sześć lat. Abbie wybierała tylko takie prace projektowe, które chciała podpisywać własnym nazwiskiem. Ja ją wspierałem, pomagając podołać wariackim niekiedy terminom, a w chwilach wolnych poprawiałem swoje obrazy. Jakoś w tym czasie kupiłem łódź, małego Hewesa, i nauczyłem Abbie zakładać przynętę na haczyk.

Choć Abbie usiłowała zapomnieć o swojej karierze modelki, ludzie, dla których wcześniej pracowała, nie zamierzali jej w tym pomóc. W odróżnieniu od wielu nastolatek, które biegały kiedyś po wybiegach, Abbie pięknie dojrzewała i Nowy Jork nie przestawał dzwonić. Od czasu do czasu brała więc robotę, jeśli to oznaczało dla nas krótki urlop.

W związku z sukcesem, jaki odniosła na dwóch polach, nie mogliśmy pokazywać się publicznie — przynajmniej w Charlestonie — bo czuliśmy się niczym na wystawie. Stąd łódź, *The Empty Canvas*, stała się dla nas ucieczką. Płynęliśmy naszym *Czystym płótnem* na mokradła lub na plażę na wyspie Deweese i znikaliśmy. Często się zdarzało, że spaliśmy pod gwiazdami. Pamiętam, że wyposażyłem wtedy Abbie w jej własny sprzęt rybacki. W kapeluszu z szerokim rondem, w kamizelce, zarzucała wędkę niczym Brad Pitt w „Rzece wspomnień”. Gdy trwał przyptyw, mogła spędzić całe popołudnie na przyglądaniu się wpływającym rybom. Brałem wówczas do rąk pagaj i podprowadzałem nas jak najbliżej miejsca, gdzie rybie płetwy przecinały powierzchnię wody, a ona zarzucała wędkę tuż nad nimi. Po czym zwijała żyłkę i powoli wyciągała ją z wody. Uwielbiałem, jak jej haczyk zaczepiał się i przynęta uwalniała. Bo potem rozlegał się głośny okrzyk Abbie, kiedy ryba umykała na głębiny. Dla Abbie *moczenie kija* oznaczało bowiem stanie po kolana w wodzie i przyglądanie się rybom.

Wydawało się, że minęła ledwie chwila, a już obchodziliśmy dziesiątą rocznicę naszego ślubu. Abbie miała już pozycję najlepszej projektantki w Charlestonie, co oznaczało całą Południową Karolinę. Ja zaś porzuciłem pracę przewodnika po rzece i cały czas malowałem. Ona wieszała moje prace w swoim studiu, a raz na miesiąc, kiedy jej ciało mówiło, że przyszedł czas, uciekaliśmy z miasta i staraliśmy się powiększyć rodzinę.

Życie było piękne.

A potem poleciliśmy do Nowego Jorku na sesję zdjęciową. Nic nadzwyczajnego. Jakaś firma kosmetyczna chciała zapłacić za jej twarz i ramiona. Chodziliśmy wtedy po sklepach i oglądaliśmy niedźwiedzie polarne.

Była wiosna, Central Park pełen kolorów i pyłków kwiatowych. Kaczki, ptaki, rowerzyści, wrotkarze, uprawiający jogging i kochankowie byli wszędzie. Udało nam się urwać na kilka godzin między sesjami zdjęciowymi, więc poszliśmy na zakupy gdzieś na Piątej Alei. Do jednego z tych ekskluzywnych sklepów, które Abbie uwielbiała, a z których ja chciałem jak najszybciej uciec. Oparła się o ladę, psiknęła perfumami na mały kartonik, pomachała dłonią, żeby wy— sechł, i podsunęła mi pod nos. Nos nigdy nie był moim szczególnie sprawnym organem, dlatego czuła się szczęśliwa, kiedy znalazła coś, co nie tylko czułem, ale w dodatku mi podobało. Zapłaciłem ekspedientowi, a potem poszliśmy do parku. Kupiliśmy lody i resztę popołudnia spędziliśmy, przyglądając się przez szklaną szybę o grubości czterech cali pływającym niedźwiedziom polarnym. Od czasu do czasu ktoś podchodził i prosił ją o autograf. Kiedy już została rozpoznana, zaczął się koło nas zbierać dość spory tłumek, więc porzuciliśmy misie i łaziliśmy to tu, to tam, mijając słynną rzeźbę psa Balto i fontannę, w której pływał Stuart Malutki.

Jeszcze tego samego wieczoru znaleźliśmy *to*.

Abbie skończyła zdjęcia i spotkaliśmy się u Ritza. Mieliśmy apartament z widokiem na park. Wróciłem z przebieżki i szykowaliśmy się na wieczór. Kolacja w The Spice Market, a o ósmej *Nędznicy*. Ściągnąłem sportowe buty i

poszedłem do łazienki. Abbie leżała w wannie. Podniosła włosy z ramion i podała mi mydło:

— Umyjesz mi plecy?

Po dziesięciu latach małżeństwa nie potrzebowałem tłumacza. Jej słowa znaczyły: umyj mi plecy, wymasuj ramiona, weź ten mały pumeks i zetrzyj szorstkie miejsca na stopach, a potem zostaw mnie samą, ale dopiero wtedy, gdy jeszcze raz napełnisz mi wannę gorącą wodą. A jeśli będziesz grzeczny — dodawała jakby od niechcienia — pozwolę ci ogolić mi nogi.

Generalnie Abbie nie była samolubna — poza czasem spędzonym w łazience. Wtedy wanna należała tylko do niej. Równie dobrze mogłaby wywiesić na drzwiach napis: **ZABRANIA SIĘ WCHODZIĆ, TEREN PRYWATNY**. Nieważne jak uwodzicielski obrazek stanowiła pachnąca, z upiętymi włosami, w wodzie pełnej piany. Usiadłem na skraju wanny i wziąłem się za mycie jej pleców. Problem Abbie polega jednak na tym, że ma naturę psa. Kiedy nie chce, żebyś przestawał, zawsze znajdzie miejsce, gdzie można by ją jeszcze podrapać.

Myślę, że rozumiecie.

Jakiś czas później siedzieliśmy w wannie oboje, zapomniawszy zupełnie o zarezerwowanym miejscu w restauracji. Było już też zbyt późno, by iść na przedstawienie. Dolałem zatem gorącej wody, a Abbie leżała oparta o mnie plecami.

Objąłem ją rękami w pasie, ciesząc się chwilą. Wzięła mój palec i położyła go na swojej skroni. To był sygnał, że chce, bym jej dotykał. Więc tak zrobiłem.

I wtedy go poczułem.

Tuż pod sutkiem na lewej piersi. Udawałem, że nic nie zauważam, ale później, już po wszystkim, natrafiłem na niego znowu. Zdradziła mnie moja twarz. Jakoś to dojrzała. Wsunęła swoją dłoń pod moją i nagle zrobiła się całkiem blada, a na jej twarzy pojawił się strach. Niemniej z jakiegoś powodu,

mimo horroru następnych miesięcy, kiedy wracam myślami do tamtej chwili, czuję zapach jej perfum.

* * *

Następnego dnia poleciliśmy do domu, a kolejnego wcześniej rano mieliśmy już umówioną mammografię. Zrobili zdjęcie i kazali jej poczekać w sąsiednim pomieszczeniu. Abbie usiadła obok mnie, skrzyżowała nogi. Milczała.

Dwadzieścia minut później wyszło do nas trzech lekarzy. To świadczyło o pozycji Abbie. Najstarszy z nich, doktor Ruddy Hampton, wyglądał tak, jak sobie wyobrażamy doświadczonego lekarza. Siwe włosy, spokojny głos. Pozostałych dwoje, Roy Smith i Katherine Meyer, było młodszych i w awangardzie, jeśli chodzi o wiedzę i technologię.

Powiesili na ścianie zdjęcia Abbie, a obok zestaw zdjęć piersi zdrowych. Nie musieliśmy wysłuchiwać diagnozy. Pierwszy odezwał się doktor Hampton.

— Abbie... — pokazał na klisze ołówkiem. — Te zdjęcia potwierdzają inwazyjny typ raka. — Miejsce, które wskazywał, Wyglądało jak miniaturowa Droga Mleczna. Kreślił przy tym na kliszy niewidoczne linie. — To, co widać tutaj, nazywamy uszkodzeniem peryferyjnym. To zaś oznacza, że twój rak zaatakował przewody mleczne. — Podczas gdy mówił, ja zmagalem się z terminem *twój rak*.

Kiedy tłumaczył to, co widzieliśmy na kliszy, uświadomiłem sobie, że guzek, który wyczułem, jest jednym z wielu i, co gorsza, były one na obu piersiach. Jeśli wątpicie, że rak jest złośliwy, to czemu zaczyna od kanalików mlecznych? Odpowiedzcie mi na to pytanie. Abbie przyglądała się zdjęciom, obracając głowę na wszystkie strony.

— To wygląda, jakby ktoś trafił w moje piersi białą farbą, grając w paintballa.

W tym miejscu odezwał się doktor Smith:

— W onkologii stosuje się trzy metody, by zwalczyć raka: chirurgię, chemioterapię i radiologię.

— Czemu nie mówi się — przerwała mu Abbie — cięcie, truciznę i wypalenie?

— Zgoda — przytaknął. — Ale dla was jest ważne — spojrzał na Abbie — że w twojej szczególnej sytuacji możemy zastosować chemioterapię i chirurgię.

Wtedy właśnie dotarło do mnie, że zamierzają kroić moją żonę.

— Jak to?

— W przypadku Abbie konieczna jest podwójna mastektomia, by mieć gwarancję największych szans — wtrąciła się doktor Meyer.

— Największych szans w czym?

— W zwalczeniu choroby.

Jakoś w tym momencie uderzyło mnie, że tych troje tworzy tamę między życiem a śmiercią. Doktor Hampton, który dotychczas milczał, w związku z niezręczną ciszą, jaka nastąpiła, w końcu się odezwał:

— To jest zaawansowana forma raka.

Słowo „zaawansowana” zawisło w powietrzu.

— Przed operacją chcielibyśmy zastosować silną i agresywną dawkę chemii — mówił dalej doktor Smith — aby zmniejszyć nowotwór przed wycięciem, po którym zastosujemy kolejną dawkę chemii, na wszelki wypadek.

— Czy w ten sposób pozbędziemy się raka?

Wszyscy jednocześnie skinęli głowami.

— Współczynnik wyleczeń wynosi dziewięćdziesiąt siedem procent.

Patrzyliśmy na stojącą przed nami trójkę lekarzy.

— A co z pozostałymi trzema procentami? — dopytywałem się.

— Ten rak został wykryty na czas — uspakajali mnie. — Na wszelki wypadek sprawdzimy też węzły chłonne, ale proszę spać spokojnie.

Spać spokojnie? — gorączkowałem się. — Kiedy boję się, że mogę stracić żonę?

Opowiedzieli nam jeszcze, jak można zrekonstruować pierś, i wyszli, zostawiając nas samych.

— Kochanie. Tak mi przykro. Może powinniśmy wysłuchać jeszcze innych lekarzy. Oni przecież nie są alfą i omegą.

Przytaknęła, ale nie oznaczało to, że zgadza się z moimi słowami. Wtedy jeszcze raz porównałem te dwa zestawy zdjęć.

Nie mieliśmy wyboru.

Przytuliła czoło do mojego czoła.

— Jak dobrze, że jesteś ze mną.

— Chciałbym mieć czarodziejską różdżkę.

— Ja też — odparła cicho.

ROZDZIAŁ 26

5 CZERWCA, PORANEK

O świcie przepływaliśmy koło Scotts Landing, jakąś milę na północ od Boulogne. Po stronie Florydy jest tam molo, z którego korzystają głównie rybacy. Blisko brzegu znajduje się również pole kempingowe, lina do huśtania się i sklep z różnościami, w którym sprzedają świerszcze, płotki, robaki i sztuczną przynętę, ale absolutnie żadnego piwa. Nad rampą widnieje zaś napis: **OSTRZEŻENIE: ZALECA SIĘ NIE PŁYWAĆ PO DESZCZACH W ZWIĄZKU Z WYSTĘPOWANIEM NAGŁYCH I NIEBEZPIECZNYCH WIRÓW, MIMO IŻ POWIERZCHNIA WYGLĄDA SPOKOJNIE. PAMIĘCI SAMA COVINGTONA (12/01/89— 30/04/04).**

Wiry występują, kiedy zbyt wiele wody miesza się pomiędzy dwoma brzegami. Wzrastająca jej ilość, płynąc, zmienia kierunek. Kiedy koryto jest pełne i woda zaczyna występować z brzegów, zasysa to, co jest na powierzchni, obraca przy dnie, a potem wypycha na powierzchnię kilka stóp dalej.

Parking w Scotts był pełen kręcących się ludzi. Porównywali przynęty i opowiadali sobie wzajemnie historie o „taaakiej rybie”, którą udało im się złowić. Jednak my potrzebowaliśmy tylko wody i trochę jedzenia. Przywiązałem kanu i kazałem Abbie spokojnie poczekać.

Niedaleko ktoś smażył kielbaski i jajka. Wszedłem do sklepu, gdzie natychmiast zostałem serdecznie powitany przez czterech facetów za kontuarem. Pomachałem im dłonią na powitanie i usiłowałem skryć się między regałami zjedzeniem. Półka ponad kasą udekorowana była lokalnymi trofeami. Wyróżniały się: największa ryba, pierwszy jelen, największy bóbr

i... narzeczona właściciela. Ot, rodzaj ściany chwały. Pakowałem właśnie słone krakersy, słoik z masłem orzechowym i kilka butelek red bulla, kiedy facet za kontuarem sięgnął po pilota i pstryknął w stronę telewizora.

— No już... zamknij się. — Nacisnął kilkakrotnie kontrolkę głośności. — Wreszcie.

Na błękitnej planszy kanału pogodowego pojawił się napis: **RAPORT SPECJALNY — HURAGAN ANNA. ZBILIŻA SIĘ.**

Dziennikarz ubrany w żółty sztormiak stał w strugach deszczu.

— Pięć dni temu — mówił — Anna wzmocniła się, osiągając najniższy od czasu Camilli z 1969 roku poziom ciśnienia właściwy dla huraganu atlantyckiego. 26 maja osiągnęła zaś rekordową prędkość wiatru 155 węzłów, czyli 180 mil na godzinę, stając się huraganem klasy 5. Innymi słowy, wiatrem wiejącym w porywach z prędkością ponad 200 mil na godzinę. Dzień później, 27 maja, kiedy Anna przesunęła się na zachód, a potem północny zachód, gubernator Florydy zarządził ewakuację archipelagu Florida Keys, Miami, a szczególnie wszystkich miejscowości położonych na południe od Disney World. — Prezenter uśmiechnął się i wzruszył ramionami. — Sądząc z tego, co pokazują nasi reporterzy, oraz ze zdjęć satelitarnych, mieszkańców nie trzeba specjalnie przekonywać do ewakuacji. — Pokazał mapę stanu. — Trzy główne drogi, którymi wyjeżdża się z Florydy: 1— 95, 1— 75 i 1— 10, wyglądają obecnie jak parkingi, w związku z czym gubernator podjął decyzję o zamknięciu przejazdu w kierunku południowym, tak żeby samochody mogły wszystkimi pasmami Przemieszczać się na północ.

Kobieta ze studia w Wirginii zadała mu kilka pytań, reporter pokiwał głową i wyjaśnił:

— Anna nabiera energii i masy niczym tasmański diabeł. W związku z parowaniem powierzchni oceanu huragan na tym etapie zasysa dziennie dwa miliardy ton wody. Z każdą sekundą zostają wprowadzone w ruch dwa miliony metrów sześciennych powietrza. W ten sposób jednego dnia wyzwalana jest energia równa wybuchowi czterystu dwudziestomegatonowych bomb wodorowych. Gdyby naukowcy potrafili przekształcić całą tę energię tak, by popłynęła trakcjami wysokiego napięcia, starczyłaby całym Stanom Zjednoczonym na pół roku. — Zadowolony ze swego naukowego wykładu zamilkł, czekając na kolejne pytanie. Po chwili mówił jednak dalej: — Większość miasteczek południowej Florydy jest jak wymarła i tak pozostanie do czasu, aż mieszkańcy wrócą do swoich domów. Problem w tym, że Anna jeszcze z nami nie skończyła. Od południa 27 do poranka 29 maja będzie szaleć nad Florydą, znęcać się nad jej zachodnim wybrzeżem. Wtedy żaden ruch na autostradzie nie będzie możliwy. Czekają nas gwałtowne powodzie. I jeszcze...

Mężczyzna za kontuarem zmienił kanał, przywołując ruchem ręki swoich kolegów.

— Posłuchajcie. Tutaj jest. Daję cztery do jednego, że gnojek ją zabił, pozbył się ciała, a teraz siedzi sobie na plaży gdzieś w Ameryce Południowej i przelicza forszę.

Podniosłem wzrok, chociaż coś mi mówiło, że tak naprawdę nie chcę tego oglądać.

Skończyły się reklamy i prezenterka o platynowych włosach wróciła przed kamerę.

— Wiadomości z kraju. Zaginęła Abbie Eliot, była modelka i projektantka zamieszkała w Charlestonie. — Na ekranie pojawiło się zdjęcie Abbie, po którym nastąpiły następni podsumowujące jej karierę. — Jej mąż, lokalny portrecista Charlestonu, Doss Michaels, jest poszukiwany jako podejrzany.

— Na ekranie wizerunek Abbie przesunął się w lewo ustępując miejsca mojej twarzy. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęli takie zdjęcie, ale wyglądało jak z kartoteki policyjnej. — Abbie Eliot, niegdyś okrzyknięta jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie, po przejściu cztery lata temu podwójnej mastektomii stała się nieoficjalną rzeczniczką kobiet walczących z rakiem piersi, pozwalając śledzić swoją radio— i chemioterapię. Jednak dwa lata temu nastąpił nawrót choroby. Tym razem zaatakowała ona jej mózg. Zapraszamy teraz państwa na konferencję prasową zorganizowaną przez jej ojca, byłego gubernatora Południowej Karoliny, a obecnie czwartą kadencję zasiadającego w Senacie Stanów Zjednoczonych. Senator Coleman.

Na ekranie pojawił się dom Colemana na Battery. Senator, ubrany w dżinsy i białą płócienną koszulę, otworzył drzwi i wyszedł na ganek. Oparty o balustradę mówił wprost do kamer ustawionych poniżej.

— Dzień dobry. I dziękuję państwu, że zechcieliście tu przybyć. — Przejechał wzrokiem po twarzach reporterów. — Dwa lata temu okazało się, że nastąpił nawrót raka, który zaatakował Abigail Grace.

Nigdy nie czuł się dobrze, gdy Abbie publicznie mówiła o swym raku piersi i o ich usunięciu. Odwrócił się, wskazując na własną głowę.

— Powędrował w górę i zapaścił korzenie gdzieś tutaj. Nazywa się to przerzutem w obszarze centralnego systemu nerwowego. Uszkodzenia pojawiły się w części tylnej i w podstawie mózgu, w miejscach, których ze względu na położenie nie można leczyć chirurgicznie. Abigail Grace jest Wojowniczką, więc, jak zawsze w swoim życiu, podjęła walkę. — Wytarł twarz chusteczką. — Jak wielu z was wie, byłem dawcą przy drugiej operacji przeszczepu szpiku. Ale organizm... odrzucił go. Myślę o tym każdego dnia. — Rozłożył przed sobą papiery, które trzymał w ręce. — Gdy dwa tygodnie temu wyczerpaliśmy wszystkie możliwości, przywieźliśmy ją do domu, do rodziny i skontaktowaliśmy się z hospicjum. — Wziął głęboki wdech, patrząc w kamery. Kochający ojciec, zalecający się do publiczności i już przeliczający głosy. Przywołał stojącą za nim żonę, macochę Abbie, która podeszła bliżej i objęła go ramieniem. — Wiemy, że Abigail Grace chciałaby teraz być ze

swoją rodziną. — Jego wyćwiczony głos i rytm słów były prawie doskonałe. — Powinna być pod stałą opieką lekarzy. Nie wiemy, jakie zamiary ma Doss... — Moje zdjęcie znowu pojawiło się na ekranie, tym razem tylko w prawym górnym rogu. — Jest naszym zięciem od prawie czternastu lat, ale z pewnością to, co teraz robi, nie jest w jej interesie. Nie, skoro zabrał ją spod opieki rodziny i lekarzy, kiedy zostało jej tylko kilka dni życia.

Senator Coleman patrzył wprost w kamerę, przywołując prawą ręką kogoś do siebie. Obok pojawił się niewysoki mężczyzna w kitlu lekarskim. Miał poważną twarz. Senator przyciągnął go bliżej do siebie ramieniem i odchrząknął.

— To jest doktor Wayne Massey.

Rozpoznałem go dopiero po dobrej chwili. Telewizja potrafi dziwacznie zmieniać ludzi. Senator miał rację. Wayne Massey był dobrym lekarzem. Miał więcej dyplomów niż mógł pomieścić na ścianie swego gabinetu. Specjalizował się w badaniu bariery krew— mózg i zgłosił się do Abbie, mając nadzieję, że będzie mógł na niej przeprowadzić badania. Senator pochylił się do przodu.

— Doktor Massey jest jednym z czołowych naukowców w naszym kraju zajmujących się takimi przypadkami jak przypadek Abigail. — Zauważyłem, jak jej ojciec starannie dobiera słowa.

Zadzwoniliśmy do doktora Massey'a w ostatnim miesiącu. Nie odrzucaliśmy żadnej szansy. Wysłuchał nas, zadał wiele pytań, po czym zarekomendował leczenie, które w najlepszym przypadku mogło przedłużyć to, co nieuchronnie nadchodziło, ledwie o kilka tygodni. I to bez żadnej gwarancji. To były jego słowa, nie moje. Wtedy Abbie podjęła decyzję, by nie poddawać się już temu leczeniu. Ostatnia rozmowa telefoniczna z nim zakończyła się słowami: „Środowisko medyczne — usłyszeliśmy wówczas — które reprezentuję, niestety nie jest w stanie jej pomóc. Przykro mi”.

W jakim momencie — zastanawiałem się — zaprzestaje się walki? W jakim momencie chęć przeżycia ostatnich dni w jakimś komforcie przeważa nad możliwością kilku dodatkowych, choć wypełnionych bólem, tygodni? Nie muszę odpowiadać na to pytanie, ale potrafię je zrozumieć.

Senator wiedział, że znamy doktora Massey'a. A my wiedzieliśmy, że on wie, ponieważ to jego biuro organizowało nam spotkanie. Wiedział też, że doktor Massey nie ma nam nic do zaproponowania. Stając przed kamerami doktor Massey był czymś więcej niż wsparciem. Był działaniem medialnym. Ale publiczność tego nie wiedziała. I o to chodziło.

Kiedy senator zaczął znowu przemawiać, na jego twarzy malował się prawdziwy ból.

— Doktor Massey chciałby dać Abigail jeszcze jedną szansę, rozważyć nową możliwość leczenia. Może... — rozłożył dłonie jakby dwie szale wagi. — Po prostu... nie możemy być pewni, czy w nadchodzących dniach nie powstanie coś, co może ją uratować. — Poklepał doktora Massey'a po ramieniu. — Nie zakończyliśmy jeszcze naszej walki.

Był padalcem. W kilka sekund spowodował, że zawisło nigdy nie wypowiedziane pytanie, czy ja, zazdrosny zięć, który korzystał z małżeństwa ze słynną modelką, nie trzymam gdzieś Abbie, uniemożliwiając jej leczenie i wyzdrowienie?

Czy porwanie jej — bo przecież w jego mniemaniu było to porwanie — nie powinno być traktowane jak morderstwo? Mówiąc to, niby nie kłamał,

tylko naginał fakty, a o to już nie dbał. Wiedział, że najlepszym sposobem, by uzyskać odzew, jest rzucić pytanie i zasugerować odpowiedź. Ponieważ gdy osądzają cię zwykli ludzie, to, co im się pokaże, postrzegają jako rzeczywistość. Czułem, jak na mojej szyi zaciska się stryczek.

Senator próbował wziąć się w garść.

— Doss... proszę... przywieź moją... — objął ręką żonę — naszą córkę, póki jeszcze nie jest za późno.

Kamery powróciły do dziennikarki, która oglądając konferencję senatora, stuknęła nerwowo długopisem o blat biurka. Teraz odwróciła się do współprowadzącego program mężczyzny i powiedziała:

— Kiedy walczyłam z rakiem piersi, Abbie Eliot była dla mnie prawdziwym wsparciem. Nawet... — oczy kobiety zwilgotniały — ...napisała do mnie, kiedy straciłam włosy.

Sprzedawca za kontuarem wcisnął przycisk, wyciszając głos.

— Mam nadzieję, że złapią tego sk... — w maszynie do lodu spadła tacka z gotowymi kostkami, więc podszedł do niej. Może to dziwne, ale ja go rozumiałem. Proces przed ławą przysięgłych nie będzie dlatego trwał długo. Odłożyłem zakupy i wymknąłem się bocznymi drzwiami. Kiedy doszedłem do rampy, odwiązałem kanu i odepchnąłem je z niezwykłą siłą. Abbie usiadła.

— Dobrze się czujesz?

Zanurzyłem kapelusz w wodzie, po czym wsadziłem go na głowę, mając nadzieję, że trochę mnie ostudzi. Przytaknąłem.

— Co się stało? — nie ustępowała.

— Twój tatuś.

— Co takiego robi?

— To, w czym jest dobry.

— Konferencja prasowa?

Przytaknąłem. Zagryzła wargi.

— Aż tak źle?

— Płócienna koszula. Przed domem. Z Katherine u boku.

— Chyba żartujesz — nie mogła uwierzyć.

— Nie.

— Wiesz co, on cię naprawdę nie lubi.

— Coś takiego.

Uczciwie mówiąc, ja bym zrobił to samo, gdyby jakiś facet, którego nie lubię, zabrał na rzekę moją córkę, kiedy ta powinna być ze mną. Jedyna różnica polegała na tym, że ja wiedziałem, co jest najlepsze dla Abbie. A on nie. Choć gdzieś w głębi serca akurat to wiedział. Ale oczywiście nigdy się do tego nie przyzna.

Problem ze ścigającym nas senatorem polegał na tym, że chciał wymusić na nas swoją wolę. Wsadziłby Abbie do jakiegoś sterylnego łóżka otoczonego ludźmi, których nie znała, w miejscu, które nie było jej miejscem. Od ponad ćwierć— wieku liczył na głosy ludzi, którzy powtarzali mu, że wie wszystko najlepiej. Po tylu latach w polityce uwierzył więc, że jeśli wie najlepiej, czego potrzebują jego wyborcy, równie dobrze może decydować za wszystkich innych. W tym za członków swojej rodziny. Żadna siła na ziemi nie przekona go, że może być inaczej. Nie wątpiłem w jego dobre intencje. Senator nie był złym człowiekiem. Prawdę mówiąc, było odwrotnie. I choć był jednocześnie arogantem, wiem, że kochał swoją córkę. Ale kochać, a wiedzieć, co jest dla niej najlepsze, to dwie zupełnie różne sprawy.

— Kochanie, myślę, że on po prostu pragnie cię chronić.

— Przed czym?

— Przede mną. — To była łatwa odpowiedź.

Po długiej prostej rzeka zaczęła znowu się zmieniać. Subtelnie. Wystarczyło zamknąć oczy, a nic by się nie zauważyło. Długie, piaszczyste, białe plaże stały się jednak rzadsze i krótsze, częstsze za to były ciemne błota i

od czasu do czasu krabowiska. Brzeg porastały palmy karłowate zmieszane z osikami zwieszającymi swe liście do wody, chroniły tym brzeg, utrudniając do niego dostęp i zmuszając do starannego wyboru drogi. W tym miejscu nad rzeką przebiegała linia wysokiego napięcia. Pole magnetyczne było tak silne, że resetowało zegarki i powodowało, że stawały dęba wszystkie włosy na głowie.

Ralph Simmons Memorial State Forest zaczyna się jakieś pół mili na południe od Scots Landing i ciągnie siedem mil wzdłuż rzeki. Las ten liczy sobie ponad siedem tysięcy akrów, które porastają wawrzynowce, orzechy hikorowe, tulipanowce oraz kilka rzadkich i zagrożonych gatunków roślin, Pomiedzy sosnami długoigłymi a wiecznie zielonymi dębami płożą się borówki amerykańskie, jeżyny, paprocie i orchidee. Cały brzeg porastają zaś kolonie dzbaneczników. Fauna i flora reprezentowane tu są zatem w obfitości. Można znaleźć wszystko, od wydr po żółwie norowe, jelenie, rysie, dzikie indyki oraz popularne gatunki węży. Nie wspominając już o mokasynach błotnistych i grzechotnikach teksańskich. Miejscowi zarzekają się, że widzieli nawet niedźwiedzia brunatnego i uważany za wymarły miejscowy gatunek pantery. W głębi lasu gleba jest piaszczysta, o zapachu terpentyny, z kawałkami ciemnej, żyznej ziemi, na której rosną gardenie i dzikie róże.

Dla nas las Ralph Simmons oznaczał odpoczynek, ponieważ rzadko się tu na kogoś trafiało. Pozwoliliśmy zatem nieść się prądowi.

Camp Pinckney to przystań dla łodzi po stronie Georgii w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc. Zazwyczaj przyjeżdżają tu samochodami terenowymi dzieciaki, żeby wypróbować możliwości swoich wozów, a wieczorami popalić trawkę. Pływy są tu silniejsze. Wiosłując w dół rzeki, z prądem, osiągnęliśmy bez problemu cztery mile na godzinę. Nieraz nawet pięć, ale musiałem się wtedy przyłożyć. Płynąc przeciwko prądowi, dałoby się pokonać nie więcej niż jakieś półtorej, i to przy dużej dozie szczęścia. Dwie to już byłby cud. Jeśli doda się do tego równania przeciwny wiatr, byłibyśmy załatwieni.

Abbie spała, a ja wiosłowałem, utrzymując kanu tam, gdzie prąd był najsilniejszy. Im mniej traciłem czasu na sterowanie, tym więcej miałem sił na wiosłowanie. Minęliśmy biwak Cooneys, potem Elbow i wysepkę Horseshoe. I tak dotarliśmy do ostatniego zakola w kierunku północnym ku Prospect Landing.

Przesunąłem kapelusz do tyłu i podrapałem się w głowę, spoglądając, jak woda prześlizguje się pod nami.

Jeśli spędziliście dość czasu na rzece, poznacie różnicę między tym, kiedy nurt ciągnie was ze sobą, a tym, kiedy was pcha. Zwykle jeśli wychodzicie z zakrętu i zaczyna obracać rufą lub rzucać nią na prawo i lewo — jesteście pchani. Ale jeśli wychodzicie z tego samego zakrętu, a wasza stępka tnie wodę, jakby jechała po szynie, jesteście ciągnięci. Różnica jest kluczowa: z pchaniem można walczyć, ciągnięciu trzeba się poddać.

Rzeka jest miejscem magicznym. Spędziłem na niej wiele czasu i nadal nie do końca to rozumiem. Nieważne, jak bardzo się spieszysz i jak mocno wiosłujesz, tempo i tak dyktuje rzeka. Po prostu. Nie liczy się cel podróży tylko sama podróż. Dlatego rzeki się wiją. Wskażcie mi jedną prostą rzekę, a okaże się, że to robota człowieka. Ludzie robią dużo hałasu, szcycąc się, że ich zegarki ustawiają się automatycznie zgodnie z czasem Colorado, Greenwich czy innego takiego miejsca, ale gdyby byli naprawdę mądrzy, ustawiliby zegarki zgodnie z czasem na rzece. Mniej byśmy się marszczyli i wolniej byśmy się starzeli.

Abbie to wiedziała. Być może to była ta jedyna rzecz której ją nauczyłem. Spojrzała na swoją listę i wybrała rzekę, nie dlatego, że było to dla niej najukochańsze miejsce na świecie, ale dlatego, że była jedynym miejscem na świecie, gdzie czas zwalniał. Gdzie liczyła się każda sekunda. Gdzie, o ile zwracało się na to uwagę, słońce zatrzymywało się na tak długo, by można było złapać oddech.

Kiedy zbliżała się pora lunchu, wyjąłem wiosło z wody, położyłem koło Abbie i siedziałem, licząc chmury przepływające nam nad głowami.

A potem spróbowałem zatrzymać słońce.

Wiersz

ROZDZIAŁ 27

Dwa dni później pojechaliśmy do centrum onkologicznego. Był to ostatni dzień przerwy wakacyjnej, następnego już zaczynała się szkoła. Przeszliśmy przez otwierające się na fotokomórkę drzwi do poczekalni na oddziale chemioterapii. Już po pierwszej spędzonej w niej chwili zapomnieliśmy o dwóch dniach uzalania się nad naszym losem. Siedzieli tam przeróżni ludzie. Starzy i młodzi, ładni i nie, grubi i chudzi, wyglądający na zdrowych i schorowani — siedziała tam cała Ameryka. Było to duże okrągłe pomieszczenie pełne wygodnych foteli, kolorowych kanapek, jeszcze bardziej kolorowych ścian i równie barwnych pielęgniarek oraz bladych pacjentów. Słowem zdrowi i skazani. Dwa równoległe światy. Chorzy stali jedną nogą w jednym, drugą w drugim.

Chemioterapia jest formą leczenia polegającą na atakowaniu szybko mnożących się w ciele komórek. Krótko mówiąc, z jednej strony medycyna atakuje komórki raka, z drugiej zabija jednocześnie te, które są odpowiedzialne za porost włosów, za gojenie się ran, za kolor skóry i tak dalej. Z tego właśnie powodu wielu pacjentów przechodzących chemię

Wygląda, jakby byli już trupami. Ponieważ w jakimś sensie nimi są.

Zgłosiliśmy się w recepcji i usiedliśmy koło kobiety mniej więcej w wieku Abbie. Zaczęły rozmawiać, ich historie były Podobne. To następna rzecz, której się szybko nauczyliśmy.

Podczas gdy istnieją różne typy raka i odmienne etapy choroby, historie chorujących na raka ludzi są bardzo podobne. Diagnoza zaskakuje ich, po czym przychodzi lęk. Nieraz wcześniej, nieraz później, w zależności od okoliczności. Z rakiem bowiem zawsze związany jest strach. Tego krótkiego słowa „rak” nikt nie chce usłyszeć. I nawet jeśli wcześniej miałem jakieś

wątpliwości, wystarczyło przez chwilę spojrzeć na zebranych tutaj ludzi, żeby potwierdzić to, co podejrzewałem. Rak jest najskuteczniejszym złodziejem osobowości. Niczym sęp. Nie ma znaczenia twój wiek, skąd przyszedłeś, kim jest twój ojciec ani ile masz pieniędzy albo jak jesteś ważny. Nie ma to absolutnie żadnego znaczenia, bo *on* nie ma respektu dla nikogo i niczego.

Mniej więcej co druga kobieta miała na głowie kapelusz, chustkę lub perukę, o której kochający ludzie mówili, że nie wygląda sztucznie. Zazwyczaj kłamali. Ci, którzy mieli jeszcze włosy, rozglądali się z przestachem, że niedługo ich to czeka. A ponieważ rak nikomu nie darowuje, większość je wkrótce straci. Kilka kobiet miało na sobie bluzki zwisające luźno w miejscu, gdzie kiedyś były wypełnione. Jedne nosiły się kolorowo, inne neutralnie. Wszystkie wołałyby być gdzie indziej.

Przychodziliśmy tu od kilku tygodni, gdy coś mnie zastanowiło. Muszę przyznać, że nie wykazałem się bystrością. Pomyślałem sobie: „Gdzie są ich narzeczeni, mężowie?”

Wreszcie zapytałem Abbie. Potrząsnęła tylko głową. To była jedna z tych rzeczy, które rozumiała intuicyjnie, nie musiała pytać.

— Odeszli.

Najwyraźniej niektórzy rzeczywiście tak. Nie wszyscy, nie większość, ale niektórzy. Spotkałem kilku superojców, którzy zajmowali się w tym czasie dziećmi, ale nigdy nie mogłem się przyzwyczaić do tego widoku — blada, wychudzona, — posępna kobieta w chustce na głowie, z kroplówką. Najgorsze było to puste krzesło koło niej. Miałem dla tych kobiet wiele szacunku, a wiele pogardy dla tych, którzy je zostawili.

Więc zapytałem o to Abbie.

— No cóż — powiedziała, rozglądając się po pomieszczeniu. — Jeśli się ożeniłeś z twarzą albo z biustem czy innymi okrągłościami... — odwróciła się do mnie — a ich już nie ma... — wzruszyła ramionami.

Za tym, co powiedziała Abbie, kryło się pytanie, które bała się zadać. Miałem wrażenie, że odpowiedź na nie zajmie miesiące i lata. I bynajmniej nie chodziło tu o słowa.

Wielki

ROZDZIAŁ 28

5 CZERWCA, POPOŁUDNIE

Najbardziej charakterystyczną cechą Prospect Landing nie było eleganckie betonowe nabrzeże dla łodzi ani nie były eleganckie drewniane domy, wznoszące się po obu stronach rzeki, nawiązujące do budowanych przez pierwszych kolonizatorów tego stanu, ani krowy czy pastwiska, które sięgają brzegów, ani tym bardziej rzędy przystrzyżonych sosen, spod których zamieciono igły, ale tyłek żółtego chevroleta combi z 1957 roku wystający z wody niczym boja. Opowieść głosi, że jest to dzieło zawiedzionej żony, która przyłapała swego męża na igraszkach z sąsiadką. W akcie zemsty wypchnęła jego chevroleta, rocznik 57, z garażu, nacisnęła na pedał gazu... i — powtarzając scenę odegraną przez Salty Field w „Mistrz kierownicy ucieka” — spróbowała wpaść do rzeki. Samochód był jego dumą i radością, więc tak mu odpłaciła. Jedyna różnica polegała na tym, że nie miała do wykorzystania mostu. Podjazd, jakim dysponowała, to była sterta śmieci w pobliżu przystani. Przyspieszyła do sześćdziesięciu pięciu, może nawet siedemdziesięciu mil na godzinę, poderwała dziób w górę, wjeżdżając na wysypisko, by po chwili spaść z niego w dół. Samochód wyleciał w powietrze, przeciął taflę wody i zarył w muł, niczym jakaś sowiecka rakietka wystrzelona przez pomyłkę. Od tej chwili tam tkwi. Miejscowi przewali go więc *tylkiem*, co nie powstrzymało ich od skorzystania z nieszczęścia sąsiadów i rozebrania samochodu na części. Teraz jest to tylko zardzewiała skorupa, bez szyb, bez świateł, bez kołpaków, bez opon i bez silnika. Ktoś nawet zabrał kierownicę. Wraz z upływem lat ciężar karoserii powodował, że wrak coraz bardziej zapadał się w błoto.

Dla mnie jednak od lat jest on znakiem, rodzajem charakterystycznej osobliwości. Może się to wydawać dziwne, ale służby federalne i strażnicy

przyrody wykorzystują to miejsce, by wyruszać na zwiady swymi szybkimi łodziami mierzącymi nierzadko i dwadzieścia dwie stopy. Korzystają z niego, bo mało kto go używa i jest to w dodatku dobry punkt startowy, gdy chce się płynąć zarówno w górę, jak i w dół rzeki. Zwolniliśmy, wypływając zza zakrętu, prędkość kanu zmniejszyła bowiem gęsto rosnące tutaj lilie wodne z liśćmi jak talerze. Wtem zobaczyłem zardzewiałą rurę wydechową, a chwilę potem pojawiła się rampa. Samochód z przyczepą z oznakowaniami straży leśnej stał zaparkowany kawałek dalej. Strażnika nie było nigdzie widać, najwyraźniej patrolował właśnie rzekę. Nie powiedziałem nic Abbie, ale zacząłem się gorączkowo zastanawiać, gdzie moglibyśmy spędzić tę noc.

Minęliśmy Walker s Landing, McKenzie Landing, Colrain, Gum Stump Landing, Orange Bluff, Mallets Landing i Flea Hill z przystanią dla łódek. Problem nie leżał w tempie, w jakim pokonywaliśmy dystans, jak na standardy tej rzeki wręcz frunęliśmy, ale w ludziach, których z pewnością napotkamy. Miało się wrażenie, że każdy cal brzegu został już wykorzystany, żeby zbudować na nim dom, czy to na palach, czy wprost na skarpie. Tym bardziej że w tych okolicach ludzie zwyczajowo się pozdrawiają. Tak samo jak na przykład w górach. Po prostu machasz dłonią, i tyle. Kiedy to robisz, nikt nie zwraca na ciebie uwagi. Natomiast jeśli tego nie zrobisz, wzbudzisz sensację. Na razie machałem i nikt się nami nie interesował, ale mogło się zdarzyć, że ktoś napisze o nas w wiadomościach. Jeśli trafimy na odpływ w odpowiedniej chwili i mój organizm wytrzyma, dotrzemy do St. Marys w trzydzieści sześć do czterdziestu ośmiu godzin. Jeżeli zaś nie trafimy na odpływ, będzie, co los da.

* * *

Podobnie jak Traders Hill, Kings Ferry jest ulubionym przystankiem żeglarzy, biwakowiczów i miłośników sportów wodnych. W najszerszym miejscu rzeka liczy sobie tutaj sto pięćdziesiąt jardów. Mają tu duży betonowy dok pływający — co istotne, bo zważywszy na pływy różnica poziomu wody może dochodzić do pięciu stóp — sklep i kilka domów zbudowanych w pobliżu przystani. Nie chciałem przepływać tamtędy za dnia. Pozwoliłem

unosić nas rzece, aż nastał zmierzch, a wtedy kiedy księżyc schował się za drzewa, prześlizgnąłem się, trzymając przeciwległego brzegu. Niestety oznaczało to, że straciliśmy też szansę na zakup jedzenia. A to z kolei sprawiało, że szybko traciłem siły. Mało jadłem, a najprawdopodobniej spalałem jakieś sześć do ośmiu tysięcy kalorii dziennie. Już dawno zacząłem zużywać moje rezerwy tłuszczu. Nie tylko słabłem, ale na moich dłoniach pojawiły się wielkie pęcherze, które popękały, i teraz paprały się. Spływał po mnie pot, który tylko podrażniał rany. Podobnie działała i woda, która na skutek przyływu już była słona. Za każdym zaś razem, kiedy zanurzałem wiosło w wodzie, a potem przenosiłem je na drugą stronę, woda kapała na mnie i spływała po rękach.

Sam ból nie był jeszcze najgorszy. Najgorsze były kraby. Błękitne kraby. A kraby oznaczały sieci. Zniszczenie cudzej sieci było w tych stronach grzechem śmiertelnym. Można było zostać za to zastrzelonym. Zauważyłem kilka, kiedy przemieszczaliśmy się środkiem rzeki, podnosiłem pułapie i wyciągałem skorupiaka. Minąwszy pięć sieci, miałem już dwadzieścia osiem krabów. Abbie otworzyła jedno oko i spytała:

— Czy to nie jest nielegalne?

— Jest.

— Jeśli to coś ugryzie mnie w palec, wysiadam.

Zdjąłem koszulę, zawinąłem w nią kraby i wetknąłem je pod moją ławeczkę. Siedziały tam aż do rampy White Oak Plantation w Brickyard Landing.

Minęliśmy Blood Landing i przyglądaliśmy się, jak księżyc w pełni wstaje nad Cabbage Bend. Jego tarcza oświetlała wodę przyćmionym błękitem, wysokie drzewa rzucały na rzekę cienie. Światło przyciągnęło nad wodę owady, którymi z kolei zainteresowały się ryby. Byliśmy świadkami szalonego ucztowania. To był jeden z takich momentów, że gdybyśmy byli w innej sytuacji, podziwialibyśmy urodę tego miejsca i niezwykłość zjawiska. Abbie jedynie podniosła się przechyliwszy nad burtą kanu, zanurzyła palce w

wodzie. Na brzegu trzy żaby rozpoczęły letni koncert, od czasu do czasu odpowiadał im aligator, a gdzieś w oddali pies.

Lata temu niejaki Gilman z firmy Gilman Paper przekazał kilka tysięcy akrów ziemi na coś, co stało się obecnie White Oak Plantation. To miejsce wyłączone z turystyki. Znajdują się na nim tereny golfowe, ale nie można na nich zagrać. Nie postawisz tam nogi, jeśli nie jesteś prezydentem lub kimś naprawdę ważnym albo tylko sławnym. Kiedy dojedziesz do bramy, grzecznie poproszą cię, byś zawrócił. Trudno tu dostać zaproszenie i pieniądze niczego nie załatwią.

Mówi się, że w latach osiemdziesiątych ów Gilman spotkał Michaiła Barysznikowa. Zaprzyjaźnili się i Howard Gilman utworzył studio, które nazwał White Oak Dancers. Ono dało początek grupie tanecznej skupiającej najlepszych tancerzy na świecie. Prawdopodobnie był to najbardziej elitarny zespół, jaki kiedykolwiek występował. Objechali świat dookoła sześćset razy. Zawsze mnie dziwiło, że można wznieść się na szczyty sławy, ćwicząc na plantacji w północnej Florydzie.

Moje zainteresowanie White Oak — przyznaję to otwarcie — miało niewiele wspólnego z Howardem Gilmanem i tancerzami, ale wiązało się z przystanią Brickyard. White Oak ciągnęło się wzdłuż rzeki. Była tam niewielka betonowa rampa i zadbany trawnik. Przy rampie straszyła tablica: „Teren prywatny”. Pojedyncze sosny o cienkich igłach wyrastały na sześćdziesiąt stóp w górę, kołysząc się na wietrze, ale ich zapach zabijał odór bagna. W tym miejscu rzeka zmieniała się kolejny raz. Piaszczyste plaże, wiecznie zielone dęby i osiki zostały zastąpione przez wysokie, ostre trawy i moczary, w wodzie zaś pływały ławice ostryg. Tutaj także można już było zobaczyć, że zmienia się kolor brzegu w wyniku oddziaływania morskiej wody. Przyływ zwykle podwyższa poziom o jakieś dwie do trzech stóp, ale bliżej autostrady 17 i drogi 1—95 inny kolor dało się już zauważyć na prawie sześć stóp w górę. Ostra woń drażniła mi nos, drzewa nad nami sięgały nocnego nieba, a po prawej stronie w końcu pojawiła się Brickyard Landing.

Użyłem wiosła jak steru, wypchnąłem kanu na betonowy podest i pomogłem Abbie podnieść się. Kiedy pracowałem dla Gusa, codziennie rano przychodził do nas taki starszy gość, miał pewnie osiemdziesiątkę, nazywał się Russ. Przynosił ze sobą fajkę, gazetę i kawę. Był samotny, umarła mu żona i zdechł pies, więc siadał i opowiadał nam różne rzeczy, podczas gdy my przygotowywaliśmy łodzie, kamizelki ratunkowe i wiosła. Miał cieniuseńką skórę, a ramiona pokrywały mu żeglarskie tatuaże. Zrobił je sobie po tym, wylądował na plaży Normandii, a później żył tylko po to, by o tym opowiadać. Z czasem jego skóra się wyciągnęła i pomarszczyła, a zmysłowa kobieta, która niegdyś przeżyła przed nim swoje ciało, postarzała się jak on. W każdym razie Russ przychodził do nas prawie co rano, opowiadał swoje historie i śledząc naszą pracę, cieszył się życiem. Kiedy odbijaliśmy od brzegu, podnosił się z fotela na biegunach, machał nam na do widzenia, a potem jeszcze jakiś czas stał, opierając się o ścianę, ponieważ jego pokręcone artretyzmem kolana trzęsły się pod nim. Wreszcie szedł do domu, już wyglądając kolejnego ranka.

Kiedy Abbie stała, opierając się o mnie, bo nogi się pod nią ugiwały, przypominał mi się Russ.

Przed nami rozciągał się piękny trawnik porośnięty bemudzką trawą sięgającą do kolan. Po lewej stronie widniał ciemny kształt hangaru na łodzie, z siatką chroniącą werandę i z łazienką.

Prąd był wyłączony, ale znalazłem świeczkę i trzymając ją w ręce, zacząłem przeszukiwać werandę. Wyszperałem duży garnek i kuchenkę gazową. Zagotowałem jakieś trzy galony wody, wrzuciłem do niej kraby, a potem rozpostarłem na piknikowym stoliku starą gazetę, w tym czasie Abbie wyszukała puszkę z napojem cytrynowym w spiżarni na tyłach budynku. Ugotowałem kraby, rzuciłem je na gazetę i zaczęliśmy ucztę. Patrzyłem na rosnący stos skorup i Abbie wysysającą do czysta jedną z nóg. Gdy ja sprzątałem cały bałagan, Abbie znalazła prysznic. Łazienka była nowa i dość czysta. Prysznic mogło brać jednocześnie kilkoro dzieciaków. W kabinie znajdowały się cztery sita natryskowe, wszystkie skierowane w stronę środka.

Odkręciliśmy kurek i ku naszemu zdziwieniu okazało się, że leci ciepła woda. Abbie weszła do środka, złapała mydło o leżące we wgłębieniu ściany, usiadła pośrodku i wskazała mi miejsce obok siebie.

Powąchałem własną koszulę.

— Jest tak źle? — zapytałem.

— Nawet nie zdajesz sobie sprawy jak bardzo — odparła.

Myśliśmy się, aż z mydła niewiele co pozostało, a woda zrobiła się zimna.

Większą część budynku zajmował „salon” ze sklepionym sufitem i głową łosia wiszącą nad kominkiem. Znalazłem na ławkach na werandzie ochraniacze, rozłożyłem je na podłodze, traktując jako materac. Pomogłem potem Abbie założyć suchy podkoszulek, wciągnąłem jej na stopy skarpetki, po czym zapiąłem ją w puchowym śpiworze. Wkrótce już spała. Więc zebrałem nasze ubrania, uprałem je, jak umiałem najlepiej, i rozwiesiłem na werandzie, żeby wyschły. Byłem nagi i zmęczony, ale nie chciało mi się spać. Zrobiłem kawę i siedziałem, popijając i nasłuchując ciężkiego oddechu Abbie. Nocne powietrze było zaskakująco chłodne, a od betonowej podłogi wiał chłód, więc rozpałem mały ogień na kominku i wpatrywałem się w rozżarzone węgielki.

Jakoś tuż po północy poczułem przeciąg, powietrze pobudziło zanikający ogień, który strzelił w górę płomieniami. Ponieważ siedziałem w ciemnościach, wzrok mój przyzwyczaiał się do mroku. Usłyszałem, jak za moimi plecami otwierają się drzwi, a potem cicho są zamykane. Złapałem rewolwer i przytulony do ściany nasłuchiwałem.

Do pomieszczenia wszedł jakiś mężczyzna, zachowywał się tak, jakby się spieszył. Stał jak wryty na widok Abbie. Jeśli ona go widziała, nie dała po sobie nic poznać. Płomień odbijał się w jego okularach. Krótco potem nadeszli jeszcze dwaj. Drugi mężczyzna był wyższy i wyraźnie kulął. Trzeci zaś miał szerokie ramiona i krótkie nogi. Wyglądał jak troll. Po ich sylwetkach poznałem, że to ci sami goście, którzy nas wcześniej okradli.

Ścisnąłem w prawej dłoni rewolwer, przytrzymując lewą.

Kiedy pierwszy z mężczyzn sięgnął, by ściągnąć płachtę zakrywającą nogi Abbie, wyciągnąłem przed siebie rewolwer i nacisnąłem spust. W tym momencie jednak dostałem cios w oko. Uderzenie rzuciło mnie w tył i kula wylądowała w suficie. Upadłem ciężko plecami na coś, co najprawdopodobniej było koszem na odpadki.

Próbowałem się podnieść, ale nie mogłem. Nie widziałem na lewe oko, z prawym nie było dużo lepiej, coś ciepłego ciekło po mojej twarzy. Spróbowałem podpełznąć, ale ręce nie utrzymywały mojego ciężaru. Pierwszy z mężczyzn włączył czołówkę, taką, jaką noszą górnicy, po czym zerwał z Abbie brezent, drugi wziął się tymczasem za otwieranie śpiwora. Kuternoga zaś stał z tyłu, zaśmiewając się diabelskim dyszkantem. W świetle dwóch czołówek i ognia na kominku zobaczyłem, jak czwarty, stojący tuż nade mną, mężczyzna zamierza się na mnie kolbą strzelby. Chwilę potem poczułem mocne uderzenie między żebra.

Górnik odezwał się:

— Spójrz no, co my tutaj mamy. — Oczy Abbie były otwarte, ale nie poruszała się ani nie próbowała bronić. Ja usiłowałem złapać oddech, ale niezbyt mi to wychodziło. Górnik uklęknął między jej nogami, a Troll ściągnął jej z głowy chustkę. Trzymał ją jak skalp, patrząc z niedowierzaniem.

— Bufort... ona jest łysa jak kolano. Nie ma ani włoska.

Jego kumpel zabrał się właśnie za odpinanie paska. Roześmiał się.

— Jej włosy nie są mi do niczego potrzebne.

Kuternoga złapał za koszulę Abbie i jednym szarpnięciem ją rozerwał.

Wszyscy trzej gapili się na bladą klatkę piersiową bez piersi. Górnik skierował tam światło niczym reflektor.

— A niech mnie.

Drugi poklepał go po ramieniu.

— Cycków też nie ma.

Kuternoga pochylił się niżej.

— Jest bardziej płaska niż ty, Buf. — Jego rechot odbił się od sklepionego sufitu. Troll kołysał głową jak pies. — Jakby miała dwie dupy.

Z trzech mężczyzn teraz zrobiło się sześciu, każdy podwójny. Poczułem, jak przez pomieszczenie przechodzi znowu przeciąg. Wzniecił ogień tak, że całe było dobrze oświetlone. Pchnąłem mężczyznę stojącego nade mną, złapałem za strzelbę i odbezpieczyłem ją. Nacisnąłem spust, broń szarpnęła i z lufy wyskoczył snop ognia, towarzyszył mu grzmot, od którego o mało nie pękły mi bębunki. Ośmioca— lowy pocisk eksplodował. Huk odbił się od kamiennej podłogi. Odwróciłem się w stronę Abbie właśnie w chwili, kiedy lufa strzelby kolejny raz lądowała w miejscu, gdzie miałem lewe oko. Tym razem upadłem na coś, co śmierdziało jak ropa. Usłyszałem odgłos lądowania kolejnego naboju do komory. Momentami nie widziałem nic, chwilami zaś obraz pojawiał się, ale rozmazany. Czwarty z mężczyzn siedział na mnie okrakiem, przyciskając mi szyję lufą, w blasku ognia błyskały białka jego oczu. Tymczasem łapa faceta, którego w myślach nazywałem „Górnikiem”, wędrowała w górę i w dół po ciele Abbie. Kuternoga pochylił się, przyglądając się jej uważnie. Dotknął ramienia Trolla.

— Vearl — pokazał na Abbie. — Z nią jest coś nie tak.

Górnik cofnął się.

— Co ty gadasz?

— Spójrz tylko. Ona wygląda, jakby już nie żyła.

Górnik poprawił lampę, która nadawała mu wygląd cyklopa, i ściągnął spodnie.

— Dla mnie jest wystarczająco żywa — odparł krótko.

Kątem prawego oka zobaczyłem błękitno czerwony błysk i usłyszałem coś jak ra— ta— ta— ta. Pół sekundy później mężczyzna z karabinem zachwiał się, jęknął i opadł na mnie, wbijając kolejny raz moją głowę w beton i stojącą na nim puszkę z ropą.

Mężczyzna, który teraz stanął nade mną, ubrany był w czerwono— błękitne szorty i japonki, nie miał koszulki i trzymał drewniane polano. Kuternoga zerwał się na równe nogi, po to tylko by nadzieć się na wymierzone w niego uderzenie tą solidną pałą. Na beton posypały się drzazgi wraz z zębami. Skądś pojawiło się coś małego, futrzastego i warczącego. Wyskoczyło w górę, by wbić się Górnikowi zębami w tyłek, który okazał się rzeczywiście owłosiony. Wydaje mi się, że nie nosił bielizny. Troll skoczył niczym kot, złapał faceta w hawajskich szortach za kark, ale w tym samym momencie sam wyleciał w powietrze. Wylądował na ścianie, a ja wzmacniłem ów efekt, waląc go w głowę kolbą rewolweru. Jęknął, więc poprawiłem jeszcze raz. Podniósł głowę, więc przywaliłem po raz trzeci. Leżał na ziemi pojękując, ale się nie poruszał. Udało mi się podpełznąć po podłodze do Abbie. Górnik zdążył się odwrócić dokładnie w chwili, gdy Hawajczyk rzucał się na niego. Oślepił czołówką człowieka, ale nie małą futrzastą bestię, która dobierała mu się do tyłka coraz bardziej. Ze spodniami wciąż spuszczoneymi do połowy kolan Górnik odskoczył na bok, wyglądał, jakby brał udział w wyścigach w worku, usiłując pozbyć się diabła przy swoim tyłku. Potknął się i wylądował na psie, uwolnił się od niego, ale tylko na chwilę, bo ten zaraz wyskoczył w górę i tym razem wpił się w krocze. Mężczyzna darł się ze wszystkich sił.

Wydawało mi się to niewiarygodne, ale Górnikowi udało się dotrzeć do drzwi i wypaść na zewnątrz. Widziałem po światełku lampy, że zeskoczył z werandy, upadł i potoczył Po trawiastym stoku ku rzece. Hawajczyk spojrział na mnie, uśmiechnął się, po czym zniknął za drzwiami. Nic nie widziałem lewym okiem, świat mi wirował, sprowadzając się do ciemnego tunelu. Przyczołgałem się do Abbie, czułem, jak robi mi się niedobrze. Leżałem przy niej, a żołądek przewracał się we mnie. Zmusiłem się jednak, żeby otworzyć oczy. Wiedziałem, że nie mam zbyt wiele czasu. Podczołgałem się więc do

strzelby, sprawdziłem, czy jest naładowana, i wróciłem do Abbie. Przesunąłem ją do ściany, po czym przyklęknąłem na jedno kolano, oddzielając ją od ciała w pomieszczeniu. Troll pojękiwał, miał rozmazany po całej twarzy nos, więc wątpiłem, czy będzie mu się chciało poruszać. Kuternoga nadal dygotał.

Niecałą minutę później usłyszeliśmy z zewnątrz głośny trzask, a zaraz po nim plusk. Pojedyncza lampa wracała na wzgórze i szybko pojawiła się w drzwiach. Ten, kto ją niósł, pogwizdywał i niósł coś na rękach. Podniosłem strzelbę, przenosząc wzrok z frontowych drzwi na wejście tylne. Moje ramiona drżały, ale udało mi się zagiąć palec na cynglu. Mężczyzna z lampą wszedł do środka, wyłączył światło i postawił na podłodze psa. Ten zaczął biegać wokół nas, wachając podłogę. Polizał mój but, potem ominął mnie, żeby dotrzeć do Abbie. Mężczyzna patrzył na mnie, ale ja miałem problem z widzeniem. Wreszcie wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, wsadził jeden w usta i podпалиł lśniąca, srebrną zapalniczką marki Zippo. Zaciągnął się mocno, po czym zatrzasnął zapalniczkę uderzeniem o udo.

— Wygląda na to, że wpadliście w kłopoty.

Zabezpieczyłem strzelbę i przesunąłem się w kierunku apteczki. Wyciągnąłem dwie strzykawki, przetałem tamponem miejsce na udzie Abbie, odłamałem kapturek dopaminy i wstrzyknąłem. Po czym szybko wbiłem następną strzykawkę z deksametazonem. Chwilę potem opadłem na ścianę, powieki tak mi ciążyły, że nie mogłem ich podnieść. Ostatnie, co zobaczyłem, to żarzącą się na czerwono końcówkę papierosa. Chwilę później żołądek eksplodował mi przez usta, a ramiona wbijały się w coś twardego. O ile sobie przypominam, Abbie mocno obejmowała mnie ramionami. Chciałem się obudzić, ale mgła była zbyt gęsta. Abbie kołysała mną, objąwszy mnie nogami i przyciągnąwszy do siebie. Dygotała. Gdzieś w pobliżu chyba ktoś włączył silnik, a potem zaczął działać wentylator.

ROZDZIAŁ 29

Chemioterapia jest jak wzór na dywaniku — trzy tygodnie brania, jeden odpoczynku, cztery dni w tygodniu, osiem torebek dziennie, sześć godzin dziennie. Jakby się miało przez długi czas grypę. Były też i skutki uboczne. Krwawienie z dziąseł i nosa, nieustająca biegunka, utrata apetytu i włosów, mdłości, mrowienie w palcach rąk i nóg i przez trzy tygodnie w miesiącu nieustanne wymioty.

Pierwsza seria chemii spowodowała to, na co liczyli lekarze. Nowotwór się zmniejszył, ale to nie zmieniło ich zaleceń. Zgłosiliśmy się do szpitala w piątek o szóstej rano. Na dziesiątą wyznaczony był zabieg chirurgiczny. Kilka minut przed tym, zanim zabrali ją na wózek, popatrzyła na mnie nieprzytomna po jakimś środku znieczulającym, który włąli w jej żyły, i cicho zapytała:

- Czy będziesz tu, kiedy się obudzę?
- Tak.
- A jutro?
- Jutro też — odpowiedziałem, kiwając głową.

Zamknęła oczy, powieźli ją korytarzem, a ja przeszedłem do poczekalni, gdzie siedzieli jej macocha i ojciec. Po ponad dziesięciu latach małżeństwa z ich córką osiągnęliśmy przyjacielskie zawieszenie broni. Nie rozmawiali ze mną, ja zaś tylko odpowiadałem na zadawane pytania.

Kiedyś myślałem, że zdołam ich do siebie przekonać, ale nie bardzo mi się to udało. A właściwie wcale. Katherine siedziała, czytając „Architectural Digest”, a senator Coleman przez telefon rozmawiał jednocześnie ze swoim biurem w Waszyngtonie i w Charlestonie.

Operacja trwała pięć godzin. Pielęgniarka od czasu do czasu informowała nas o jej przebiegu. Mówiła na przykład:

— Skończyliśmy prawą stronę. Skraj czysty. Węzły chłonne w porządku... teraz zaczynamy lewą. — Zauważyłem, że nie mówiła nic na temat rekonstrukcji piersi.

czwartej po południu pojawił się chirurg, doktor Dismakh. Zdjął maskę i gestem zaprosił nas do pokoju, w którym odbywały się prywatne konsultacje.

— Skończyliśmy — powiedział. — Abbie teraz śpi, za chwilę was do niej zaprowadzę. — Przez chwilę milczał, wiedziałem, że nie chcę usłyszeć tego, co zamierzał mi zaraz powiedzieć. — Sądząc po stanie węzłów chłonnych, mogą być przerzuty. Nie podjęliśmy się rekonstrukcji.

— W porządku. — To niezupełnie było to, co chciałem powiedzieć. Niedelikatnie byłoby zapytać dlaczego, skoro nowotwór wciąż gdzieś w niej siedział.

— Nowotwór — odpowiadał na niezadane pytanie chirurg — jest... rozległy. Zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić. Podczas następnych miesięcy musimy go zaatakować albo chemicznie albo naświetleniami.

Słowa: „miesiące”, „chemia”, „naświetlenia” obijały mi się w głowie niczym kule na stole bilardowym.

— Fizycznie — kontynuował doktor Dismakh — rekonstrukcja przeszkodziłaby nam w przyszłości w obserwacji, czy nie nastąpił nawrót choroby. Co więcej, dochodzenie do siebie po rekonstrukcji opóźniłoby dalsze leczenie, a powinny rozpocząć je jak najszybciej. Nawet już teraz.

Kiedy przewieźli ją do pokoju, w którym pacjent odzyskuje przytomność, powiedzieli mi, że mogę tam pójść do niej, zanim przydzielą nam pokój na górze. Przed operacją pamiętam, często się zdarzało, gdy była w jakimś miejscu, gdzie zebrała się grupa kobiet, że któraś z nich odciągała ją dyskretnie na bok i pytała: „Powiedz prawdę, z jakiego chirurga kosmetycznego korzystasz?”. Wszedłem do izolatki zerknąłem na jej

obandażowaną klatkę piersiową i już wiedziałem, że nigdy więcej nie usłyszy tego pytania.

I wtedy to zrozumiałem. Piersi są nie tylko częścią ciała. Są tym, co wysyła w świat sygnał: Jestem kobietą i jestem piękna". Wtedy też dotarło do mnie, że kobieta może stracić palec, rękę, nawet nogę, ale jeśli traci pierś, to wraz z nią traci coś więcej niż tylko ciało.

I to trzeba było jej zwrócić.

Wsunąłem dłoń w jej rękę i czekałem. Obudził ją w nocy ból.

Nie powiedziałem jej od razu, dopiero następnego rana, kiedy lekarstwa przestały działać, a przez żaluzje wdzierało się do pokoju słońce.

— Kochanie... nowotwór jest bardziej... rozprzestrzenił się bardziej, niż pierwotnie myśleli. Zrobili, co mogli. Teraz mówią o dalszej chemii albo o naświetlaniach. — Spojrzała na swoją płaską klatkę piersiową. Potrząsnąłem głową. — Jeszcze nie. Nie chcieli, żeby nie stworzyć drogi... — zawiódł mnie głos. Wiedziałem, że Abbie bardzo fizycznie cierpi. Co kilkanaście minut naciskała guzik, wzywając pielęgniarkę podającą morfinę.

* * *

Lekarze: Hampton, Smith i Meyer oraz doktor Dismakh, jej chirurg, stali w półkolu w nogach jej łóżka. Zaczął doktor Hampton:

— Abbie, wycinek z węzłów chłonnych, który pobraliśmy od ciebie, wskazuje, że nowotwór rozprzestrzenił się poza początkowy organ, czyli piersi. Teraz jest ogólnoustrojowy, co oznacza, że może być wszędzie. Znaleźliśmy jedno miejsce, wyściółkę płuca. — Czekaliśmy, słuchając go, ale nie bardzo rozumiejąc. — Chcemy cię wysłać do doktora Andersona w Houston. I może do Sloan— Kettering. Oba te miejsca specjalizują się w tego typu schorzeniach.

Przełknąłem, ale udało mi się z siebie wydusić:

— Jaki to jest typ?

Teraz odpowiedział doktor Smith:

— Agresywny, szybko rosnący, o nienasyconym apetycie. Ponieważ rozwija się błyskawicznie, łatwiej go będzie zabić. To dobra wiadomość. Ale jest i zła. Niepokoi nas jego tempo rozprzestrzeniania się.

W tym momencie rekonstrukcja piersi już mnie w ogóle nie interesowała. Bez piersi można było żyć.

Zostawili nas samych. Kiedy podniosłem głowę, doktor Hampton pojawił się znowu. Usiadł koło nas i zapytał:

— Macie ochotę zatańczyć?

Pytanie było ni z gruszki, ni z pietruszki.

— Co?

— Czy macie ochotę zatańczyć?

Potrząsnąłem głową z niedowierzaniem.

— Co za pytanie?

— To — machnął ręką i popatrzył na Abbie — ...bardzo delikatny taniec. Ponieważ musimy go zabić, nie zabijając ciebie... a raczej zanim on zabije ciebie.

Dwa dni później wysłali nas do domu.

WYKONANIE

ROZDZIAŁ 30

6 CZERWCA, PORANEK

Słońce osiągnęło właśnie czubki drzew, kiedy spróbowałem otworzyć oczy. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że Abbie śpi obok mnie w ubraniu. W zagięciu jej ramienia leżał zwinięty terier.

Poczułem dym papierosa i odwróciłem głowę. Hawajczyk siedział na drewnianym krześle werandowym oparty o odległą ścianę, koło stóp miał stosik petów i popiołu. Pomieszczenie było rodzajem przeszklonej werandy, wysokiej co najmniej jak drzewa, które przytulały się do przezroczystych ścian.

Mężczyzna był wysoki, przystojny, muskularny, miał włosy opadające do ramion, wąsy, błękitne oczy i gładko ogoloną szczękę. Mniej więcej czterdziestoletni. W jednej ręce trzymał papierosa, w drugiej sorbet. Tą, w której był papieros, machnął w moim kierunku.

— Tylko dałem jej ubranie. Ubrała się sama. Chwilę temu usnęła znowu.

— Jak się tu dostaliśmy?

Parsknął śmiechem, zaciągnął się papierosem, po czym polizał loda.

— Zaniósłeś ją do stearmana, a potem... odpłynąłeś.

— Co to jest „stearman”?

— Mój samolot.

— Lecieliśmy samolotem?

Przytaknął, wkładając znowu loda w usta.

— Nic nie pamiętam.

— Ponieważ byłeś golusieńki... ja tego widoku długo nie zapomnę.

— Przepraszam, uprałem nasze ubrania i...

Machnął ręką jakby od niechcienia. Uśmiechnął się.

— Nieźle oberwałeś. Bała się o twoją głowę, więc wstrzyknęła ci jeden z tych środków. — Na stole koło nas leżała otwarta apteczka. — Mówiła, że to pomaga na opuchlizny.

Zobaczyłem pustą strzykawkę po deksametazonie. Więc — zdałem sobie sprawę — zostały już tylko dwie. Poczulem skurcz serca. Rytmiczne stukanie wentylatora obracającego się pod sufitem przypomniało mi o bólu. Czegoś takiego nie doświadczyłem nigdy. Podniosłem rękę, żeby dotknąć oka, ale Abbie, która w tej chwili otworzyła oczy, powstrzymała mnie:

— Nie.

— Kochanie... czy ty?

— Nic nie zabrali.

Poklepała mnie po głowie.

— Uważaj, żebyś nie oderwał kleju.

— Kleju?

Przyłożyła mi do twarzy zimny ręcznik.

— Szybkoschnącego. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, ale nie wygląda to ładnie.

— My?

Jej głos zniżył się do szeptu. Jeśli Hawajczyk nas słyszał, nie dał po sobie nic poznać.

— Gdyby chciał nas skrzywdzić, już by to zrobił. Kiedy przybyliśmy tutaj, wybył na krótko, żeby, jak mówił, sprawdzić, co się stało z kanu.

— I?

— Znikło.

Przeprowadziłem szybką inwentaryzację w myślach i stwierdziłem, że mamy ubranie, rewolwer oraz apteczkę.

— Dlaczego podałaś mi deksametazon? — wyszeptałem skrzekliwie.

— Nie byłam pewna, czym jest ta opuchlizna na twojej głowie — odpowiedziała po chwili.

— Nie trzeba go było marnować na mnie.

Przycisnęła palce do moich warg.

— Śpij. Porozmawiamy później. Niczym się nie martw.

Położyła się koło mnie, opierając mi głowę na piersi. Sięgnąłem ręką, sprawdzając plaster.

— Jak ty się czujesz? — spytałem.

— Dobrze. Mną — odparła — zajmiemy się później.

Jakiś czas potem obudził mnie zapach własnej krwi, na

twarzy zaś poczułem wilgotną ściereczkę. Kiedy budziłem się po raz trzeci, było ciemno. Ból głowy zelżał do poziomu łoskotu pociągu towarowego. Wraz z gwizdem lokomotywy. Leżeliśmy razem z Abbie obok siebie na czymś, co wyglądało jak wojskowe łóżka polowe. Jęknąłem, zobaczyłem nad sobą cień i poczułem, jak ktoś wkłada mi w dłoń cztery pigułki.

— To ibuprofen.

Popatrzyłem na swoją rękę, zobaczyłem dziesięć tabletek, połknąłem je, a potem walczyłem, by nie wyrzucić ich z siebie. Pochylił się nade mną, między

zębami trzymał małą latarkę. Poświecił mi kilka razy w oczy, potem wyłączył ją.

— Nie pozwoliła mi wezwać policji ani zawieźć cię do szpitala, a powinieneś tam się znaleźć. Oboje powinniście. Zamilkł tym razem na dłużej.
— Ale mam wrażenie, że sami o tym wiecie.

Dłoń Abbie znalazła mnie pod kocem. Przesunęła się po brzuchu, potem wyżej aż do miejsca, gdzie poczuła bicie mojego serca.



ROZDZIAŁ 31

Zespół lekarski z Charlestonu przekazał nas klinice Mayo w Jacksonville. Chemię mogli podawać tak samo jak w każdej innej placówce, ale Mayo posiadało najlepszy aparat do radioterapii. Poniekąd „inteligentny”. Wyrzucał on z siebie wiązkę promieniowania o przekroju jednej tysięcznej cala, co sprawiało, że „współpracował” z oddechem. Oznaczało to, że jeśli pacjent oddychał głęboko i klatka piersiowa unosiła się o jedną trzecią cala, wiązka przesuwała się również. To pozwalało stosować mocniejszy strumień. Podobne aparaty mieli w Sloan—Kettering u doktora Andersona, ale Mayo było najbliżej domu.

Terapia trwała sześć miesięcy. Abbie straciła włosy, jakieś dwadzieścia funtów wagi, nieustannie odczuwała mdłości. Zabiegi odbywały się cztery dni w tygodniu, od poniedziałku do czwartku. W czwartki zazwyczaj była tak chora, że większą część nocy spędzała w toalecie. Zresztą oboje ją tam spędzaliśmy.

To była jakaś piąta nad ranem. Piątek. Nie pamiętam, co to był za miesiąc. Nie miało to dla mnie i tak znaczenia. Wymiotowała tak długo, że w końcu tylko wstrząsały ją suche skurcze. Nogi jej wtedy przeraźliwie dygotały. Dodajmy do tego, że była słabsza niż kiedykolwiek, a zrozumiecie, że mięśnie jej żołądka dały za wygraną. Stałem koło toalety z mokrym ręcznikiem w ręce, podczas gdy Abbie usiłowała coś z siebie wyrzucić, ale nic z niej już nie wychodziło. Pomogłem jej przejść pod prysznic, odkręciłem wodę i pozwoliłem odpocząć pod ciepłym strumieniem. Potem umyłem ją i zaniósłem do łóżka. Przez dwa dni zmieniałem tylko prześcieradła.

W niedzielę po południu zadzwoniłem do lekarza, żeby mu powiedzieć, że zostajemy w Charlestonie — nie była w stanie zaczynać wszystkiego od nowa

w poniedziałek. Potrzebowała kilku dni odpoczynku. Zgodził się. W niedzielę wieczór posadziłem ją, na stoliku obok położyłem krakersy i puszkę red bulla, przeniósłem ją z tym wszystkim do łóżka stojącego przy oknie, z którego mogła patrzeć na port.

Mimo lekarstw na nudności — 500 dolarów za siedem tabletek — nie mogła nic jeść ani pić.

Staralem się monitorować stan odwodnienia jej organizmu, orientując się po częstotliwości siusiania i po kolorze moczu. Jeśli był „klarowny” znaczyło to, że ma dość płynów. Kiedy robił się „żółty”, zaczynały się kłopoty. W związku z ustalonym porządkiem chemii lekarze zastosowali wkłucie centralne, dzięki czemu przez wenflon transportowano lekarstwo prosto do układu krwionośnego. To także pozwalało ją nawadniać. Stałem się mistrzem nawadniania. Potrafiłem wymieniać, napełniać i zawieszać pojemnik z roztworem soli fizjologicznej szybciej niż jakakolwiek pielęgniarka. Gdyby nie to, nie wiem, co by się stało. Więc wymieniałem pojemniki i zawieszałem je na stalowym stelażu na kółkach, który Abbie zaczęła tkliwie nazywać „Georgie”. Był jej chłopcem, niewysokim, szczupłym i cichym, ale zawsze trwającym przy jej boku. Kiedy „piła”, mogłem złapać oddech. Poza spełnieniem obowiązków pielęgniarki, musiałem się też czasem wykapać. Bardzo też potrzebowałem nieprzerwanego dwunastogodzinnego snu.

Odkręciłem wodę, rozebrałem się i wszedłem na wagę 170 funtów. Nie tylko Abbie traciła ciało, ja schudłem o jakieś dwanaście funtów. Wszedłem pod prysznic, puszczając gorący strumień na kark. Mielśmy piec gazowy, w zbiorniku mieściło się sto pięćdziesiąt galonów wody. To oznaczało, że mogłem brać kąpiel tak długo, jak tylko miałem ochotę.

Po dobrych trzydziestu minutach zakręciłem kurek i wyszedłem z kabiny. Abbie siedziała na podłodze, obok niej stał Georgie. Woda ściekała ze mnie.

Ostatnie sześć miesięcy to było ekstremalne rodeo. Abbie albo leżała na plecach, próbując powstrzymać wirowanie ziemi, albo wisiała nad toaletą, wyrzucając z siebie wnętrzności. Dla siebie nie mieliśmy zbyt wiele czasu. A raczej wcale. Próbowaliśmy raz być blisko, ale ból był tak przejmujący, że daliśmy sobie spokój. Kiedy wyszedłem wtedy spod prysznic, było raczej oczywiste, że nie spałem z moją żoną od dłuższego czasu. Nie chodzi o to, żebym chciał temu dać jakiś szczególny wyraz, bo też we mnie nie ma nic szczególnego. Jestem, jaki jestem. W każdym razie, do tego zmierzam, moja żona widziała mnie nagiego po raz pierwszy od kilku tygodni. Taksowała mnie z góry na dół.

— Może... — wydusiła w końcu — może powinieneś sobie znaleźć jakąś dziewczynę.

— Co?

— Nic takiego — pokiwała głową. — Nie możesz się tak prowadzić.

— O czym ty w ogóle mówisz?

— No wiesz... powinieneś wziąć sobie kogoś. Wiem, że tego potrzebujesz...

Wyraźnie była w dołku. Usiadłem obok, przyciągnąłem do siebie ramieniem, starając się, by jej nie urazić.

— Ja już mam swoją dziewczynę.

Rozplakała się. Ściągnęła z siebie koszulę i usiadła naprzeciw mnie po indiańsku. Była całkowicie łyśa. Na całym ciele. Błada z żółtawym odcieniem skóry. Blizny zaleczyły się, ale ściągnęły skórę tak, że jej klatka piersiowa się zapadła. Oparła głowę o ścianę i popukała się palcem w okolice serca.

— Jak możesz kochać coś takiego? — wydusiła z siebie.

— Kochanie, ja nie ożeniłem się z twoim biustem. Nie zrozum mnie źle. Brak mi go i kiedy już sobie z tym cholerstwem poradzimy, spróbujemy go z czasem odzyskać... Ale już kiedyś ci to mówiłem. Nie ożeniłem się z dziewczyną z okładki kolorowego pisma.

— Ale dlaczego robisz to wszystko, co robisz — wyjąkała między szlochami. — Nie masz swojego życia. Przeze mnie.

Trzymałem jej dłoń w swojej, obracając obrączkę na kościstym palcu. Nie jestem ekspertem w sprawach kobiet, ale wydaje mi się, że mają dwie fundamentalne niewypowiedziane potrzeby, które pojawiają się w dniu, kiedy przychodzą na świat. Pragną, by je zdobywać, i pragną być piękne. Abbie przez całe życie była adorowana przez mężczyzn i wszyscy naokoło bez przerwy jej mówili, jaka jest piękna. Piękno stało się jej istotą. A potem przyszedł rak. Chirurgia, naświetlenia, chemia. Albo, jak to ujęła kiedyś — cięcie, wypalenie i trucizna. Widziała w sobie, siedzącej tu na podłodze, nędzne resztki dawnej siebie. Ja widziałem to inaczej. Ale jak miałem ją przekonać. Jak miałem jej powiedzieć, że nie jest tylko sumą tego, co widzi w lustrze. Poczynając od historii z Rozalią, uczyła mnie, jak widzieć to, co się kryje pod powierzchnią. Przez kolejne dni wykradałem jej wycinki z gazet. Abbie nigdy nie należała do osób, które by zbierały każde zrobione sobie zdjęcie, ale posiadała ich na tyle dużo, że bym mógł wykonać zaplanowaną pracę. Znalazłem osiemnaście moich ulubionych zdjęć. Niektóre z nich powiększyłem do wielkości naturalnej, inne do formatu osiem

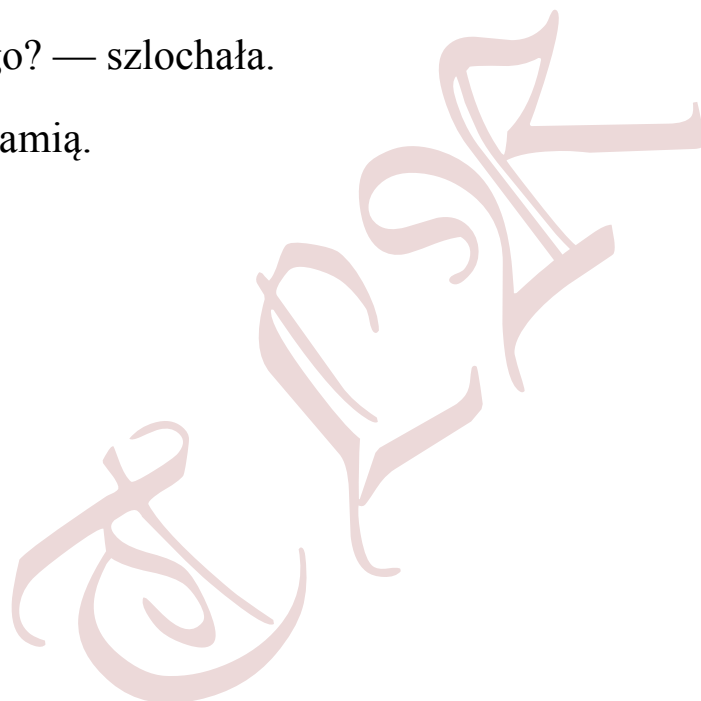
na dziesięć cali. Te ostatnie przyczepiłem do każdego lusterka, jakie mieliśmy w domu. Abbie nie mogła spojrzeć w lustro, by nie zobaczyć siebie takiej, jaką była dawniej. Plakaty porozwieszałem w każdym pomieszczeniu, tak że gdy tylko wychodziła z jakiegoś korytarza, wchodziła na dawną siebie. Potem oprowadziłem ją po domu, Abbie była jednak wściekła. Nie lubiła oglądać swoich zdjęć. Nigdy nie lubiła się sobie przyglądać. Zaczęła machać rękami:

— Zabierz je wszystkie. Nie chcę ich.

— Abbie, nie obchodzi mnie, czy je chcesz, czy nie. Zostają.

— Ale dlaczego? — szlochała.

— Bo lustra kłamią.



ROZDZIAŁ 32

7 CZERWCA, PORANEK

Dochodził do mnie zapach jajecznicy i słyszałem wyraźnie skwierczenie boczku, ale nie to mnie obudziło. Obudził mnie śmiech. Śmiech Abbie. W tym samym momencie ciepła, futrzana kula wypełzła spod koca i zaczęła mnie lizać po twarzy. Był mniej więcej wielkości bochenka chleba, miał zimny nos, długie wąsy, a poduszcзки jego łap przekopywały się przez moje żebra. Usiadłem, spuszczać nogi na ziemię, ale musiałem chwilę odczekać, by świat przestał wirować.

Znajdowałem się za przepierzeniem w pomieszczeniu wielkości 12 na 12 jardów, nad sobą miałem blaszany dach z podwieszonym pod nim wentylatorem. W rogu stały wędki. Dwie lampy gazowe kołysały się na wietrze, a pomiędzy nimi pajęczyny. Z dwóch stron pomieszczenie oplatały poskręcane gałęzie wiecznie zielonego dębu, zapewniając osłonę i cień. Znajdowałem się na czymś w rodzaju werandy. Przez szpary pomiędzy deskami udało mi się dostrzec ziemię jakieś trzydzieści stóp niżej. Schody prowadziły wprost do rzeki, a drewniany łącznik do głównego domu, skąd właśnie dochodziły zapachy i śmiech. Dotknąłem ręką lewego oka. Było napuchnięte i bolało. Widziałem jak przez mgłę, Przynajmniej widziałem. Na skraju polówki, na której leżałem, leżała apteczka. A obok niej rewolwer. Wziąłem go, a przekręciwszy komorę, zobaczyłem, że był naładowany. Wepchnąłem go za pasek spodni, ale wtedy znowu doszedł mnie śmiech Abbie, więc odłożyłem go na łóżko.

Pies zeskoczył na ziemię, trzy razy zakręcił się wokół własnego ogona, a następnie dumnie ruszył w kierunku domu. Jednak po chwili nie wytrzymał i

znowu wykonał dwa obroty w jedną, następnie jeden w drugą stronę i wreszcie zniknął w środku. Nie jestem wielkim specjalistą od psiej mowy, ale coś mi mówiło, że oznaczało to: „Słuchaj, tam jest jedzenie. Idź za mną”.

Abbie siedziała na stołeczku i popijała coś ciepłego. Błękitna bandana zakrywała jej głowę, ale nie uszy. Owinięta była w szlafrok frotte, który wyglądał na nieco przyduży, pasowałby raczej na Pana Hawajczyka. Ten stał nad kuchenką, przemawiając jednocześnie do patelni pełnej jajek i do papugi siedzącej mu na ramieniu. Wszedłem do pomieszczenia i cała trójka spojrzała na mnie. Ptak — o jaskrawym czerwono— błękitnym upierzeniu — zeskoczył z ramienia mężczyzny, wylądował na stole, po czym wspiał się po ręce Abbie i pomagając sobie dziobem, dotarł do jej ramienia.

Niewielki, wyciszony odbiornik telewizyjny stał tuż obok. Gadająca głowa z serwisu informacyjnego omawiała wiadomości dnia. Mężczyzna odwrócił się do mnie, przerzucił ścierkę przez ramię i wyciągnął do mnie dłoń.

— Bob Porter — po czym wskazał na papugę. — A to jest Petey. I Rocket — zakończył prezentację, pokazując na psa.

— Jestem waszym dłużnikiem.

Nałożył jajecznicę na dwa talerze i wskazał mi krzesło— Na drugim palniku rumieniły się krążki cebuli. Na trzecim smażyły się płatki owsiane.

— Jak się czujesz? — zapytałem Abbie.

— Dobrze. Wyobraź sobie, że spałam.

pierwszy raz od dawna miała rumieńce. Podniosła się i kładąc rękę na moim ramieniu, powiedziała:

— Wy dwaj sobie porozmawiajcie. Ja zamierzam się wykapać.

— Ręczniki w szafie. — Bob pokazał na korytarz. — I uważaj, bo woda jest gorąca.

Zamknęła za sobą drzwi. Po chwili usłyszałem odgłos płynącej wody. A zaraz potem zawołała mnie:

— Doss.

W jej głosie nie było prośby, brzmiał raczej tak, jakby chciała mi coś pokazać. Życie przez długi czas z wziętą projektantką nauczyło mnie rozróżniać takie rzeczy. Wszedłem do łazienki. Siedziała po brodę w jednej z tych głębokich, żeliwnych, pomalowanych na biało wanien stojących na potężnych lwich nogach. Krawędzie były zaokrąglone, a zagłówek tak wysoki, że można było na nim spokojnie położyć głowę. Jej lewe ramię spoczywało na krawędzi wanny. Uśmiechała się, ale nawet nie otworzyła oczu.

— Kiedy wrócimy do domu... chcę mieć taką wannę.

— Umowa stoi. — Nagle poczułem, że robi mi się gorąco.

Kiedy wszedłem do kuchni, Bob karmił z ręki Rocketa.

Dawał mu jajecznicę.

— Dzięki za wszystko, co zrobiłeś. Nie wiem, co by ze mnie zostało, gdybyś się nie zjawił.

Pokiwał głową, pozwalając psu zlizywać resztki jajecznicy z palców.

— Rocket lubi, jak jest dobrze osolona. A Petey nie tknie, jeśli nie dołożę cheddara.

— Jak to się stało, że pojawiłeś się w najodpowiedniejszej chwili

Gus — odpowiedział, wzruszając ramionami. — Znam go już kawał czasu. Pomógł mi, kiedy inni mnie olali.

— Cały Gus.

— Wie, że znam dobrze rzekę, a w związku z moją pracą potrafię szybciej ją pokonać niż większość ludzi.

— Pracą? — zapytałem.

— Latam... trochę.

Przyjrzałem mu się i kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce.

— To byłeś ty... wtedy na stacji benzynowej, podczas deszczu?

Parsknął śmiechem.

— Tak, dzięki za popchnięcie. Gus zadzwonił do mnie następnego dnia. Poprosił, żebym miał na was oko. Żebym sprawdzał, jak wam idzie. Trudno nie zauważyć kanu w kolorze mango.

— To by wyjaśniało, dlaczego brzęczałeś nad nami przez tydzień.

— Kiedy już wiedziałem, jak szybko wiosłujesz, mogłem też wyliczyć, w jakim tempie pokonasz poszczególne odcinki. Nieźle sobie dajesz radę.

— Praktyka — odparłem.

— Tak, tak... słyszałem.

Najwyraźniej sporo o mnie mówiono.

— Tego się obawiałem.

— Czy znasz Fishera?

Fishers General Store to ogólnie dostępna przystań dla łodzi po stronie Florydy. Można tam było kupić piwo, wodę, batony czekoladowe, robaki, kamizelki ratunkowe, wszystko, czego można potrzebować na rzece. Przydatne miejsce. Mieli tam też publiczne łaźnie, może nie najczystsze na świecie, ale kiedy jesteś przewodnikiem, a szczególnie gdy w grupie kobiety, które nigdy nie mieszkały w lesie, warto się zatrzymać w takim miejscu. W dolnym odcinku rzeki było to, można by rzec, rutynowe miejsce odpoczynku.

— Dorastałem, wożąc ludzi po tej rzece, więc pewnie raz czy dwa tam stawałem.

— Wpadłem tam akurat, żeby dostarczyć rachunek facetowi który jest właścicielem tego miejsca. Ma farmę na zachód stąd W każdym bądź razie tych czterech facetów kręciło się po przystani i z tego, co opowiadali, a mówili za dużo i za głośno, zorientowałem się, że nie mają najlepszych zamiarów. Więc wczoraj po południu zacząłem się rozglądać po rzece. Zacząłem od Pinckney.

— Hm... Zrobiłeś to na podstawie tego, co usłyszałeś od nich?

— Mam sporo praktyki. Kiedy was zauważyłem, zorientowałem się, że depczą wam po piętach. W White Oak jest pas startowy, z którego kilka razy korzystałem. Posadziłem moją maszynę na ziemi i trafiłem na was.

— Wiesz, co to za faceci?

— Czterech idiotów szukających kłopotów.

— Dlaczego wybrali właśnie nas?

— Hieny zawsze polują na najsłabszych.

— Skąd wiesz, czy nie podchodzą teraz do domu?

— Mogliby, ale... — uśmiechnął się. — Bardzo w to wątpię.

— A skoro mówimy o domu — rozejrzałem się. — Gdzie właściwie jesteśmy?

— Pamiętasz rzekę?

— Trudno ją zapomnieć — wzruszyłem ramionami.

— Kilka mil na wschód od Traders.

To był prawdziwy cios.

— Niedaleko linii wysokiego napięcia?

— Rzeczywiście, nieźle znasz rzekę. — Skinął potakująco głową. — Dwie mile.

Policzyłem w myślach. Właśnie straciliśmy około szesnastu A raczej cofnęliśmy się o tyle, czyli że musieliśmy pokonać po raz drugi to, co już nam się wcześniej udało. To był bolesny cios.

— Podejrzewam — mówił dalej — że teraz raczej zastanawiają się, jak wytłumaczyć w szpitalu, skąd mają takie obrażenia. — Pochylił się nad stołem, wskazał w kierunku łazienki, skąd dochodziły odgłosy pluskania się Abbie w wannie i wyszeptał:

— Wiem, że to nie mój biznes, ale dość jestem ciekaw twojej wersji historii. Dlaczego z tą damą płyniesz sobie rzeką?

— Ona jest moją żoną.

— To wiem, ale dlaczego, zważywszy na jej stan, nie znajduje się raczej w szpitalu?

Siedziałem, dziobiąc widelcem kawałki jajka na talerzu.

— To dość długa historia — odparłem w końcu.

Zerknął na zegarek.

— Czy miałeś okazję oglądać wiadomości?

Potrząsnąłem głową.

— Nie miałem gdzie.

Pstryknął pilotem, zwiększył głośność i rozsiadł się wygodnie w fotelu, składając ręce na brzuchu. Na ekranie pojawił się napis: **OSTATNIE DONIESIENIA NA TEMAT ABBIE ELIOT.**

Petey skakał po stole, wykrzykując:

— Newsy! Newsy!

W tym momencie zrozumiałem, że nasza podróż w dół rzeki dobiegła końca.

ROZDZIAŁ 33

Spędzając tyle czasu na terapiach, Abbie musiała poznać inne kobiety. Wszyscy chorzy na raka trzymają się razem, ale więź między kobietami mającymi raka piersi jest wyjątkowa. Jedną z tych dziewczyn była Deborah Fanning. Deborah, czy jak zwracano się do niej — Debbie, rozgrywała podobną batalię: podwójna mastektomia, potem przerzut, lekarze szukali, gdzie się rak pojawi. Przez pierwsze kilka miesięcy jej mąż, Rick, przyjeżdżał razem z nią. Oboje pracowali, mieli duży dom w Miami, dom wakacyjny, jacht, wydawało się, że niczego im nie brakuje do szczęścia. Ale kiedy miesiące mijały, widywaliśmy go coraz rzadziej. I wreszcie przestaliśmy go widywać w ogóle.

Debbie wzruszyła tylko ramionami i powiedziała:

— Wiecie, jakie jest życie akwizytora. A jakoś trzeba spłacić hipotekę. — Nie była najlepszym kłamcą.

Na sugestię Abbie poprosiłem, żeby jej dali pokój koło naszego. Udało się i zaczęliśmy spędzać dużo czasu razem. Oglądaliśmy filmy, wtedy kiedy mogły, jadaliśmy wspólnie, opowiadaliśmy sobie różne historie, snuliśmy plany na przyszłość, kiedy pokonamy raka. Wozilem je obie po parkingu. Wieszaliśmy na Georgiem dwie kropłówki i pchałem też dwa wózki. Debbie była o cztery lata młodsza od Abbie i była piękną dziewczyną. Ona także straciła włosy i chociaż nigdy się do tego nie przyznała, to ją przerażało. Dość szybko zorientowaliśmy się z Abbie, że jej komórka nigdy nie dzwoni. Rick nigdzie nie podróżował.

Pewnego popołudnia wszedłem do pokoju i zastałem Abbie we łzach. Coś ją mocno rozgniewało.

— Czy zamierzasz rozwieść się ze mną? — wybuchnęła.

— Co?

— Mów prawdę.

— Nie. Abbie, na Boga...?

Rzuciła mi w twarz jakieś papiery.

— No cóż, Rick właśnie to zrobił. — Wskazała drzwi. — On tam jest i właśnie jej mówi, że tak będzie najlepiej i że to wszystko jej wina.

Stałem oparty o ścianę i przysłuchiwałem się. Miała rację. Otworzyłem drzwi do pokoju Debbie, zrobiłem trzy kroki w jego stronę i po prostu walnąłem go z całych sił. Facet padł na ziemię zalany krwią.

— Nie zasługujesz na nią — powiedziałem tylko. Po czym wziąłem Debbie na ręce i zaniósłem do naszego pokoju. Została z nami do końca. Zmarła po trzech miesiącach.

Rick miał ją na sumieniu. I mówiąc uczciwie, miałem nadzieję, że długo mu to nie da spokoju.

I tak toczyło się nasze życie. Terapia, podróż, badania, badania i jeszcze raz badania, wyniki coraz gorsze. Walka stawała się rodzajem chińskiej tortury, która nas osłabiała.

Miesiąc zlewał się z miesiącem. Rak jest chorobą, w której chore komórki pojawiają się w różnych miejscach, a chemii na nie poluje. Komórki rakowe to wiedzą, więc ukrywają się, udając co innego, i w końcu udaje im się wygrać z chemią. Podobnie jak bakteria, która stara się pokonać antybiotyk i wreszcie sama staje się niepokonana. Żyje się nadzieją, że uda się ją zabić, zanim ona to zrobi. Nie chcesz pozwolić, by nowotwór wymknął się spod kontroli, ale jakimś sposobem on jest zawsze o krok przed tobą.

Byliśmy w szpitalu od kilku tygodni. Abbie walczyła z infekcją. Ja spałem na podłodze koło jej łóżka. Była siódma rano kiedy udało nam się wreszcie zasnąć, co było złym momentem, bo wtedy zmieniają się dyżurni lekarze. Gdzieś nad głową Abbie rozległ się brzęczyk alarmu, przez opary snu słyszałem głos siostry oddziałowej:

— 1054 potrzebuje kroplówki.

Minęło kilka minut i usłyszałem to znowu.

— Kroplówka do 1054.

Myślałem: Kto to jest 1054? Kim jest 1054? I wreszcie: Kto jest w 1054?

Wszedłem do pokoju pielęgniarek, w którym wszyscy zbierali się właśnie na poranną zmianę. Piętnaście pielęgniarek i praktykantek stało, czekając na polecenia lekarza. Gwizdnąłem, jak mogłem najgłośniej. Może nie wyglądałem najlepiej, bo zapadła cisza, jak makiem zasiał, wszyscy jednak popatrzyli na mnie. Podniosłem do góry rękę i zawołałem:

— Wszyscy! Za mną.

Wiedziałem, że nie zdobędę tym sobie sympatii, ale musiałem to zrobić. Co dziwniejsze, poszli. Może dlatego, że byłem zięciem senatora. Zaprowadziłem ich do pokoju, w którym leżała Abbie, zgromadzili się wokół jej łóżka. Budziła się z trudem. Stanąłem koło jej głowy i powiedziałem:

— Chciałem was wszystkich przedstawić mojej żonie. To jest Abbie Michaels. Możecie mówić do niej po prostu Abbie. — Spoglądali na mnie jakoś dziwnie. Wziąłem ją za rękę. — Jest żoną, córką, przyjacielem, lubi gestykulować, nosiła dzinsy i potrafiła dostrzec piękno tam, gdzie inni go nie widzieli. — Zamilkłem. — Ona nie jest i nigdy nie była „1054”. Lekarz potrząsnął tylko głową i ruszył do wyjścia. Siostra

oddziałowa odezwała się:

— Panie Michaels, prawo stanowi, że my nie... Odciałem lekarzowi drogę i zamknąłem mu przed nosem drzwi. Fuknął, wszyscy na nas patrzyli.

— Wiem, że ciężko pracujecie. O wiele ciężiej niż ludzie myślą. Jestem wdzięczny za to, co robicie i jak robicie, ale to nie żona aktu prawnego leży w tym łóżku. Muszę was prosić, byście nie spoglądali na tę kobietę jak na numer. Kolejną daną w statystyce. Tym, co nas utrzymuje przy życiu jest nadzieja. A mówiąc całkiem szczerze, mało jej tu otrzymujemy. — Złączyłem

przed sobą dłonie. — To jest jak próba zatrzymania wody. Proszę, nie zabierajcie nam tej odrobiny która nam pozostała. Proszę.

Kiedy wychodzili, podawałem im kolejno dłonie i spoglądając na plakietki, mówiłem:

— Bill, Ann, Elaine, Simon, Dean, Ellen, Amy...

Zrozumieli.

Kilka dni później przechodziłem koło pokoju pielęgniarek i usłyszałem jak jedna z nich, pokazując głową w kierunku naszego pokoju, mówi szeptem:

— Serwisowana Wysokość potrzebuje nowych prześcieradeł.

Wzruszyłem ramionami. Przynajmniej było to lepsze niż „1054”. Nagle zorientowałem się jednak, że tak naprawdę chodzi o mnie. Przechyliłem się zatem przez okienko i odezwałem się do niej i do innych sióstr zapisujących coś w kartach pacjentów.

— Ma pani rację. Dla mnie ona jest najważniejsza. Ale pozwolę każdej z was zamienić się z nią na miejsca.

Od tej chwili już przestały właściwie ze mną rozmawiać. Nie jestem z tego powodu szczególnie dumny. Nie było to ani zabawne, ani mądre i na pewno w ten sposób nie zdobywa się przyjaciół oraz nie zyskuje się przychylności ludzi. Chcę przez to tylko pokazać, gdzie się znalazłem. A dno nie jest najprzyjemniejszym miejscem.

Problem w tym, że musiałem pokonać jeszcze kilka pięter w dół, nim dotarłem do fundamentów.

ROZDZIAŁ 34

7 CZERWCA, PÓŹNY PORANEK

Petey przechadzał się dumnie po stole, podczas gdy Bob ustawiał antenę, poprawiając odbiór, a ja siedziałem, stukając się palcem po brodzie. Dziennikarka zmrużyła oczy i obniżyła timbre głosu. Wyglądała szalenie melodramatycznie.

— Stoję przed biurem doktora Gary'ego Fencika, lekarza pierwszego kontaktu w obszarze miasta Charleston. Zaprzyjaźniony przez całe życie z Abbie Eliot doktor Fencik aktywnie brał udział w procesie jej leczenia od początku choroby. Charlestońska policja wydała właśnie oświadczenie, z którego dowiadujemy się, że jest w posiadaniu nagrania wideo, na którym widać Dossa Michaela, jak kradnie z szafy znajdującej się w tym budynku ogromne ilości trzech rodzajów narkotyków.

Kobieta prowadząca program w studio, przerwała jej:

— Virginio, czy wiemy, jak Doss Michaels tam się dostał?

— Władze uważają, że miał dostęp zarówno do kluczy, jak i kombinacji szyfru.

— Jakie ilości narkotyków znalazły się w posiadaniu Michaela?

— Całkiem spore, a cytując jednego z pracowników, który powiedział mi to poza kamerą: „dość, żeby zabić słonia”.

Bob wyłączył telewizor.

— Czy coś z tego jest prawdą?

Głęboki wdech.

— Tak — powiedziałem cicho.

— Co konkretnie?

— No cóż... pewnego punktu widzenia to właściwie wszystko.

Spojrzał na parapet, gdzie elektryczny panel wskazywał temperaturę, wilgotność, kierunek wiatru, ciśnienie, wysokości przyływu i odpływu oraz prawdopodobieństwo opadów deszczu podane w procentach. Zmarszczył się, zerknął na zegarek i wstał.

— Osobiście uważam, że masz nierówno pod sufitem, ale wyobrażam też sobie, że musisz mieć naprawdę poważny powód, bo inaczej po prostu by was tu nie było. I że najprawdopodobniej uważasz, że wiesz, co robisz, co tylko potwierdza, iż jesteś szurnięty. Tak czy siak masz świra. — Jeszcze raz spojrział na odczyty. Prędkość wiatru spadła o dwie mile na godzinę. — Muszę iść do pracy. Będę z powrotem o zmierzchu.

Wciągnął koszulę i ruszył w stronę drzwi.

— Poczekaj — wrzasnąłem za nim. — Jeśli zamierzasz donieść na nas policji lub zadzwonić do mojego teścia, niewiele mogę zrobić, żeby cię powstrzymać, ale wolałbym wiedzieć o tym wcześniej.

Zatrzymał się, założył okulary przeciwsłoneczne i potrząsnął głową.

— Jeśli policja się tu pokaże, to z pewnością nie za moją sprawą. Ale jeśli można ci coś poradzić, sam powinieneś do nich zadzwonić. Poddać się na własnych warunkach jest dużo lepiej, niż być złapanym. — Uśmiechnął się.

— Mówisz na podstawie własnego doświadczenia?

— Owszem.

Odwrócił się znowu do drzwi, a ja krzyknąłem za nim jeszcze raz:

— A co ty właściwie robisz? To znaczy... Z czego żyjesz?

Odpowiedział mi kolejny zadowolony z siebie uśmiech.

— Lotnictwo rolnicze.

To wiele wyjaśniało. Machnął dłonią, wskazując na dom.

— Czuj się jak u siebie. Ubrania w szafie. *Mi casa es su casa*.

— Nie mam pojęcia, co to znaczy.

— Mój dom jest twoim domem.

Zagwizdał, Rocket pobiegł za nim i we dwóch zniknęli na mocno wydeptanej ścieżce prowadzącej w stronę rzeki. Stałem na zewnątrz, przysłuchując się pluskom dochodzącym od strony łazienki. Abbie najwyraźniej baraszkowała niczym delfin. Jakies pięć minut później usłyszałem, jak silnik samolotu zaskakuje, po czym wchodzi na wysokie obroty. Po kilku sekundach dźwięk powrócił. Stearman przemknął nad szczytami drzew, wystrzelił w niebo, zrobił pętlę, beczkę, przeleciał nad nami do góry nogami. W tej właśnie pozycji Bob mi pomachał.

Podczas gdy Abbie brała kąpiel, ja wetknąłem rewolwer za pas i ruszyłem na obchód domu. Gdyby czterech *amigos* miało powrócić, wołałem wiedzieć, co i gdzie znajdę. Nie byłem tylko przekonany co do rewolweru. Ale uznałem, że lepiej by siedział za pasem, niż leżał na łóżku. Siedziba Boba była starym, rzeczonym domem, zbudowanym na skarpie po stronie Georgii. Przeszedłem się ścieżką, na której nasz gospodarz zniknął. Prowadziła do pasa startowego i hangaru. Pas był ziemny i bardzo krótki, co doprowadziło mnie do konkluzji, że musiał być niezłym pilotem. O hangar stały oparte dwie motorynki. Jedno siodełko było znacznie mniej zakurzone niż drugie. Do domu wiodła droga gruntowa.

Widać ją było na jakieś pół mili, do miejsca gdzie przecinała się z

inną drogą gruntową. Miękką ziemię żłobiły świeże ślady opon. Uświadomiłem sobie, że za bardzo oddaliłem się Abbie, więc zawróciłem.

Za domem, po stronie rzeki, na urwistym klifie stała niewielka chatka. Podobnie jak dom Boba zarośnięta była drzewami. Trzeba było nie lada

spozstrzegawczości, by ją zauważyć. Obszedłem ją wokół, zajrzałem przez okna i sprawdziłem drzwi, ale były dokładnie zamknięte.

Wyglądało na to, że znajdujemy się w jakiejś leśnej głuszy. Nigdzie nie było widać żadnego innego domostwa. Z powietrza — myślałem — też pewnie nie można zauważyć niczego poza drzewami. Gdybym nie wiedział, że jest inaczej, pomyślałbym sobie, że i Bob się ukrywa. Znałem dobrze ten zakręt rzeki, przepływałem tędy tyle razy, ale poza zalesionym brzegiem niewiele widziałem.

Wróciłem do domu akurat w chwili, gdy Abbie wychodziła z wanny. Oparła się na mnie ramieniem, a ja pomogłem jej wsunąć się w szlafrok i położyć na kanapie, potem zacząłem się rozglądać za jakąś koszulą, bo ta, którą ukradłem ćwiczącym jogę, była już całkiem zniszczona. Poszedłem więc do pokoju Boba, otworzyłem szafę i zacząłem przeglądać ubrania. Nie miał ich za wiele. Strojenie się nie należało do jego pasji. Znalazłem płócienną koszulę na zatrzaski i ściągnąłem ją z wieszaka, myśląc, że taką Abbie będzie łatwiej zapinać. Już miałem zamknąć drzwi, kiedy zauważyłem wiszący w szafie list oprawiony w ramki. Był częściowo zakryty białą sukienką. Odsunąłem wieszak i przeczytałem. List był od przedstawiciela biskupa Florydy, z datą: 1988. Zacząłem go czytać:

Wielebny Robert Porter,

Celem niniejszego listu jest poinformowanie o decyzji, zgodnie z którą przestaje Ksiądz pełnić obowiązki kapłana i proboszcza kościoła w parafii pod wezwaniem św. Piotra— Dostarczony do rąk własnych i pokwitowany przez Księdza oznacza akceptację i podporządkowanie się niniejszej decyzji. Zgodnie z prawem Kościoła katolickiego, jak również w związku z naruszeniem przez Księdza prawa stanu Floryda oraz naruszeniem zaufania parafian i porzuceniem wspólnoty religijnej, której miał Ksiądz przewodzić, zostaje Ksiądz niniejszym zwolniony z obowiązków duszpasterskich i pozbawiony prawa reprezentowania Boga w świecie doczesnym oraz udzielania sakramentów, które to prawo otrzymał Ksiądz wraz ze święceniami

kapłańskimi. Prosimy o natychmiastowe opuszczenie parafii św. Piotra i poinformowanie kurii biskupiej o dokładnej dacie odejścia.

W służbie Bożej,

mons. Phillip Turgrid,

doktor prawa kanonicznego i filozofii

Przyjrzałem się bliżej białemu wdzianku, uświadamiając sobie, że nie jest to wcale sukienka. Na następnym wieszaku wisiał strój duchownego wraz z koloratką, trzy długie komże i kilka wielobarwnych stuł, które księża przy różnych okazjach wkładają na sutanny.

Przygotowałam Abbie na obiad zupę, ale ponieważ już tak wiele nakradłem w ostatnim tygodniu, nie mogłem się zmusić, żeby okradać i księdza. Nawet ekskomunikowanego. Abbie wypła większość barszczu i zjadła połowę klusek, zagryzając krakersami. Kiedy skończyła, zaniósłem ją z powrotem na kanapę. Przykryłem kocem i wyszedłem na werandę.

Jedyny dźwięk, jaki tu dochodził, to podzwanianie metalowych obręczy ocierających się o metalowe uchwyty przytwierdzone do ściany. Petey balansował na kołku ponad moją głową. Wyglądał na bardzo zadowolonego, choć gdyby uznał, że najwyższy czas, by udać się do toalety, znalazłbym się w nie lada kłopotcie. Patrzyłem na drzewa, porastające przepływającą u moich stóp rzekę. Po południu kilka razy włączyłem telewizor, żeby obejrzeć wiadomości. Nie byłem pewien, co myśleć na temat facetów, którzy nas napadli, ale jeśli widzieli informacje na nasz temat albo obejrzeli konferencję senatora, mogli się udać do władz z nieco nagiętą historyjką, w nadziei że może im się to opłacać. Nie byłem pewien, gdzie powinienem pójść ani co zrobić. Gdybyśmy wrócili do domu, senator niewątpliwie by wkroczył. To byłoby bardzo nieprzyjemne i czułem, że mój wspólny czas z Abbie dobiegłby końca. Gdybyśmy pokazali publicznie swoje twarze, ryzykowaliśmy zatrzymanie, słowem: wiedziałem, że muszę być bardzo ostrożny. Co więcej, kimkolwiek byli ci, którzy na nas napadli, pewne było, że nie odpuszczą tak

łatwo. Poprzednim razem mieliśmy dużo szczęścia. Drugi raz tak nam się nie uda.

Samolot Boba wylądował godzinę po zmierzchu. Dziesięć minut później usłyszałem kroki na schodach i dźwięk otwieranych drzwi. Chwilę później Bob pojawił się na werandzie z butelką tequili w jednej i cygarem w drugiej ręce.

— Ponieważ jesteście gośćmi w moim domu, może byście się też spotkali z Jezusem.

Podniosłem głowę z hamaka.

— Masz takie kwalifikacje?

Widział, że Abbie leżała w jego koszuli, i wyciągnął odpowiednie wnioski. Przytaknął.

— Kiedyś miałem.

Wiedziałem, że winienem mu wyjaśnienie.

— Ta choroba trwa od kilku lat. Przyznaję, że nasze zmagania z nią spowodowały, iż skupiliśmy się na sobie, zapominając trochę o świecie. Rzadko zastanawiam się nad czymś poza naszymi potrzebami. Nie usprawiedliwiam się, choć wiem, że świadczy to o pewnej niewrażliwości. A za to chciałem przeprosić.

Potrząsnął głową.

— Wydaje mi się, że zasłużyliście na zrozumienie.

— Jak zostałeś księdzem?

— Po studiach znalazłem się w Rzymie. Cztery lata pracowałem w Watykanie. Wydawało mi się, że czuję powołanie. Zostałem skierowany do małej parafii gdzieś w Missisipi, potem na Florydzie. I wreszcie w Georgii.

— I co się stało? — kiwnąłem głową w kierunku szafy.

— A, tamto. — Uśmiechnął się i wziął spory łyk. — Chcesz usłyszeć uczciwą odpowiedź?

— Jasne. — Wzruszyłem ramionami.

— Zbyt dużo ukradłem z parafialnej kasy i przespałem się ze zbyt wieloma kobietami z mojej parafii.

— To uczciwe wyznanie? — nie dowierzałem.

— Dwanaście lat w więzieniu potrafi z ciebie wytrząsnąć wszystkie skrywane kłamstwa.

Pociągnął znowu z butelki, po czym zapalił cygaro. Wiatr niósł dymek, po którym po chwili nie było ani śladu, rozplynał się pomiędzy drzewami. Zaciągnął się cygarem, po czym przyglądając się rozżarzonemu koniuszkowi, zapytał:

— Zastanawiałeś się, jakie macie możliwości?

— Nie jestem pewien, czy w ogóle jakieś mamy.

Wskazał cygarem gdzieś przed siebie.

— Wynajmuję domek. W tym momencie stoi pusty. — Roześmiał się. — Prawdę mówiąc, stoi pusty już od jakiegoś czasu. Ostatnim facetem, który się tam ukrywał, był gość, który kierował jakimś funduszem inwestycyjnym. Wydaje mi się, ^{ze} nazywał się Thad, ale na sto procent nie pamiętam. Przez blisko dziesięć lat był prawdziwą gwiazdą, ale potem podjął kilka złych decyzji i rynek się od niego odwrócił, a on nie mógł pokryć zobowiązań. Nie będę udawał, że to wszystko rozumiem, ale tak czy siak skończyło się na bankructwie, zarówno jego, jak i jego klientów. Chcieli jego głowy. A on wtedy uznał, że całe życie pragnął być artystą. Problem tylko w tym, że nikt nie chciał kupować jego obrazów. — Pokiwał głową. — Może dlatego, że nigdy nic nie namalował. Już dawno go nie widziałem. Możecie tam mieszkać tak długo jak tylko wam się podoba. — Stuknął cygarem, strząsając popiół, po

czym zerwał kawałek suchej skóry z wargi. — Czasami... — Oblizwał usta. —
Warto zaczekać, by sztorm ucichł... nim się wyruszy.

* * *

Rzucaliśmy długie cienie w świetle księżyca, kiedy niosłem Abbie do chaty. Przekręciłem klucz w zamku i pchnięciem otworzyłem drzwi. W środku było czysto i pachniało cedrem. Poszukałem dłonią i natrafiłem na włącznik światła. Całe pomieszczenie wyłożone było tym drewnem. Pokój podzielono na dwie części, po stronie — nazwijmy — mieszkalnej stało łóżko wsparte na czterech kolumnach, przysunięte do jednej ze ścian. Tuż obok komoda i toaletka, umywalka i lustro. Kierowano się funkcjonalnością, nie estetyką. Po drugiej stronie, tej, której okna od podłogi po sufit wychodziły na rzekę, znajdowało się studio malarskie. Trzy sztalugi, kilka rolek płótna, pojemniki z farbą, pędzle, noże i wszystkie te różności używane przez malarzy. Najwyraźniej facet miał świra na punkcie porządku, bo wszystko leżało równiutko poukładane. Nawet farby. Te ułożono alfabetycznie i tak, żeby można było łatwo odczytać opisujące je etykiety. Zmieniłem prześcieradła i ułożyłem Abbie na łóżku.

Kilka następnych godzin spędziłem, przeglądając jego obrazy i szkice ołówkiem, które znalazłem w plastikowym koszu w rogu pokoju. Widniały na nich „uchwycone” ptaki, konary drzew, liście, ryby, kościół, wszystko, co dało się zobaczyć przez okno tego studia. Dotykając zebranych na biurku i w szufladzie przyborów malarskich, szukałem w pamięci, kiedy po raz ostatni coś namalowałem — cokolwiek: Musiało to być ponad trzy lata temu.

Spoglądałem przez okno i usiłowałem sobie przypomnieć, jak to miejsce wygląda, gdy patrzy się na nie od strony rzeki. Tyle razy tędy przepływałem, ale miałem mgliste pojęcie. Pamiętałem, że rzeka najpierw zawraca, po czym skręca pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, potem sunie prościutko prawie pół mili i znowu zakręca ostro w lewo i w ten sposób staje się granicą Georgii. Jednak wciąż nie mogłem sobie uprzytomnić, gdzie stoi dom Boba i ta chata ukryta pomiędzy drzewami. I to mnie cieszyło. Ponieważ potrzebowaliśmy miejsca, by się ukryć. A tu mogło się nam udać.

Tuż przed chatą płynął strumień, który spływał kawałek dalej do rzeki. Czoło Abbie było zmarszczone, błękitna żyłka pulsowała na skroni. Podciągnąłem nakrycie aż pod sam jej nos, złapałem latarkę i wyszedłem na werandę. Popatrzyłem na księżyc, na strumień i zajrzałem w głąb siebie. To, co zobaczyłem, nie spodobało mi się, więc zszedłem po schodach i ruszyłem wzdłuż strumienia.

Księżyc kilka godzin temu był jasny, ale teraz po prostu promieniał. Ścieżka wzdłuż brzegu była wąska, woda w strumieniu głęboka. Musiała płynąć tędy od dawna, biorąc pod uwagę jej głębokość i wystające korzenie, które najwidoczniej zostały odsłonięte wiosną, gdy prąd był najszybszy. Rzecznicy przewodnicy zawsze poszukiwali miejsc, gdzie mogli znaleźć świeżą wodę. Klienci lubili te chwile, bo były namiastką Przygody pod tytułem: „Poszukiwanie skarbów zatopionych Przez piratów”, a my mieliśmy łyk świeżej, czystej wody. Wszedłem do strumienia, woda przyjęła mnie, zakrywając po biodra. Prąd łagodnie mnie omywał. Postanowiłem dać się mu ponieść. Nie uszedłem daleko, gdyż strumień zakręcał w stronę łądu, przecinał klif i kończył w miejscu, gdzie kiedyś mogło być jezioro. Teraz wyschnięte, porośnięte wierzbami płaczącymi i brzoźami, których pnie łuszczyły się białymi płatami. Pośrodku stał budynek.

Zanurkowałem pod gałęziami wierzby. Jej długie, zielone witki pogłaskały mnie po plecach, nim ruszyłem w stronę domu ścieżką zrobioną z pni drzew. Pnie przecięte były na pół i ułożone gładką stroną do góry, jak podkłady kolejowe w pewnej odległości od siebie. Poświeciłem latarką. Stare drewno pociemniało z wiekiem, musiało być ścięte dawno temu. Wzór na drewnie był niezwykle, można powiedzieć psychodeliczny. Coś takiego powstaje, gdy DNA organizmów, które pasożytują na drzewie, krzyżuje się z DNA samego drzewa. Szedłem dalej, zastanawiając się, dlaczego ktoś miałby budować dom w takim właśnie miejscu. Dach wykonany był z cedrowego gontu i porośnięty zielonym mchem. Sądząc po linii na drewnie, dom musiał znajdować się w czasie przyływu pod wodą. To mogło tłumaczyć, dlaczego wyglądał, jakby od dłuższego czasu był opuszczony. Zbudowany został jakąś stopę nad gruntem, na palach wbitych w piasek. Pale miały ponad stopę średnicy i były

obciosane za pomocą siekiery lub topora ciesielskiego. Potężne, nierówne dechy stanowiły oszalowanie ścian. Budynek musiał mieć jakieś sto, może sto pięćdziesiąt lat. Miał wysokie okna zakryte okiennicami szerokimi na trzy stopy i wysokimi na siedem. To zaś dowodziło, że postawiono go, zanim zaczęto używać w tych stronach szkła. Okiennice, zawieszane na górnych zawiasach, otwierały się od dołu. Obszedłem budynek. Poświeciłem latarką na dach i otrzymałem odpowiedź na swoje pytanie.

Może nawet piraci potrzebują Boga.

Frontowe drzwi wisiały na wielkim zardzewiałym metalowym zawiasie, który mógł pochodzić z jakiegoś wiekowego statku. Rzeźbiony kołek w roli skobla wetknięty był w metalową obręcz. Wypchnąłem go za pomocą latarki i oparłem się o drzwi. Wewnątrz stało w równych rzędach kilkanaście prostych ławek bez oparć. Mogło się tu zmieścić, siedząc lub stojąc, jakieś pięćdziesiąt osób, oczywiście gdyby nie przeszkadzał im ścisk. Wszystko było zniszczone, zakurzone, pokryte pajęczynami, nieużywane od dziesiątków lat. Pośrodku, wzdłuż przejścia, widniał rząd dziur. Stałem tam, ociekając wodą, i zastanawiałem się, czemu ktoś miałby niszczyć dobrą podłogę. Woda spływała ze mnie, wypełniając szczeliny, po czym znikiała. Dreny. Na tyle duże, że mogła się w nich zmieścić jaszczurka, ale już nie wąż. Na tylnej ścianie, ponad oknem, ktoś wyciął na pojedynczej belce podtrzymującej dach kunsztowny napis. Po latach trudno go było odczytać, ale pomagając sobie palcami odcyfrowałem: *Kiedy pokonasz wodę...* Napis biegł dalej, ale moje ramię było nazbyt krótkie.

ROZDZIAŁ 35

Jakoś w połowie tygodnia lekarze stwierdzili, że muszą zastosować bardziej agresywną terapię i wyznaczyli termin na najbliższy poniedziałek, co oznaczało, że weekend mamy dla siebie. W piątek rano zawiązała mi na oczach przepaskę, zaprowadziła do swojego samochodu, po czym jechała cztery godziny, nie przestając mówić o wszystkim i niczym. W końcu zaparkowała na żwirowanym parkingu i zaprowadziła mnie do kanu. Ale to nie dość, bo potem wiosłowała ponad godzinę, podczas gdy ja siedziałem na drugim siedzeniu, kręcąc młynka palcami i strasząc ją, że nas wywróczę. Dźwięki i zapachy, jak również smak wody mówiły mi, gdzie mniej więcej się znajdowaliśmy, ale nie byłem tego na sto procent pewny. Dopiero o zachodzie słońca, kiedy kanu przybiło do brzegu, wyprowadziła mnie na piasek, usiedliśmy i wtedy wyszeptała mi do ucha:

— Chcę, żebyś mi coś obiecał.

Nie musiałem otwierać oczu. Wyciągnąłem przed siebie nogi, czując jak rzeka St. Mary łagodnie omywa moje palce. Tutaj spędziliśmy ostatnią noc naszego miesiąca miodowego, biwakowaliśmy wtedy pod cedrami, dym naszego ogniska unosił się do konarów drzew. Cedar Point jest najbardziej na południowy wschód wysuniętym miejscem stanu Georgia. Może mieć z akr powierzchni, ten mały cypelek suchego lądu wznosi się nad mokradłami jak kurhan. Otoczony bagnem, ukryty pomiędzy palmami, cedrami, dębami i ostrą trawą, niczym mała wyspa pozostaje nietknięty i nieznaną nawet dla większości miejscowych. Paręset jardów na zachód albo w górę rzeki znajduje się historyczne miasto St. Marys. Jakąś milę dalej, po drugiej stronie rzeki rozciąga się Floryda. Po naszej lewej, czyli na południowy wschód od nas, w odległości może pięciu mil, rozciągała się plaża Fernandina. A na północ od

niej, czyli na wschód od nas, była wyspa Cumberland. Pomiędzy nimi rozciąga się Ocean Atlantycki. Słowem: to wyspa nieskończonych możliwości.

Usiłowała trzymać się. Sama wyciągnęła korek i naląła mojego ulubionego wina, *Writers Block*, do dwóch plastikowych kubków.

— O co chodzi? — spytałem, wciąż niewiele rozumiejąc.

Dotknęła swoim kubkiem mojego.

— Powiedz: „obiecuję”.

— Ale nie wiem, co obiecuję.

Wypiła trochę.

— Powiedz.

— Ale...

— Powiedz — nalegała.

Ja też trochę wypilem.

Obiecuję.

— Hm... Nie brzmiało to szczerze.

— No cóż, może gdybyś mi powiedziała, co obiecuję, włożyłbym w to więcej serca.

— Ale obiecałeś?

Podniosłem w górę rękę.

— Tak, obiecałem.

Zawahała się, wpatrując w wodę. W pewnej odległości delfin przeciął powierzchnię płetwą grzbietową, zrobił koziołka i zniknął. Chwilę później kilka następnych powtórzyła tę samą akrobację.

— Jeśli... z jakiegoś powodu... znajdę się w miejscu, gdzie... gdzie coś się wydarzy i ja już nie będę sobą albo co gorsza, my nie będziemy, jacy wciąż jeszcze jesteśmy... — Próbowałem ją powstrzymać, ale potrafiła być całkiem mocna, odpędziła mnie. — Chcę, żebyś mnie tutaj przywiózł. — Położyła rękę na opasce. — Dokładnie w to miejsce. — Spowiała nas cisza. — Żeby nie wiem, co się działo.

Szarpnięciem ściągnęła chustkę. Zabawa się skończyła. Zmrużyłem oczy, poraziło mnie słońce.

— Obiecuję ci to.

Położyła się na plecach, opierając lewą nogę na zgięciu prawego kolana — niczym postać z „Tomka Sawyera”. Przyglądała się czerwonemu lakierowi łuszczącemu się na paznokciu dużego palca u nogi.

— I jeszcze jedno.

— Czy już przez to nie przechodziliśmy? — uniosłem nieco brwi.

Przyglądała się osmalonym od ognia lianom zwisającym wokół nas.

— Przyjedziesz tutaj i kupisz to miejsce.

Jeszcze wtedy wierzyła.

— Nie wiem nawet, czy ono jest na jakiegokolwiek mapie.

— W takim razie nie powinno być zbyt drogie. Powiedz, że to zrobisz.

Spoglądałem przed siebie na wodę.

— Obiecuję.

Podążając za ławicą ryb, delfiny przepłynęły kilka kroków od brzegu, nurkując, by wynurzyć się kilka stóp dalej. Jeden wyskoczył w powietrze, obrócił się, zamigotał, po czym rozpryskał wodę, uderzając o jej taflę ogonem. Abbie krzyknęła zachwycona, zapomniała o swych lękach, weszła trzy kroki do wody, delfiny ją otoczyły, jeden zaś otarł się o jej udo.

ROZDZIAŁ 36

8 CZERWCA, PORANEK

Kiedy się obudziłem, było ciemno, niebo zakrywały chmury. Zbierało się na deszcz, od czasu do czasu pojedyncze krople spadały na rzekę. W rogu pomieszczenia stała bambusowa wędka. Leżałem. Był wczesny poranek. Abbie przerzuciła przeze mnie prawą nogę. Jej noga była gładka i ciepła. Jakąś godzinę po wschodzie słońca usłyszałem dźwięk korby stearmana, który przeszedł w żywe turkotanie motoru, potem odleciał gdzieś dalej. Przez chwilę panowała cisza, a potem znowu powrócił nad nasze głowy.

Ten dźwięk ją obudził. Wtoczyła się na mnie. O czymś musiała myśleć, bo nie traciła czasu. Pokazała na wędkę.

— Czy ona działa?

— Chyba.

— Jaki rozmiar?

— Może czwórka. A może dwójka. Jest dość stara.

— Można łowić na muchę?

— Da się.

— Kupiona na przecenie?

Potrafiła być konkretna do bólu.

— Może być zbutwiała — ostrzegłem.

Wstała z łóżka, wciągnęła szorty, włożyła przez głowę górę od bikini.

— Zwiąż mi. — Zrobiłem to, myśląc o tym, jak luźno zwisa. Poprawiła sobie górę kostiumu, jakby to były szelki. — Kiedyś nie były luźne.

Zmusiłem się do uśmiechu.

— Nie.

Złapała słomiany kapelusz, który leżał na półce i polizała koniec żyłki, po czym umocowała muchę. A pięć minut później wchodziła do wody.

— Zimna.

— To z powodu deszczu — wyjaśniłem rzeczowo.

Stała po pas w wodzie, potrząsając żyłką, żeby mucha wyschła. Potem zamachnęła się nią niczym lassem i wypuściła, pozwalając, by żyłka śmignęła ponad wodą. Powoli zaczęła ją ściągać. Zagryzła wargę. Wiedziałem, że po całym dniu łowienia będzie ją miała całkiem pogryzioną. W wodzie aż kłębiło się od ryb, gotowych łapać przynętę. Zamknąłem oczy i czekałem. Kołowrotek pracował wstecz, naciągając żyłkę. Abbie parsknęła śmiechem i wyciągnęła rybę. Uniosła w górę koniec wędki i zanurzyła głębiej do wody. Delikatnie pociągnęła i po chwili rzuciła rybę na brzeg. Okoń leżał, trzepocząc się na piasku, skrzela otwierały mu się i zamykały niczym akordeon.

Wyciągnąłem haczyk, włożyłem rybę do rzeki, odczekałem chwilę, żeby skrzela napełniły się wodą. Ożywiony zimną wodą i dawką tlenu wyrwał się na wolność, po sekundzie zniknął w głębinie. Abbie przesuwiała się powoli w górę rzeki, zmierzając ku ciemnej dziurze przy drugim brzegu.

Łowiła do lunchu.

Do trzeciej po południu uwolniłem czterdzieści siedem leszczy i osiem okoni o niewielkich pyszczkach. Wreszcie odłożyła wędkę, usiadła i zagłębiła palce w piasku. Miała tak zarumienioną twarz, że podałem jej kubek wody i lizak. Nadleciał bielik, usiadł wysoko na drzewie, jakieś pięćdziesiąt kroków od nas. Biała głowa i złoty dziób lśniły w słońcu Przygadał się uważnie rzece,

nagle wystrzelił z gałęzi w stronę wody, przeciął powierzchnię szponami. Jego potężne skrzydła uderzyły o wodę, jakby się odbijał, i po chwili wzleciał w powietrze. Wzniósł się na wysokość czubków drzew, zatoczył koło i znowu wylądował na gałęzi, gdzie zaczął rozprawiać się z rybą. Abbie zamknęła oczy i uśmiechnęła się.

— To załatwia punkt szósty.

— Tak.

Położyła się na plecach, zamknęła oczy. Na karku widać było żyłą grubości palca, po tym poznawałem, jak mocno jej serce bije.

— Co dalej?

Samolot Boba zawarczał nad naszymi głowami, zatoczył koło i zszedł do lądowania. Abbie przywarła do mnie, oddychała głęboko, ale nie walczyła o oddech. Pomogłem jej wspiąć się na brzeg, położyłem ją do łóżka i wróciłem na werandę, deszcz smagał drzewa w regularnym rytmie.

* * *

Samolot Boba wylądował na polu. Kilka minut później on sam, Rocket i Petey pojawili się na brzegu. Kiedy wspiął się po schodach, zastał mnie na krześle artysty wpatzonego w puste płótno. Było zakurzone, a ja nie bardzo o to dbałem, napinając je na ramę.

Miał przerzucony przez ramię płócienny worek. Położył go na ziemi, po czym wyciągnął dwie butelki czerwonego wina. Wyciągnął korek, wydobył z worka dwa styropianowe kubki. Napełnił oba i podał mi jeden. Wziąłem. Nic nie mówił, tylko spoglądał na rzekę, od czasu do czasu zerkając przez ramię na leżącą w łóżku o kilka kroków od nas Abbie. Jednym haustem wypił połowę zawartości kubka.

— Jak ona się ma?

— Łowiła do lunchu i teraz musi to odespać. Taka aktywność kosztuje.

— Złapała coś?

— Pięćdziesiąt pięć.

Pokiwał z aprobatą głową.

— Media zaczynają przebąkiwać o „pomaganiu w samobójstwie” i o eutanazji. Pada pytanie, czy senator nie powinien zastanowić się nad wykorzystaniem gwardii narodowej.

Kolejny łyk. Odrobina cabernetu pojawiła się w prawym kąciku jego ust.

— Nie stawiałbym mu z tego powodu zarzutu — odparłem.

— Wasza historia jest we wszystkich mediach. Właściwie... — usiadł, krzyżując nogi — jej historia. Ty jesteś tam tylko wrzucony po to, by ludzie mogli cię nienawidzić. Piękna dziewczyna zniszczona rakiem, obolała, zabrana z domu, z daleka od rodziny, kiedy potrzebuje jej najbardziej.

— Wiem, jak to wygląda.

Jego brwi powędrowały w górę.

— Jesteś pewien?

Pokiwałem głową, ale nie patrzyłem na niego.

— Wątpię — skwitował — gdybyś wiedział, już wracałbyś z podkulonym ogonem.

— To, czego nie widzimy, nie istnieje.

— Mnie nie musisz przekonywać, ale płyniesz w górę strumienia.

— Nie mów.

Kiwnął w moją stronę kubkiem.

— Jeszcze?

— Nalej.

Przez jakiś czas siedzieliśmy w ciemnościach. Żarzył się tylko koniuszek jego cygara. Trzymał je w ustach i ciągnął tak mocno, aż policzki stawały się wklęsłe, a końcówka cygara robiła całkiem czerwona.

Rzeka ma niesamowitą moc zatapiania otaczających odgłosów. Wszystko w odległości dwustu stóp od rzeki wycisza baldachim drzew. Wyjątkiem od tej reguły jest jasna noc, kiedy dźwięki wydają się odbijać od nieba i powracać do powierzchni wody, która niesie je dalej. Nastawiłem ucha na odgłos, którego nie potrafiłem zidentyfikować.

— Co to jest?

— Wesołe miasteczko.

— Masz na myśli diabelski młyn, gabinet krzywych luster i kobietę z brodą?

— Raczej gromadę Cyganów kryjących się tutaj przed prawem.

— No to pasujemy do siebie. — Przez chwilę siedziałem cicho. — Nie wiesz, czy mają karuzelę?

— Mają. Tylko nie jestem pewien, czybym się odważył na nią wsiąść. Dosyć stara.

— Jest tam jakiś przywódca?

— Jeśli tak go chcesz nazywać.

— Znasz go?

— Niezbyt dobrze, ale dość miło rozmawialiśmy ze sobą raz czy dwa.

— Jak myślisz, czy mógłby nas przewieźć na niej... po godzinach?

— Co masz na myśli?

ROZDZIAŁ 37

Minęły dwa lata. Ze zdrowiem Abbie było jak z wodą w rzece, raz stan wysoki, raz niski. W próbie sił między chemią a rakiem ona znajdowała się gdzieś pośrodku. Bywały dni, że wstawiała z łóżka. Mniej więcej raz w tygodniu sadzałem ją na wózku inwalidzkim, ale większość czasu spędzała w sypialni lub na kanapie.

W pewnej chwili uderzyła mnie bolesna prawda. Normalne komórki posiadają automatyczny guzik samodestrukcji, który zostaje wciśnięty, kiedy wypełnią swoje zadanie. Żyją, robią, co mają do zrobienia, a potem koniec. Oczekiwane jest samobójstwo. I tak naprawdę rak nie jest niczym innym, jak komórką albo grupą komórek, które nie chcą umrzeć. A co gorsza, komórki rakowe nie są komórkami obcymi dla organizmu. Nie zjawiły się tu z zewnątrz. Zabija nas własne ciało.

Długi czas nie potrafiłem zrozumieć logiki tego wszystkiego.

To dziwne. Wiem, że moja żona ma raka, ponieważ mi o tym powiedziano, ale nigdy go nie widziałem. Nigdy go nie dotknąłem. Nie mam z nim żadnego innego związku p⁰ za tym, że wiem, że zabija moją żonę.

Koszmar raka wykracza poza ból. To bowiem kolejne diagnozy, prognozy i badania. Żyliśmy nie od pierwszego do pierwszego, ale od badania do badania. Za każdym razem kiedy przychodziliśmy do lekarza, czekaliśmy na wyniki badań a gdy już je poznaliśmy, wracała myśl: on wciąż rośnie, a my nie możemy nic z tym zrobić.

Nie istnieje chyba nic gorszego na tym świecie.

Każdy dobry wynik badań jest podważany przez nasze doświadczenie i wiedzę, że cokolwiek lekarze zrobią, zawsze i tak będę już czuł, że komórki raka są w moim organizmie. Żyliśmy w ogromnym napięciu, ze świadomością, że być może jedno jedyne badanie dzieliło nas od słowa „na wrót”, po którym nastąpią nieodwracalne: „Będzie mi ciebie brakować”.

Poranieni strachem, smutkiem i stresem, dawaliśmy się porwać naszej wyobraźni, jak wtedy gdy byliśmy dziećmi i potwory wyskakiwały na nas z zamkniętych szaf. Co gorsza, nieustannie nasłuchiwaaliśmy, niczym Kapitan Hook, prześladowany przez cykanie zegarka w brzuchu krokodyla. Chwile bez lęku przed rakiem należały do rzadkości, nie były normą. Nie wiadomo kiedy, etap walki stał się próbą pogodzenia z życiem. Przybrałem wtedy bardziej obronną postawę, budowałem mury, które miały mnie chronić przed złymi wieściami. Ponieważ — myślałem — zawsze może wydarzyć się coś jeszcze gorszego. Myśl o życiu i śmierci towarzyszyła nam nieustannie. Zapomnieliśmy, że jest coś takiego, jak dumanie o niczym. Tak bardzo chciałem myśleć, używając czasu przyszłego, kupić dwa bilety na jakiś przyszły mecz, planować założenie ogrodu, umówić się z dentystą na oczyszczenie zębów, planować wakacje, ale w końcu zawsze lądowałem w supermarkecie, zastanawiając się, czy mam kupić zielone banany?

Jeśli w ogóle można mówić o jakimś plusie raka, to jest Prawdą, że życie staje się dla dotkniętych nim ludzi bardziej realne. Czują je mocniej. To tak jakby się miało cechy kogoś, kto nie słyszy i nie widzi, ale jednocześnie się słyszało i widziało. Abbie twierdzi, że różnica jest taka jak między sześciodalowym czarno—białym telewizorem, a ekranem w IMAX—ie.

ROZDZIAŁ 38

8 CZERWCA, WIECZÓR

O dziesiątej wieczór obudziłem Abbie i nakarmiłem ją jajkami, colą i KitKatem, jej ulubionym.

— Czy jesteś na siłach, by wstać?

— Dllla ciebie?

Przeraził mnie jej rozmazany głos, dreszcz mi przeszedł po krzyżu.

— Taaaak.

Wzrok miała szklany, nie potrafiła go skupić na niczym. Ona też usłyszała własne rozmazanie. Przywarła do mnie czołem.

— Taaaak mi przrzrzykro.

Dotknęła palcem własnych ust, jakby próbując samą siebie uciszyć.

Chodź. — Pomogłem jej się podnieść, cała krew uciekła jej z głowy. — Mam dla ciebie niespodziankę.

Poszliśmy piaszczystą drogą w stronę hangaru Boba. Wyprowadził motorower, usiadłem na nim okrakiem. To była honda o pojemności 250 centymetrów sześciennych.

— Umiesz to prowadzić? — zapytał.

— Nie zawsze malowałem.

— Dobrze. Trzeci bieg źle wchodzi.

Uruchomiłem silnik i dodałem gazu. Motor strzelił, wyrzucił biały obłoczek z tłumika, po czym już pracował równo. Bob przymknął przepustnicę.

— Daj mu minutę, zaraz się rozgrzeje. — Abbie przerzuciła nogę przez siodełko, przytuliła się do moich pleców, obejmując mnie w pasie.

— Jesssstem zzzz toooobą — wyszeptała.

Czas uciekał.

Poklepałem ją po udzie, zwolniłem sprzęgło i ruszyłem w ciemność, kierując się za światłami motoru Boba. Jechaliśmy po miękkich piaszczystych drogach, potem jakąś asfaltową jezdnią, po czym skręciliśmy w szerszą drogę gruntową, ograniczoną po obu stronach rowami. Ponad drzewami, kawałek od nas, pojawiły się światełka diabelskiego młyna. Jechaliśmy teraz między starymi sosnami, liczącymi najprawdopodobniej ponad trzydzieści lat, nagle po prawej stronie pojawiła się łąka, na której jednak trawa zamieniła się z grubsza w błoto. Główne miejsce zajmowały ciężarówki z napędem na cztery koła, z olbrzymimi zderzakami zwieńczonymi srebrnymi belkami. Wokół stały dzieciaki. Większość z nich trzymała w jednej ręce papierosa, w drugiej aluminiową puszkę lub kubek.

Wesołe miasteczko było zamknięte, ale albo nikt nie powiedział o tym dzieciakom, albo one specjalnie się tym nie przejęły. Objechaliśmy samochody, minęliśmy bramę i skierowaliśmy się dalej wzdłuż pustych chat.

Wokół walało się mnóstwo śmieci. Przypomniał mi się wówczas Templeton z „Pajęczyny Charlotty”. Był to bowiem rasowy szczur, który wprost uwielbiał śmieci.

Skręciliśmy za róg i tutaj Bob się zatrzymał, po czym oparł motor o ścianę jednego z domków. Z ciemności skrywających karuzelę wyszedł niski, przysadzisty mężczyzna o małych oczkach, w kapeluszu zakrywającym większą część twarzy. Opuściłem nóżkę, opierając na niej motor, a Bob pomógł Abbie zejść z siodełka. Może i Bob jest gburowaty, może ma nawet tendencję do unikania ludzi, ale jest w nim jakaś głęboka czułość. I Abbie to wiedziała. Oparła się o niego, łapiąc równowagę.

Bob odezwał się do niewysokiego faceta po hiszpańsku. Kiedy skończył, gość poszukał nas wzrokiem i przesunął kapelusz bardziej na tył głowy.

— Chcecie przejechać się moją karuzelą? — jego angielski był mocno obciążony meksykańskim akcentem.

— Tak.

Wyciągnął rękę.

— *Mi llamo es Gomez.*

— Doss. A to moja żona, Abbie — przedstawiłem nas.

Za jego plecami stało coś, co wyglądało na bardzo starą karuzelę. Machnął ręką, pokazując na nią:

— Dentzel z 1927 roku. Moja duma i radość. — Pstryknął jakiś włącznik i nagle świat wokół nas oświetliło dziesięć tysięcy żarówek. Odsunął się i machnąwszy dłonią, pokazał konie. — Wybierajcie.

Abbie ujęła mnie pod ramię i ruszyliśmy niczym stare małżeństwo w ich stronę. Szła powoli, drobila niepewnie. Obcasy zapadały się w ziemię. Pomogłem jej wspiąć się na schodki, ruszyła między końmi. Na siodle każdego namalowane było imię: *Fancy, Dreamer; Spicy, Flame, Untouched, Wild Angel i El Camino*. Abbie obchodziła wszystkie po kolei, przesuważając palcem po literach tworzących imię każdego z nich. Głaskała dłońmi rozwichrzony wiatrem ogony, grube grzywy, łapała za żerdzie łączące ich głowy z sufitem,^a kopyta z podłogą. Wreszcie wybrała. *Windswept*. Słowem: *Niesiony przez wiatr*.

Koń nie miał strzemion, więc uformowałem jedno z własnych dłoni. Na szczęście *Windswept* zakończył swą ostatnią jazdę bliżej podłogi niż sufitu. Abbie przerzuciła nogę, podsadziłem ją na siodło. Usiadła ostrożnie, jedną rękę kładąc na szyi i grzywie, drugą opierając na mnie. Stałem tuż obok. Skinąłem na Gomeza. Zgasił papierosa i nacisnął jakiś guzik, rozległa się muzyka. Powoli pchnął dźwignię i zaczęliśmy krążyć.

Windswept unosił się w górę i w dół, podnosząc Abbie do sufitu, by po chwili opuścić ją w dół, ku ziemi. Gomez przyglądał się, przyspieszając nieco, by rytm koni pasował do rytmu muzyki. Abbie zamknęła oczy, opierając się o żerdź, na której *Windswept* przesuwał się raz w górę raz w dół. Zrobiliśmy tak dziesięć, może nawet dwanaście okrążeń. Po dwunastym Abbie nagle beknęła.

Odwróciła się w moją stronę i zwymiotowała jajkami, colą i KitKatami na ścieżkę. Przytrzymałem ją, kiedy próbowała się wychylić jak najdalej, żeby nie ubrudzić karuzeli. Właściciel szybko wyłączył muzykę, maszynę i rozpędzone konie, po czym wskoczył na platformę tuż obok mnie.

— Przepraszam, *Señor*.

Potrząsnąłem głową. Obejmowałem rękami żołądek Abbie, ruch, jaki w nim czułem, mówił mi, że za chwilę nadejdzie kolejna fala. Kiedy to się stało, puściła kijek i ześlizgnęła się z siodełka. Trzymałem ją nachyloną nad krawędzią.

Z zamkniętymi oczami wypróżniała żołądek. Na jej czole kroplił się pot. Wytarła usta dłonią.

— Zapooooooooomniałaam — wydusiła z siebie — jak mi od teego nieeedoooooobrze.

Odwróciłem się w stronę Gomeza.

— Proszę mi tylko pokazać, gdzie jest wąż z wodą albo mop, i posprzątam.

Tylko machnął ręką.

— Nie, nie. Ja wszystko zrobię. Robię to co wieczór. Żaden problem. — Abbie wyprostowała się, na jej twarz powróciły kolory. Gomez pokazał na diabelski młyn. — Proszę. Pojedzie pani? Będzie dużo wolniej. Nie zakręci się pani w głowie.

— Nie jestem pewien, czy ona...

— W porządku — całkiem pewnie odezwała się Abbie.

Otworzył metalową bramkę, a my usiedliśmy w pierwszym wagoniku.

— Będzie bardzo powoli — wyszeptał do mnie.

Abbie oparła się o mnie, gdy unosiliśmy się w górę. To było wysokie koło. Dużo większe niż się wydawało, gdy patrzyliśmy z daleka. Kiedy trafiliśmy na godzinę trzecią, byliśmy na wysokości czubków drzew. A gdy dotarliśmy na wierzchołek, koło zatrzymało się. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, jak Gomez unosi w górę wyciągnięty kciuk, a przy tym jakoś tak serdecznie wzruszył ramionami.

Odpowiedziałem podobnym gestem. Abbie otworzyła oczy i oplótła mnie ramionami.

— Przeeeepraaaaszam za tamto.

Noc była jasna. Ponad nami tryliony gwiazd oświetlały wszechświat. Połówka księżyca lśniła niczym lampa. Podłużny cień diabelskiego koła kładł się na ziemi ogromną twarzą zegara z nami w miejscu dwunastki. Widzieliśmy, jak przed nami rzeka wiję się pomiędzy drzewami, niczym struga spływająca z czerpaka złotnika.

Abbie położyła mi dłoń na piersi.

— Jak daleko jeszcze?

— Lotem ptaka prawie trzydzieści mil do Cedar Point. Rzeką jakieś czterdzieści pięć, może nieco więcej.

Przeliczyła na palcach.

— Zaliczyliśmy... połowę listy.

Po kilku minutach pokazała na zbierające się za nami Potężne chmury, które nadciągały wzdłuż całego horyzontu. Potem odwróciła się i wskazała lśniące w oddali światła

St. Marys oraz przepływającą przez nie rzekę.

— Chciałabym, żeby udało nam się dokończyć. Skinąłem głową. Ja też tylko tego chciałem. Poza tym

wszystko było bólem.

— Chciałbym zamienić się z tobą miejscami — z trudem wypowiedziałem te słowa.

Wszystko
było bólem

ROZDZIAŁ 39

Po tym, jak odkryli istnienie tego genu, zbadali Abbie na jego obecność w jej organizmie. Okazało się, że go ma. To zaś oznaczało, że istnieje duże prawdopodobieństwo rozwinięcia się raka jajników. Problem, a raczej jeden z problemów z rakiem jajników polega na tym, że nie istnieje żadne dobre ani efektywne badanie, które by pokazywało, jak nadchodzi. O tym, że zaatakował, dowiadujesz się, kiedy już jest za późno. Zanim pojawią się objawy, rak jest już zazwyczaj na etapie przerzutów. Najlepszym działaniem profilaktycznym jest usunięcie jajników. Ta informacja przyszła jak grom z jasnego nieba. Pozostawałoby nam potem tylko *in vitro*, więc lekarze stymulowali owulację, zmuszając ciało Abbie do wyprodukowania kilku jajeczek, które zostały zamrożone. A potem, najspokojniej w świecie, wycięli jajniki i wyrzucili je.

Ponieważ planowali wpompować dość trucizny w jej organizm, by zabić zachowujące się nienormalnie komórki, ryzykowali też uszkodzenie szpiku kostnego. Szpik produkuje zaś białe ciała krwi, które zwalczają infekcje, kiedy ciało jest osłabione. To rodzaj autochemioterapii. Jeśli zaczynacie więc myśleć, że walka z rakiem przypomina gonienie przez psa własnego ogona, macie rację. Żeby zwiększyć jej szanse,

lekarze pobrali własny szpik Abbie, by przygotować późniejszy przeszczep. Fakt, że mieli jej szpik w rezerwie, pozwalał zaatakować chorobę z maksymalną siłą. Krótko mówiąc, lekarze mieli możliwość stosowania wszystkich chwytów. A my, mogąc wybierać między szansą na życie a powolnym umieraniem, zgodziliśmy się na walkę. Wieczorem po trzeciej operacji Abbie — pobraniu własnego szpiku — oglądaliśmy w szpitalu na moim laptopie Reese Witherspoon w „Dziewczynach z Alabamy”.

Zamierzano zatem działać agresywnie i tak zrobiono Chemia jednak wykańczała Abbie, unicestwiając system odpornościowy. Szybko zdecydowano więc o transplantacji szpiku. Po czwartej operacji — dostarczeniu z powrotem jej własnego szpiku — leżała prawie miesiąc. Mieszkaliśmy w klinice Mayo w Jacksonville. Abbie miała pokój na oddziale rekonwalescentów, a ja mały pokoik w skrzydle rodzinnym. To był kompleks mieszkaniowy zbudowany przez Mayo dla członków rodzin osób, które przechodziły terapię. Wszyscy się znaliśmy i byliśmy ze sobą po imieniu. Jadaliśmy wspólne posiłki, opowiadaliśmy sobie nawzajem swoje historie, porównywaliśmy diagnozy, wymienialiśmy doświadczenia na temat sposobów leczenia. Abbie była bardzo słaba i zazwyczaj około osiemnastej usypiała, więc wieczory spędzałem poza jej pokojem. Zostawałem do chwili, kiedy widziałem, że gałki jej oczu uciekają pod powieki. Wtedy szedłem do stołówki albo jechałem gdzieś na kolację.

Czułem się bardzo samotny.

Pewnego wieczoru, gdy miałem już serdecznie dosyć stołówkowego jedzenia, poszedłem na placyk, gdzie stał zaparkowany mój jeep. I natknąłem się na Heather. Właśnie: Heather.

Ona i John Mancini tworzyli kolejną parę naszej społeczności naznaczonej piętnem raka. On był przebojowym Włochem, ona ognistą, rudowłosą kobietą. Jakies trzy miesiące wcześniej spotkałem którejś soboty Heather w stołówce. Siedziałem przy stoliku, który zazwyczaj zajmowałem, i czytałem powieść Clive'a Cusslera, kiedy przysiadła się do

mnie.

Zerknęła na okładkę.

— Lubisz go? — zagadnęła.

— Owszem... nikt tak nie pisze jak Clive.

Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej książkę w miękkiej

oprawie.

— Ja należę do miłośniczek Pattersona.

— Ciarki mnie przechodzą, jak go czytam. — Wzdrygnąłem się. — Muszę być wtedy pewien, że wszystkie drzwi i okna są zamknięte. A najlepiej gdy mam w zasięgu ręki naładowaną broń.

Roześmiała się. Zaczęliśmy rozmawiać, a książka leżała nieczytana.

Heather była stewardesą w znanej linii lotniczej, więc dużo przebywała poza domem. Kiedy John został zdiagnozowany i dowiedzieli się, jak dużo czasu będzie spędzał w Mayo, poprosiła swoich zwierzchników, by przenieśli ją do Jacksonville, żeby mogła jak najwięcej czasu spędzać razem z nim. Taka sytuacja prowadzi do dość istotnego problemu. Kiedy leczenie trwa długo, czasami trudno znaleźć coś, co podniesie cię na duchu. Nierzadko więc wystarczy poszukać kogoś, kto wysłucha, jak jest ci źle, pokiwa głową, żebyś wiedział, że cię słucha. Nie potrzeba nic więcej. Wiedzieliśmy przecież, że nie istnieje żadna czarodziejska różdżka. Gdyby Ma, podawaliibyśmy ją sobie, jak nastolatki, które dzielą się ukradzioną puszką piwa.

No więc stałem właśnie koło jeepa, kiedy usłyszałem, jak ktoś mnie woła. Wiedziałem kto, zanim się odwróciłem. To była Heather. Machała do mnie.

— Wydaje mi się, że oboje mamy dość ścian pomalowanych na jasnoniebiesko i metalowych rurek, co?

— Tak — podrapałem się po głowie — masz rację, w tych ścianach jest coś takiego... przygnębiającego.

Jej czerwona spódnica pasowała do rudych włosów, które związała w stylu: jestem dorosła, ale w głębi serca wciąż pozostałam dziewczynką. Dłonią wskazała na budynek szpitalny.

— John śpi. Nie miałbyś ochoty postawić mi kolacji?

— Czemu nie?

Tak więc, podczas gdy moja żona walczyła o życie, ja wiozłem obcą kobietę w stronę plaży, poszukując jakiegoś miejsca, gdzie mogliśmy zjeść. Od razu też zauważyłem, że biała koszula Heather ma rozpięte dwa górne guziki. Nie wiadomo kiedy wylądowaliśmy u Pete'a. Zadowoleni, że znaleźliśmy się daleko od ośrodka, przesiedzieliśmy siedem rund meczu baseballa — grali chyba Red Sox — i jedną kwartę zmagania hokeistów. Jakoś tak w czasie kolacji rozpiął jej się kolejny guzik, a spódnica podjechała wyżej, odsłaniając pól uda. I — przyznać to muszę uczciwie — z każdym kolejnym łykiem piwa podjeżdżała wyżej. Przy trzecim piwie przyszło mi do głowy, że ludzie nie przyjeżdżają w takim stroju do szpitala. Trzeba przyznać, że dotarło to do mnie dość późno. Tymczasem zajadaliśmy gorące skrzydełka, aż tłuszcz wyciekał nam nosem, i piliśmy piwo za piwem. Potem, żeby odparować alkohol, poszliśmy się przejść wzdłuż plaży. Opowiadaliśmy sobie, jak poznaliśmy swoich współmałżonków. Dopiero kiedy wracaliśmy, uświadomiłem sobie, że niesie buty w jednej ręce, a drugą trzyma mnie pod ramię. Pomyślałem sobie: Przecież to piasek. Jest po prostu za miękko. Czyż nie?

Poszliśmy do Waffle House i tam wypiliśmy dzbanek kawy. Kiedy wróciliśmy do kliniki, była prawie północ. Weszliśmy do windy, a kiedy zamknęły się drzwi, ona bez chwili wahania przycisnęła mnie do rogu. Minęło sporo czasu od kiedy ktoś poza moją żoną mnie całował. Mały gość na moim prawym ramieniu wydierał się niczym dziennikarz sportowy: „Możesz robić, co ci się podoba!”. A drugi facet, ten z lewego ramienia, był cichy niczym mysz kościelna. Ale trzymał w ręce zdjęcie Abbie, które zawsze nosiłem w portfelu.

Próbowałem się uwolnić i złapać oddech, żeby rzecz przemyśleć, ale to nie leżało w planach Heather. Kiedy dzwonek windy oznajmił, że znaleźliśmy się na piątym piętrze, i drzwi się rozsunęły, wyszła przez nie i jakby nieświadomie zaczęła kręcić dłonią włosy przy szyi. Odwróciła się do mnie, a na jej twarzy pojawił się — jestem tego pewien — zapraszający uśmiech.

Przyglądałem się, jak nawija na palec kosmyk włosów tuż za uchem. Nie powinna była tego robić.

To nie pocałunek w windzie ani noga, która owinęła się wokół mojej nogi, ani nawet nie napieranie piersi, twardego brzucha i wąskich bioder na moje ciało. Nie, to był ten palec, na który właśnie nawijała włosy tuż przy szyi. W ułamku sekundy jej czar prysł. Niczym kryształ na marmurowej podłodze, po którym zostały tylko drobinki. Abbie, która nauczyła mnie kochać, miała zwyczaj tak nawijać włosy, robiła to, kiedy stała przy zlewie albo pod prysznicem, kiedy płynęła po niej gorąca woda albo gdy przyglądała się moim obrazom. To był sygnał, że myśli.

Prawdę mówiąc, nie wiem zbyt wiele na temat kobiet, ale byłem na tyle mądry, żeby nie wysiąść z tej windy. Brak doświadczenia? Tak. Głupota? Raczej nie. Pokusa? Niewątpliwa. Decyzja, żeby nie pójść za nią, wynikała z połączenia przekonania i zwykłego strachu. Położyłem dłoń na przycisku zamykającym drzwi i kiedy się zasuwwały, spoglądałem za idącą do swego pokoju. Jej koszula była całkiem rozpięta, wyciągnięta ze spódnicy, a na palcu dyndał klucz.

Gdzieś pomiędzy okresami terapii i wycieńczenia rak obrabował Abbie i mnie ze wszystkiego, co w naszym związku było fizyczne. Nie mówię, że Abbie była dla mnie niemą. Nic podobnego. Robiła, co mogła. Ale przyszedł moment w którym moje potrzeby fizyczne musiały ustąpić przed jej bólem. Czyli że musiały pozostać niezaspokojone.

Stałem wciąż w windzie, nie odjechałem, patrzyłem jak Heather rozbiera się przede mną. Oparła się o drzwi swojego pokoju i zanim włożyła klucz w zamek, pozwoliła, by spódnica opadła na podłogę. I podczas gdy moja żona od sześciu miesięcy nosiła babcine gacie, w których mogła się zmieścić pielucha dla dorosłych, na wypadek gdyby straciła kontrolę nad swoim pęcherzem, Heather nie miała takiego problemu. Biały koronkowy paseczek był wystarczającym dowodem.

Facecik na moim prawym ramieniu zmienił śpiewkę: „No idźże — szeptał. — Nikt się nie dowie”. A cichy gość na lewym ramieniu nie zmienił w swoim zachowaniu niczego. Po prostu stał tam, trzymając zniszczoną nieco fotografię.

Miłość może minąć, ale pamięć o jej dotyku i nadzieja, że powróci, nie. Nigdy. To jak ulica w Hollywood, gdzie wszystkie gwiazdy zanurzają swe dłonie w wilgotnym cemencie. Abbie dawno temu odcisnęła swoją w moim sercu. Wtedy w windzie Heather próbowała położyć rękę w miejscu wyschniętej formy, ale jej dłoń tam nie pasowała.

Potrząsnąłem głową.

— Heather, ja... — Co mogłem powiedzieć. Abbie dawno temu nauczyła mnie, że ludzie swe wewnętrzne rany uzewnętrzniają. Heather nie była inna, piękna dziewczyn³ o dobrym sercu. A nawet czułym sercu. Inaczej nie da się być stewardesą. Tylko pomyślcie. Serwowała precelki i dietetyczną colę, poduszki i koce, informacje na temat przesiadek rozdrażnionym pasażerom podczas podniebnych lotów i dzień po dniu. W połączeniu z pogorszeniem stanu Johna, powstała pustka z perspektywą ponurej przyszłości. Wszystko co

boli, musi się jakoś uzewnętrznić. Nie usprawiedliwiani jej, ale i nie oskarżam. Tak po prostu było. Z mojej strony dostrzegłem to zbyt późno.

Wziąłem głęboki wdech i nacisnąłem w końcu guzik siódmego piętra. Zdążyłem jeszcze zauważyć, jak zsuwa koronkę z biodra. Jechałem dwa piętra do swojego pokoju, pragnąc rozprawić się ze swymi demonami, ale nie jestem królem Arturem. Otworzyłem drzwi i włożyłem buty do biegania. Kiedy wychodziłem z pokoju, usłyszałem jeszcze, że zadzwonił telefon.

Bieganie stało się dla mnie jak narkotyk. Czasami wołałem jednak coś bardziej pasywnego, na przykład butelkę scotcha lub bourbona, ale prawdę mówiąc, nigdy tego nie polubiłem. Bieganie stało się więc moją ucieczką.

Zazwyczaj biegłem jakieś kilka mil. W porywach do siedmiu. Mniejszy dystans powodował, że czułem, jakbym nie biegł wcale. Po większym zaczynałem mieć jednak problemy z kolanami. Zbiegłem po schodach do siłowni, wskoczyłem na bieżnię, ustawiłem ją na tempo osiem minut na milę i spróbowałem biec, żeby odzyskać spokój.

Biorąc pod uwagę, że moja mama umarła, a wychowywali mnie mniej lub bardziej ludzie zamieszkujący nasze osiedle, nie miałem modelu ojca. Tego, jak należy traktować kobietę, nauczyła mnie dopiero Abbie. Jest oczywiście coś takiego jak instynkt, ale Abbie udoskonaliła to, co czułem. Sposób, w jaki mężczyzna się zwraca do samotnej kobiety na parkingu po zamknięciu kluczykiem jej samochodu, w jaki przytrzymuje drzwi przed starszą panią z torbą zakupów, w jaki zadaje pytanie kobiecie policjantce, w jaki zatrzymuje się, by Podnieść upuszczony bilet do kina, w jaki zamawia drinka a dziewczyny, którą wziął na randkę, w jaki odprowadza ją do domu kwadrans przed umówioną godziną, wiedząc, że jej ojciec już odlicza minuty, a wreszcie, w jaki prosi jej ojca, by pozwolił mu zabrać ją nad jezioro lub na narty. To jest nieuchwytny kod. Jak pałeczka w sztafecie — podawana przez jedną osobę następnej. Abbie podała ją mnie. Moje uczenie się dziewczyn było stromą wspinaczką, podczas której często popełniałem błędy, ale do tego momentu nigdy mi się nie zdarzało, żebym żałował jakiegoś kroku.

Po godzinie poczułem się nieco lepiej, więc zeskoczyłem, ale nie miałem dość i wybiegłem na parking, skąd skręciłem na prawo do San Pablo i ruszyłem bulwarem J. Turnera Butlera. Jakies pół mili dalej przelazłem przez bramkę ochrony i znalazłem się na terenie prywatnego klubu golfowego, nazywanego powszechnie „Pablo”. Pablo Creek to jeden z bardziej ekskluzywnych, a zarazem mniej znanych klubów w kraju. Ma nie więcej niż dwustu pięćdziesięciu członków. Nawet mnie nie pytajcie o opłatę członkowską, nie stać was na nią. Przy tym polu obiekty Masters wydają się polem do dziecięcej zabawy. Przebiegłem osiemnaście dołków, drogę oświetlał mi księżyc. Około trzeciej nad ranem pokuśtykałem prosto do pokoju Abbie.

Transplantacja była bolesna, więc zazwyczaj dawali jej na noc jakiś środek uśmierzający. Usypiało to ją na dwanaście do czternastu godzin. Co było dobre, bo oznaczało, że cierpiała tylko przez połowę dnia.

Wszedłem do pokoju, spojrzałem na moją żonę, i natychmiast pożałowałem kolacji na plaży. Spała głębokim snem, widać było ruch gałek pod powiekami. Czuję, jak płynie po mnie pot. Przysunąłem srebrny stołek do łóżka, wsunąłem dłoń pod dłoń Abbie i opowiedziałem wszystko od początku. O parkingu i jak Heather była ubrana, o restauracji Pete'a i guzikach, i sukience, potem o plaży i wreszcie o windzie. A potem powiedziałem jej, jak mi przykro i że ją kocham.

To była jakaś pociecha.

Wróciłem do budynku mieszkalnego, wszedłem na siódme piętro, poszedłem do mojego pokoju, po czym przez prawie godzinę stałem pod prysznicem. Kiedy wychodziłem z łazienki owinięty w ręcznik, przez okna wdzierał się dzień. Odsunąłem żaluzje, wyglądając na moczary i kanał wodny. W tym momencie coś poruszyło się pod prześcieradłami w moim łóżku. Odwróciłem się i zobaczyłem, że siedzi na nim Heather.

Nie była ubrana.

Serce skoczyło mi do gardła. Uśmiechnęła się sennie, odsunęła włosy z twarzy i po prostu patrzyła na mnie. Nie musiała nic mówić. Obecność w moim łóżku mówiła sama za siebie.

— Zostawiłeś niezamknięte drzwi — powiedziała.

Skinąłem głową.

— Posłuchaj... — miałem już coś powiedzieć, kiedy rozległo się głośne pukanie do drzwi. Wiedziałem, kto puka. Sposób, w jaki to zrobił, nie pozostawiał wątpliwości. Wiedziałem też, że nigdy nie czeka na zaproszenie. Otworzył drzwi i wpadł do środka. Zrobił cztery kroki, zobaczył mnie w ręczniku i Heather, która nie miała niczego na sobie.

Powinienem był coś powiedzieć, ale nie przychodziło mi do głowy nic, co mogło mi pomóc na tym świecie ani na żadnym innym. Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę. Żyła zaczęła mu pulsować na skroni. Potrząsnął głową i wyszedł.

— Kto to był? — spytała.

Spoglądałem w lustro wiszące na drzwiach.

— Mój teść.

Zagryzła paznokiec.

— Senator Coleman?

— Tak — przytaknąłem. — On też tutaj jest.

Pochyliła głowę, podciągnęła prześcieradła pod brodę włosy opadły jej na twarz.

— Przepraszam.

Ubrałem się i poszedłem do pokoju Abbie. Stał przy oknie.

— Czy mogę z panem porozmawiać?

— Moja jedyna córka leży tu, walcząc o życie. A ty tam.. — uderzył mnie w twarz otwartą dłonią. Poczułem w ustach ostry smak krwi. — Nigdy więcej się do mnie nie odzywaj.

— Proszę pana, to nie to, co pan myśli.

Odwrócił się i tym razem zdzielił mnie w twarz pięścią, aż odskoczyłem. Pomachał mi nią przed nosem, w kącikach jego ust zbierała się ślina.

— Zejdź mi z oczu.

— Nigdzie nie pójdę.

Popatrzył na Abbie i pogłaskał palce jej stóp. Spojrzał na zegarek, po czym ruszył do drzwi. Odwrócił się.

— Teraz jest na to za słaba. To... by ją zniszczyło. Straciłaby motywację do walki. Ale... kiedy pokona to... I będzie... Powiem jej prawdę. Co ty robiłeś w tym czasie. I będzie po tobie.

— Proszę pana...

Wyszedł, nie oglądając się.

Kiedy Abbie się wybudziła, okazało się, że przeszczep spowodował paraliż. Uśmiechnęła się, jej oczy błyszczały, miała wysoką temperaturę. Prawie 40oC.

— Hej ty...

Dwa miesiące później został dawcą przy kolejnym przeszczepie szpiku. Słowem, grał główną rolę w procesie, o którym się mówi, że jest bardziej bolesny dla dawcy niż dla biorcy.

Ten też został odrzucony przez organizm. Niestety.

Wielki

ROZDZIAŁ 40

9 CZERWCA, PORANEK

Wszedłem do kuchni Boba, w której on, Petey i Rocket oglądali kanał pogodowy. Pokazywali faceta stojącego na deszczu. Miał na sobie żółty sztormiak, wiatr potargał mu włosy, unosząc je niczym koguci grzebień. Trafiłem na środek programu.

— Huragan Anna — mówił — zatrzymał się nad zatoką, karmiąc się ciepłą wodą. Otoczony przez przeciwne fronty, trzyma się już tydzień. 6 czerwca Anna rozpoczęła powolny marsz w stronę północnej Florydy i południowej Georgii, gdzie zrzuci ogromne ilości deszczu.

Kłębiące się na ekranie zielone i czerwone masy powiedziały mi, że epicentrum sztormu ominie nas, ale nie ominie bagien Okefenokee. Byliśmy po południowo— wschodniej stronie. Tej, na którą spadnie mało deszczu, ale którą ogarną tornada. Reporter kontynuował:

— Po pozornym przejściu na północny zachód przesunęła się w bok, obróciła i ruszyła na paluszkach na północny wschód. — Pokazał drogę sztormu, podskakując niby w jakimś tańcu. — Wspinając się po zatoce, Anna wczoraj zwolniła, osłabiona do tropikalnego sztormu, po czym przeszła niż baryczny. Biorąc pod uwagę fakt, że właśnie wpadła na zimny front sunący od północy, nie można się spodziewać, by w niedługim czasie deszcz przestał padać. Przy jej wielkości, napęcznieniu, trzydniowy marsz lądem wywoła podobny efekt, jak gdyby mors szorował brzuchem po lodzie.

Zbliżył się do kamery i obniżył głos:

— Głośny, niezbyt ładny, niebezpieczny i straszliwie wolny. Ludzie mogą zacząć się zastanawiać, czy nie zamienić swoich samochodów na łodzie, ponieważ przepowiadamy wielkie powodzie na północy Florydy i na południu Georgii, — Prezenter był bardzo zadowolony ze swojego występu. Stał tam uśmiechnięty od ucha do ucha z twarzą wystawioną na deszcz.

Bob spojrział przez okno na bezchmurne, rozświetlone słońcem, błękitne niebo i coś wymamrotał pod nosem. Włożył czapkę i skierował się na zewnątrz.

— Sprawdzę zabezpieczenia.

— Czy jest możliwe, że sztorm dojdzie aż tutaj?

— Zależy jak daleko się wybiera.

Abbie pchnęła drzwi kuchenne. W rękach trzymała strzykawkę. Oparła się o stół, Rocket lizał palce jej stopy.

— Czyyyy mooożeeemyyy iśśśccc? — spytała z lizakiem w buzi.

Petey spacerował w kółko po stole.

— Idziemy? Nie możemy. Idziemy? Nie możemy — powtarzała papuga.

Bob potrząsnął głową.

— Próbowałem go nauczyć jakichś nowych słów, ale... — wzruszył ramionami. — Jest bardzo religijny. Zawsze mówi o piekle i niebie. Prawda, Petey?

Petey zamachał skrzydłami.

— Święta Mario, święta Mario.

— Kochanie, zostały nam już tylko dwa — wyszeptałem do Abbie.

Wręczyła mi strzykawkę.

— Miiieejmy nadzieeeeeję, zeeee wyyyystarczyyyy naaaaa
dhuuuuugooooooo. — Popatrzyła na Boba. Pomiedzy oczami pojawiły się
głębokie zmarszczki. — Mooooożeeemy?

Próbował potraktować to lekko.

— Piłaś coś?

— Chciaaaaałaaaaabym — wydusiła.

— Potrafisz być naprawdę stanowcza — zauważył Bob.

— Ma to po ojcu — wtrąciłem się.

— Bywa wyboście. Jeśli jazda na karuzeli zamroczyła cię... — Bob
usiłował coś powiedzieć.

Ściągnąłem kapturek, a ona kiwnęła potakująco głową, kiedy wbijałem
igłę z ostatnią dawką deksametazonu w jej udo.

— Jesteś pewna? — zapytał w końcu.

Pokiwała głową i, wyjąwszy lizak z ust, powiedziała:

— Tak, ale pod jednym warunkiem.

— Mów.

— Chcę zrobić pętlę.

— Powinno mi się udać — uśmiechnął się.

Po chwili staliśmy koło samolotu.

— Ile wiesz na temat tego sprzętu? — zapytał.

— Wiem, że jest jaskrawoniebieski, a miejscami żółty, że ma śmigło,
cztery skrzydła i kółka.

Pogładził maszynę z wyraźnym uczuciem po kadłubie, w miejscu gdzie
skrył się silnik.

— To jest... stearman, inaczej kaydet. Podczas II wojny światowej używano ich zarówno w marynarce, jak i siłach Powietrznych, brały udział w walkach na wielu polach wojennych zmaganiach. Produkowano je aż do 1945 roku, zrobiono jak mówią, jakieś 10 000 sztuk.

Abbie podparła się pod boki.

— Niiiiie móóóóóów.

Poza rozmazaniem w głosie mojej żony zaniepokoiła mnie data.

— Czy to nie oznacza, że jest za stary?

— Przerobiłem każdy jego cal.

— To chyba zajęło sporo czasu.

— Tego akurat mi nie brakuje. — Bob uśmiechnął się — Ksiądz bez koloratki jest postacią... wątpliwą. Dla ludzi tutaj jestem po prostu facetem, który lata. Inne sprawy nie są ważne, póki to, co zostało zasiane, rośnie. — Mówił dalej. — To jest dwupłatowiec i ma dwa siedzenia pasażerskie. Wykonany częściowo z drewna, częściowo z materiału i w pewnej mierze z metalu. Podwozie jest typu niewysuwalnego, na stałe związane z kołem ogonowym. Po wojnie okazało się, że rząd ma kilka tysięcy stearmanów nadwyżki. Niektórych używano na zawodach akrobacji powietrznych, inne służyły w siłach powietrznych innych krajów, ale większość przerobiono na samoloty stosowane przy opryskiwaniu zasiewów. — Podeszedł do ogona i przeciągnął dłonią po dziwnie wyglądającej rurze, z której wystawały dysze. — Po takiej przeróbce standardowy silnik o mocy 220 koni mechanicznych nie nadawał się. — Podrapał się po nosie. — Tak właśnie jak ten... — pogłaskał ponownie samolot, jakby to było najnowsze ferrari. — Wielu zastosowało więc nowiutki motor R— 985 Wasp Junior, w którym cylindry umieszczono promieniowo na obwodzie koła. Jakież 450 koni mechanicznych — zauważył z dumą w głosie — czyli prawie dwa razy tyle, co oryginalny silnik. Latam mniej więcej pięć stóp nad ziemią, a on pomaga utrzymać kontrolę.

Dla mnie maszyna wyglądała jak przeniesiona z nieistniejącego już świata. Ale tę myśl zachowałem dla siebie. Mówił dalej, nie wiadomo czy bardziej do nas, czy do samolotu.

— Waży niecałą tonę. Dokładnie 1936 funtów. Ma skrzydła o rozpiętości 32 stóp, a sam liczy 24 stopy długości. Początkowo wyciągał najwyżej 124 mile na godzinę, ale teraz potrafię go rozpędzić dużo bardziej. Może wznieść się na wysokość 11 tysięcy stóp, a na jednym baku przeleci 500 mil.

.... O moodeeelkach móóówi się z mnieeeszym uuuczuuciem.— Abbie uśmiechnęła się.

— Czy kiedykolwiek się rozbiłeś? — spytałem, unosząc rękę.

— W nim nie. — Musiała się za tym kryć jakaś historia, ale ponieważ nie miał ochoty mówić, przemilczeliśmy tę uwagę.

Abbie popatrzyła na mnie, deksametazon zaczynał działać.

— Chyba już nie chcę nic więcej wiedzieć.

— Dlaczego? — spytał Bob. Miał na głowie nakrycie głowy zarówno księdza, jak i pilota. — Boisz się umierać?

Potrząsnęła głową.

— Z tym już dawno się pogodziłam. — Lekarstwo wyraźnie zadziałało. — Wszyscy umrzemy. Niektórzy tylko wcześniej, niż byśmy chcieli. — Spoglądała na mnie. — Boję się go zostawić.

Wspięliśmy się do środka, Abbie poklepała Boba po ramieniu.

— Posłuchaj, nie radzę sobie z tym najlepiej, więc jeśli nie chcesz, żebym ci dokumentnie zarzygała ten mały kokpit, unieśmy się, zrób pętlę i wracaj na ziemię. Rozumiesz?

Bob przytaknął bez przekonania.

— Niezupełnie, ale...

Teraz ja dotknąłem jego ramienia, pokazując na trawiaste Pole, które służyło nam za pas startowy.

— Co to są te ciemnozielone kopce?

— Tam leżą kości zwierząt — wrzasnął, przekrzykując silnik.

Było tam co najmniej sto kopczyków porośniętych ciemnozieloną trawą.

— Sporo tych kości. Skąd je wzięłeś?

— Głównie potrącone przez kierowców. — Wzruszył ramionami, rozpędzając nasz samolot.

— Nie ma tam jakiegoś człowieka?

— Jeszcze nie. — Odkrzyknął, wkładając gogle.

Zwolnił hamulec i ruszyliśmy. Szybko zwiększyliśmy

prędkość do jakichś 100 mil i wtedy pociągnął za drążek podrywając nas w powietrze. Dotknęliśmy czubków drzew, a wtedy pociągnął drążek jeszcze bardziej, celując nosem w niebo. Wznosiliśmy się tak i wznosili, i w chwili gdy pomyślałem, że nie wytrzymam więcej, obrócił nas, pchnął drążek do przodu i zaczęliśmy spadać w stronę ziemi. By dodać pieprzu, obracał maszynę. Wydawało mi się, że musimy wypaść. Abbie krzyczała z radości, podczas gdy ja starałem się nie narobić w spodnie. Zmierzaliśmy w stronę ziemi, a potem, nie wiadomo kiedy, lecieliśmy równolegle do niej, obróciliśmy się sześć lub może osiem razy wokół własnej osi. Abbie złapała się za dwie boczne krawędzie i śmiała się ze wszystkich sił, coś wykrzykując niezrozumiale. Najwyraźniej to była dopiero rozgrzewka, ponieważ na żadnej kolejce górskiej nie przeżyłem tego, co zdarzyło mi się wtedy. Ślizgaliśmy się po czubkach drzew, pamiętam, że widziałem rzekę po mojej prawej ręce, i nagle wystrzeliliśmy jeszcze raz w kierunku nieba, ale tym razem cały czas się obracaliśmy. Kiedy zobaczyłem znowu pod nami ziemię, zaczęliśmy opadać,

Abbie uświadomiła sobie, że znajduje się właśnie na szczycie swojej pętli. I zaczęła krzyczeć:

— Tak! Tak! Zrób to jeszcze raz! Zrób jeszcze raz!

Przestałem liczyć po szóstej.

Siedzący przed nami Bob śpiewał na całe gardło. Słowa nie trzymały się kupy, ale robiły wrażenie. Jedną rękę trzymał na drążku, drugą dyrygował w powietrzu i śpiewał.

— Odleczę stąd, chwała, odleczę stąd...

Kiedy koła dotknęły ziemi, Abbie położyła głowę na moim ramieniu, a ja sprawdziłem jej puls na tętnicy szyjnej — serce biło tak, jakby chciało wyskoczyć jej z piersi. Bob zgasił silnik i przepchnął samolot do hangaru. Ja wziąłem żonę na ręce i położyłem ją na trawie. Z ugiętymi kolanami, jedną ręką na sercu, drugą odrzuconą w bok, leżała z półuśmiechem, coś mamrocząc. Szorty miała mokre, zsiusiała się.

— Proszę, niech ziemia przestanie się kręcić.

Usiadłem obok i koszulą delikatnie wycierałem stróżkę krwi sączącej się z jej nosa.

ROZDZIAŁ 41

Pojechaliśmy do Andersona w Houston, do Sloan— Kettering w Nowym Jorku, do Mayo Clinic w Rochester i z powrotem do Jacksonville. Każda diagnoza, choć wyrażana w różnych słowach, była taka sama.

— Rak ma przerzuty i staramy się je zlokalizować.

Chociaż nigdy nie paliła, dostał się do jej płuc. Potem natrafiliśmy na ślady w wątrobie. I chociaż lekarstwa działały i rak reagował na leczenie — zawsze wyprzedzał nas o krok. A w tym czasie Abbie słabła i szybko dowiedziałem się, że za chwilę nie będzie mogła poradzić sobie ze zwykłym katarem. Więcej już nie mogła znieść.

Z drugiej strony ja już nie malowałem od trzech lat. Leonardo da Vinci powiedział kiedyś: „Jeśli duch nie współdziała z umysłem, nie ma sztuki”. Miał rację. Biorąc pod uwagę fakt, że nikt nie proponował pracy Abbie, a jej kontrakty zostały rozwiązane z powodu z niedotrzymywania terminów dostarczenia tego, co obiecała, czyli siebie, nasze oszczędności gwałtownie topniały. Sprzedałem swoje mieszkanie i łódź. Zacząłem obciążać nasz dom hipoteką.

Braliśmy udział w dwóch „próbnych badaniach”, w czasie których rosły nasze nadzieje, ale choć wyniki skanów komputerowych pokazywały zmniejszenie nowotworu, jednak on tam wciąż był. Sprawdziłem eksperymentalne i, co było zgodne ze słowami niektórych osób, radykalne leczenie w Meksyku, ale sprowadzało się ono raczej do odmawiania

zdrowasiek.

Minęło kolejnych sześć miesięcy, zakończyliśmy następne "leczenie próbne", dalszy miesiąc mieliśmy czekać na wyniki badań, które by pokazały, czy lekarstwa zadziałały. Pod koniec miesiąca nie potrzebowałem żadnych badań.

To się zaczęło w kuchni. Próbowwała powiedzieć „jabłko”, co zabrzmiało, jakby słowo miało pięć sylab. Potem zmasakrowała „spaghetti” i kompletnie odpadła przy „lodówka”. Rozmazywanie słów. Stało się oczywiste, że to zły sygnał. Badania komputerowe i badania krwi potwierdziły przerzuty na mózg. Jeśli była w tym jakakolwiek dobra wiadomość, to tylko taka, że już nie mogło nastąpić nic gorszego. Doktor Hampton tłumaczył:

— Lokalizacja nowotworu wyklucza usunięcie go za pomocą fal radiowych, co jest niezwykle skuteczne, ale nie w przypadku kiedy zaatakowany zostaje mózg. Nie możemy wsadzić sondy o temperaturze ośmiuset stopni i oczekiwać, że się potem wybudzisz.

— A co, gdybyśmy podali jeszcze więcej chemii?

Potrząsnął głową.

— Chemioterapia jest nieefektywna w przypadku raka mózgu, ponieważ jego wyściółka jest bardzo efektywna w bronieniu się przed przedostawaniem się toksyn. Nazywamy to barierą krew— mózg i jak na razie chemioterapia nie znalazła drogi, by się przez nią przedostać.

Siedziałem tam, słuchając i nie słuchając zarazem. Hampton opisywał jej stan i nasze ostateczne opcje. Abbie nawet me mrugnęła okiem.

— Chcę, byście mi podali maksymalną dawkę — powiedziała.

Pojechaliśmy do Jacksonville i zarejestrowaliśmy się w Mayo. Siedziałem, gryząc palce, a oni władowali Czernobyl w moją żonę.

Przez czternaście tygodni Abbie znosiła cierpliwie kalectwo, jakie wywołało sześciotygodniowe naświetlanie. Większość czasu przesypiała, co, z pewnego punktu widzenia było dobre. Miała mniej czasu na myślenie i odczuwanie efektów raka, jak i naświetleń. Nie winię jej. Brakowało mi jej

strasznie, ale sen był jedynym miejscem, w którym mogła się schronić. Jedyłą ucieczką, jaka jej została. Wszystkie inne drogi zamknęły się.

Kiedy się budziła, najmniejszy hałas, światło czy ruch wywoływały mdłości. To zmuszało nas do siedzenia w ciemności i ciszy. Po prostu byliśmy razem. To jedyne, co nam zostało. Szczęśliwie podawali jej, ile tylko chciała, środków przeciwbólowych, udowadniając, że szaleństwo może być błogosławieństwem.

Po ostatniej terapii przeprowadzili też ostateczną serię badań. Biorąc pod uwagę jej stan i fakt, że zasłużyła się, stając na pierwszej linii, postarali się i wyniki miały dotrzeć do nas już tego samego popołudnia. Czekaając na nie, musiałem pójść się przejść — coś, co robiłem prawie nieustannie. Czułem się niczym zdrajca, opuszczając Abbie, która wciąż jeszcze spała. Ale chciałem rozjaśnić myśli przed spotkaniem z Ruddym Hamptonem. Wyszepiałem tylko:

— Kochanie, idę po słodką bułeczkę czy coś w tym rodzaju.

I wyszedłem. Kiedy wróciłem, jakaś pielęgniarka wkładała jej kartę — i wyniki badań — do plastikowego pojemnika na drzwiach. Patrzyłem na nie i myślałem o mojej żonie, która siedzi w środku, czekając na złe wieści.

Przyglądanie się, jak moja żona umiera, zabijało także i mnie. Było mi niedobrze na samą myśl, że jestem całkowicie bezużyteczny. Zaangażowałem się w bitwę, w walkę na śmierć i życie, której nie potrafiłem wygrać. W mojej opinii jedyną gorszą rzeczą jest przyglądać się temu, jak walczy z chorobą dziecko. Wiedziałem to, bo skłamałem, mówiąc, że idę po bułeczkę. Tak naprawdę poszedłem popatrzeć na rodziców, których twarze mówiły mi, że cierpią równie mocno jak ja, jeśli nie bardziej. Kiedy je ujrzałem i poczułem chorą pociechę, że ktoś na tej planecie cierpi równie mocno, wróciłem.

Wiem, że to, co zrobiłem, było złe. Może nawet podłe. I żałuję tego.

Otworzyłem kopertę i na samym wierzchu zobaczyłem list. Był napisany przez radiologa onkologa, który opisywał wyniki badań:

Szanowny Doktorze Hampton,

Obejrzałem najnowsze wyniki badań komputerowych Abbie Eliot Michaels. Jak rozumiem, zakończyła ona właśnie drugi cykl sześciotygodniowych naświetleń. Po powrocie z oddziału radiologii osobiście obejrzałem zdjęcia. Towarzyszył mi doktor Steve Surrat, główny onkolog radiolog. Jest on przekonany, że guz w mózgu nie zmniejszył się. Prawdę mówiąc, znacznie się powiększył. Zgadzam się z nim. W tej sytuacji ja już nie mam nic do zaproponowania. W mojej profesjonalnej opinii w takim przypadku jedyną opcją jest hospicjum. Chciałem podziękować Panu, że mogłem brać udział w udzielaniu pomocy tej milej kobiecie.

Z poważaniem,

Paul McIntyre lekarz radiolog onkolog

do wiadomości: drRoy Smith

dr Katherine Meyer

dr Raul Dismakh

dr Gary Fencik

Przeczytałem list raz, a potem bardzo powoli po raz drugi. Szepcząc do siebie, przeczytałem ostatni raz, chyba miałem nadzieję, że usłyszę coś innego, niż widziałem. Ale za każdym razem, kiedy słowa rozbrzmiewały w mojej głowie słyszałem dźwięk rozbijającego się szkła.

Jedyną opcją...

Zamknąłem kopertę i oparłem się o drzwi. Miała trzydzieści trzy lata, jej ciało było całkiem wyczerpane, jej dusza emocjonalnie zużyta i duchowo odbierano jej wszelką nadzieję. Dotarliśmy do dna. To był koniec walki.

Wszedłem do środka, poza nią na łóżku, brudnymi prześcieradłami i pustym pojemnikiem po elektrolitach, wiszącym nad jej głową, nie było tam nic. Czysta rurka zwisała ze stalowej klatki piersiowej Georgiego. Rozejrzałem się po pokoju, zastanawiając, ilu wykształconych na Harvardzie optymistów w białych kitlach wpompowywało w jej żyły truciznę, wbijając igły, niczym pijawki, w jej skórę.

Wpatrywałem się w świąteczne kartki przypięte do ściany i zdałem sobie sprawę, że do naszej listy dodaliśmy właściwie wszystkich onkologów z Mayo. Wiedziałem równie dużo, może nawet więcej, na temat raka, jej raka, od internistów, którzy stając z kamiennymi twarzami u nóg łóżka Abbie, kiwali głowami, notując skrzętnie i dziękując Bogu, że to nie im się przytrafiło.

Usłyszałem za drzwiami stukanie obcasów. Po sposobie chodzenia wiedziałem, że to Ruddy. Powróciły do mnie echem jego słowa: „Macie ochotę zatańczyć?”.

Wszedł do środka, położył kopertę na łóżku i usiadł naprzeciwko mnie u nóg Abbie. Delikatnie poklepał ją po stopie, po czym położył rękę na moim ramieniu.

— Wyniki badań ... — potrząsnął głową. — Nie ma poprawy i...

— Ile zostało mi czasu? — spytała Abbie, otwierając oczy.

Ruddy poczuł się dotknięty.

— Nie wiem, czy został ci tydzień, miesiąc czy... — milczał przez chwilę.
— Trudno powiedzieć. — Uśmiechnął się. — Jesteś najtwardszym zawodnikiem, jakiego zdarzyło mi się spotkać... Daję ci więcej niż podręczniki.

— A co mówią książki? — zapytałem.

— Że nie powinno jej już tutaj być. — Po chwili mówił dalej. — Rekomendowałem was na próbne badania do doktora Andersona. Abbie nie do końca się tam kwalifikuje, ale ja... — wzruszył ramionami. — I tak was zgłosiłem. No i musimy poczekać na pozostałe wyniki badań, ale to potrwa jeszcze kilka dni. W tej chwili zalecam wam powrót do domu. Dam wam wszystko, żeby Abbie czuła się dobrze. Cóż... poczekajmy.

— Kiedy będziemy wiedzieli coś więcej?

— Za parę dni — odpowiedział Ruddy.

Potrząsałem głową. Po tym wszystkim, co przeszliśmy, wciąż czekaliśmy na dwa telefony.

— A co, jeśli nikt nam już nic nie zaproponuje? — zwróciłem się do Ruddy'ego.

Zakrył twarz dłońmi.

— Zrobimy wszystko, żeby czuła się dobrze.

Wpatrywałem się przez chwilę w sufit, a potem spojrzałem w dół, na ramię Abbie, gdzie ledwie widoczna była błękitna żyłka. Przypomniała mi się scena z „Angielskiego pacjenta”, w której pielęgniarka wstrzykuje mu osiem dawek morfiny.

Abbie zeszła z łóżka i pocałowała Ruddy'ego w czoło. Odkleiła taśmę, wyciągnęła igłę i wszystko przyczepiła do Pojedynczej nogi Georgiego. Wyszeptała:

— Georgie, idź do Lilith. Miło było cię poznać. — Miała szorstki głos, jakby było jej sucho w gardle. Nachyliła się, jakby nasłuchując, co mówi Georgie: — Nie... mowy nie ma. Już czas, byśmy się zaczęli spotykać z innymi partnerami. — Podniosła rękę, jakby chciała go zatrzymać. — Wiem... ale nasze drogi prowadzą nas w inne miejsca, a ty potrzebujesz kogoś, kto będzie stał przy tobie i wspomagał cię w pracy i miał dla ciebie więcej niż tylko kilka godzin na tydzień Naprawdę... — złapała go w pasie i odepchnęła w stronę najdalszej ściany.

Wyciągnąłem rękę, Ruddy uścisnął mnie, pocałował Abbie i wyszedł. On też walczył ze wszystkich sił. Oni wszyscy walczyli.

Po tym przeżyciu powróciły znane nudności. Abbie oparła głowę na rękę i zamknęła oczy. Drugą ręką masowała nogi, błagając, by krążenie powróciło. Usiadła na fotelu i zaczęła jeździć po pokoju. Przez ramię rzuciła szeptem w stronę Georgiego:

— Zaslugujesz na kogoś lepszego ode mnie. Kogoś, kto doceni twoje zaangażowanie.

Przez okna wdzierało się popołudniowe palące słońce. Mrużąc oczy, dopchałem ją do szafy, podniosła się i zajrzała do środka. Koszula szpitalna, niezwiązana z tyłu, osunęła się z jej ramion na podłogę. Chciałem ją zawiązać, ale Abbie tylko machnęła ręką.

— Nie dbam o to. I tak już nie ma na co patrzeć.

Pozwoliła, by koszula tak leżała, i stała całkiem naga —

skóra zwisała na niej, jakby o dwa numery za duża. Wskazała palcem w głąb szafy, wyciągnąłem parę dzinsów i podkoszulek. One też były za luźne, wisiały na niej jak na wieszaku. Zerknęła przez ramię i uświadomiła sobie, że stoi pupą w stronę korytarza, a dwóch pielęgniarzy gapi się na nią.

— Darmowa reklama — wyszeptała. Oparła się o mnie, a ja pomogłem jej włożyć jedną nogę w dzinsy. — Tak ciężko pracowałam, żeby swobodnie w nie wchodzić. Teraz chętnie bym tę swobodę komuś oddała.

Zapiąłem jej dzinsy i ubrałem ją w podkoszulek. Nie potrzebowała stanika. Jeszcze na głowę wcisnęła czapkę baseballową, a ja wsunąłem jej na stopy klapki. Na koniec przepchnąłem ją koło parapetu, popatrzyła na moczary rozciągające się od kanału po ocean, lśniący w oddali. Kutry, którymi rybacy wypływali na połów krewetek, znaczyły kropkami horyzont, ponad którym leciał szary samolot dostawczy, kierujący się na północ, do Mayport, gdzie żony marynarzy czekały z chorągiewkami w dłoniach i ubranymi na niebiesko dziećmi na rękach.

Ubieranie zniszczyło równowagę. Słabość zaczęła się w nogach, zadygotały kolana, w żołądku zebrała się zaś siła, by przez usta wystrzelić torsjami niczym pociskiem raketowym. Trzymałem ją nad umywalką i wycierałem jej usta. W tym momencie rozległy się kroki i pod drzwiami pokoju stanął młody człowiek. Spotkaliśmy go już kilka razy. Miał na twarzy trądzik, był wnukiem pacjenta zajmującego sąsiedni pokój. Niższy ode mnie o jakieś cztery cale. Abbie spojrzała na niego.

— Tak? — udało jej się wydusić z siebie.

Uciekł wzrokiem, próbował coś powiedzieć, ale nie potrafił, pokazał tylko na sąsiednie drzwi i odszedł, nie oglądając się — coś takiego zrobiło kilku mężczyzn w ciągu minionych lat. Do tego też przywykliśmy.

Pojechaliśmy w dół windą. Abbie zwymiotowała kolejny raz między szóstym a czwartym piętrem. Przeszliśmy przez parking, położyłem ją na rozłożonym siedzeniu pasażera i uruchomiłem samochód. Po czterech godzinach byliśmy w domu.

Zatoczyliśmy pełne koło.

ROZDZIAŁ 42

9 CZERWCA, POPOŁUDNIE

Po naszej lekcji latania wróciliśmy do chaty, gdzie Abbie usnęła. Ja w tym czasie pogałem poprzez deszcz do Boba, żeby poprosić go o kawę. Kiedy wszedłem do domu, pokazał na telewizor.

— Wygląda na to, że nasze ptaszki wpadły.

Wzmocnił głos. Na ekranie widać było reporterkę w pokoju szpitalnym, trzymającą mikrofon przed mężczyzną o oczach szopa pracza, czarnoniebieskiej twarzy i zaklejonym nosie. Mówił, jakby cierpiał na ciężkie przeziębienie. To był Verl, troll na grubych nogach i o szerokich barkach, któremu przyłożyłem w twarz rewolwerem. Obok niego stał Górnik, jak go nazwałem, a w istocie Buf. To był ten, który wszedł pierwszy i stanął nad Abbie. Pamiętam, że jego twarz świeciła i że nosił okulary. Teraz były posklejane taśmą. Ostatni raz widziałem go, jak uciekał z domku z Rocketem uczepionym u jego krocza. W tamtym momencie cienko piszczał. Teraz potrafił wydusić z siebie tylko chropawy szept.

— Tak, pojawił się jakby znikąd. Niczym tygrys czy coś w tym rodzaju. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Niczym rozkołysany... No coś jak zwariowany borsuk czy coś takiego.

Reporterka przerwała mu.

— Co robiliście na rzece, kiedy spotkaliście pana i panią Michaels?

Odpowiedział jej Verl.

— Płynęliśmy na żaby.

Reporterka pomachała mikrofonem przed trzecim mężczyzną. To był Limpy, najwyższy z całej czwórki, ten, który zanosił się wysokim, diabelskim śmiechem i którego Bob zdzielił w twarz kolbą.

Zapytała go:

— Czy robiliście to już kiedyś wcześniej?

Kulejący przytaknął. Miał zmasakrowane usta. Podejrzewałem, że spotkanie szczęki ze strzelbą tak się mogło skończyć. Jeden ząb był wyraźnie złamany, kilku brakowało. Kiedy mówił, poświstywał.

— O tak, proszę pani. Ja i Buf wychowaliśmy się nad rzeką.

Brakowało tylko faceta z bronią, tego, który załatwił mnie moją własną strzelbą.

— I ileż to zęb złapaliście — chciała wiedzieć — kiedy pan Michaels rzekomo was zaatakował?

— Co zrobił? — zdziwił się kulejący.

— Zamknij się, głupku — pisnął Verl, samozwańczy rzecznik grupy. Gestami podkreślał to, co mówił. — Bo widzi pani, one wyczuły, że nadchodzi sztorm, a żaby czują zmiany ciśnienia, a mieliśmy ich wtedy z piętnaście czy dwadzieścia. I właśnie wypłynęliśmy z za zakrętu, i usłyszeliśmy ten krzyk... — strzepnął palcami. — Tak krzyczy kobieta w potrzebie.

Bufort klepnął dziennikarkę po ramieniu.

— No właśnie.

— No więc wiosłowaliśmy dalej, do Brickyard... — kontynuował Verl. — Nie mówię o miejscu wyścigów konnych, ale o przystani... i wtedy zobaczyliśmy tego gościa i jego kobitkę. Nie miała na sobie ubrania i wyglądała na naprawdę chorą, on też nie miał nic na sobie. Pomyśleliśmy, że może są z tego kurortu w górze rzeki. No to popłynęliśmy dalej, a kiedy

dotarliśmy do telefonu, zadzwoniliśmy na 911... bo ona, no, wyglądała na naprawdę chorą, a potem podpłynęliśmy do brzegu i właśnie mieliśmy wsiąść z łodzi, kiedy on rzucił się na nas jak... żółw Ninja.

Oczy Buforta zrobiły się okrągłe, wywijał rękoma, wykonując w powietrzu ruchy naśladujące karate.

— Tak, właśnie. Jak żółw Ninja.

Verl wskazał na własną twarz.

— Rozwalił mi usta, złamał Bufowi nos... Okropne paskudztwo.

Reporterka powiedziała do mikrofonu:

— Więc zaatakował was trzech.

Bufort przytaknął, ale potem pokręcił głową.

— Tak. No... nie. Chodzi mi o to, że skoczył na nas trzech i na Pete'a. — Przeliczył na palcach. — To znaczy, że na czterech.

Popatrzyła na trzech facetów.

— Powiedźcie mi coś na temat Pete'a.

— Został znokautowany, bo pan Michaels uderzył go w głowę... metalową rurą.

— Czy on znajduje się w tym szpitalu?

— Nie — Bufort potrząsnął głową. — Siedzi w domu i pije sobie piwo.

— Rozumiem — reporterka pokiwała głową.

— To lepsze niż reality show — roześmiał się Bob.

Teraz przystawiła mikrofon Verlowi.

— A co z żabami?

— One... wypadły do wody, kiedy przewrócił nam łódkę.

— Wydawało mi się, że były w jakimś pojemniku. Zamknięte. — Jej brwi podjechały w górę.

Verl zastanawiał się przez chwilę.

.... No... mieliśmy ich tyle, że część wypadła... Tak... wypadła, kiedy łódź się wywróciła.

— A co zrobiliście z resztą? — dopytywała się reporterka.

— Zjedliśmy je. Smakowały jak kurczaki.

Bufort wepchnął się przed kamerę.

— I musicie uważać, bo on jest uzbrojony i groźny.

Verl wycelował paluchem w kamerę.

— Właśnie. Uzbrojony i groźny.

— Rozumiem. Dziękuję panom — odwróciła się do kamery. — Oddaję ci prowadzenie, Sam.

Sam odezwał się, patrząc na monitor.

— Barbara, czy masz jakiś pomysł, gdzie w tej chwili mogą się znajdować Abbie Eliot i Doss Michaels?

Barbara potrząsnęła głową.

— Jeśli ci dżentelmeni spotkali Abbie Eliot i Dossa Michaela w miejscu, które wskazali, można przypuszczać, że płyną dalej rzeką St. Mary — wzruszyła ramionami. — Ale biorąc pod uwagę sztorm, gdzie dokładnie się znajdują, trudno powiedzieć.

Sam popatrzył zmrużonymi oczyma w drugą kamerę.

— Teraz przeniesiemy się do domu senatora Colemana w Charlestonie. Senatorze, czy ma pan jakąś wiedzę na temat tego, gdzie pana córka może się znajdować, i czy kontaktowała się z panem?

Kamera pokazała jej ojca przed domem. Przed jego twarzą tkwiło osiem mikrofonów. Co dziwniejsze, na ścianie za rum wisiał obraz Rozalii. Spoglądała na niego z góry. Senator odchrząknął.

— Jesteśmy blisko zlokalizowania ich, ale ponieważ Doss wychował się nad rzeką, zawsze wyprzedza nas o krok. Sztorm nie pomaga. Jeśli chodzi o kontakt z Abigail Grace, to nie, nie miałem go. Nikt, kogo znamy albo znaleźliśmy, nie miał z nimi kontaktu przez ostatnie półtora tygodnia. — To pewnie oznaczało, że nie otrzymał jeszcze listu Abbie.

Bob wyłączył telewizor.

O co chodzi z tymi podwójnymi imionami?

— Taki charlestoński zwyczaj.

— Nie wyobrażam sobie — mówił dalej Bob — żeby ktokolwiek przy zdrowych zmysłach uwierzył w historię tych trzech popaprańców, ale obciążają ciebie. I pokazali to w ogólnokrajowej telewizji. Lepiej nadstaw uszu. Helikoptery już tu pewnie krążą.

— Nie wiesz nawet połowy.

ROZDZIAŁ 43

Przeszliśmy jeszcze setki testów. Każdy kolejny potwierdzał brak jakichkolwiek szans na wyleczenie, ale gdy przez nie przechodziliśmy, zawsze była nadzieja, że kolejny test, kolejne lekarstwo, kolejne odkrycie medyczne, kolejne coś nas uratują. Śniadanie, lunch, obiad, kolacja, podczas każdego z tych posiłków żywiliśmy się nadzieją.

Podczas gdy Abbie odsypiała, czyszcząc się z chemii i promieniowania, ja łąziłem po domu, powoli uświadamiając sobie, że coś się zmieniło. Czegoś zabrakło. Zabrakło nam pożywienia. Bufet, który otwierał różne możliwości, został zamknięty. Pozostały tylko puste tace. Umieranie to jedno. Świadomość, że umierasz, i oczekiwanie na śmierć, to coś kompletnie innego. A siedzenie i patrzenie na kogoś, kto na nią czeka, to jeszcze inna sprawa.

Minęło kilka dni. Kręciłem się po domu, czekając na te dwa telefony, podczas gdy Abbie, jak zwykle, przesyiała czas usuwania się z jej organizmu toksyn. Późnym wieczorem wyszedłem z mojego studia, wdrapałem się na bocianie gniazdo i stałem tak, rozglądając się wokoło. Księżyc rzucał cienie na wodę, a w oddali lśniły światła Fortu Sumter. Chwilę później zadzwonił mój telefon. Sprawdziłem wyświetlacz i zobaczyłem numer teksański.

— Słucham?

— Doss Michaels?

— Przy telefonie.

— Mówi Anita Becker, asystentka doktora Paula Virtha .

— Tak?

ROZDZIAŁ 44

10 CZERWCA

Kiedy wróciłem do chaty, Abbie nie było w środku. Sprawdziłem posłanie, ale został tylko zapach. Wędką stała oparta w rogu, a ubranie leżało na krawędzi łóżka. Podrapałem się w głowę. Chwilę później zaskrzypiały schody. Abbie wróciła z werandy na tyłach chaty owinięta prześcieradłem jak sarongiem. Usiadła koło mnie.

— Bob mówi, że końcówka sztormu przejdzie tędy dzisiaj w nocy.

— Tak. — Trzymała w dłoni poplamioną szmatkę. Żyłka na skroni pulsowała, wyraźnie powiększona. — Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

— Cokolwiek zechcesz.

Poprowadziła mnie po schodach na brzeg rzeki. Stawiała ostrożnie stopy, przystając co kilka kroków dla złapania oddechu i by nie powiększać bólu, jaki się czaił między jej oczami. Najwidoczniej nie spała zbyt długo, bo wszystko już było naszykowane. Posadziła mnie na krześle, sztalugi stały w zasięgu moich palców. Ołówki były naostrzone, płótno naciągnięte. Usadowiła mnie twarzą do rzeki. Kilka kroków dalej wzdłuż brzegu leżało przewrócone drzewo cedrowe, niszczone od wiatrów, wybielone słońcem, gładkie. Z jednej strony wspierało się o ławkę. Kończówka ławki wisiała dwie stopy nad wodą, co tworzyło naturalną niszę, by wyciągnąć się i patrzeć na rzekę, która wyglądała tu jak czarne lustro. Nieskazitelnie gładkie.

— Kochanie, nie mam natch...

Przytknęła palec do moich ust.

— Ciiii...

Pocałowała mnie, przeszła kilka kroków i usiadła na cedrowym pniu, krzyżując nogi. Pozwoliła, by prześcieradło z niej spadło. Ułożyło się wokół bioder, odsłaniając jej blizny, leżało na drzewie niczym obrus. Rozwiązała chustkę i powiesiła ją na gałęzce, gdzie łopotąła jak chorągiewka na wietrze. Wytarła nos, popatrzyła na szmatkę i zgmiotła ją w ręce.

— Dzięki temu wszystkiemu czegoś się nauczyłam — wyszeptała. Pojedyncza kropla spadła jej z nosa na udo. — Nie trzeba być pięknym... żeby być pięknym.

Podniosła w górę brodę, wciągnęła mocno powietrze. Gdy je wydychała, dziurki jej nosa poczerwieniały.

— Oddychaj mną — wyszeptała.

Patrzyłem przez długi czas. Oczami i nie tylko oczami. Wziąłem głęboki wdech, zamknąłem oczy i tak trwałem, znalazłem tę jedną rzecz, dla której chciałem spojrzeć znowu. I zacząłem szkicować.

Powoli wizerunek nabierał kształtu. Węgiel pracował na płótnie. Miałem wrażenie, jakby ciężka mgła unosiła się znad oceanu po sztormie. Ogrzewało ją słońce. Palce nóg, które zginały się na piasku, prawa stopa skrecona nieco bardziej niż lewa, szczupłe nogi, długie łydki, kościste kolana, wymizerowane uda, zapadnięte biodra, dłoń zaciśnięta na chusteczce, blizny przecinające niczym drut kolczasty klatkę piersiową, pożółkła cienka skóra opadająca z obojczyków, wyraźne żyły na karku, łuszczący się i popękany nos, fioletowoniebieska żyłka pulsująca na skroni, biała czaszka, zapadnięte oczy, szara skóra, zmęczenie. Słowem: Abbie. Na tle

sztormowych chmur i rzeki.

Mijały godziny.

Malowałem na tyle długo, by wiedzieć, że każdy obraz, jeśli ma być dobry, musi zacząć żyć własnym życiem. Ten obraz zrobił coś, czego nie planowałem. Utrwaliła się na nim zarówno jej kruchość, jej zapadła, blada,

kościasta postać, z wystającymi obojczykami i widocznym każdym zębem, ale również jej siła i jej wspaniałość. Było w niej coś większego niż samo życie. Jej swoista duma, która mówiła: „Nie jestem tym, co zrobił ze mną rak”. Odsunąłem się i popatrzyłem na szkic, z którego miał powstać obraz, jaki zawsze wierzyła, że potrafię namalować. I tam właśnie zrozumiałem. Ona wyszeptwała do mnie to słowo z płótna. Moja żona.

Nieugięta.

zmroku podniosłem ją z ławki. Zerknęła na płótno.

— Zabrało ci to strasznie dużo czasu.

— Przepraszam. Modelka się wierciła.

Zawiązała chusteczkę na głowie.

— Rozczarowujesz mnie. Myślałam, że chciałeś popatrzeć sobie na mnie naga.

— No cóż...

Oddychała z trudem. Posadziłem ją na moim krześle. Poczulem, jak stopy zapadają mi się w piasek. Spoglądała na siebie, podążając palcem za każdym pociągnięciem węgla, za każdym cieniem. Po jakiejś minucie skinęła głową.

— Nawet Rembrandt...

Przyglądała się zmrużonymi oczyma. Nagle otworzyła je szeroko, uśmiechając się, choć czułem, że walczy z bólem.

Zapytałem.

— W skali od jeden do dziesięciu?

Jej powieki opadły, znów oparła się o mnie. Zaczął zacinać deszcz.

ROZDZIAŁ 45

10 CZERWCA, ZMIERZCH

Abbie leżała na plecach, jej klatka piersiowa unosiła się i opadała w krótkich, płytkich oddechach. Pozowanie wykończyło ją. Twarz miała całkiem białą. Gałki oczne przesuwały się pod powiekami. Bob usiadł ze szklaneczką w jednej i butelką tequili w drugiej ręce. Spoglądałem na rzekę.

— Nie jesteś mi nic winien i masz prawo do prywatności, ale... jak tu dotarliście?

Zacząłem opowiadać i opowiedziałem mu naszą historię. O historii w parku. I o Rozalii. O tym, jak poprosiłem o jej rękę senatora, o naszej ucieczce i kupnie domu w Charlestonie. Opowiedziałem o naszej prawie rocznej podróży. O natrafieniu na guzek i o ostatnich czterech latach. Szczegółowo. Operacje, terapie, nadzieje i odkrycia. Wreszcie powiedziałem mu też o Heather.

Podczas gdy ja mówiłem, Anna przetaczała się za oknami. Osłabła do poziomu tropikalnego sztormu, ale co parę minut czuliśmy podmuch, po którym dochodził do nas huk pękających na pół pni sosen. Rzeka musiała napęcznieć od niesionych kłód i gałęzi.

Spoglądałem przez okno, opowiadając cicho:

— Kiedy dorastałem nad rzeką, na każdym zakolu można było natrafić na linę do huśtania się. Wspinanie i huśtanie się na nich było częścią mojego życia. Firma, która wytwarzała sprężynowe sienniki, znajdująca się mniej więcej o milę od naszego osiedla, wyrzucała przez rurę swe nieczystości do stawu za zakładem. Kiedy mocno padało, staw napełniał się i brudy wpływały

do betonowych zbiorników, z których potem spływały do rzeki. Zbiornik pomagał zredukować erozję brzegu. Żeby takie dzieciaki jak ja trzymać z dala od zbiornika, dziurę osłonięto metalową kratą. Problem jednak w tym, że pokusa była nazbyt wielka. Jako astmatyk byłem dość nieduży, więc przywiązałem moją linę do kraty, przedostałem się przez dziurę i bujałem się, udając Tarzana. To była świetna zabawa do czasu, kiedy się poślizgnąłem, obtarłem sobie ręce i z bólu wypuściłem linę. Spadłem do wody sięgającej mi do piersi. Stałem na dnie. Niestety, nie mogłem dosięgnąć liny. Studnia była głęboka na jakieś osiem stóp, czyli była o dwie stopy za głęboka dla chłopca mierzącego cztery stopy i mogącego sięgnąć w górę kolejne dwie. Szczęśliwie woda była wylewana każdego dnia, więc nie znalazłem się jak Indiana Jones w zbiorniku pełnym węży i zarazków malarii. Mogłem tam tylko stać i trząść się z zimna. W dodatku nie miałem inhalatora. Strach ścisnął mi płuca, odcinając dopływ powietrza, czułem, że zaczyna mi się kręcić w głowie. Gdybym zemdleł, upadłbym do wody i utonął. Stałem tam kilka godzin skoncentrowany na jednej tylko rzeczy. Na kolejnym oddechu. Nie wiem, po jak długim czasie usłyszałem gwizd, który sygnalizował zarówno koniec zmiany, jak i oczyszczenie jeziora, co oznaczało, że woda zaraz zostanie wlana do zbiornika. Przesunąłem się na bok, do ściany, czekając, by Poziom wody podniósł się na tyle, żebym mógł złapać za linę. Wyciągnąłem się wówczas i przelazłem przez dziurę.

To uczucie bezradności przypomniało mi się, kiedy siedziałem przy szpitalnym łóżku Abbie, przyglądając się, jak chemia zatruwa moją łysą, bladą, pozbawioną piersi, wymizerowaną, chorą i wymiotującą żonę.

Przez chwilę milczałem.

— Nie rozumiem, jak Bóg, który... — machnąłem ręką, pokazując na rzekę i na Abbie — ...stworzył to wszystko... może pozwolić, by coś tak złego przytrafiło się jej. — Siedziałem, potrząsając głową. — Dlaczego?

Mijały minuty. Przechylił butelkę i wysuszył ją do ostatniej kropli. Jego oczy były przekrwione, tequila ściekała mu po brodzie. Podeszedł do łóżka, na którym leżała Abbie. Ukląkł przy niej, położył jej dłoń na czole i wyszeptał:

— Czy ja się zastanawiam, dlaczego Bóg milczy? — Pokiwał głową. — Czy potrafię wytłumaczyć, dlaczego istnieje cierpienie i zło? — Potrząsnął głową. — Czy czuję rozpacz, gdy patrzę na to, co wyrabia świat? — Milczał przez chwilę. — Masz cholerną rację. — Odwrócił butelkę, wyciągnął językiem robaka, przez chwilę trzymał go pomiędzy przednimi zębami, po czym przegryzł i połknął. A wreszcie odwrócił się do mnie. — A mimo to wierzę w Niego.

Spoglądałem na rzekę. Przejaśniło się, powrócił księżyc. Rzeka czarną twarzą spoglądała na mnie. Czterdzieści sześć mil. Półtora dnia, jeśli dam z siebie wszystko. Chciałem zakończyć naszą drogę, ukraść jeszcze czas.

Położyłem dłoń na brzuchu Abbie.

— Czy mogę prosić o przysługę?

— Tylko powiedz. — Skinął głową.

— Będziesz potrzebował swojej koloratki.

Potrząsnąłem Abbie. Otworzyła oczy. Miała ciężkie powieki i mgliste spojrzenie. Zabrało jej chwilę dojście do siebie.

— Cześć — udało jej się powiedzieć.

— Cześć. Czy czujesz się na siłach, żeby zrobić coś, czego nie było na liście?

— Co tylko zechcesz.

— Wyjdiesz za mnie... jeszcze raz. — Pokazałem na Boba. — Tym razem, jak Pan Bóg przykazał.

— Z radością — podniosła głowę.

* * *

Brnąłem, niosąc na rękach Abbie, rwącym strumieniem. Szedłem czymś, co kiedyś było zatoką, do miejsca gdzie stał stary drewniany budynek.

Pchnięciem otworzyłem drzwi i wniosłem ją do środka. Deski, które kiedyś skrzypiały pod moim ciężarem, teraz były ciche. Woda doszła do ławek i cały czas się podnosiła. Podeszedłem do ołtarza, Bob posadził na nim Rocketa, po czym podeszedł do okien i kilka z nich otworzył, żeby wpuścić do środka trochę światła i powietrza. Stary budynek zakolysał się w swych fundamentach. Jeden silniejszy podmuch czy prąd, a wszystko gotowe było się rozsypać. Jak domek z kart. Następnym krokiem byłby już tylko ocean. Rocket spacerował po ołtarzu, zastanawiając się, jakie ma możliwości, a Petey siedział na ramieniu Boba, przyglądając się szklistej podłodze.

— Do diabła z koszem — powtarzał. — Do diabła z koszem.

Tylną część kościoła zdemolował sztorm. Atak był zdecydowany. Drzewo zważyło się na podporowe belki, na których śledziłem palcem litery. Zarówno drzewo, które spadło, jak i stare belki zniknęły. Spłynęły do rzeki. Zabrały ze sobą kawałek dachu. Co kilka chwil wiatr wyszarpywał kolejne fragmenty gontu, te przez chwilę się szamotały, po czym oddały zupełnie i odpadały.

Bob stanął przed nami. Ubrany w białą albę, przewiązaną białym sznurem, z narzuconym na nią fioletowym ornatem wyglądającym jak poncho. Na jego brzuchu wisiał potężny krzyż. Petey wskoczył mu na prawe ramię. Bob pocił się, skóra na karku sfałdowała się nieco na koloratce. Przejechał palcem, wciskając ją na miejsce. W końcu rozejrzał się uśmiechnął do siebie i powiedział:

— Pasuje.

Wszędzie wokół nas lśniła woda. W czasie, kiedy tu staliśmy, podniosła się o kolejne kilka cali.

Abbie oparła głowę na moim ramieniu, ręką obejmując mnie za szyję.

— Mogę stanąć — wyszeptała.

— Jesteś pewna?

Pokiwała głową, więc ją postawiłem. Rozwinąłem prześcieradło, w którym przyniosłem ją z domu, po czym złożyłem je na pół i owinąłem wokół niej jak ręcznik. Niebieska bandanka wisiała luźno na jej głowie, poprawiła węzeł i wsunęła mi rękę pod ramię. Tren z prześcieradła unosił się za nią. To musiał być niezły widok.

Bob trzymał małą, zaczytaną, oprawną w skórę książeczkę. Przerzucił kilka kartek, spojrzął na nas, potem popatrzył znowu na rytuał. Wreszcie zamknął go i odłożył na ołtarz. Rocket zerknął zabawnie, po czym grzecznie usiadł.

— Czy nie potrzebujesz tego? — spytałem, pokazując na rytuał.

Potrząsnął głową.

— Pamiętam.

Odchrząknął.

— Przyszliście tu dzisiaj po błogosławieństwo Boga i... — rozejrzał się po trzeszczącym pomieszczeniu — Jego Kościoła dla waszego małżeństwa. Żądam więc, byście przyrzekli, że z Bożą pomocą będziecie wypełniać te zobowiązania, jakie nakłada na was małżeństwo w duchu chrześcijańskim.

Zwrócił się do mnie.

— Doss, wzięłeś sobie Abbie za żonę. — I zapytał szeptem:

— Jak dawno temu?

Pochyliłem się ku niemu.

— Czternaście lat.

Bob odchrząknął po raz drugi.

— Czternaście lat temu... Hm... Wyrażając wolę odnowienia sakramentu, czy przysięgasz tutaj w obecności Boga i... — zerknął ponad ramieniem — ...innych świadków, kochać ją, dbać o nią, szanować ją i być z nią... —

widziałem, że jego wargi się poruszają, ale słowa rozbrzmiewały gdzieś głęboko we mnie. Spoglądałem na Abbie kątem oka. Stała wyprostowana. Podbródek wysoko, na twarzy odbijał się blask rzeki. Zamilkł na chwilę. — ...w chorobie i zdrowiu, i gdy inni ją pozostawią, i pozostać jej wiernym tak długo, jak długo będziecie oboje żyć?

W głowie przewijała mi się taśma, na której oglądałem minione czternaście lat. Trudno mi było ją oglądać. Przeszliśmy przez chwile dobre i złe oraz takie, które trudno nawet sobie wyobrazić.

Złapałem obie ręce Abbie.

— Do końca mojego życia.

Abbie westchnęła głęboko, oparła się o mnie i objęła mnie mocno rękami.

— Tak też może brzmieć ta przysięga — Bob skinął głową.

Petey zatrzepotał skrzydłami i latał nad naszymi głowami, wykrzykując:

— Tak, do diabła! Tak, do diabła!

Bob spojrzał na Abbie.

— Abbie, ty wzięłaś sobie Dossa za męża. Czy przysięgasz kochać go, dbać o niego, szanować go i być z nim w chorobie i zdrowiu, i gdy inni go pozostawią, i pozostać mu wierną tak długo, jak długo będziecie oboje żyć?

— Przysięgam — skinęła głową.

Bob przeżegnał nas, po czym wznosił ręce.

— Panie, proszę błogosław... — chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tylko potrząsnął głową. Chciał się pozbierać, ale nie mógł. Wreszcie zamknął oczy, płynęły z nich łzy. Wyszeptał. — Amen. Możesz pocałować żonę.

Petey zamachał skrzydłami i usiadł mu na ramieniu.

— Całuj pannę młodą! — wrzeszczał. — Całuj pannę młodą!

Abbie wpatrywała się we mnie. Tyle było rzeczy, które chciałem powiedzieć i zrobić. Miałem wciąż wiele pragnień. Ale nic nie potrafiłem wykrztusić. Ona skinęła głową i powiedziała.

— Ja wiem.

Ująłem w dłonie jej szczupłe policzki i drżącymi ustami ją pocałowałem.

Abbie odwróciła się w wodzie, zwracając się do pustych ławek.

— Chciałabym podziękować, że przyszliście. Szczególnie, że zawiadomienie przyszło w ostatniej chwili. — Jaszczurka siedząca na parapecie kiwała głową w górę i w dół. Abbie obróciła się do mnie i postukała mnie palcem w pierś. — Po czternastu latach wreszcie wzięliśmy ślub w kościele. — Popatrzyła na dziurę w dachu i roześmiała się. — A przynajmniej w tym, co z niego zostało. — Wsunęła mi rękę pod ramię i pociągnęła mnie. — Idziemy. Jesteś mi winien miesiąc miodowy.

Przedarliśmy się do głównych drzwi, a potem między drzewami dotarliśmy do chaty, gdzie spędziliśmy wieczór owinięci w koc, wpatrując się przez okno w strugi deszczu.

Anna wciąż miotała się na północ od nas, wyrzucając z siebie cztery cale deszczu na godzinę. Podczas jej wędrówki hrabstwa od Tallahassee do Jacksonville i Savannah otrzymały średnio 20— 35 cali deszczu. Na kanale pogodowym mówiono, że nawet w obszarach podgórskich Tennessee i Georgii spadły rekordowe ilości deszczu. Po tym jak Anna dotarła na wschodnie wybrzeże i objęła je swymi ramionami, przesunęła się znowu na północ. 10 czerwca przed północą rozproszyła się wzdłuż północno— wschodniego wybrzeża i umknęła w północne rejony Oceanu Atlantyckiego, gdzie wreszcie zanurkowała i zniknęła.

— Problemem, jaki po sobie zostawiła, nie był wiatr, połamane drzewa, zniszczone domy, tornado, które deptało jej po piętach, czy zdewastowane wybrzeże. Nie. Było nim kilka milionów stóp sześciennych deszczu, który spływał z jej ramion, kiedy spacerowała po kraju.

I cały ten deszcz musiał znaleźć drogę, by wrócić znów do oceanu.

* * *

Północ przyniosła spokojne, jasne niebo i najbardziej rozświetlony księżyc, jaki kiedykolwiek świecił. Kanu Boba miało szesnaście stóp, było wykonane z aluminium i w zamierzchłej przeszłości zostało pomalowane na zielono. Nie było najwygodniejsze ani najłatwiejsze do sterowania, ale za to szybkie, a nam bardziej potrzebna była prędkość od wygody. Zwinąłem *Nieugiętą*, włożyłem ją do plastikowej tuby z wodoszczelną zatyczką. Bob podał mi parasol w kolorach tęczy, mówiąc:

— Do ochrony przed słońcem.

Ulokowałem jedno i drugie wzdłuż siedzenia, po czym położyłem Abbie na piance na dnie kanu.

Ubrana w wytarte dzinsy z obciętymi nogawkami i górę od bikini, Abbie wyglądała jak na samym początku naszej podróży. Bob był nadal ubrany w szaty, w których udzielał nam ślubu. Teraz ściągnął z siebie fioletowy ornat i okrył nim Abbie niczym kocem. Wyciągnąłem do niego rękę.

— Dziękuję.

Skinął głową.

— Zdajesz sobie sprawę, że najprawdopodobniej mają ludzi, którzy biwakują przy mostach.

— Tak.

— Potrafisz ich ominąć?

— Nie wiem.

— Nigdy nie pomyślałbym, że uda wam się tak daleko dopłynąć.

— Nigdy nie myślałem — uśmiechnąłem się w odpowiedzi — że uda nam się tak daleko dopłynąć.

— Dzwon, kiedy będziesz mnie potrzebował — dodał jeszcze. — Potrafię wylądować na dziesięciocentówce.

Odepchnął nas od brzegu, zanurzyłem głęboko wiosło, przede mną było kilkadziesiąt mil i całe moje życie.

Wielki

ROZDZIAŁ 46

OSTATNI DZIEŃ. 11 CZERWCA, PIERWSZA W NOCY

Po stronie Florydy rzeka rozlała się szeroko. Wyraźnie wystąpiła z brzegów. Coś, co mogło mieć kiedyś szerokość stu stóp, rozpościerało się teraz na pół mili. Woda stała między palmami i sosnami. To przypomniało mi zdjęcia z parku Everglades. Zważywszy na doświadczenie, ale i pewną wiedzę na temat osuszania, zakładałem, że większa część deszczu dopiero się wleje do rzeki. Będzie się to działo przez następne dwadzieścia cztery godziny. Zanim przyjdzie świt, rzeka już będzie nie do poznania. Nawet dla mnie. I im dalej będziemy się przemieszczać, tym prąd będzie się stawał szybszy. A to oznaczało, że niekoniecznie będę umiał ocenić nasz postęp po punktach orientacyjnych. Niektóre z pewnością wciąż pozostały, ale pewny może być tylko nurt rzeki.

Jeśli będzie dość żywy, osiągniemy średnią prędkość ośmiu mil na godzinę. W kanu na rzece to jak pokonanie bariery dźwięku. Dobrą wiadomością było, że przy wysokiej wodzie zamykano most na autostradzie numer 17. Co oznaczało, że musimy sobie poradzić tylko z mostem na drodze 1—95. Jeśli uda nam się prześlizgnąć pod nim albo opłynąć go wokół, dalej polecimy jak strzała. Wiedziałem, że wysłali za nami ludzi na poszukiwania, ale zamierzałem się tym martwić, dopiero gdybym ich spotkał. Mogliśmy podróżować pod osłoną nocy, a ponieważ w wodzie płynęło mnóstwo śmieci może mieliśmy szansę.

Z kolei śmieci z pewnością nas spowolnią. Z wodą, której poziom podnosił się z minuty na minutę, unosiły się również gałęzie i różne odpadki, które wciągał główny nurt. W niektórych miejscach, gdzie rzeka tworzyła wiry, śmieci kumulowały się, tworząc gruby dywan wielkości małego boiska. Albo i kilku boisk. I chociaż mogły stać się dla nas kamuflażem, mogły również być

niebezpieczne. Wiedziałem, że jeśli się przewrócimy w obszarze bagien, możemy już nigdy nie wypłynąć.

Płynęliśmy od dwóch godzin, kiedy usłyszałem dźwięk motoru. Po stronie Georgii ktoś posadził osiem palm w jednym rzędzie. Były stare, dojrzałe, a ich liście sphywały na powierzchnię wody. Zanurkowałem, chowając się, pod liście, pociągnąłem z całych sił dwa z nich tak, żeby opadły na nas. Dwa pathfindery gnały z dobrą szybkością w górę rzeki, oświetlając reflektorami brzegi i nurt przed sobą. Snop światła przesunął się po nas, ale palma ukryła nasz zarys. Łodzie zniknęły, fala zachybotła kanu, przesuając nas w tył. Sprawy zatem się nieco komplikowały.

Na godzinę przed świtem minęliśmy, jak mi się wydawało, drogę Coopers Neck, ale w panującym półmroku trudno było stwierdzić to na pewno. Następnie minęliśmy linię dachu kościoła baptystów na górze Horeb. On też znajdował się pod wodą. Co dziwniejsze, sama chrzcielnica nie. Wykonana z betonu i pomalowana na biało tkwiła na wyższym wzgórzu, otoczona balustradą. W chwili gdy ją mijaliśmy, trzy kaczki pływały wokół.

Przez ostatnie godziny wiosłowałem na dziewięćdziesiąt procent swoich możliwości. Rzeka w czasie nocy przeistoczyła się i nic już nie poznawałem. Robiłem, co mogłem, by utrzymać dziób na kursie, ale nieustanna walka z nurtem mnie zmęczyła. Używając żeglarskiego żargonu: byłem ugotowany.

Przed świtem dotarliśmy do miejsca postojowego w Brickyard, gdzie prześlizgnęliśmy się bokiem. Tym samym odzyskaliśmy szesnaście mil, które straciliśmy, kiedy Bob zabrał nas do siebie. Coraz szybszy prąd rzeki niwelował pływ. Nawet nie potrafiłem ocenić, czy jest przyływ, czy odpływ, tyle wody płynęło w stronę oceanu. Zazwyczaj w tej części rzeki wzdłuż moczarów powstają czarne zatoki stojącej wody, po których daje się poznać, jaki poziom osiągnął przyływ lub odpływ, ale teraz poziom wody był wyższy o kilka stóp od tego, co zwykliśmy nazywać wysoką wodą.

Wierzyłem, że uda nam się prześlizgnąć niepostrzeżenie koło White Oak, a potem blisko brzegu płynąć przez kolejne siedem mil. Niemniej dalej czekały

nas jeszcze dwie przeszkody. Wspomniane już mosty: na „siedemnastce” i na drodze 1— 95. Senator nie był głupi. Na pewno ustawił ludzi w obu tych miejscach. Prawdopodobnie czatowały tam też kamery reporterów. Jeśli będziemy mieć szczęście i prześlizgniemy się pod pierwszym mostem, po pięciu milach dotrzemy do kolejnego, większego — zarówno mostu, jak i problemu — na 1— 95. Most między stanami był wysoki, z dobrym widokiem na nas, na długo zanim byśmy się pod nim pojawili. Potem woda rozlewa się szeroko, brzegi są błotniste, pełno tam ostryg, natomiast nie ma gdzie się schować ani gdzie odpocząć. Żeby pokonać to miejsce, musimy płynąć dokładnie środkiem, co oznacza, że będziemy doskonale widoczni na tle wody. Tak jak kaczkę na strzelnicy.

Ale dwanaście mil dalej leży Cedar Point. Biorąc pod uwagę fakt, że z pewnością senator otrzymał już list od Abbie, byłem pewien, że czekał na nas w St. Marys, a może w samym Cedar Point, jeśli potrafił to miejsce znaleźć. Byłem tak zmęczony, że już nie bardzo mnie to obchodziło.

Siedziałem, patrząc na wodę, położyłem wiosło na nogach i wtedy uświadomiłem sobie, że jestem wykończony. Wprost nieludzko. Z jakiegoś powodu wszystko, co się stało wszystkie słuszne wybory przygniotły mnie. Wtedy to po raz pierwszy poczułem, że rewolwer, który tkwił w mojej tylnej kieszeni, mógł służyć nie tylko do obrony.

Znalazłem się w ciemnym zaułku.

Tyle razy chciałem jej to powiedzieć. Wyjaśnić, jak Heather dostała się do mojego pokoju i co się naprawdę wydarzyło. Przekonałem samego siebie, że lepiej, by nie wiedziała. Chyba że tatuś już jej wszystko wyłożył. W takim przypadku żyła, wątpiąc we mnie, i to oznaczało, że bawiliśmy się ze sobą w kotka i myszkę. Ale jeśli tego nie zrobił, a ja wyciągnę tę historię, okaże się, że jest to dla niej coś nowego, zranię ją w miejscu, gdzie nie było dotąd żadnej rany.

Nie było łatwego rozwiązania.

— Abbie?

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie.

— Tak?

— Muszę ci coś powiedzieć.

— Nie, wcale nie musisz — potrząsnęła głową.

— Ale... powinnaś wiedzieć, że...

Otworzyła oczy. Były szkliste i przekrwione. Jeszcze raz potrząsnęła głową i wyciągnęła rękę w geście powstrzymującym mnie.

— Masz na myśli Heather? — spytała wprost.

— Wiesz o tym?

Przytaknęła.

— Przyszła do mnie. Powiedziała mi o waszej kolacji— Przeprosiła. Obie się popłakałyśmy. Powiedziała, że byłeś... — Abbie oparła głowę na dłoniach i przyciągnęła kolana do piersi — ...mężem z jej marzeń. — Przełknęła, po czym sięgnęła po moją dłoń i położyła ją sobie na piersi.

— Ale, kochanie.

— Doss... — doszedł mnie jej szept:— Nigdy mnie nie zraniłeś.

Takich słów trudno zapomnieć.

— Nie mam blizn.

* * *

Po stronie Florydy stał ford. Jego wersja z dodatkowymi siedzeniami. Był ustawiony tyłem do rzeki. Siedział na nim z dyndającymi nad wodą nogami, mocząc w wodzie kij, dzieciak z szopą kręconych włosów. Wokół szalały cykady. Na plaży obok rozпалиł ognisko, na którym smażył złapaną właśnie rybę. Świat przepływał koło niego, a on wyglądał tak, jakby mało co o ten świat dbał — jakbym widział siebie sprzed dwudziestu lat.

Pił colę, jadł jakieś ciasteczko i słuchał starej piosenki Keitha Whitleya: *When You Say Nothing at All*. To była też jedna z moich ulubionych piosenek.

Abbie również ją usłyszała. Obróciła się, postukując palcami nóg w kanu. Pomachałem mu i podpłynąłem do brzegu rzeki.

— Złapałeś coś?

Skinął głową, pokazując na ognisko. Przesunął kapelusz nieco w tył, potarł dłonią brodę, uważnie mi się przyglądając.

Dobiliśmy do plaży i wyjąłem na brzeg Abbie. Z nosa znowu ciekła jej krew, więc wyciągnęła chusteczkę i przyłożyła do twarzy. Kiedy to zrobiła, coś w jego spojrzeniu się zmieniło. Sięgnął do chłodziarki, otworzył ją i podał mi colę. Podniosłem do jej ust. Popiła. Uśmiechnęła się, odrobina coli pociekła jej po brodzie.

— Mmmm... dobre.

Chłopak wsadził wykałaczkę między zęby i zapytał szeptem:

— To wy jesteście tymi ludźmi, których pokazują w wiadomościach?

Odsunąłem kapelusz na tył głowy. Moje lewe oko było napuchnięte, obrzmiałe i bardzo bolało.

— Tak.

Przekrzywił na bok głowę.

— Nie wyglądasz na niebezpiecznego.

— I nie wydaje mi się, żebym był.

— Widziałeś dwa pathfindery? — dopytywał się.

— Tak.

— Wydaje mi się, że poszukują właśnie was. — Popatrzył na południe w stronę autostrady numer 17. — Słyszałem, że przy siedemnastce zebrali się ludzie. Słyszałem też helikoptery, ale one latają dalej, może są z innego stanu.

Skinąłem głową. Zastanawiałem się nad tym, co mi powiedział.

— Macie jakiś plan?

— Niezupełnie.

— Znasz rzeczkę Miller? — zapytał jakby olśniony.

Miller Creek opływała most od południowej strony przez

moczary, potem biegła skrajem tuż pod najniższą częścią mostu po stronie Florydy. Kiedy kończono budowę mostu, robotnicy wrzucili niepotrzebne zbrojenie i kawałki betonu do strumienia, wzmacniając podpory, ale odcinając strumień.

— Kiedyś znałem, zanim ją zablokowano — przytaknąłem.

— Odblokowano ją — potrząsnął głową. — Obrońcy środowiska trafili na to wysypisko. I powiedzieli, że to działanie nieprzyjazne dla ekosystemu.

Cokolwiek miało to znaczyć.— Napił się coli. — Rząd przysłał jakichś ludzi i zrobili z tym porządek. — Popatrzył na nasze kanu. — Mógłbyś spróbować... przemknąć się bokiem, nikt by was nie zobaczył.

Nie wiedziałem, czy mogę mu ufać, czy nie, ale nie miałem wyboru. Oceniając po wyglądzie, były duże szanse, że chłopak mógł znać rzekę lepiej ode mnie.

— Wielkie dzięki.

Wielkie
dzięki

ROZDZIAŁ 47

11 CZERWCA, PORANEK

Abbie pochrapywała cicho. Chciałem ją obudzić, ale wiedziałem, że sen jest dla niej dobry. Kiedy spała, nie czuła bólu. Woda wokół nas zachowywała się niczym żywa — pływały w niej ławice ostryg i kraby wyłazące ze swoich dziur. Na brzegu cztery rzędy równo posadzonej kukurydzy wystawiały kolby ponad powierzchnię wody. Nie wiedziałem, jak były wysokie, ale liście i kolby falowały nad wodą. W powietrzu ponad nami wielka błękitna czapla szybowała w ciszy. Zamachała skrzydłami i wylądowała gdzieś na moczarach. Z oddali dochodził mnie jęk piły łańcuchowej.

W tym miejscu bagno rozciąga się od brzegu rzeki w głąb lądu na jakieś pół mili, dopiero tam ląd robił się trochę such— szy. Innymi słowy: były to nieużytki. Nic, tylko ostre trawy i błoto, i jeszcze więcej błota. Spłaszczony były tu nawet czubki drzew. Ostry zapach błota mieszał się z wonią żywicy i zapachem soli.

Abbie poruszyła się pod kocem. Zsunęła go z twarzy, pokazując popękany nos i krzywy uśmiech.

— Zmęczony?

Przeciąganie samogłosek na razie przeszło, ale krew z nosa leciała.

Bolał mnie każdy skraweczek mojego ciała. Potrząsnąłem głową.

— Jeśli będziesz do mnie mówić, dowiosłuję do Chin.

Zamknęła oczy.

— To mi się podoba.

Wzdłuż brzegu cykady łączyły siły w swej psychodelicznej pieśni. Abbie uniosła głowę ponad burzę.

— Nie można ich jakoś uciszyć? Dopasowały się do dzwonienia w mojej głowie.

Niecałe dwadzieścia kroków od nas kardynał usiadł cicho na pojedynczej gałęzi.

Słońce pojawiło się nad Cabbage Bend. Było jaskrawe i palące. Jego blask zadawał wręcz ból. Około dziesiątej rano dotarliśmy do mostu kolejowego przy Highway 17. Szczęśliwie rzeka wystąpiła tu z brzegów i można było przepłynąć obok, drogą. Woda zakrywała betonowe kolumny przejazdu i omywała potężną zwrotnicę. Na szczycie paliła się pomarańczowa lampka. Tuż za mostem stał stary dom rybacki. Był wzniesiony na palach. Obok zawsze parkowały dwa samochody. Dom był zbudowany na planie ośmiokąta z cedrowych bali, podziurawiony w wielu miejscach kulami, zasłonięty sieciami. Jeśli samochody nadal tam stały, nie widziałem ich, ponieważ woda doszła aż do poziomu podłogi. W każdej chwili mogła się dostać do domu dziurami. Na szczycie dachu tkwiły rogi jelenie, osadzone na głowie całkiem nasiąkniętej wodą. W zagrodzie obok, co dobrze pamiętam, trzymany był aligator, zajadający się rzucanym mu ścierwem.

Ponad nami, wklonowane w zwrotnicę, tkwiły resztki czarnej świni. Nogi miała zmiażdżone lub obcięte, oczy wydłubane, jeden kieł złamany, brzuch napęczniały, wokół roiły tysiące czarnych much. Wiosłowałem powoli, rozglądając się zarówno wokół, jak i patrząc przed siebie. Pojawiła się koło nas ważka. Chwilę później z wody wyskoczyła dotychczas czatująca w bezruchu ryba i złapała ją.

Minęliśmy Scrubby Bluff, gdzie woda wylała się na bagna i rozlewała teraz na całe mile. Stare domy zbudowane na brzegach — te, które postawiono, zanim prawo zaczęło wymagać budowania na palach — zalane były wodą, która wlewała się przez frotowe drzwi i kuchenne okna.

Przed nami rzeka skręcała na południe, potem zawracała ostro na północ, by skierować się na wschód pod mostem na drodze międzystanowej. Trzymałem się brzegów Florydy, gdzie wpłynąłem na Miller Creek, kiedy rzeczka pojawiła się po mojej prawej ręce. Strumyk oddalił nas od głównego nurtu rzeki, wokół rosły sosny. Trzymaliśmy się brzegu, zanurzałem wiosło w wodę pełną igliwia, które tłumilo plusk, potem pojawiły się bryły betonu stanowiące fundamenty szosy międzystanowej. Na szczycie mostu paliły się lampy. Stali też ludzie, którzy wyglądali na kamerzystów, inni zaś byli w mundurach drogówki. Zamknęli jedną jezdnię, powodując nieprzyjemny korek po stronie północnej. Podprowadziłem kanu do brzegu i zastanawiałem się, co robić. Po mojej prawej stronie, jakieś trzydzieści stóp powyżej, przebiegała droga międzystanowa. Mieliśmy może jakieś sto jardów do przebycia, zanim ostry skręt w prawo doprowadzi nas pod most. Jeśli mają ludzi pod mostem, będą — myślałem — raczej po stronie Georgii, bo brzeg Florydy jest bardzo wąski. Nie dawało się tam stanąć.

Ludzie używali brzegu pod mostem na 1— 95 w różnych celach, w większości nielegalnych. W lwiej części to było śmietnisko, nieco dalej rosły palmy, stare martwe dęby i rozciągał się skrawek piaszczystej plaży, a na końcu znajdował się krąg kamienny, na którym często palono ogniska. Po stronie północnej dało się zauważyć sporawy znak, wiszący obok autostrady, kierujący do bazy dla przyczep i stacji z tanim gazem. Był to świetny punkt orientacyjny, który widziało się cztery mile wcześniej niż sam most i pięć mil dalej. Jeśli akurat miałem wolną grupę, mogłem płynąć przez cały dzień, nieustannie go widząc.

Przysnąłem, nie wiem sam na jak długo. Obudził mnie hałas gięcia metalu i rozbijania szkła. Podniosłem wzrok i zobaczyłem pióropusz białego i czarnego dymu. Mężczyźni stojący na moście odsunęli się. Nie czekałem dłużej. Odepchnąłem się od drzew, nacisnąłem mocno wiosłem i sprintem przewiosłowałem kolejne pięćdziesiąt jardów. Potem kolejne siedemdziesiąt pięć, a kiedy woda otworzyła się po mojej prawej stronie, wskoczyłem ze wszystkich sił w główny strumień, który przeniósł nas pod mostem. Zakręciło nas na południe, potem na północ i wreszcie znaleźliśmy się w pełnym słońcu,

w którym nasze sylwetki widoczne były na tle rzeki. Odwróciłem się przestraszony, co zobaczę za sobą. Na brzegu stał mniej więcej czteroletni dzieciak. Kowbojski kapelusz, koszulka Spidermana, pas z dwoma kaburami i plastikowy miecz, buty do kolan, spodnie spuszczone. Siusiał prosto do rzeki. Jego tata zgięty wpół starał się utrzymać spodnie tak, by nie znalazły się na drodze strumienia. Miałem nadzieję, że dzieciak się nie odezwie. Pomachałem mu. Pewnie popełniłem błąd. To wam udowodni, jak dobrze się znam na dzieciach, bo usłyszałem:

— Tato, spójrz.

Tata potrząsnął głową, nie podnosząc wzroku.

— Nie teraz, synu. Uważaj na to, co robisz.

Przeplłynęliśmy około trzydziestu mil. Moja skóra była czerwona od słońca, rozpalona, a ręce przypominały surowe mięso. Wokół paznokci krwawiła, tak była już popękana. Samo dotykanie wiosła sprawiało mi ból, a co dopiero wiosłowanie. Przyglądałem się, jak dzieciak maleje. Zrywał się wiatr.

Prześlizgnęliśmy się przez zakręt. Nasze kanu ocierało się o końcówki traw porastających bagno. Minęliśmy cień rzucany przez 1— 95 i skierowaliśmy się ku Crandall, publicznej przystani dla łodzi schowanej w lesie i należącej do Georgia Power. Jeśli uda mi się skulić, miałem szansę przemknąć się tak, by nie zostać dostrzeżonym z mostu, ponieważ w tym miejscu rzeka była szeroka na pół mili, a niekiedy rozlewała się na milę. W pewnej odległości od nas, na południowy wschód, biały dym unosił się z kominów papierni w Fernandinie. Dym kłębił się i rozwiewał gdzieś na południu. Nocami wraz z dymem w niebo wystrzelały także iskry. Kiedy jeszcze pracowałem dla Gusa, mówiliśmy na to „światełko w tunelu”.

Chociaż Crandall to miejsce publiczne, mało kto o tym wie. Jest to szeroki pomost wykonany ze zmielonych muszli ostryg, usytuowany na odcinku, gdzie woda jest głęboka. Potężne dęby górują nad trawiastym brzegiem, gdzie lata temu ktoś zbudował kamienny stół piknikowy i wydrążył studnię

głębinową sięgającą do warstwy wodonośnej. Potrzebowałem wody. Jeszcze pół mili i wślizgiwaliśmy się na rampę. Zostało nam już tylko siedem mil. Woda uderzała w burty, więc uspokoiwszy nieco kanu, wyszedłem na rampę i w tej chwili o mało nie wywróciłem się z bólu, jaki przeszył moją prawą nogę. Był tak silny, że aż zrobiło mi się niedobrze, a przed oczami zawirowały czarne kręgi. Złapałem linę dziobową i pociągnąłem łódkę, niemal się przewróciłem— Kanu zachybotowało się, po czym wślizgnęło gładko na muszle. Rampę zaścielały szkielety ryb. Niektóre długie na trzy stopy i poza głowami wyczyszczone dokumentnie. Przywiązałem linę dziobową, wziąłem Abbie z łodzi i pokuśtykałem z nią do stołu. Moja noga mrowiła, zostawiając krwawe ślady na trawie. Położyłem Abbie na stole, opierając jej głowę na czerwonej plastikowej tubie. Chwilę potem nacisnąłem ramię pompy. Wokół nas, wśród dębów wiecznie zielonych i wodnych, wyrastały bambusy o łodygach grubych niczym ludzkie ramię. Były mocne, bo też ciągle walczyły z dębami o dostęp do słońca. Pomiedzy drzewami rosły dzikie kamelie, azalie i mimozy. Ponad nami, ocieniając Abbie, rozpostarła się róża chińska. Na jej gałązkach widać było setki pączków, które wkrótce miały się otworzyć w różowe bukieciki. Pod ciśnieniem pompa złapała powietrze, zbulgotała i strumień wytrysnął na jakieś osiem stóp, gotując mi prawdziwy prysznic. Przez kilka sekund lejąca się woda była czerwona od rdzy, ale po chwili zrobiła się zimna i czysta. Miała zapach jaj. Zanurzyłem głowę, następnie napełniłem butelkę i zaniósłem Abbie, żeby zwilżyć jej usta i twarz. Gdy się napiła, usiadła na ławce i przyjrzała się mojej stopie. Tkwiła w niej spora ość. Gruba, miała jakieś trzy milimetry średnicy, i była tak ostra, że przebiła podeszwę mojego sandała. Rozpiąłem go, podniosłem stopę i pociągnąłem za ość. Rana krwawiła, znacząc stopę i sandał na czerwono. Przytrzymałem nogę pod wodą, w tym czasie wyciągając resztki ości z sandała. Długo piłem, pozwalając, by woda spływała po moim kapeluszu, po spalonym słońcem karku i ramionach.

Zachodziło słońce, wiedziałem, że nie mamy zbyt wiele czasu. Ułożyłem Abbie z powrotem na jej palecie i zepchnąłem dziób w prąd wody. Złapał nas

i odbiliśmy od brzegu. Staralem się nie patrzeć na moją stopę. Krwawienie zmniejszyło się, ale skóra wokół była zaczerwieniona.

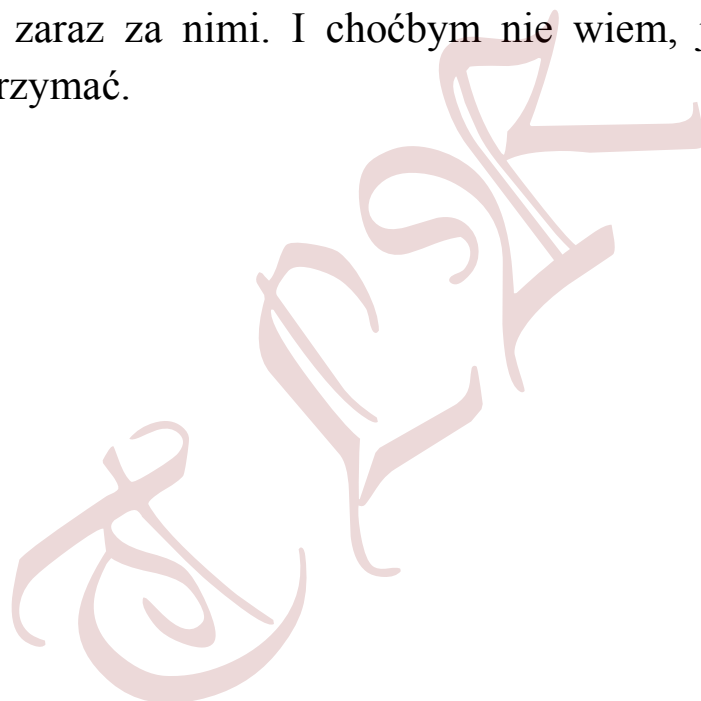
Na północnym wschodzie wznosił się sto stóp w górę komin z czerwonej cegły należący do opuszczonej walcowni, oznaczający północny kraniec miasta. Pomiedzy nim a mną, ponad mirażem moczarów, kołysały się setki masztów łódek zacumowanych w marinie, lśniących w promieniach słońca. Jeśli ludzie senatora byli gdziekolwiek, to właśnie w dokach, Wypatrując nas przez lornetki.

WYKONANIE

Między Crandall a Reids Bluff rzeka wije się, potem staje się głęboka i rwąca, a przez to niebezpieczna. Jakąś milę dalej wpada w nią Burrells Creek. Łącząc się, dwa prądy formują wąskie paskudztwo nazywane Devil's Elbow, czyli „diabelski łokieć”. Kiedy się już pokona ten odcinek, rzeka płynie wzdłuż mariny, potem mija domy rybackie, restaurację i wreszcie dopływa do Cedar Point, gdzie jak wystrzelona z procy wpada do oceanu.

Spojrzałem wstecz. Doprowadziło nas tu czternaście lat. Wszystko, co nam pozostało, to siedem mil. Siedem niemożliwych mil.

Słońce, tak niedawno wysokie i gorące, siadało na czubkach drzew, gotowe skryć się zaraz za nimi. I choćbym nie wiem, jak się starał, nie mogłem go powstrzymać.



ROZDZIAŁ 48

11 CZERWCA, POPOŁUDNIE

Jakąs godzinę później dotarliśmy do zakola, które prowadziło do Reids Bluff. Nigdy wcześniej nie widziałem tak szybkiego nurtu. To był najgorszy rodzaj wody. Wszystkie wiry kryły się pod powierzchnią. Głębokość osiągała tutaj czterdzieści stóp, masy wody napierały, przyspieszając prąd. Ustawiłem kanu w głównym strumieniu rzeki, złapał nas i zaczął obracać rufą łódki. Chwyciłem za wiosło, walcząc z nim, ale bezskutecznie. Podwodny prąd kręcił łódką jakby była małym listkiem. Wciągało nas w środek. Wokół nas wirowały śmieci, kawałki drewna. Czuliśmy się jak w mikserze. Kanu stanowiło swoiste centrum i unosiło się jeszcze na kupie zanieczyszczeń. Zdażyłem złapać Abbie za rękę w chwili, gdy woda przelała się przez burzę. Rzeka uderzyła w nas gwałtownie i z wściekłością, zalała moje siedzisko, a potem wystrzeliła nas w powietrze niczym kulę armatnią. Przeciąłem powierzchnię wody, próbowałem wypłynąć, ale woda ściągała nas w dół, usiłując jednocześnie rozdzielić. Rzuciło nami, przetoczyło, po czym zwinęło nas razem. Walczyłem o powietrze, ale nie mogłem przebić się przez dywan śmieci, który więził mnie pod wodą. Płuca wołały o ratunek, a kiedy chciałem Abbie złapać mocniej za rękę, zrozumiałem, że w ogóle już jej nie trzymam. Młóciłem wodę, kopiąc i wierzgając, ale nie potrafiłem się uwolnić. Zamknięty w śmieciach dramatycznie potrzebowałem powietrza. Dno znajdowało się jakieś czterdzieści stóp poniżej. Powierzchnia tylko o stopę wyżej. Ale nie mogłem osiągnąć ani jednego, ani drugiego. Moje płuca z wolna się zamykały, wróciło znane uczucie.

Czy tak to się miało skończyć?

Wir wodny, jaki utworzył się poniżej, złapał moją nogę i wyprostował mnie. Wyskoczyłem niczym spławik i nagle byłem wolny. Kiedy głowa znalazła się nad powierzchnią, mignął mi kostium kąpielowy. Trzy uderzenia rękami i trzymałem nogę Abbie. Po chwili miałem ją w ramionach i ciągnąłem w kierunku powietrza. Złapała oddech, zakaszła. Brzeg był tylko o dziesięć stóp od nas, w wodzie leżało zwalone drzewo. Pojedyncze, bezlistne ramię wystawało nade mną. Złapałem je. Niestety, gałąź się złamała. Obróciło nas i znów rzuciło w objęcia nurtu. Moje ramię wystrzeliło w stronę brzegu i choć rzeka starała się nas znowu wciągnąć w kolejny wir, nie wypuszczałem ani Abbie, ani złamanej gałęzi. Zrobiliśmy obrót i kiedy ustawiło nas pod dobrym kątem, wbiłem gałąź w miękki brzeg. Rozszczepiony koniec wcisnął się w piasek na tyle głęboko, że momentalnie nas zakotwiczył. Objąłem ramieniem Abbie, podciągnąłem i wydostałem nas na brzeg. Piasek był miękki, uciekał spod nas, St. Mary znowu chciała nas porwać. Wbiłem w ziemię palce, wierząc nogami i cal po calu wdzierałem się na plażę. Abbie ciągnąłem za sobą. Pluła krwią i wodą. Krew miała rozmazaną na całej twarzy. Oddychała szybko, z wysiłkiem. I to ten wysiłek, nie topienie się, ją wykończył. Wyglądała teraz niczym szmaciana lalka. Dotarłem do brzegu, ale wszystko straciliśmy. Kanu. Fioletowy koc. Rewolwer. Wszystko.

Pozostaliśmy tylko my.

Sześćdziesiąt stóp nad nami wznosił się Reids Bluff. Jest to piaszczysty klif, który bez wyraźnych powodów wyrasta pionowo z wody, rozciągnięty ze wschodu na zachód na odcinku prawie mili. Na szczycie ma jakieś pięć stóp szerokości, po czym opada równie stromo, jak wcześniej się wznosił. Tę swoistą wydmę porastają platany i dość trawy, by utrzymać piasek. Trudno jednak na nią wejść, bo jest stroma, ale kiedy się to już uda, widać stamtąd na mile. Co ważniejsze, można zobaczyć St. Marys. Chciałem pokazać to Abbie. Żeby zobaczyła, jak blisko już jesteśmy.

Wziąłem ją na rękę, zarzuciłem sobie jej ramię na szyję. Opadło bezwładnie.

— Trzymaj mnie.

Bez odzewu.

Wbiłem palce w piasek i łapiąc się trawy, drapałem ku górze. Co chwila piasek się osuwał, zmuszając mnie, żebym jeszcze mocniej walczył. Wspinaczka trwała kilka minut. Wreszcie położyłem ją na wąskim grzbiecie, złapałem oddech, posadziłem ją i oparłem o siebie.

— Popatrz, kochanie.

Wyciągnąłem jej ramię i wycelowałem wskazującym palcem.

— To jest St. Marys. Tylko siedem mil. Tylko tyle.

Nie mogła oddychać przez nos, nie kaszłąc.

— Hej... — próbowałem dotrzeć do niej. — Kiedy już tam będziemy, zadzwonię do Andersona. Może są jakieś nowe możliwości. Zjemy kolację w Sterlings i polecimy jutro do domu.

Otworzyła oczy. Oparła się o mnie, poklepała mnie po klatce piersiowej.

— Doss — jej szept był słabutki, w nosie coś chrobotало. — Umieram. Nie jestem głupia.

— To też wiesz, tak?

— Mhm — kiwnęła głową. Udało jej się uśmiechnąć, gdy mówiła: — Nie najlepszy z ciebie kłamca. — Objęła mnie ramionami, pocałowała w policzek i cicho wyszeptała.

— Żadnych blizn.

Spoglądałem w dal, wiatr wiał z dwóch kierunków, nieopodal dochodziło do spotkania. Przed nami wiał z północnego zachodu, przetaczając się po trawie bagien, które rozciągały się na wiele mil. Wiał w kierunku południowo-wschodnim, gnąc trawy i drzewa w naszą stronę. Za nami wznosił się zaś nad skarpą i od południowego zachodu wiał w kierunku północno— wschodnim, ciągnąc ze sobą liany, gałęzie, trawy i hiszpański mech, kładąc je na wodzie

niczym włosy. Siedzieliśmy pośrodku, patrząc na świat, który przyszedł, by złożyć jej ostatni pokłon.

— Abbie... spójrz. Wszystko jest... — Świat kłaniał się, ale ona już tego nie widziała. Jej oczy uciekły w tył, język stał się obrzmiały i biały. Sprawdziłem puls, był bardzo słaby. Ledwie wyczuwalny. Zsunąłem się po zboczu, szukając na brzegu apteczki, ale nigdzie nie było po niej śladu. Biegałem w górę i w dół, rozpaczliwie jej wypatrując. Na próżno, choć nie da się nie zauważyć żółtego, plastikowego pojemnika. Przebiegłem ćwierć mili w dół rzeki, gdzie drzewo utworzyło tamę. Nurt zerwał liście, ale pozostawił witki. Poruszały się w wodzie niczym palce. Trzymały żółte pudełko.

Zanurkowałem.

Wypłynąłem na powierzchnię, złapałem apteczkę i walcząc z prądem popłynąłem do brzegu. Zacisnąłem dłoń na suchym piasku, pociągnąłem, dołączyłem drugą rękę. Trzy szarpnięcia i uwolniłem się z nurtu, który chciał mnie zanieść do morza. Wróciłem biegiem, wdrapałem się na wydmnę i opadłem koło Abbie. Jednym ruchem otworzyłem pudełko, przełamałem ostatnie opakowanie z dopaminą i wbiłem igłę w udo, dokładnie w arterię udową. Potem przełamałem deksametazon i wbiłem strzykawkę w jej ramię.

— Abbie, proszę, wróć. Nie odchodź. Jeszcze nie.

Na koniec znalazłem jeszcze ostatni Actiq. Na naklejce była informacja: *800 miligramów*.

Zerwałem papierek i włożyłem lizak do jej buzi. Te trzy leki, miałem nadzieję, powinny zadziałać szybko.

Poruszyła się.

— Czy złamałeś obietnicę?

Spoglądałem na rzekę. Poglaskała mnie czule po twarzy, oddychając tak głęboko, jak tylko mogła.

— Nie zrobiłeś tego nigdy, więc nie próbuj teraz.

Położyłem ją na swoich kolanach i tak zsunęliśmy się ze skarpy. Kiedy znaleźliśmy się na brzegu, zostawiłem ją, po czym ruszyłem na poszukiwanie czegoś, co mogło pływać. Kawałka plastiku, starej chłodziarki, kawałka styropianu. Jeśli znajdę coś, na czym uda mi się ją położyć, ja popłynę obok i uda nam się. Jeszcze mogło nam się udać.

Zastanawiałem się, czy nie zrobić samemu prowizorycznej tratwy, ale nie uniosłaby jej i na czymś takim nie pokonalibyśmy „diabelskiego łokcia”. Przebiegłem w jedną stronę milę, w drugą pół. Przeglądałem wszystkie wyrzucone na brzeg rzeczy, złamane gałęzie, drzewa. I wtedy to znalazłem.

Wbita w piasek po południowej stronie wydmy tkwiła kłoda. Wyglądała, jakby sporo czasu spędziła w wodzie, po jednej stronie robaki wydrążyły w niej tunele, ociosana była prowizorycznie, pewnie ręcznie. Miała jakieś dwanaście stóp długości. Ale co najważniejsze — unosiła się na wodzie.

Była ciężka, co miało znaczenie przy pokonywaniu prawie sześciu mil, więc pobiegłem po Abbie, podniosłem ją i przenieśliśmy znowu na plażę. Kiedy dotarliśmy do kłody, położyłem na niej Abbie i odbiłem. Płynąłem przed nią, przesuając nas w kierunku prądu. Porwał nas, wyprostował i poniósł.

Będąc z przodu, mogłem stabilizować kłodę, pilnować, żeby Abbie się nie zsunęła, i lekko sterować. Mogłem też patrzeć na Abbie. Byliśmy na wodzie kilka minut, kiedy poruszyła się. Krew ciekła po jej twarzy, spływając na drewno gdzie mieszała się z wodą i znaczyła za nami ślad.

Rzeka otaczała nas ze wszystkich stron. Jej ogromu nigdy wcześniej nie potrafiłbym sobie wyobrazić. Równie niezwykła była jej prędkość. Nie wiosłowałem ani nie ciągnąłem nas, a udawało nam się, jak sędzę, osiągać pięć do sześciu mil na godzinę. Przy normalnych pływach taki kloc ściągałby mnie na dno, gdzie nietrudno o ostre niczym brzytwa ławice ostryg, które cięłyby moje nogi i plecy. Ale teraz sytuacja była inna, a jedynym problemem przy takiej prędkości i ilości wody był Devil's Elbow.

Prąd i ciężar drewna utrzymywały nas pośrodku. Zresztą nie mieliśmy innego wyjścia. Im dalej płynęliśmy, tym częściej spotykaliśmy sporawe fale. Wkrótce, myślałem z obawą, zaczną się przetaczać po Abbie. Jedyne, co mnie pocieszało, to że nie mogły jej zatopić. Natomiast mogły zatopić mnie. Przywarłem do kloca i machałem nogami, ale bez specjalnego efektu. Fale przetaczały się po nas, odrywając mi ręce od tej prowizorycznej tratwy.

Pokonaliśmy tak milę. Potem dwie. Udało nam się pokonać szeroki zakręt w kierunku południowym, nieopodal Rose Bluff, i wreszcie skierowaliśmy się na wschód, to była najdłuższa prosta przed Devil's Elbow. Wokół nas brzegi stały się rozkoszną uczta dla żarłocznych łososi i **tarponów**. Po obu stronach woda zakrywała błoto, z którego właśnie wylaziły kraby. Niektóre wisiały na trawach na swych wielkich szczypcach, podczas gdy inne unosiły się bezradnie na wodzie.

A potem, nim *to* zobaczyłem, najpierw *to* usłyszałem.

Devil's Elbow to ostatni zakręt przed dotarciem rzeki do miasta St. Marys. W miejscu gdzie woda uderza o klif rzeka wydaje stłumiony ryk niczym wodospad. Fale osiągną tam cztery stopy i ozdobione są białymi grzywami — dość, by zalać każde kanu. Kiedy byłem przewodnikiem, nauczyłem się przepływać skrajem „łokcia”, wiosłując na południe. Tym sposobem jakoś go

omijałem. Nad kłodą nie miałem takiej kontroli. Nie mogłem skierować jej bokiem, by ominąć główne uderzenie.

Dźwięk obudził Abbie. Złapała moją dłoń, ale trzymała nogami drewno. Woda zagarniała nas, pchając w centralny punkt zgięcia. Przetaczała się po nas, załamując się i spływając po drugiej stronie. Obejmowałem kłodę, starając się utrzymać ją prosto, ale nie byłem przekonany co do efektu. Szczęśliwie dla nas kłoda była na tyle długa i ciężka, że była szansa, iż pokona „łokieć”. Ścisnąłem mocniej drewno i nagle wyczułem po drugiej stronie kloca rowek. Przesunąłem się, przerzuciłem ramię przez Abbie, wbiłem palce w rowek, zakleszczając się w nim. Tak udało się nam przetrzymać uderzenie największych fal, po czym rzeka uniosła nas na północny wschód i zobaczyliśmy z bliskiej odległości St. Marys. Wszystkie budynki były białe, wszędzie wyrastały maszty przycumowanych łódek, musiało ich być co najmniej sto. Przepłynąłem na drugą stronę kłody i nagle poczułem się, jakbym otrzymał cios między oczy. Zobaczyłem wyżłobione litery. Spojrzałem jeszcze raz na belkę, na której płynęliśmy, i wtedy ją poznałem. Wypisane było na niej to zdanie, którego wtedy, w kościele na palach, nie mogłem odczytać. Dopiero teraz je skończyłem: *...będę z tobą.*

Pracowałem nogami niczym płetwami, ciągnąc kłodę, sterując nią w kierunku Florydy i szerokiego ujścia St. Mary. Z odległości dostrzegłem wozy transmisyjne z antenami satelitarnymi zaparkowane koło doku. Znani dziennikarze telewizyjni i ich kamerzyści siedzieli, wpatrując się w wodę. Płynęliśmy pomiędzy śmieciami, stosunkowo dobrze ukryci. Przesuwaliśmy się wzdłuż brzegu Florydy, dłoń Abbie w mojej dłoni. Zapadał zmierzch, ale do zachodu było jeszcze trochę czasu.

Oparła głowę na drewnie, wpatrując się w odległy brzeg

— Spójrz na tych wszystkich ludzi.

— Widzę.

— Najwyraźniej sprawiliśmy trochę problemów — odkaszlnęła.

— To nie były żadne problemy.

* * *

Minęliśmy St. Marys. Mewy kroczyły dumnie po nabrzeżu, a pelikany tkwiły na dachach, oczekując na kutry z krewetkami, na chwilę kiedy rybacy będą wyrzucać połów z sieci. Po naszej lewej stronie pojawił się Cedar Point. Wtedy wyostałem nas z nurtu, belkę przepchałem wodą i wsunąłem na mieliznę tuż obok szkółki muli, które zgromadziły się w tym miejscu. One też poszukiwały bezpiecznego schronienia. Woda przesuwiała nas w głąb lądu, delikatnie kierując jeden koniec kłody ku brzegowi.

Zrobiliśmy to. Całą drogę od Moniac.

Podniosłem Abbie, przeszedłem na plażę i ukląknę, kładąc ją łagodnie na piasku. Wokół nas rosło ze trzydzieści słoneczników, niektóre wysokie na osiem stóp, w pełnym rozkwicie. Ponieważ słońce schowało się za drzewa, one też pochyliły głowy. Teraz spoglądały na nas.

Abbie wyprostowała nogi, zanurzając palce w wodzie. Wzięła głęboki wdech, na jej twarzy malował się spokój — wiedziałem, że pamiętała.

— Słońce... Abbie?

Gdzieś w oddali słyszeliśmy warkot helikoptera.

— Kochanie... Abbie...

Powieki jej zatrzepotały.

— Jesteśmy na miejscu.

Usłyszałem, że biegną do nas przez bagno. Było słychać głos jej ojca.

Odwróciła się do mnie i objęła mnie rękami w pasie. Wytarłem jej twarz chustką, ale krew przemoczyła ją całkowicie. Tuliłem jej głowę. Brakowało mi słów.

— Abbie...?

Położyła moją rękę na swojej twarzy, wskazujący palec tuż przy uchu i zamknęła oczy.

Kilka minut później już jej nie było.

Wielki

ROZDZIAŁ 49

DZIEŃ PIERWSZY

Słońce wdarło się przez kraty celi, promienie spoczęły na mojej twarzy, ogrzewając skórę, ale niewiele więcej. To było to samo słońce, które obudziło mnie dzień wcześniej. Jasne, samotne i niemające nic do zaoferowania. Dzieciak, który leżał koło mnie, ssał to, co pozostało mu z paznokcia, przebierając nerwowo nogami.

W celi, w której trzymali mnie do czasu przesłuchania przez sędziego, poza mną było jeszcze kilkunastu innych facetów. Biorąc pod uwagę, że mieliśmy niedzielę, wyobrażałem sobie, że sędzia nie będzie uszczęśliwiony. Poczulem szarpnięcie. To chłopak pochylił się ku mnie:

— Za co cię wsadzili?

Nie spałem od czterech czy pięciu dni, więc musiał powtórzyć pytanie kilka razy, zanim je zrozumiałem. Chłopak był chudy, a jego oczy wydawały się nigdy nie zatrzymywać w jednym miejscu. *Od czego by tu zacząć?*

— Hm... za... morderstwo.

Oczy mu się rozjaśniły.

— Załatwiłeś glinę?

Ściany wokół mnie zamalowane były graffiti, ale nie pojmowałem, skąd można tu było wziąć ołówek po tak dogłębnym przeszukaniu, jakiemu mnie poddano. Potrząsnąłem głową.

— To kogo?

Mężczyzna, który leżał po mojej drugiej stronie, podniósł się, podszedł do pisuaru, po czym zasikał wszystko, co się dało, nie trafiając do celu. Mocz ściekał po ścianie i spływał na podłogę.

— Moją żonę.

Przestał przeżuwać palec, wgapił się we mnie, nagle oczy zrobiły mu się szerokie ze zdziwienia.

— To ty jesteś ten gość, o którym mówili w telewizji. Ten, który zamordował córkę senatora. Tę modelkę. — Strzelił palcami. — Co była na wszystkich okładkach pism kolorowych. Jak jej na imię?

Większość twarzy w celi odwróciła się do mnie.

— Abbie — wyszeptałem.

— No właśnie, zgadza się. Ty jesteś ten gość, co zabił Abbie. — I krzyknął na całe pomieszczenie: — Słuchajcie... ten biały zastrzelił dziewczynę, która reklamowała bikini.

— Nie zabiłem jej.

Wzruszył ramionami, jego nogi zaczęły znowu drgać.

— Tak czy siak nie żyje.

Skinąłem głową. Potężny, śmierdzący facet, który leżał w kącie, podniósł głowę i powiedział:

— Nerwusik. Zamknij się, do cholery.

Chłopak przez minutę siedział spokojnie, po czym skinął w stronę wielkiego faceta.

— Nazywają mnie Nerwusik — wyszeptał — bo mam nerwowe nogi. — Minęła minuta. — A jak on ci mówi, żebyś się zamknął, lepiej go posłuchać. Jest duży. — Kolejna minuta. — Zastrzeliłeś ją? — Potrząsnąłem głową. — Ale oni mówili, że miałeś broń. — Dodał coś, czego nie zrozumiałem. —

Czterdziestkę piątkę — wyszeptał powoli. Skinąłem głową. Znowu Powiedział coś, czego nie potrafiłem pojąć. Popatrzyłem na niego, marszcząc brwi.

— W CNN mówili, że chciałeś zdobyć jej pieniądze.

Nic nie odpowiedziałem.

Duży facet zszedł z pryczy na podłogę, zakołysał się w tył i do przodu, zrobił trzy kroki, po czym złapał mojego nerwowego przyjaciela, uniósł go, tak że nogi wisiały jakieś cztery stopy nad podłogą. Dwa razy uderzył jego głową o kraty, potem zaniósł go do pisuaru i wsadził mu twarz w porcelanę, a na koniec spuścił wodę. Dzieciak prychnął i jęczał, co natychmiast zwróciło uwagę strażnika na służbie, który walnął pałką w kraty, krzycząc:

— Hej tam, zamknijcie się!

Mężczyzna rozkolebanym krokiem wrócił na łóżko, a dzieciak usiadł koło mnie. Tym razem przysunął się bliżej. Nachylił się ku mnie, ociekając wodą:

— Chodziło o forszę?

Spojrzałem na dużego faceta, a potem na dzieciaka, zastanawiając się, czy zupełnie zwariował. Popatrzył na mnie zmrużonymi oczyma.

— Posłuchaj, człowieku, to o tobie było w wiadomościach przez dwa tygodnie. To ty masz świra, nie ja.

Miał rację.

— Więc?

Potrząsnąłem przecząco głową. Pochylił się jeszcze niżej nade mną.

— Nie dla forsy, mówisz. A powiesz mi, gdzie jej ojciec ją chowa?

— Nie.

— Chol... — nie dokończył. — Ale jesteś głupi. Powinieneś być wziąć kasę i zrywać się. — Pomachał ręką, tak jak to robią dzieci w oknach autokarów na autostradzie, kiedy mijają inny samochód. — I *pa—pa* tatuśku.

Można powiedzieć, że mój nowy przyjaciel miał wiele racji. Większość facetów siedzących w celi patrzyła teraz na mnie. Oczywiście miałem ciężkie od snu. Ubranie na mnie dawno wyschło, podobnie jak krew Abbie na mojej koszuli i rękach. Szycie nad oknem wykonane za pomocą kleju błyskawicznego zainfekowało się i bolało. Pokazał na to miejsce.

— Ona ci zrobiła?

Ściany były zimne, betonowe, zbrojone stalą, tworząc świat oddzielony drutem i ewentualną kulką. Ale nie to było najgorsze. Byłem tu dopiero od kilku godzin, ale więzienie wydało mi się rajem w stosunku do drugiej możliwości. Zęby cierpieć, żeby poczuć karę, trzeba żyć, a ja byłem tylko w połowie żywy. Biorąc to pod uwagę, ból, jaki odczuwałem w mojej głowie, był tylko połowiczny. Ból serca był czymś zupełnie innym.

Spojrzałem na swoje ręce. Dłonie miałem jaskrawoczerwone, całe w pęcherzach, kostki obtarte do krwi. Wskazał na nie.

— To... boli?

Odwróciłem je.

— Nie wiem.

— Wygląda tak, że powinno piekielnie boleć.

Piekło. To jest myśl.

— Ona ci to zrobiła? — zapytał znowu.

Duży mężczyzna, który siedział na podłodze, nie ruszył się, a ja tylko potrząsnąłem głową.

— No to kto?

Jego twarz była cała w liszajach, zęby miał zepsute. Sądząc po oddechu wydobywającym się z jego ust, gnicie było procesem, jaki tam ciągle zachodził. Nie jestem specjalistą od narkotyków, ale dla mnie wyglądał na kogoś, kto uzależnił się od metamfetaminy.

— Jedni tacy... spotkaliśmy ich na rzece.

— Do nich też strzelałeś?

— Nie, i do mojej żony też nie strzelałem.

— Oni tak mówią.

Kilku facetów roześmiało się, a jeden klepnął się po udzie i powiedział:

— O tym właśnie opowiadałem.

Trzy miejsca dalej siwiejący mężczyzna z dwudniowym zarostem, w brudnym niebieskim garniturze, usiadł, opierając się o ścianę. Jedno oko miał purpurowe, napuchnięte tak, że nic na nie widział, śmierdział alkoholem i wymiocinami. Połowę guzików koszuli miał niezapiętych, przód spodni zmoczony, brakowało mu jednego buta, ale co dziwne, krawat miał starannie zawiązany. Choć wątpiłem, żeby mogło mu to pomóc.

Strażnik otworzył drzwi celi, wyprowadzili nas po kolei do stołu, przy którym dwóch strażników pospinało nam kajdankami nadgarstki i nogi. Potem cała dwunastka pomaszerowała w dół schodami do sądu, pod pokój numer cztery. Mój przyjaciel o liszajowatej twarzy wyszeptał:

— Nie jest dobrze. Wcale nie jest dobrze. To pokój sędziego Fergy'ego, a zaczyna wiać z północnego wschodu.

— Co?

— Będzie wściekły, że nie może surfować, więc będzie się na nas wyżywał. Lepiej opowiedz mu swoją historię prostymi słowami.

Strażnik podniósł się i powiedział:

— Wszyscy wstać.

Tak zrobiliśmy. W pomieszczeniu rozlegały się jęki mężczyzn na ciężkim kacu i nieprzyjemne podzwanianie kajdanek. Mocno opalony, łysiejący mężczyzna ubrany w czarną togę wszedł przez tylne drzwi. Usiadł szybko, postukiwał nogą, przeglądając stertę leżących przed nim papierów. Skinął na strażnika.

— Sąd wzywa... — popatrzył w dół i potrząsnął głową— Spojrzał zmrużonymi oczyma na Nerwusika: — Ellswoda Maxwella Lamonta Augustusa Trzeciego.

Nerwusik podniósł się. Sędzia rzucił przed niego papiery i położył dłonie na biurku.

— Nerwusik. Chyba już ci mówiłem, że nie chcę cię więcej oglądać w moim sądzie.

— A mnie brakowało pańskiego towarzystwa, panie sędzio — uśmiechnął się Nerwusik.

Sędzia Ferguson popatrzył w papiery, a potem na dzieciaka.

— Wygląda na to, że wciąż bawisz się w narkotyki na swoim podwóreczku.

Nerwusik zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

— Ależ nie. — Pokazał na potężnego mężczyznę, który wsadził mu głowę w pisuar. — To on.

Sędzia zmarszczył brwi.

— To skąd te ślady na twojej twarzy?

— Może mam raka skóry? — Nerwusik skrzywił się.

— Chcesz mi powiedzieć, że te lizaje na twojej twarzy to skutek działania słońca?

Nerwusik entuzjastycznie pokiwał głową.

— No tak — sędzia usiadł wygodniej. — Niech no zgadnę, jesteś całkowicie niewinny.

— Absolutnie stuprocentowo — Nerwusik uśmiechnął się.

— I to jest twoja obrona? Chłopak pokazał na wielkiego mężczyznę.

— To on jest winien. Nie ja. Ja zajmowałem się własnymi sprawami. Oglądałem telewizję. „Amerykańskiego idola”. Nawet myślałem, czy nie wystartować, kiedy...

— Nerwusik, czy byłeś ostatnio w miejskiej kostnicy? Facet, który sikał po ścianie, siedzący teraz po mojej lewej ręce, wyszeptał:

— Nie, ale jeśli nie odpuści, niedługo się tam znajdzie. Oczy Nerwusika zrobiły się wielkie.

— Sędzio... Wysoki Sądzie... to jest zastraszanie...

Sędzia Ferguson wychylił się do przodu.

— Jest tam mnóstwo takich dzieciaków jak ty. Moja cierpliwość się kończy. — Podniósł oczy i polecił pomocnikowi szeryfa: — Ustal datę i wyznacz mu obrońcę. Kaucja wynosi dwadzieścia tysięcy.

Nerwusik usiadł, kiwnął głową, na jego twarzy pojawił się uśmiešek:

— Jest w dobrym humorze.

— Sąd wzywa Stephen'a Dossa Michael'sa — zawołał strażnik.

Podniosłem się.

Sędzia Ferguson popatrzył na mnie, zagryzł wargę, po czym wypluł coś, co miał na końcu języka. Nerwusik pochylił się do przodu.

— Robi tak, kiedy się zastanawia.

— Tak jest, Wysoki Sądzie — odezwałem się.

Odchylił się, krzesło skrzypnęło, kołysało się przez chwilę.

— Wygląda na to, że wreszcie pana dopadli.

— Tak jest, Wysoki Sądzie.

— Niełatwo jest uciec przed telewizją. Z tymi ich helikopterami. — Nie odpowiedziałem. Postukał się w pierś. — Ja, podobnie jak każdy inny człowiek w tym kraju, śledziłem pańską historię. Pokazywało ją CNN, FOX. Wszystkie największe stacje. — Zamilkł. — Gdzie pana złapali? *Dobre pytanie.*

— Na końcu, Wysoki Sądzie.

— Żarty pan sobie ze mnie stroisz?

Potrząsnąłem głową.

— Nie, Wysoki Sądzie.

Zmarszczył się.

— Rozumie pan wysuwane przeciw niemu zarzuty?

— Nie bardzo, sir.

— Czy rozumie pan — powtórzył z irytacją — dlaczego staje w moim sądzie w piękny niedzielny poranek, kiedy na plaży wieje przyjemny wiaterek?

— No, teraz to już jest wkurzony. — Nerwusik pokiwał głową, noga mu podskoczyła.

Sędzia sięgnął za siebie i włączył wentylator na suficie pomieszczenia. Przypuszczałem, że w ten sposób broni się przed bijącym od nas smrodem. Pan Krawat— bez— buta— mokre— spodnie zaczął czkać. Potem odbiło mu się, wszyscy wiedzieliśmy, co się zaraz stanie. Pochylił się w przód, jeszcze raz czknął, po czym wyrzucił z siebie wczorajsze przyjęcie na podłogę sądu. Sędzia potrząsnął głową i wskazał na jednego z czterech funkcjonariuszy

siedzących w pomieszczeniu. Podczas gdy mężczyzna wycierał twarz krawatem, co robił nieustannie przez ostatnie godziny, oficer dyżurny wyprowadził go z pomieszczenia.

Wentylator delikatnie dmuchał, przenosząc jej zapach do mnie, a mój do niej. Była reporterką zajmującą się sprawami sądowymi. Miała około pięćdziesiątki, stukała palcem tak szybko, jak Nerwusik nogą.

Patrzyłem na nią, ale myślami byłem na ławce w Central Parku. Pytałem sam siebie: *Jak się nazywały te perfumy?*

Sędzia Ferguson uderzył młotkiem, podnosząc głos:

— Przepraszam, panie Michaels. Czy ja panu nie przeszkadzam? — usiadł głębiej w fotelu, przyglądając mi się z niechęcią. — Czekamy na pana odpowiedź.

Nerwusik odsunął się szybko ode mnie.

— Nie rób tego. Będzie naprawdę wkurzony.

Kajdanki na mojej lewej ręce były bardzo ciasno zapięte, czułem, że cierpną mi palce. Zasnęta krew powodowała sztywnienie ręki. Krawędź kajdanek wciniała się w ciało na moim nadgarstku. Wyprostowałem dłoń i patrzyłem na cztery pęknięte pęcherze. Uderzył kolejny raz młotkiem.

— Przykro mi, Wysoki Sądzie.

Jakżeż nazywały się te perfumy?

Wziął głęboki wdech.

— Czy rozumie pan, jakie postawiono przeciwko panu zarzuty?

Potrząsnąłem głową. Nerwusik odsunął się znowu o dobrych kilka cali.

— Nie. Tego też nie rób — szeptał. — Oczekuje, że kiedy zadaje ci pytanie, ty na nie odpowiesz. On pyta, ty odpowiadasz. Kapujesz?

Spojrzałem na sędziego.

— Nie... niezupełnie, Wysoki Sądzie.

Sędzia podniósł brew i odezwał się jakby do siebie.

— Co się ze mną dzieje, wiatr od morza i idioci? — Pochylił się nieco. — Panie Michaels, jest pan oskarżony o... — popatrzył na papiery leżące na biurku — ...porwanie, włamanie, kradzież. Hm... kradzież w znacznym rozmiarze. Posiadanie nielegalnych substancji. Odmowę aresztowania. Napad. Pobicie funkcjonariusza. Nielegalne rozpowszechnianie narkotyków. I ostatnie, choć nie najmniej poważne... morderstwo pierwszego stopnia. — Postukał w biurko palcem wskazującym. — Tutaj, panie Michaels, eutanazja to tylko wymyślna nazwa dla morderstwa. I to popełnionego z premedytacją.

Nerwusik pokiwał głową, obejrzał się na siedzących rzędem facetów i powiedział:

— Ma rację.

Przełknął ślinę. Sędzia mówił dalej.

— Czy rozumie pan zarzuty, które panu odczytałem?

— Tak, Wysoki Sądzie.

— Jaka jest pańska obrona?

— No cóż, ja...

— Panie Michaels. — Pot spływał po jego czole i wzdłuż nosa. — Postawione panu zarzuty są prawdziwe... lub też nie. Zgadza się? Czy przynajmniej możemy się zgodzić co do tego?

Wentylator obracał się, miarowo przy tym tykając. Jak zegar. Miałem nazwę tych perfum na końcu języka.

— Synu. — Sędzia pomachał przede mną dłonią. — Jesteś winny czy niewinny?

Odwróciłem się do reporterki.

— Przepraszam panią.

Przestała stukać palcem i podniosła na mnie wzrok.

— Jak nazywają się pani perfumy?

Sędzia stanął i trzasnął młotkiem w biurko.

— Panie Michaels! — Był już wyraźnie zirytowany. — Oskarżę pana o obrazę sądu, jeśli nie odpowie pan na moje pytanie. Teraz — jego czoło lśniło — póki wciąż jeszcze można surfować po oceanie. Winny czy niewinny!?

Taśma z dwóch ostatnich tygodni przewijała się przed moimi oczami. Smutek, śmiech, zranienie i dotyk tego, czego nie można już sięgnąć, połączyły się w jedno. Krople, które tworzyły rzekę. Spoglądałem na sędziego, myślami zaś byłem o mile od tego pokoju.

— Wysoki Sądzie, nie zabiłem mojej żony. Przynajmniej nie intencjonalnie.

— Są ludzie i to bardzo wysoko ustawieni, którzy mają w tej sprawie odmienne zdanie. — Zapisał coś. — Traktuję to jako nieprzyznanie się do winy.

— Wysoki Sąd może traktować to jak chce, ale... — chciał powstrzymać mnie, mimo to powiedziałem — zrobiłbym to wszystko jeszcze raz.

Potrząsnął głową i usiadł.

— Panie Michaels, czy ma pan adwokata?

— Słucham?

— Czy ma pan obrońcę?

Potrząsnąłem głową.

— Czy stać pana na wynajęcie adwokata?

— Nie sędzę.

Przyglądał mi się przez chwilę.

— Biorąc pod uwagę popularność, jaką pan zdobył przez ostatnie dwa tygodnie, wątpię, by miał pan problem ze znalezieniem go sobie. I czy pan wie, że osobiście odebrałem dzisiaj dwa telefony, zarówno od gubernatora, jak i od senatora. Żaden z nich nie darzy pana sympatią. — Odwrócił się do strażnika i właśnie miał coś powiedzieć, gdy do pomieszczenia wtargnął senator.

— Wysoki Sądzie, czy możemy porozmawiać w pańskim gabinecie?

Nie czekając na odpowiedź, przeszedł przez wahadłowe drewniane drzwi prowadzące do pomieszczeń sędziowskich, za którymi też zniknął sędzia. Czekaliśmy, nasłuchując dochodzących stamtąd szeptów.

Wreszcie sędzia pojawił się znowu, usiadł, uderzył młotkiem i powiedział:

— Ustalam kaucję w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Nerwusik wyszeptał:

— Zdecydowanie nie polubił cię.

Usiadłem.

Taśma przewijała się od nowa. Dwa lata. Potem trzy. Dziesięć. Piętnaście. Wracalem do niektórych momentów. Były i dobre, i złe. Wszystkie bolały. Rozejrzałem się. Byłem zawieszony gdzieś między Central Parkiem, Battery a Cedar Point.

ROZDZIAŁ 50

DZIEŃ TRZECI

Minęły dwa dni. Przenieśli mnie do więzienia w hrabstwie Duval, gdzie oczekiwałem na proces. Ponieważ większość „zbrodni” została popełniona na granicy między Florydą a Georgią i ponieważ na Florydzie obowiązuje wciąż kara śmierci, która jest wykonywana wcale nie tak rzadko, senator starał się, by poddać mnie jurysdykcji tego właśnie stanu. Co mu się udało.

Jesse był strażnikiem przydzielonym do celi w bloku E. Moim bloku. Ani ja, ani kilku innych czubków nie sprawialiśmy mu zbyt dużych problemów. Czasami, późnym wieczorem, prześlizgiwał się przed kamerami i opowiadał mi o swojej żonie i dzieciach. Miał jakieś 6 stóp 2 cale wzrostu i ważył dobre 220 funtów, wydaje mi się, że wylądował jako pracownik placówki penitencjarnej, kiedy skończył szkołę, w której czas spędzał na graniu w futbol. Niestety nie zjawił się tam żaden selekcjoner, by zaproponować mu dalszą grę. Nigdy mi tego nie powiedział, ale wydaje mi się, że musiał być za wolny. Pod mięśniami — których miał co niemiara — krył się chłopak rysujący na serwetkach w stołówce szkolnej zwierzątko. Może wykoncypował sobie, że ze mną będzie bezpieczny.

Jeśli spędzisz tu wystarczająco dużo czasu, nauczysz się rozróżniać ludzi po krokach — w zależności od ich długości, ciężaru butów, jakie noszą. Jesse stukał w drzwi pałką, ale tylko dlatego, że widział coś takiego na filmach. Nawet granat nie wyrwałby bowiem tych drzwi z zawiasów. Kiwał potem głową do strażnika, który siedział za szklanymi drzwiami na końcu korytarza, a ten naciskał guzik z numerem „217” i moje drzwi się otwierały. Pamiętam, Jesse wszedł i pomachał tą swoją pałką.

— Picasso, jacyś ludzie chcą się z tobą spotkać. Chodź. — Kiwnął na mnie. — Masz dwadzieścia minut.

Pierwszy wkroczył senator, za nim trzech mężczyzn w garniturach. Podejrzywałem, że to prawnicy. Położyli na stole magnetofon. Odezwał się, nie patrząc na mnie:

— Zamierzam zadać ci kilka pytań, a ty masz na nie odpowiedzieć. Jeśli nie odpowiesz, możesz iść do diabła.

— Myśli pan, że ma to dla mnie jakieś znaczenie?

Położył na stole pojedynczą kartkę z jakimś wydrukiem.

— To jest wynik badań toksykologicznych zrobionych mojej córce po śmierci. W jej organizmie było tyle narkotyków, że zabiłyby każdego z mężczyzn stojących w tym pomieszczeniu. W oparciu o to jedno mogę wokół ciebie wybudować więzienie.

— Tak się składa, że zgadzam się z panem.

— Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

— Przyszedł pan tutaj, już z góry znając wszystkie odpowiedzi. Ja tego nie potrafię zmienić. Pan jest politykiem, którego tylko interesują sondaże. W odróżnieniu od pana Abbie nigdy nie przywiązywała do nich wagi.

— Chcę ci powiedzieć, że przygotowują oskarżenie o eutanazję.

— W porządku. Jeśli dzięki temu będzie się panu lepiej spało, senatorze.

Pokazał na magnetofon.

— Możesz przyspieszyć proces, jeśli złożysz odpowiednie oświadczenie.

— Chodzi panu o spowiedź?

— Jeśli tak wolisz to nazwać.

— Tak naprawdę nie oczekuję, że pan to zrozumie, ale proszę pozwolić, ujmę to tak... przez cztery lata patrzyłem, jak moja Abbie zmniejsza się i

rośnie, jak traci włosy i je odzyskuje, jak wymiotuje, krwawia jej dąsła, pęcznieje i tyje o pięćdziesiąt funtów na skutek sterydów, by potem to wszystko z siebie wyrzucić. Widziałem, jak wbijają jej więcej igieł, niż mogłem to sobie kiedykolwiek wyobrazić. I połowa z tych igieł przechodziła przez moje ręce. Przyglądałem się, jak pakowano w jej żyły więcej trucizny, niż jedna osoba mogłaby znieść. Więc niech pan przeprowadza swoje oskarżenia i przyprowadza swoich prawników. Może mnie pan tu pochować, ale to nie zmieni bólu, który czuję. — Ten ból przychodził do mnie falami jak przyływ. Obróciłem na palcu obrączkę.

Zapadła długa cisza.

— Rak potrafi wiele dokonać. Może zniszczyć twoje życie, ukraść to, co najdroższe, roztrzaskać marzenia, zniweczyć zaufanie, rozerwać na strzępy duszę i pozostawić cię wyniszczzonego i nienadającego się już do niczego. Może okraść cię z nadziei, szeptać kłamstwa, w które nauczysz się wierzyć, i przygasić światła nad rzeką. Zabierze ci głos, zdrowie, twoje wyobrażenie o samym sobie. Nakarmi cię plwocinami, nauczy cię rozróżniać zmęczenie i wycieńczenie. A kiedy już myślisz, że nie dasz rady, napęlnia cię rozpaczą. Która wkrótce przykrywa wszystko. To jest prawdziwe piekło. Ale... — uświadomiłem sobie, że stoję i uderzam pięścią w stół.

Usiadłem i dokończyłem spokojnie.

— Brak nadziei jest chorobą silniejszą niż ta, która odebrała życie Abbie. Ponieważ dotyka serca... na to nie ma szczepionki, nikt nie jest odporny. I jedyną bronią jest walka. — Spojrzał na mnie. — To jest broń, która mówi: „Przejdę z tobą przez piekło, żeby nie wiem, co się działo”. — Echo moich słów jeszcze rozbrzmiewało w pomieszczeniu. — Na końcu rak odbiera tylko to, co mu oddajesz. Mogę umrzeć tutaj albo w jakimś nieodległym więzieniu, ale umierając, będę wiedział jedno: nigdy nie oddałem mu Abbie. I nigdy nie oddałem mu nas. Senatorze, są gorsze rzeczy niż śmierć.

Roześmiał się, ale jego gniew był prawie namacalny.

— Niby co takiego?

— Śmierć za życia.

— A to co niby ma znaczyć?

Potrząsnąłem głową.

— Abbie nie umierała samotna w swoim bólu. Na krześle koło niej ktoś cały czas siedział. Może być pan na mnie zły, że ją panu zabrałem. Trudno. Zrobiłbym to raz jeszcze.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Powiedziałem wystarczająco dużo. Nie zamierzałem już mówić nic więcej.

Podniósł się i wyszedł.

* * *

Dwa dni później wrócił. Tym razem był sam. Bez magnetofonu, bez krawata, w rozpiętym niebieskim sportowym płaszczu i z plastikową tubą pod ramieniem.

Usiadł, powoli składał i rozkładał chusteczkę do nosa. Wreszcie odezwał się. Bolesne wyznanie.

— Tak długo w ciebie wątpiłem. To... — wzruszył ramionami — to, co zobaczyłem w Mayo... tylko umocniło moją opinię, że zdradziłeś Abigail Grace.

— Proszę pana, ona ma na imię Abbie. I niezależnie jak to wyglądało, kiedy pan wszedł, ja nigdy jej nie zdradziłem.

Pokiwał wolno głową.

— Twój przyjaciel, latający ksiądz, przyszedł się ze mną spotkać. Podzielił się ze mną twoją spowiedzią.

— Tak to nazwał?

— Właśnie.

— A co w takim razie z jej poufnością?

— Ponieważ zostały mu odebrane prawa kapłańskie, nie obowiązuje go.

— To zabawne, że mi o tym nie wspomniał.

Stukał palcami o stół.

— Myślałem, że przekonam... Abbie... by zobaczyła cię moimi oczyma... ale ona знаła cię lepiej niż ja.

Położył na stole tubę.

— Znaleźliśmy twoje kanu. Zaplątane w wodorosty. — Otworzył zamknięcie i rozwinął na stole płótno. Przyglądał się rysunkowi przez kilkanaście sekund. — Zawsze uważałem, że ona ciebie przecenia. — Puścił płótno, zwinęło się niczym luźny zwój. Potrząsnął głową. — Żaden mężczyzna nie jest wystarczająco dobry dla córki innego mężczyzny. — Wpatrywał się w sufit, pojedyncza łza płynęła mu po policzku. — Kiedy straciłem jej matkę, podjąłem decyzję, że nie oddam jej nikomu. A potem ona spotkała ciebie. A ty... — roześmiał się i wzruszył ramionami — nie byłeś taki, jak sobie wymarzyłem.

— Czy mógłbym panu zadać pytanie?

Podniósł brew.

— Co ja właściwie panu zrobiłem? Chodzi mi o to, dlaczego tak mnie pan odrzucał?

Wytarł oczy.

— Dałeś Abbie coś, czego ja nigdy nie zrobiłem. Dałeś jej siebie.

— O tak. Każdego dnia. — Po raz pierwszy zobaczyłem w nim człowieka. Może nawet ojca. — Z całym szacunkiem, chciałem panu powiedzieć, że fakt, iż druga transplantacja się nie powiodła, nie miał nic wspólnego z panem. Zrobił pan wszystko, co można było zrobić.

Popatrzył na mnie i prawie przytaknął. Wyciągnął telefon komórkowy, wcisnął z pamięci jakiś numer i odczekał, żeby ktoś po drugiej stronie odebrał. Odchrząknął i zapytał.

— Podpisałeś to?

Pokiwał głową, czekając na coś.

— Byłbym ci wdzięczny, gdybyś to przesłał na ten numer faksu. — Podał numer i rozłączył się.

Parę minut później wszedł strażnik, niosąc pojedynczą kartkę papieru, odłożył ją i zaraz wyszedł. Senator przeczytał, złożył na stole i podniósł się.

— Oskarżenie w sprawie morderstwa zostało odrzucone. W sprawie narkotyków niewiele mogę zrobić, ale jeśli przyznasz się do winy, uda się ograniczyć karę do wyroku z zawieszeniem. Może jakaś praca społeczna. Na przykład... uczenie starych upartych polityków malowania. — Podniósł się, stał do mnie plecami. Wtedy wyciągnął z kieszeni płaszcza pomięty list i położył go delikatnie. Poglądził palcami powierzchnię koperty, niczym ślepiec czytający brajlem. Przełknął ślinę, udało mu się jeszcze wyszeptać. — Jesteś wolny, możesz wyjść.

Wyszedł pierwszy, stawiając ostrożnie nogi, prawie powłócząc nimi. Wyjąłem z koperty kartkę. Zapach jej nowojorskich perfum wypełnił pokój, poczułem się, jakby otulał mnie pled.

30 maja

Kochany Tato,

Jest już późno i morfina przestaje działać, co jest i dobre, i złe.

Ludzie z hospicjum są na dole, słyszę, jak się kręcą. Doss siedzi na swoim „bocianim gnieździe”, które skrzypi pod jego ciężarem.

Podczas ostatnich lat nauczyłam się słuchać swojego ciała. W tej chwili mówi mi, że nim dostaniesz ten list, mnie już nie będzie. Cokolwiek rak miał ze

mną zrobić, już to zrobił. Nowe terapie, specjaliści, opinie i lekarstwa wraz z całą potęgą Senatu nic tu nie zmieniają. Pozostaje tylko jedno. Nie płacz. Widzę, jak wciśnięty pomiędzy pamięć o mamie i myślenie o mnie, zacznasz teraz dygotać od wstrzymywanych łez. Tato, nie powstrzymuj ich. Nawet senatorowie też płaczą. A jeśli chodzi o mnie —jestem już dużą dziewczynką. Oczywiście, to nie był mój wybór. Gdybym miała na to jakikolwiek wpływ, pozostałabym tu jeszcze kolejne pięćdziesiąt, a może nawet sześćdziesiąt lat, nauczyłabym się gotować jak Rozalia i przeczesałabym palcami pięknie siwiejące włosy Dossa. Tak bym chciała go wtedy zobaczyć. Myślę, że będzie się ładnie starzał.

Jeśli myślisz, że Doss mnie ukradł, jesteś w błędzie. Nie mógłby. Niewiele osób szanuje cię tak bardzo, jak on. Ta podróż to był mój pomysł. Było coś, co chciałam mu jeszcze dać i potrzebowałam do tego tej rzeki. Proszę, zrozum. Jest utalentowany jak nikt, kogo kiedykolwiek poznałam, i nie chciałam, żeby ten talent umarł razem ze mną. Więc, proszę, zostaw nas na rzece. Przypomnij sobie moje słowa, kiedy dostaniesz szatę, wezwiesz prawników i zaczniesz knuć. Po prostu pozwól, żeby to się stało. Doss mnie nie zabił. Zrobił to rak. Jego wiń. Wysłanie Dossa do więzienia nie sprowadzi ani mnie — czy mamy — z powrotem. Miałam dobre życie. Teraz pozwól mi dobrze umrzeć.

Kiedy byłam małą dziewczynką, wziąłeś mnie za rękę i poszliśmy na Dock Street, kiedy zaczynał się sezon teatralny. Tak się wtedy bałam. Ale gdy byliśmy już na miejscu, klęknąłeś obok mnie, odsunąłeś moje włosy, żeby nie zasłaniały mi twarzy, i powiedziałeś: „Abigail Grace, nie jesteś stworzona, żeby siedzieć na tych krzesłach”. Potem pokazałeś mi scenę i światła: „Zostałaś stworzona, żeby stanąć tam... w tych światłach. Idź zająć należne ci miejsce”. Tato, Doss jest bardzo do mnie podobny. Pamiętaj o tym. Jest tego wart, potrzebuje ciebie, a my wszyscy potrzebujemy jego. Zaufaj mi.

Zostawiam ci prezent. Ale jest pewien haczyk. To, co ci daję, jest ukryte w piersi mojego męża. Kiedy go poznasz, odnajdziesz mnie. Oddałam mu moje serce dawno temu, a tam, gdzie idę, nie będę go już potrzebować. Jeśli przełkniesz dumę i będziesz umiał spojrzeć głębiej niż poprzez swój prywatny

ból, dowiesz się, że wy dwaj jesteście bardziej podobni, niż ci się zdaje. I że możesz się czegoś od niego nauczyć.

Wiem, że usłuchać mnie będzie ci trudno. Jeśli czytasz ten list i myślisz, że chciałam mieć ostatnie słowo, to mylisz się, chętnie bym z tego zrezygnowała.

Kocham cię. Twoja Abigail Grace

Abigail Grace

POSŁOWIE

Pojechałem do domu, wszedłem do studia, rozwinąłem zwój i zacząłem od początku. Moje życie z Abbie. Pozwoliłem, żeby taśma przewijała się, szedłem raz jeszcze każdą ścieżką bólu — każdą linią kotwiczną — a kiedy ból był zbyt silny, zatrzymałem taśmę i malowałem ten fragment. Płakałem więcej przez ten rok niż przez całe dotychczasowe życie.

Łzy na płótnach.

Jedyna różnica, to że nie maluję już świata, w jakim chciałbym żyć. Maluję ten jedyny.

* * *

Senator zaczął mnie odwiedzać w weekendy. Na początek po prostu chodził po moim studiu. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele. Ale powoli przyszły słowa. Zadawał pytania na temat stylu, formy, procesu. Trzeba przyznać, że dobre pytania. Myślę, że w innym życiu mógłby zostać artystą. Kiedyś wreszcie postawiłem mu sztalugi i nauczyłem, jak pracować węglem. Szło mu całkiem dobrze. Senator, co ciekawe, pokazał swoją miękką stronę. Nienawidził nowojorskich Jankesów, ale po kilku tygodniach przejechał palcem po ramce mojego Nata Feina. Potrząsnął głową i powiedział:

— Pewnie to działa na nas wszystkich.

Sięgnąłem do szafy, skąd wyciągnąłem moją próbę oddania twarzy Babe'a Rutha, i podałem mu. Podczas gdy ze zdjęcia emanował smutek, jaki rzadko daje się uchwycić, na moim obrazie Babe patrzył — z opuchniętymi powiekami i zapadłymi policzkami — na to, co zbudował. A jego twarz

skrywała uśmiech. To był mój Babe. Prawdziwy. Senatorowi to się spodobało. Dałem mu i zdjęcie, i obraz.

— Proszę, to dla ciebie.

Pojedyncza łza spłynęła po jego policzku. Wreszcie odezwał się:

— Abbie powiedziała mi kiedyś, że nikt nie potrafi malować jak Bóg, ale...
— zamaszystym ruchem ręki objął całe moje studio — ty bardzo się do Niego zbliżyłeś.

Nie było takiego tygodnia, żebyśmy nie siedzieli razem w studiu, w ciszy tworząc sztukę. Właśnie to robiliśmy. Wspólnie. Możecie pomyśleć, że brakowało go w Waszyngtonie, ale udawało mu się wyrwać do mnie, kiedy czuł potrzebę.

Minął rok.

* * *

Siedział u mnie przez cały poranek, czuliśmy się dobrze we własnym towarzystwie, wśród zapachów i kolorów farby. Bez potrzeby rozmowy. Co mówi wam o nas całkiem sporo. Wychodził w porze lunchu. Nie jestem pewien, dlaczego akurat tego dnia zadał mi pytanie, które męczyło go od paru miesięcy. Wskazał *Nieugiętą*. Skończyłem ją kilka miesięcy wcześniej i zawiesiłem tutaj, żeby spoglądała na mnie.

— Czy mogę...? — zapytał. — Proszę.

To była jego gałązka oliwna. Senator wybaczył mi. A co ważniejsze wybaczył też samemu sobie.

— Tak.

Słyszałem, jak wziął głęboki wdech, taki, że z łatwością nappełnił jego potężną klatkę piersiową.

— Jesteś pewien?

— Senatorze, nasza podróż rzeką to nie był mój podarunek dla Abbie. To był jej podarunek dla mnie, i mam wrażenie, że planowała to od dawna. — Przyglądałem się własnej pracy. — Nie malowałem jej, żeby ją tu uwięzić. Namalowałem ją... żeby nas uwolnić.

Śmierć Abbie roztrzaskała jego skorupę. Teraz żył z emocjami tuż pod powierzchnią.

— Czy ona cię tego nauczyła?

Ból przypominał mi o tym, co było i co jest piękne. O tym, co poznałem i co straciłem. O danej mi miłości. I zabranej. Im bardziej to bolało, im głębiej to czułem, tym słodsze było wspomnienie. Więc choć ból przeszkadzał, żyłem z nim.

Uśmiechnąłem się.

Senator powiesił *Nieugiętą*, i wiele innych obrazów, w studiu Abbie, które przerobił na moją galerię. Albo raczej na naszą galerię. A my nazywaliśmy ją „Galerią Abbie”. I tak ją oficjalnie nazwał. Zdjęcie Feina powiesił w swojej sypialni, by je oglądać w samotności. Patrzył na Babe'a, kiedy się golił. Zainteresowanie moimi pracami stało się wręcz oszałamiające. To zabawne. Teraz Nowy Jork przyjeżdżał do nas. Dwa tygodnie temu zadzwonił do mnie, że otrzymał sześciocyfrową zapłatę za coś, co namalowałem kilka miesięcy temu — na obrazie idę trawnikiem w Bare Bottom z Abbie śmiejącą się tak, że aż boli. Kupiec mówił coś o tym śmiechu, coś na temat twarzy Abbie, jak go zatrzymała i nie pozwoliła odejść. Jak przemówiła do niego.

To cieszyło mnie, choć nie umiałem wyrazić słowami, dlaczego. Senator cytował mi wtedy Wittgensteina, który kiedyś powiedział: *O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć*. Znałem ciszę przez całe moje życie. Dobrze mi z nią. Jedyne różnica polega na tym, że teraz krzyczą moje ręce.

W zeszłym tygodniu naciągnąłem czapkę na głowę, założyłem ciemne okulary i wtopiłem się między ludzi w galerii.

To było coś jak podsłuchiwanie. Nikt mnie nie znał. Porozmawiałem z pewną panią, mówiła, że jest tu już od czterech godzin. I że od pół roku przychodzi tu co miesiąc. Postukała się w pierś i powiedziała:

— Coś, co tutaj jest, jakoś mnie uszczęśliwia. Uwniośla.

Zapytałem, który obraz podoba jej się najbardziej, szybko wskazała płótno osiem na dziesięć cali. Jeśli dobrze pamiętam, to był obraz, na którym siedzę z mamą na ławce nad rzeką. Ściągnąłem kapelusz i okulary, zdjąłem ze ściany obraz i podarowałem jej. Kiedy wychodziłem, wciąż jeszcze płakała. Może moja mama miała rację. Może niektórzy ludzie po prostu muszą zanurkować i napić się głęboko. Może wszyscy musimy to zrobić. Może dlatego przychodzą do mojego studia.

* * *

Moje studio wypełniał zapach farby. To narkotyk malarza. Światło nad Fortem Sumter było łagodne, prawie złote. Popatrzyłem na urnę stojącą na półce po mojej lewej stronie. Była tu ze mną każdego dnia, patrząc na to, co robię. Przypominając mi o mojej ostatniej obietnicy.

Jedenaste życzenie.

Nadszedł czas.

Odłożyłem pędzel, sięgnąłem po telefon i wykręciłem numer. Kiedy odebrał, spytałem:

— Czy dasz radę wylądować na piaszczystej drodze?

Nie zawahał się. Słyszałem jak przekłada cygaro z jednej strony ust na drugą.

— Zależy od drogi.

Zadzwoiłem do nadzorującego mnie funkcjonariusza. Podczas gdy prokurator okręgowy odrzucił wszystkie zarzuty przeciwko mnie, związane ze śmiercią Abbie, sprawy z narkotykami nie mogli puścić płazem. Mówiąc

wprost, ukradłem znaczną ilość narkotyków i w dodatku przewiozłem je przez kilka stanów. Przyznałem się. Trudno było zaprzeczać. Ale, biorąc pod uwagę, że nic nie znaleźli w moim organizmie, dali mi dwadzieścia cztery miesiące zawieszenia. Za każdym razem, kiedy chciałem opuścić miasto, musiałem się meldować u faceta w Columbia, który lubi moje obrazy.

Zrobiłem przystanek przy domu senatora. Był w swoim studiu. Poprzedniego dnia wydał oświadczenie, że nie będzie się ubiegać o reelekcję. Zobaczył mnie z urną w ramionach.

— Postanowiłeś, że dotrzymasz obietnicy?

Pokiwałem głową.

— A ciebie mogę położyć obok niej.

Uśmiechnął się. Przeszliśmy wspólnie długą drogę. Abbie byłaby zadowolona.

Pokiwał głową, składając i rozkładając chusteczkę.

— To mi się podoba. Bardzo mi się podoba.

* * *

Z Bobem spotkałem się poza miastem, wsiadłem do samolotu i poleciliśmy na południe w stronę linii brzegowej. Kiedy dotarliśmy do Cumberland Island, skręcił ostro na zachód i skierował się w stronę St. Marys. Zrobiliśmy jedno koło, po czym Bob wylądował na gruntowej drodze niedaleko od mojego celu. Poszedłem nią kawałek, przeskoczyłem przez kanał i ruszyłem moczarami. Trzymałem Abbie w plecaczku przewieszonym przez ramię. Kiedy dotarłem do Cedar Point, powiedziałem jej:

— Już niedaleko.

Szedłem pomiędzy cedrami, w trawie po kolana, tam gdzie kiedyś obozowaliśmy.

To było trudne miejsce.

Rzeka przesuwała się po powierzchni ziemi niczym kartka papieru po gładzi. Wszedłem do wody, szarpnęła mnie.

Wszedłem po pas, przyciskając Abbie do piersi. Brakowało mi jej. A kiedy stałem w wodzie, brakowało mi jej jeszcze bardziej.

Nad moją głową przeleciał rybołów, a kawałek dalej pelikan. Gdzieś w dole rzeki rozległ się odgłos syreny kutra rybackiego. Zdjąłem przykrywkę, obróciłem urnę i patrzyłem, jak Abbie skacze do wody.

* * *

Po jedenastu dniach spędzonych na rzece dotarliśmy do Cedar Point i, choć trudno było w to uwierzyć, zaliczyliśmy wszystkie punkty, poza jednym. Dziewięć z dziesięciu. Wciągnąłem ją na brzeg. W oddali słychać było helikopter.

— Kochanie... Abbie — jej powieki zatrzepotały. — Jesteśmy na miejscu.

Słyszałem mężczyzn biegnących ku nam przez moczary. Z tyłu dochodził głos jej ojca.

Przełknęła ślinę, próbowała złapać oddech. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Skinęła głową, choć nie otworzyła oczu.

— Delfiny uratujemy innego dnia.

Poklepałem ją po policzku.

— Może powinnaś była życzyć sobie czegoś więcej?

Podniosła rękę, dotknęła mojej twarzy.

— Dostałam wszystko, czego chciałam.

Próbowałem grać na zwłokę.

— Posłuchaj... mówiłaś, że chcesz mi coś ofiarować. Prezent na urodziny?

— Już ci to dałam — pokiwała głową.

— Ale...

— Znajdziesz to, kiedy będziesz potrzebował.

Oczy uciekały jej do tyłu. Zaczepnęła głęboko powietrza. Z zamkniętymi oczami wzięła mnie za głowę i przyciągnęła do siebie, tak że dotknęliśmy się czołami. — Nie zatrzymuj tego wszystkiego dla siebie. Ludzie tego potrzebują. Więc rozdaj to. Zaprosz ich na naszą wyspę. — Zamknęła oczy i położyła się. Twarz miała w ogniu, ale dłonie zimne i oddech płytki. Przyciągnęła moją twarz do swojej i wyszeptała: — Kiedy obudzisz się i znajdziesz miejsca, które boją, nie uciekaj. Zanurz wiosło i popłyń. — Trzepnęła mnie mocno w pierś. — Za każdym razem. Zanurkuj, pozwól, by rzeka cię zabrała, i wtedy mnie znajdziesz. — Wskazała na ocean. — Ja będę na ciebie czekać.

Poczułem, że płaczę. Jej ramię opadło bezwładnie, a oddech gdzieś się rozplynął. Trzymałem jej głowę w moich dłoniach:

— Abbie? Abbie?

Czułem, jak momentalnie jej ciało zeszywniało, nagle wciągnęła powietrze tak, że napelniło nawet jej żołądek — była gdzieś tysiące mil nade mną.

— Abbie? — wołałem cicho.

Przyciągnęła mnie bliżej.

— Obiecuj.

— Ale...

Uśmiechnęła się, jej wzrok spoczął na mnie.

— Doss? — Nie potrafiłem na nią spojrzeć. Pociągnęła mnie jeszcze raz. — Życie to seria powitań i pożegnań. To jest... pożegnanie. Ale jeszcze powiemy sobie *witaj*. — Stuknęła mnie w klatkę piersiową. — Obiecuj mi.

— Obiecuję — powiedziałem łamiącym się głosem.

Wciągnęła jeszcze raz powietrze — krew wypłynęła z obu dziurek jej nosa — i spojrzała na ocean.

— Będę tam. Będę czekała. Więc pochowaj mnie... gdzie rzeka kończy swój bieg.

Podniosła swoją dłoń, położyła swój wskazujący palec między skronią a uchem — a potem odeszła.

Otworzyłem urnę i rozsypałem prochy nad wodą. Było ich tak niewiele. Osiadły na powierzchni, a fale poniosły je w stronę oceanu. Jakies sto jardów dalej ujrzałem błysk ogona. W miejscu, gdzie były już prochy, wyskoczył butelkonosy delfin. Potem następny. I jeszcze jeden. I kolejny. Wreszcie cała czwórka przewracała się, znacząc skórę białym popiołem. Woda była ciepła i czysta. Wyszepiałem, patrząc na zmarszczki na wodzie:

— Abbie... poczekaj na mnie. Czekaj na mnie tam, gdzie rzeka kończy swój bieg.

Zniknęła, a ja wróciłem na brzeg. Ściekała ze mnie woda.

Stałem na plaży, patrząc, jak krab wspina się na mój but. Ruszyłem w stronę drogi. Nagle pojawił się jakiś nieznajomy mężczyzna. Długie włosy, krótko przycięta broda, kawałek papieru w dłoni. Za jego plecami szedł drugi z kamerą w ręce.

— To pan jest tym malarzem? — zapytał mnie pierwszy. — Tym, który odbył podróż w dół rzeki... z Abbie. — Przytaknąłem. Założył ręce na piersi i stał tak pomiędzy mną a drogą. — Minął rok, prawda?

Przygotował się. Liczył na jakąś historię.

— Tak.

— Dlaczego pan tu wrócił?

Pomasowałem swoją szczękę.

— Miałem jedną rzecz do załatwienia.

Pokiwał głową, jakby wiedział, o co mi chodziło.

— Kolejny punkt na waszej liście?

Spojrzałem na niego zaskoczony.

— Coś w tym stylu.

Odsunął się, żeby kamerzysta miał lepszy widok.

— Z dostępnych zapisów wynika, że pan kupił ten kawałek ziemi. Czy to prawda?

Przesłoniłem oczy dłonią, spoglądając na rzekę i pokiwałem głową.

— Nazwał pan go jakoś?

Zaprzeczyłem, pamiętając, co powiedziała Abbie: *Nie mówiłam wszystkiego temu facetowi z gazety.*

— Dobrze, ale proszę mi powiedzieć, czy zrobiłby pan to jeszcze raz?

Dużo na ten temat myślałem. Czasami, kiedy miałem słabszy moment, wątpiłem w samego siebie. Ale potem przypominałem sobie. Skinąłem głową.

— Natychmiast.

Zapisał coś w notesie i cofnął się.

— Niewiele o panu było słyhać w ostatnim roku. Mówi się, że większość czasu spędza pan w swoim studiu, malując. Zgadza się?

Przytaknąłem. Wzruszył ramionami, zbliżył się do mnie.

— Więc... po co to było? Po co ten cały wysiłek?

Nie wiedziałem, czy dobrze go oceniam.

— Proszę wziąć głęboki wdech.

Popatrzył na kamerzystę, wzruszył ramionami, potem spojrzął na mnie, na jego twarzy malował się niepewny uśmiech.

— Co mam zrobić?

— Proszę wziąć głęboki wdech — powtórzyłem.

— No dobrze.

— A teraz trzymać.

— Jak długo? — pytał jak człowiek, który ma się zaciągnąć jointem.

— Po prostu proszę trzymać.

Spojrzął na kamerzystę i jeszcze raz wzruszył ramionami. Minęła minuta. Twarz mu poczerwieniała. Kolejnych dziesięć sekund i stała się purpurowa. Wreszcie nie wytrzymał i złapał powietrze. Patrzył na mnie, trzymając mikrofon tuż przy mojej twarzy.

— Oto powód.

Podszedłem do samolotu, wiatr kręcił kurzem, który wdzierał mi się do nosa. Bob opierał się o skrzydło, przyglądając kołyszącym się trawom, mieniającym się raz zielenią, raz brązem i po chwili znowu zielenią. Po kilku minutach wyszeptał:

— Czy kiedykolwiek myślałeś o tym, żeby się jeszcze raz ożenić?

W tym momencie jego twarz nie była twarzą pilota, opryskiwacza pól ani złodzieja, ani cudzołożnika, była twarzą księdza. To było pytanie wprost.

Potrząsnąłem głową, obracając obrączkę na palcu.

Gdzieś w oddali rozległo się bicie dzwonu, i nagle, jak na dany sygnał, kilkanaście brudnych mew i dość nędznie wyglądających pelikanów nadleciało od strony moczarów, kierując się ku dokom St. Marys, gdzie najwyraźniej zaczynał się rozładunek kutrów z krewetkami. Dzwon nadał bił.

Znów wsparł się o skrzydło.

— I co teraz?

Wiele miesięcy temu włożyłem do portfela listę życzeń Abbie. Wyjąłem ją teraz i przeczytałem po kolei każdy punkt.

— To bardzo proste. Będę malował tak długo, póki mi talent pozwoli... a od czasu do czasu Abbie będzie mnie odwiedzać.

— Brzmi to smutno.

Zapadła długa cisza. Złożyłem artykuł i wsunąłem z powrotem do portfela.

— Tak... — wziąłem głęboki oddech. — I boli jak diabli. Ale jest dobre.

* * *

Kiedy się obudziłem, przyływ wznosił się, a prądy podwodne szarpały mną z taką siłą, że nie potrafiłem się obronić. Woda zalewała moje brzegi, rozlewała się szeroko i zagrażała zalaniem mojej wyspie.

Ale czas naprawdę leczy. Nie tak jak myślimy, nie tak jak my byśmy to zrobili — od wierzchu — ale od środka, tam gdzie najgłębiej, gdzie nikt nie widzi. Nagle moje oczy były tak długo już suche, że mogłem rozejrzeć się, spojrzeć za siebie i zobaczyć, że ból stał się formą sinusoidy, która mnie scalała. Stałem na brzegu, spoglądałem na bezmiar, którego epicentrum było we mnie, stałem przed wyborem — co ryzykowałem wypływając na rzekę? Więc zanurzyłem wiosło, wypłynąłem z mojej własnej czarnej dziury i odkryłem, że rzeka nie jest jedna, że jest ich wiele, i czy nam się to podoba, czy nie, one wszystkie się łączą. Za każdym zakrętem dążą do czegoś pięknego, do jedności, o której warto pamiętać. Dlaczego? Jak? Nie umiem na to odpowiedzieć. Ja wiem tylko, że obietnica została spełniona. Ze ona tam na mnie czeka. I że w miejscu zwanym „łokciem diabła” znalazłem coś, co skleiło mnie w jedną całość.

Woda odpływa, rzeka zakręca, a ból buduje miłość.

Bob machnął ręką w stronę rzeki.

— Kiedy wyszedłem z więzienia, szukałem miejsca, w którym mógłbym się ukryć. Miejsca, gdzie nie znano by mojej przeszłości. Wkrótce potem wpadłem gdzieś na Gusa i on podarował mi przyjaźń. Inaczej niż inni, nie wykorzystywał mnie przeciwko mnie samemu. Spytałem go, dlaczego, a on powiedział mi coś, czego nie potrafię zapomnieć. Stał w wodzie i pokazał na nurt. — Kiedy ta woda dotrze do oceanu — mówił wtedy — pod wpływem słońca stanie się chmurami, a gdy te staną się dość duże, wiatr je przegna w stronę kontynentu, gdzie spłyną na ziemię.

— A to znaczy? — spytałem.

Wielki